Romans historyczny

CONNIE BROCKWAY

# Kaprys panny młodej

AMBER

Najnowsz
powieść

Romans historyczny

# CONNIE BROCKWAY

**Gwiazda nastrojowych i emocjonujących romansów historycznych, osadzonych w XIX-wiecznej Anglii**

**Connie Brockway to amerykańska**

*Dla mojej córki Rachel.*

*Jesteś cudowna!*

*Mama*

# *Prolog*

*Chelsea, Anglia Ostatnie ćwierćwiecze panowania królowej Wiktorii*

Młodziutkiej Evelyn Cummings Whyte głośno zaburczało w brzuchu. Zerknęła niespokojnie na drugą stronę łóżka; jej siostra była - na szczęście - pogrążona w błogim śnie. Gdyby jednak żołądek nadal wyprawiał harce, trzeba go jakoś uciszyć, zanim jego pomruki obudzą Verity. Złożyło się tak niefortunnie, że musiały dzielić z siostrą pokój, ale gości zaproszonych przez rodziców na półoficjalny debiut towarzyski Verity było więcej niż sypialń w ich rezydencji. Należało jednak za wszelką cenę zadbać o to, by jutro Verity prezentowała się jak najlepiej. Jeśli zaś idzie o nią - cóż, w przypadku Evelyn ciemne kręgi pod oczami nie miały najmniejszego znaczenia.

Evelyn wzięła do ręki notatnik, podniosła go jak najbliżej gazowego kinkietu i zmrużyła oczy. Przemknęło jej przez myśl, że może warto by postarać się o okulary. W rubryce opatrzonej nagłówkiem SPRAWY DO ZAŁATWIENIA dopisała: Przenieść Verity do pokoju mamy. Potem sprawdziła inne pozycje z takim skupieniem, jakby gotowała się do kolejnego starcia z

dobrze znanym, irytującym przeciwnikiem, z którym walczyła i którego pokonywała setki razy.

Większość dziewcząt - a nawet dorosłych kobiet - wpadłaby w panikę na widok tasiemcowej listy spraw do załatwienia i niezbędnych obowiązków, ale młodziutkiej lady Evelyn wcale to nie odstraszało. W brzuchu znów jej zaczęło burczeć. Verity wymamrotała coś i przewróciła się na bok. Złote loczki opadły jej na pulchny, różowy policzek.

Evelyn odłożyła notatnik i odrzuciła kołdrę. Nie ma rady, trzeba zejść do kuchni i wypić szklankę mleka. To powinno uspokoić żołądek. Chwyciła pierwszy szlafrok, który nawinął się jej pod rękę - był to strojny peniuar Verity - i narzuciła go na siebie. Mimo woli spostrzegła, że jej odbicie w wielkim prostokątnym lustrze ściennym powtórzyło ten ruch. W pierwszej chwili zawahała się, potem jednak podeszła do zwierciadła z ciekawością i strachem. Ze strachem, ponieważ Evelyn Cummings Whyte niedawno uświadomiła sobie, iż jest wyjątkowo brzydka.

Z ponurą miną przyjrzała się swemu odbiciu.

Ujrzała niską, niemal dziecinną postać tonącą w powodzi koronek. Ponieważ jedyne źródło światła znajdowało się za jej plecami, rysy ginęły w mroku. Zdołała jednak dostrzec zarys chudej twarzy, otoczonej masą czarnych włosów. Cienka jak szypułka szyja mogła w każdej chwili złamać się pod ciężarem ogromnej głowy. Ciemniejsze plamy wskazywały miejsce, gdzie znajdowały się oczy, a długa czarna krecha znaczyła linię ust.

Powłóczysty, zbyt obszerny peniuar nie pozwalał ocenić figury, ale spod atłasu i koronek sterczały wąskie białe stopy. Z zaciekawieniem Evelyn podciągnęła rękawy szlafroczka i przekonała się, że jej przeguby są mniej więcej tej samej grubości, a raczej chudości, co przedramiona.

Odsłoniła dekolt.

- Istny kościotrup! - Tak się wyraziła tamta kobieta.

Przyjrzawszy się uważnie swojej klatce piersiowej, Evelyn musiała przyznać jej rację. Nawet przy słabym świetle widziała wyraźnie mostek i ostro sterczące obojczyki.

Przypomniała sobie dalszy ciąg podsłuchanej konwersacji.

- Ten dzieciak to po prostu strach na wróble! - szeptała do swej przyjaciółki tak dobrotliwa z pozoru pani Bernhardt. - Czarne kudły, a ręce i nogi jak patyki!

Evelyn nieśmiała pojęcia, że kobiety mówią o niej. Chciała się nawet odwrócić, żeby na własne oczy zobaczyć tego stracha na wróble, gdy dotarły do niej słowa rozmówczyni pani Bernhardt.

- Aż dziw bierze. Rodzone siostry, a takie różne! Verity śliczniutka, a ta mała… brrr!

Od tamtej pory tak często słyszała szeptane po kątach uwagi na temat własnej brzydoty, że musiała w końcu uwierzyć, iż to prawda. Kłopot polegał na tym, że wcale nie czuła się brzydka! A jeśli teoria Mendla na temat przekazywania cech dziedzicznych była słuszna, to ona - Evelyn -powinna być równie urocza jak jej matka i siostra!

Widocznie z ludźmi sprawa przedstawia się inaczej niż z odmianami grochu. Szkoda!

Istotnie, Francesca, matka Evelyn, była nie tylko urodziwa, ale nieziemsko piękna. I miła. I dobra. A jej ojciec Charles, syn i spadkobierca księcia Lally, zdecydowanie przystojny. Uchodził niegdyś za najlepszą partię w Anglii i przez całe lata opędzał się od ścigających go panien na wydaniu, zanim spotkał Francescę.

Ta we właściwym czasie obdarzyła męża prześliczną córeczką. Charles był nią oczarowany. Trzy lata później miał więc pewność, że następne dziecko okaże się równie zachwycające. Jednak - w odróżnieniu od różowiutkiej, słodkiej Verity - druga córka była żółta i wrzaskliwa.

Francesca nigdy nie zastanawiała się nad własną urodą, toteż nie przejęła się jej brakiem u młodszej córki. A Charles, kiedy wreszcie nauczył się , ob-4.21

inteligentna, choć niezbyt urokliwa buzia chwytała wprost za serce. A poza tym młodsza córka okazała się wspaniałym kompanem!

Evelyn dbała zresztą o to, by nie stracić jego miłości. Charles był mar¬nym organizatorem, więc stała się mistrzynią planowania. Ponieważ ani jej matka, ani starsza siostra nie miały zielonego pojęcia o gospodarności i oszczędzaniu, Evelyn uchodziła za rodzinnego eksperta w tej dziedzinie.

I tak oto - szczerze kochana przez matkę, rozpieszczana przez starszą siostrę i ubóstwiana przez ojca - Evelyn dożyła wieku piętnastu lat, nie przejmując się ani trochę mankamentami swej urody, o których lustro głośno teraz krzyczało. Nigdy jednak - w tym momencie przez twarz dziewczynki przemknął dreszcz bólu - nigdy nie przypuszczała, że jest odrażająca!

Evelyn rozejrzała się dokoła, szukając obrony przed atakującymi ją emocjami, których dotąd nie znała. Jej wzrok padł na leżącą na nocnym stoliku otwartą Biblię. Czyż nie z tej księgi pochodziła rada: "Jeśli więc twoje prawe oko jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć za siebie?[1]" … No cóż, z pewnością nie zamierzała się okaleczyć, ale może by wykorzystać ten po¬mysł w wersji złagodzonej? Każe po prostu usunąć ze swego pokoju wszyst¬kie lustra, a w inne nie będzie spoglądać. Uniknie wówczas wiecznego porównywania swego wyglądu z powierzchownością innych. Nie podda się zazdrości. Nie zniży się do użalania się nad sobą. Nie wykoślawi swej osobowości!… A poza tym nie warto biadać nad czymś, na co i tak nie ma rady.

Doszedłszy do tak praktycznego wniosku, Evelyn od razu poczuła się lepiej. Wyszła z sypialni i skierowała się w stronę kuchni. Znajdowała się w połowie mrocznego korytarza, gdy usłyszała szczęk otwieranych drzwi. Zatrzymała się. Wysoki mężczyzna w wieczorowym stroju wymknął się z pokoju pani Underhill.

Widocznie pan Underhill zdołał się jednak oderwać od swych licznych obowiązków dyplomatycznych i weźmie udział w ich przyjęciu. Evelyn wstrzymała się z powitaniem do chwili, gdy szacowny gość zamknie drzwi. Odwrócił się jednak tak raptownie, że wpadł na nią, nim zdążyła wymówić choćby słówko.

- Oj!…

Silne ramiona wyciągnęły się ku Evelyn i chwyciły ją bezceremonialnie pod pachy.

---

[1] Ewangelia według św. Mateusza 5,29; *Biblia Tysiąclecia*, wyd. V, Pallotinum 2000

- Jeśli pan się obawia, że upadnę wskutek naszego zderzenia, zapewniam, że to mi nie grozi. Może pan mnie puścić.

Ktoś wysoko nad jej głową zaczerpnął nagle tchu.

- Kim ty jesteś, u diabła?! - spytał niski męski głos.

- Jestem Evelyn Cummings Whyte. Zechce mnie pan łaskawie puścić?

- Evelyn?… - mruknął, rozluźniając nieco chwyt.

Czekała cierpliwie. Dorośli, zwłaszcza ci z najwyższych sfer, byli przeważnie tępi.

- A, ta mała siostrzyczka?

Podniosła na niego oczy.

- Tak, panie Un…

Urwała. Jej oczy przyzwyczaiły się już do ciemności. To nie mąż wyśliznął się ukradkiem z pokoju pani Underhill. To był pan Justin Powell!

Evelyn zdrętwiała, uświadomiwszy sobie, na co przypadkiem wpadła… a raczej co przypadkiem na nią wpadło. Schadzka zakochanych. Umówione spotkanie. Potajemne rendez-vous! Z trudem przełknęła ślinę.

- …panie Powell!

- Niech to diabli! Dokąd się wybierasz? - szepnął z irytacją.

- Do kuchni.

Puścił jedną z rąk Evelyn, ale mocno trzymał drugą. Odwrócił się i pociągnął dziewczynkę w stronę schodów.

*Widocznie chce ze mną pomówić. To może być całkiem interesujące!* - pomyślała z czarnym humorem.

Zupełnie nie odpowiadał jej wyobrażeniom o… rozpustnikach. Podczas swego pobytu tutaj znacznie częściej przesiadywał nad mapami w gabinecie ojca, niż grywał w badmintona z młodymi damami. Był dla nich oczywiście bardzo grzeczny, ale zawsze wydawał się trochę… nieobecny duchem. Niezbyt zainteresowany.

Teraz jednak nie zdradzał żadnych objawów roztargnienia. I Evelyn doskonale wiedziała czemu.

Na szczęście niełatwo było ją zaszokować. *Za to biedna Verity… Verity* - stwierdziła ponuro - *będzie przerażona.*

- Cicho! - zazgrzytał gdzieś na wyżynach głos pana Powella. Prawie biegiem ściągnął ją ze schodów i zapędził na tyły domu, gdzie jednym pchnięciem łokcia otworzył kuchenne drzwi obite zieloną bają. Wepchnął Evelyn do kuchni, sam wtargnął tam zaraz za nią i zaczął po omacku szukać palnika gazowego umieszczonego tuż obok drzwi. Po sekundzie buchnął siarkowożółty płomień i w jego ostrym blasku ukazały się orle rysy pana Powella.

Evelyn przyjrzała mu się bacznie. Uznała, że jest całkiem przystojny, aczkolwiek bardziej wymagające damy uznałyby zapewne jego zmięte ubranie i zbyt długie ciemne włosy za brak ogłady, a nie dowód godnej podziwu oryginalności. Poza tym to jego wieczne roztargnienie... Ale w tym momencie nikt by mu nie zarzucił, że buja myślami Bóg wie gdzie.

Wargi miał zaciśnięte, znikła gdzieś tak charakterystyczna dla niego, rozbrajająco nieprzytomna mina. Na twarzy malowało się najwyższe skupienie. Ponieważ do tej pory pan Powell uprzejmie, ale konsekwentnie wykręcał się od wszelkich zajęć wymagających wysiłku fizycznego, Evelyn doszła do wniosku, że jest leniwy i niewysportowany. Teraz już nie była tego pewna - wlókł ją za sobą bez najmniejszego wysiłku.

Stał tak przed nią i gapił się chwilkę, potem przejechał ręką po włosach.

- Jak u licha… A niech mnie diabli porwą!

- Całkiem możliwe - zgodziła się Evelyn.

Spojrzał na nią wyraźnie zaskoczony.

- O, więc pańska uwaga miała charakter retoryczny, a nie proroczy? - zauważyła kąśliwie.

Po jego pociągłej twarzy przemknął wyraz rozbawienia.

- Jawna bezczelność - stwierdził.

- Raczej bezbożność - odparowała.

- Do diaska! Jesteś całkiem wygadana jak na swoje… ile tam…? Dwanaście lat!

- Piętnaście - oświadczyła z godnością.

Czuła, że oblewa się piekącym rumieńcem. Wiedziała, że nie wygląda na swoje łata. A teraz musiała prezentować się zgoła groteskowo w cza¬rująco kobiecym peniuarze siostry, spod którego wystawały patykowate nogi, przemarznięte od zetknięcia z kamienną podłogą. Uniosła jedną bosą stopę i oparła ją o drugą.

Zauważył ten mimowolny ruch i westchnął niecierpliwie. Nim Evelyn zorientowała się, o co chodzi, chwycił ją w pasie i posadził na brzegu wielkiego kuchennego stołu.

- Po co się wybrałaś do kuchni?

- Po mleko.

Jakby był u siebie w domu, otworzył skrzynkę z lodem i wyjął prze¬chowywany w niej dzbanek. Potem zaczął myszkować po szafach w po¬szukiwaniu kubka. Napełnił go mlekiem i wetknął Evelyn do rąk. Przez minutę popijała grzecznie, a on pilnował jej niczym czujna niańka. Po¬tem wtargnął do spiżarni.

Poszperał w niej i wrócił z bochenkiem chleba i kawałkiem indyczej piersi, która pozostała z wczorajszej kolacji. Odciął dwie wielkie pajdy i przełożył je zimnym mięsem.

- Masz - powiedział, wręczając Evelyn gigantyczną kanapkę.

- Nie, bardzo dziękuję - odparła z godnością, choć nie przychodzi to łatwo osobie, której bose nogi dyndają trzydzieści cali nad podłogą.

- Nie marudź, tylko jedz! - nalegał. - Wyjdzie ci to na zdrowie.

Już miała zaprotestować, ale dostrzegła, że jej rozmówca skrzyżował ręce na piersi, co - jak zdążyła zaobserwować - było u mężczyzn oznaką determinacji. Wzruszyła więc ramionami, wzięła podsuwaną jej kanapkę i ugryzła spory kęs. Uporawszy się z kanapką, podniosła znów wzrok na pana Powella.

- I co dalej?

- O to właśnie chodzi! - odparł. - Teraz sobie pogadamy, młoda damo, o tym, coś widziała…

Urwał nagle, zmarszczył brwi i ni stąd, ni zowąd przejechał wskazującym palcem po jej górnej wardze. Na widok oburzonej miny Evelyn uśmiechnął się.

- Wąsy z mleka. Jesteś pewna, że masz już piętnaście lat?

Znów się zaczerwieniła. Nie pozwoli, by wprawił ją w zakłopotanie zwykły rozpustnik! A choćby i niezwykły!

- Całkowicie. O czym to pan mówił?

- Niech mnie diabli, jeśli wiem!

Przekrzywił głowę na bok.

- Czemu pan mi się tak przygląda? - spytała.

- Usiłuję odgadnąć, ileś zobaczyła, co podejrzewasz i jak mam cię skłonić do zachowania dyskrecji, czyli mówiąc prościej, do trzymania buzi na kłódkę na temat moich poczynań dzisiejszej nocy - odpowiedział z zaskakującą szczerością.

- To zależy od tego, jak dobrze będzie pan kłamał przez następne pięć minut - odwzajemniła mu się równą otwartością.

Wybuchnął śmiechem - głębokim, szczerym i bardzo zaraźliwym. Omal mu nie zawtórowała, ale w porę uprzytomniła sobie, że z pewnością wszyscy uwodziciele mają równie dźwięczny i zniewalający śmiech.

- Naprawdę masz piętnaście lat? A może pięćdziesiąt? - spytał z rozbawieniem.

Co za niezwykły kolor oczu! Jak mogła wcześniej tego nie zauważyć…? Jasne, błękitnozielone, niczym szmaragd albo nefryt o subtelnym odcieniu. W dodatku błyszczą w nich miedziane iskierki - jak na powierzchni konika z dynastii Ming, jednego ze skarbów w gabinecie ojca…

- No więc, lady Evelyn, jak będzie z nami?

Mruknęła coś, nie mogąc oderwać wzroku od tych fascynujących oczu.

- Wiesz, kim jestem?

Pytanie było tak absurdalne, że przełamało jej chwilowe urzeczenie.

- Oczywiście! Nazywa się pan Justin Powell i do niedawna był pan młodszym oficerem w armii Jej Królewskiej Mości... Proszę wybaczyć, ale nie pamiętam szarży. Pański ojciec to Marcus Powell, wicehrabia Sumner, były pułkownik armii królewskiej. Właściciel zakładów tkackich w hrabstwie Hampshire i główny udziałowiec kopalni węgla w północnej Kanadzie. Jest pan jego jedynym synem i spadkobiercą. Pański dziadek ze strony matki, generał brygady John Harden, walczył w Afryce Południowej pod wodzą Wolseleya. Garnet Joseph Wolseley (1833-1913), brytyjski marszałek polny. Najsłynniejsze kampanie w Ashanti (Ghana) i w Egipcie. Jako wódz naczelny rozpoczął modernizację armii brytyjskiej w latach 1895-1900. Garnet Joseph obecnie w stanie spoczynku; większość czasu spędza w swej londyńskiej rezydencji, ale jest również właścicielem posiadłości wiejskiej North Cross Abbey, wzniesionej w połowie XVI wieku na ruinach dawnego opactwa.

Skończywszy wyliczanie tych informacji, Evelyn złożyła ręce i czekała na reakcję swego rozmówcy. Gapił się na nią, wyraźnie zaskoczony.

- Boże święty! Nauczyłaś się tego na pamięć?!

- Nie szczędziłam trudu, by jakiś niepożądany osobnik nie wkradł się przez pomyłkę na przyjęcie Verity.

Udał, że nie dostrzega jej wymownego spojrzenia.

- Ty nie szczędziłaś trudu?!

- Owszem. To ja sporządziłam listę gości.

- Żartujesz!

- Bynajmniej. Widzi pan… ojciec patrzy krzywym okiem na każdego, kto zabiega o względy Verity. Gdyby to on decydował, kogo zaprosić, na liście nie znalazłoby się nazwisko żadnego kawalera. Z mamą jest wręcz odwrotnie, jakaż ona łatwowierna! - Evelyn poruszyła się niespokojnie pod sceptycznym spojrzeniem rozmówcy i dodała, jakby się usprawiedliwiając: - Verity pomagała mi w przygotowaniu listy.

- Jak to ładnie z twojej strony, że zasięgnęłaś jej opinii!

- No, cóż… - przyznała Evelyn. - W końcu chodzi o jej przyszłego męża. Wzmianka o mężach sprawiła, że przypomniał się jej pan Underhill.

Zmrużyła oczy i spojrzała ostro na Justina Powella. Stał w swobodnej pozie, oparty o ścianę.

- Pan, oczywiście, wypadł z gry.

- Co…? Ach, tak. - Skinął posępnie głową. - Oczywiście.

Wbrew woli poczuła do niego trochę szacunku. Potrafił pogodzić się z przegraną! Ponieważ nic już nie pozostało do omówienia, chciała zsunąć się ze stołu. Pospiesznie udaremnił ten zamiar.

- Najbardziej mnie zdumiewa, że wśród tych wszystkich danych, które zdobyłaś na mój temat, zabrakło jednej, najistotniejszej informacji.

- Doprawdy?

- Stwierdzenia, kim naprawdę jestem.

Zmierzyła go nieprzychylnym wzrokiem.

- To również wiem. Niestety.

Skamieniał.

- Doprawdy?

- O tak - odparła surowo. - Jest pan… pożeraczem serc, jak to określają przyjaciółki Verity.

Zamrugał powiekami. Wyprostował się. Znowu zamrugał. I wybuchnął radosnym śmiechem.

- Nie o to mi chodziło!

- Wobec tego o co? - spytała urażona tym, że jej surową krytykę zbył wybuchem śmiechu.

- Jestem oczywiście synem, wnukiem i eksoficerem, o czym wspomniałaś, ale też sobą, bardzo bogatym i liczącym się w towarzystwie Justinem Powellem!

Liczącym się w towarzystwie? Nie słyszała o żadnych wybitnych koneksjach ani użytecznych znajomościach, ale być może istniały dziedziny życia Powella, do których nie zdołała dotrzeć. Przyglądała mu się z powątpiewaniem.

- Daję słowo! - Nie raczyła odpowiedzieć. Gwałtownym gestem wyrzucił obie ręce w górę. - Niewiarygodne! Sterczę w kuchni o drugiej nad ranem i usiłuję przekonać nieopierzoną smarkulę o moim znaczeniu! - mruknął z irytacją. - Zrozum, do licha, moja panno, mam nie byle jakich przyjaciół. Ważne osobistości jędzami z ręki!

*O Boże!* - pomyślała Evelyn. *To zaczyna być żałosne.*

- Cholera jasna, przechwalam się jak uczniak! - Widocznie czytał w jej myślach. I nagle odezwało się w nim poczucie humoru. Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Możesz potem spytać, kogo chcesz, moja chudziutka sówko! Ale w tej chwili zastanów się nad jednym, czy nie warto mieć bogatego i wpływowego dłużnika?

Zmierzyła go badawczym wzrokiem.

- Co pan ma na myśli?

- To, że postanowiłem ci zawierzyć. Wyglądasz na zrównoważoną dziewuszkę. Taką, co zrozumie od razu, że z głupiego paplania o nocnych wizytach nie wyniknie nic dobrego, a co gorsza, może się to źle skończyć.

- Jestem tego pewna - przytaknęła Evelyn.

Pogroził jej palcem, jakby była krnąbrnym dzieckiem.

- Takie plotki nie tylko zniszczą reputację pani Underhill, ale rzucą towarzyski cień na debiut lady Verity. Natomiast trzymając język za zębami, przysłużysz się i tym damom, i mnie. Może uważasz, że powinienem zostać ukarany? Ale przecież i tak już mnie unieszkodliwiłaś, rezygnuję raz na zawsze z ręki twojej siostry, więc nie stanowię żadnego zagrożenia dla waszej rodziny. Mam rację?

Miał rację. Ale…

- Chyba nie zaliczasz się do tych obrzydliwych stworzeń, które żerują na brudnych plotkach? - spytał podstępnie.

- Nie! - skrzeknęła z oburzeniem. Nienawidziła plotkarzy.

Uśmiechnął się.

- A poza tym jesteś dostatecznie dorosła, by zrozumieć, że pozory niekiedy mylą. Nie wolno pochopnie osądzać bliźnich, nieprawdaż?

Znów musiała się z nim zgodzić, choć tym razem przyszło jej to z trudem. Prawdę mówiąc, osądzała bliźnich na każdym kroku. Ale on przedstawił sprawę tak, jakby to był dowód wyjątkowej małostkowości i złośliwości!

- Wcale cię o to nie podejrzewałem - oświadczył wielkodusznie. - A więc, jeśli zachowasz to w tajemnicy i nie piśniesz ani słówka nikomu, nawet rodzonej siostrze… - Pochylił się tak nisko, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie - daję słowo, że nie pożałujesz nigdy swego szlachetnego postępku. Kto wie, może nawet kiedyś ci się opłaci?

- Co też pan opowiada? - spytała podejrzliwie. - Jakim cudem?!

- Ponieważ, lady Evelyn, od tej chwili jestem twoim dłużnikiem. A ja… - utkwił w niej przenikliwe spojrzenie - zawsze, ale to zawsze płacę swoje długi!

Wyprostował się i podszedł do drugiego, mniejszego stołu, który odgrywał rolę prywatnego biurka naczelnego kucharza. Wziął do ręki jedną z kartek, na których ów mistrz wypisywał obiadowe menu. Nagryzmolił coś pospiesznie na odwrocie i wrócił do Evelyn.

- A zatem, mogę na ciebie liczyć?

Wpatrywała się w niego, bijąc się z myślami. Wszystko, co mówił, było rozsądne. Zrezygnował z wszelkich praw do ręki Verity. Zdemaskowanie go na nic się nie przyda. A jeśli pójdzie mu teraz na rękę, kto wie… może kiedyś, w przyszłości okaże się to przydatne…?

- W porządku, panie Powell. Obiecuję, że nic nie powiem… chyba że próbowałby pan narzucać się Verity!

- Nie będę, słowo honoru!

- Wobec tego ma pan i moje słowo.

Wyciągnęła do niego dłoń dla przypieczętowania umowy. Od razu pochwycił ją w swoją ogromną rękę i zacisnął jej palce na kartce papieru.

- Niech Bóg da ci zdrowie, dzieciaku! A teraz zmykaj do łóżka. Trafisz? - zaniepokoił się.

Po raz pierwszy tego wieczoru Evelyn uśmiechnęła się.

- Znam tu każdy kąt, odkąd zaczęłam raczkować!

Już miał się odwrócić i odejść, ale nagle zatrzymał się. Uniósł brwi, jakby coś go zaskoczyło.

- Ależ ty… - przerwał, nie kończąc myśli. - A zatem, dobrej nocy, lady Evelyn!

Skłonił głowę i w chwilę później zniknął w drzwiach, zostawiając ją samą w kuchni. Odwróciła kartkę, zaintrygowana, co na niej napisał.

*Jestem Twoim dłużnikiem.*

*Justin Falloden Powell, 9 marca 1885 roku.*

# *1*

*Londyn, dziesięć lat później*

- Jeśli nie chce pan, żebym zalała krwią cały dywan, radzę wezwać lekarza - odezwała się Evelyn z miejsca, gdzie leżała na wznak.

Poprawiła okulary na nosie i odwróciła głowę, by spojrzeć w stronę okna. Tego, w którym szyba była jeszcze cała. Dostrzegła w niej, że wysoki mężczyzna, który wszedł do biblioteki, nagle przystanął na granicy wielkiej plamy światła, która znaczyła triumfalny przemarsz porannego słońca. Był bez marynarki, w koszuli z rękawami podwiniętymi do połowy muskularnych, opalonych rąk. Kołnierzyk miał rozpięty pod szyją.

- Jaki znów dywan? - spytał, rozglądając się w poszukiwaniu osoby, która właśnie doń przemówiła.

Minęło dziesięć lat od ich poprzedniego spotkania, ale Evelyn miała wrażenie, że rozstali się wczoraj. Ten sam niefrasobliwy głos i niedbały wdzięk, ta sama gibka postać.

- Tutaj! - zawo a a Evelyn. - Na pod odze ko o okna. Tego z wybit szyb .

Justin Powell zamkn trzyman w r ku ksi k i okr y biurko. Znajduj ca si na poziomie jego eleganckich butów, Evelyn podnios wzrok i dostrzeg a subtelne zmiany, jakie zasz y w nim w ciminionej dekady. Od k cików oczu rozchodzi y si promieni cie cieniutkie zmarszczki, po obu stronach szerokich ust zaznaczy y si bruzdy. Ciemnobrzowe w osy by y nieco przyprószone siwizn.. ale tak samo jak dawniej domaga y si pielystrzy enia.

Spojrza na ni bez s owa. Odwzajemni a si tym samym.

Stanowczo co musi by nie w porz dku z m czyzn , który patrzy na niewiast wykrwawiaj c si na jego pod odze, a nie rzuca jej si z pomoc!

- Rozumiem, e widok kobiety le cej w ka u y krwi podzia a na pana parali uj co, panie Powell - odezwa a si znowu. - Ale moe mog abym w jaki sposób os abiten szok i sk oni pana do konkretnego dzia ania?

- Kobiety, powiadasz? - mrukn Powell, bez po piechu odk adaj c ksi k na biurko.

Przykucn obok Evelyn, z okciami na kolanach i d oma zwisaj cymi mi dzy zgi tymi nogami. Ostro nie uniós oddarty brzeg spodenek, które po yczy a sobie od Stanleya, swojego siostrzca.

Wzi a si w gar i zerkn a na swoj nog . Na widok krwi odwróci a g ow . Spojrza a na twarz Powella, chc c odgadn z jego miny, jak gro na jest rana… ale zamiast tego zatopi a w jego oczach. By y dok adnie takie jak zapami ta a - fascynuj ce, po yskliwe, b kitnozielone. Le ne jeziorka skryte w promieniach jesiennego s ca… Z ote li cie wiruj ce na powierzchni p ynnego nefrytu…

- Nie ma mowy o wykrwawieniu si na mier - stwierdzi rzeczowo Justin i wypuci z r ki oddarty p at materia u. - A tych kilka kropelwi to jeszcze nie ka ua. - Spojrza z niesmakiem na k ce swoich palców, rozejrza si bezskutecznie za jakim r cznikiem i ostatecznie wytar je o nogawk jej spodenek. - Dra ni cie, cho d ugie, nie jest wcale g bokie.

- Bogu dzi ki!

Wypu ci a z p uc powstrzymywane dot powietrze. Nie da si ukry , e zachowywa a si g upio na widok krwi.

- Zwykłe zadrapanie - stwierdził chłodno Powell. - Trochę krwawi, ale na angielskim uczniaku coś takiego przysycha raz dwa, jak na psie.

Ten absolutny brak współczucia sprawił, że Evelyn się najeżyła.

- Nie jestem angielskim uczniakiem!

- Od czasu, gdy pani Boyle otworzyła w sąsiedztwie pensję dla panienek, przekonałem się, że różnica między przeciętnym angielskim wyrostkiem a typowym podlotkiem nie jest znów taka wielka.

Wzrok Justina przesunął się z całkowitą obojętnością po bluzie, zawiązanej pod szyją chustce i zniszczonych na amen spodenkach biednego Stanleya.

Evelyn zmarszczyła brwi.

- Przebrałam się tak, bo sądziłam, że będę musiała wspinać się po kracie, by dotrzeć do okna biblioteki i wejść do środka.

- No, tak… Teraz pojmuję, że to była głęboko przemyślana i rozsądna decyzja.

Poczuła się zraniona jego sarkazmem. Uniosła się na łokciach, zamierzając wygłosić druzgoczące kazanie, ale gdy tylko ujrzała lepki od krwi materiał, poczuła zawrót głowy. Opadła na wznak z jękiem.

- Są jakieś inne obrażenia? - spytał pospiesznie Justin.

- Nie, nie… To tylko… krew. - Wzdrygnęła się. - Nie mogę na nią patrzeć.

- No to nie patrz! Zbladłaś jak płótno. - Wyprostował się. - Leż teraz spokojnie, a ja zajrzę do apteczki i zaraz wracam.

Dopiero gdy wyszedł, Evelyn uświadomiła sobie, że nawet jej nie zapytał, skąd się wzięła w jego bibliotece i czemu leży w takim stanie na podłodze. Większość mężczyzn domagałaby się natychmiastowej odpowiedzi. Albo doznałaby szoku na jej widok. Ale Justin Powell miał żelazne nerwy! Dobrze to sobie zapamiętała.

Kręciła głową w różne strony, rozglądając się po bibliotece. Była niewielka i panował w niej twórczy bałagan. Ubóstwiała myszkować w takich pokojach... i doprowadzać je do porządku. Dwa głębokie, obite skórą fotele stały na wprost sięgających aż pod sufit półek z książkami. Dostęp do nich

umożliwiała metalowa drabinka na rolkach. W przeciwległym końcu pokoju znajdowało się duże biurko, skąpane w promieniach słońca wpadającego przez otwarte (i to szeroko!) okno od wschodu.

Evelyn mrużyła oczy osłonięte okularami, starając się odczytać tytuły książek ustawionych na półkach, gdy usłyszała zbliżające się kroki. W chwilę później pojawił się Justin, niosąc na tacy wszystko, co niezbędne do opatrzenia rany: miskę z wodą, nożyczki, jakąś brązową buteleczkę, zwój bandaży i czysty ręcznik.

Nie tracąc czasu na głupie konwenanse, ukląkł obok Evelyn i obciął prawą nogawkę spodenek pięć cali nad kolanem. Zmiął w ręku kawałek zakrwawionego materiału i wrzucił go do kosza na śmieci, a następnie zanurzył ręcznik w wodzie.

- Przygotuj się na szorowanie, nie ma rady!

Nim Evelyn zdążyła odpowiedzieć, zabrał się do przemywania rany. Odetchnęła głęboko i wbiła wzrok w kasetonowy sufit.

- Ładny budulec - zauważyła piskliwym głosem.

- Wiśniowe drewno - mruknął z roztargnieniem Justin.

Wzdrygnęła się, gdy ciepła woda dotarła do wnętrza rany.

- Jest pan pewien, że to nic groźnego?...

- Jak najbardziej.

Wciągnęła raptownie powietrze, gdy przemywanie zadrapania zaczęło przypominać szorowanie garnków.

- Po prostu czuję, że zraniłam się do kości... Proszę niczego nie ukrywać. Potrafię znieść prawdę... choćby najgorszą.

- Rzeczywiście, jesteś szczuplutka, ale do kości daleko - odpowiedział, opadając na pięty, i wrzucił ręcznik do kosza w ślad za obciętą nogawką. - Gotowe! Wszystko czyściutkie jak złoto. Przekonaj się sama!

- Dziękuję, ale wolę nie patrzeć. Gdyby pan mógł zasłonić ranę bandażem, jakoś to owinę...

Próbowała podnieść się do pozycji siedzącej, ale ją powstrzymał. Wielka ręka spoczęła na jej ramieniu i popchnęła ją na wznak.

- Mowy nie ma, moja droga! - huknął wesoło. - Zawsze kończę to, co zacząłem. Tak mnie babcia nauczyła.

Podziękowała mu z głębi serca. Nie znosiła udawać bohaterki, gdy w grę wchodziła krew. Nie widziała w tym żadnego sensu! Jeśli nawet wszyscy inni czuli się dzięki temu lepiej, z nią było wręcz przeciwnie - i to właśnie w chwili, gdy najbardziej potrzebowała współczucia!

- Leż spokojnie i myśl o czymś innym... Mam pomysł! - oznajmił takim tonem, jakby go nagle olśniło. - Może mi opowiesz, po co włamałaś się do mego domu?

- Włamałam?... A, o to panu chodzi! Ten nieznośny osobnik, który pilnuje drzwi, usiłował mi wmówić, że pana nie ma w domu. Ponieważ musiałam się z panem spotkać, nie miałam innego wyjścia.

- Beverly utrzymywał, że nie ma mnie w domu? Cóż za karygodne postępowanie! - obruszył się Justin i zaraz potem spytał: - Miałaś jakiś ważny powód, żeby mu nie wierzyć?

- Pewnie! - odparła. - Widziałam pana na własne oczy!

- Widziałaś mnie? - powtórzył Justin łagodnym tonem. Odkorkował brunatny flakonik i wyjął z niego szklaną pałeczkę. Przytknął ją ostrożnie do rany.

- Auuu! - zapiszczała Evelyn, cofając się gwałtownie i mierząc go wzrokiem osoby, którą niegodnie oszukano. - To boli!

Powell zrobił skruszoną minę.

- Bardzo mi przykro. To kwas karbolowy. Powinienem był uprzedzić, że trochę będzie szczypało.

- Ładne mi trochę! - burknęła gniewnie Evelyn.

- Już koniec. Tylko zabandażuję i będziesz jak nowa. A więc - podjął, rozwijając lniane bandaże - dostrzegłaś mnie w głębi domu i słusznie wy¬wnioskowałaś, że Beverly to łgarz. Z jakiego miejsca mnie wypatrzyłaś?

- Przez tylne okno.

- Ach, tak! - Justin kiwnął głową. - A zatem, kiedy Beverly ci powiedział, że nie ma mnie w domu, od razu nabrałaś podejrzeń co do jego prawdomówności? Postanowiłaś zakraść się na tyły domu, wdrapać na

ogrodzenie i pozaglądać do okien... a nuż mnie wypatrzysz? Cóż za przedsiębiorczość!

Evelyn zmarszczyła brwi.

- Jeśli tak na to spojrzeć, to wygląda na to, że naruszyłam pańskie prawo do prywatności...

- Nie, nie! - zaprzeczył uprzejmie Justin. Naruszenie moich praw nastąpiło dopiero w momencie włamania. To, co się zdarzyło przedtem, określiłbym jako zwykłe...

Popatrzył na nią tak, jakby miał nadzieję, że pomoże mu znaleźć słowo, które umknęło mu z pamięci.

- …wścibstwo?

- No właśnie, wścibstwo! - Ucieszył się. - To odpowiednie określenie.

Nie dostrzegła w jego głosie ani cienia sarkazmu, ale nie ulegało wątpliwości, że Justin doskonale się bawił. Jej kosztem. Przypomniała sobie wszystkie informacje na jego temat, jakie zdołała zebrać przez dziesięć lat. Nie było tego wiele.

Dziwak. Stroni od towarzystwa... a może znudził się nim? Nic na nim nie robi wrażenia. Niektórzy zarzucali mu lekceważenie, inni woleli nazywać to roztargnieniem. Najwidoczniej nikomu nie udało się poznać Justina bliżej, bo wówczas musieliby dostrzec, że pod maską grzecznie uśmiechniętej obojętności kryje się bystry umysł i kąśliwy dowcip.

- Ale skąd to zainteresowanie moimi oknami? - spytał.

- Bo muszę z panem pomówić. Bezzwłocznie! - odparła.

- Ze mną? To mi pochlebia! Młode damy rzadko wykazują tyle pomysłowości. I wytrwałości.

Odciął kawał bandaża i zręcznie owinął nim udo Evelyn, zabezpiecza¬jąc końce przylepcem. Spojrzał z upodobaniem na swoje dzieło.

- Ludzkość wiele straciła na tym, że nie poświęciłem się medycynie.

Odpowiedziała szerokim uśmiechem na te przechwałki. On naprawdę umiał postępować z kobietami!

Podniósł się i wyprostował z iście kocią gracją. Evelyn przypomniało się inne określenie, na które w pełni zasługiwał. Tym razem zachowywał się jak dżentelmen, a w dodatku tak naturalnie, że na chwilę zapomniała o przykrych okolicznościach, w jakich doszło do ich pierwszego spotkania. Teraz jednak, gdy czarował ją i poruszał się z takim wdziękiem, wspomnienie powróciło z całą wyrazistością. Późna noc. Mroczny, długi korytarz. Cudza sypialnia, cudza żona.

Uwodziciel!

Evelyn nawet nie przyszło do głowy, że mógłby ją wybrać na obiekt swoich lubieżnych zakusów. Skądże znowu! Ale dobrze rozumiała, cze¬mu inne kobiety tak do niego lgną.

A jednak - co było doprawdy zdumiewające - od tamtej nocy nie słyszała żadnych pikantnych anegdotek na jego temat. Może ludzie plotkują tyko o donżuanach, którzy dają się przyłapać na gorącym uczynku?

Dech jej zaparło, gdy Justin nieoczekiwanie pochylił się i wziął ją na ręce. Zaczerwieniła się w obawie, że odczytał jej myśli.

- Proszę mnie puścić! Mogę iść o własnych siłach.

- Oczywiście, że możesz, jeśli chcesz - odpowiedział takim tonem, jakby zwracał się do upartego dziecka. Nie puścił jej jednak. Ruszył wielkimi krokami przez wąski, wyłożony chodnikiem korytarz, zmierzając na tyły swej miejskiej rezydencji. - Ale po co miałabyś się fatygować? Tylko w ten sposób mogę ci wynagrodzić przykrości, na jakie cię naraziłem, każąc wprawić zbyt kruche szyby oraz zatrudniając kamerdynera pozbawionego zasad moralnych.

Spojrzała mu badawczo w twarz.

- Pan sobie kpi ze mnie!

- Gdzież bym śmiał! - zaprzeczył. - Mówię całkiem poważnie. Jestem ogromnie wdzięczny, że nie wezwałaś natychmiast doradców prawnych twojej rodziny, by wnieśli skargę przeciwko mnie, i pragnę w dowód tej wdzięczności poczęstować cię szklanką lemoniady. Właśnie dlatego zmierzamy do kuchni.

Boże święty! Miał taką siłę perswazji, że sama niemal uwierzyła w swą wyższość moralną i prawo do przeprosin… choć doskonale wiedziała, że to ona powinna kajać się przed nim, by nie wezwał posterunkowego i nie wsadził jej do więzienia za włamanie.

- A poza tym - kontynuował Powell - bardzo mnie ciekawi, w jakiej sprawie chciałaś spotkać się ze mną. I to bezzwłocznie!

Evelyn nie odpowiedziała od razu. Czuła, że powinna dalej nalegać, by ją postawił na ziemi. Ale Powellowi widać nie sprawiało najmniejszego trudu niesienie jej na rękach, a i ona nie miała w gruncie rzeczy nic prze¬ciwko temu. Wobec tego odprężyła się i przytuliła do jego piersi.

Była to bardzo wygodna, potężna pierś. Przez białą, wykrochmaloną koszulę czuła ciepło jego ciała. Pachniał przyjemnie: mydłem, rozgrzaną ziemią i jeszcze czymś… Co to mogło być? Fascynujące!

Przymknęła oczy, starając się odgadnąć, co to za zapach. Ale zamiast tego poczuła, że otwiera się przed nią szeroki wachlarz nieznanych do¬znań. Swobodny rytm jego kroków, towarzyszący mu wahadłowy ruch jej własnych nóg, lekki powiew oddechu Justina na jej twarzy… Evelyn znieruchomiała pod wpływem nowych wrażeń. Cudowne!

Uśmiechnęła się i otwarła oczy, gdy Powell spojrzał na nią. Niechcący przekrzywił jej okulary na nosie, poprawiając je musiała się obrócić w jego ramionach. Justin uniósł ją wyżej, chciał oprzeć wygodniej o siebie. Prze¬sunął ręką po żebrach Evelyn i nagle poczuł pod palcami wypukłość pier¬si. Jak oparzony cofnął dłoń i zmarszczył brwi.

- Nie jesteś pensjonarką od pani Boyle, co? - spytał oskarżycielsko.

Spojrzał w zwróconą ku niemu twarz, starając się dostrzec oczy za przy¬ciemnionymi szkłami okularów. Potem jego wzrok zatrzymał się na ustach Evelyn i stamtąd przeniósł na burzę ciemnych włosów, które wymknęły się z upięcia podczas ryzykownej eskapady i splątane niczym węże Gor¬gony opadały jej na ramiona.

- Wcale nie jesteś dziewczynką…

- Bardzo przepraszam! - zaprotestowała oficjalnym tonem Evelyn.

- …tylko dorosłą kobietą!

Boże święty! Uważał ją za dziecko… To dlatego nie robił jej wyrzu¬tów, nie posłał po policję, nie traktował poważnie! Uznał jej przedsię¬wzięcie za wybryk niedowarzonej smarkuli.

Evelyn, która w ciągu ostatnich dziesięciu lat przeżyła mnóstwo boles¬nych nieporozumień, związanych z jej dziecinnym wyglądem, która

na¬dal - mimo wszelkich starań - cierpiała z powodu braku kobiecych okrąg¬łości, palnęła teraz bez namysłu:

- Co za spostrzegawczość! Jak też się pan tego domyślił?!

## *2*

Justin skrzywił się boleśnie.

- Chyba sobie na to zasłużyłem.

Dotarł do niewielkiej kuchenki, rozejrzał się dokoła i umieścił swój słodki ciężar na kuchennym krześle.

- Jeszcze jak! - odparła Evelyn i zerknęła na bandaż wokół swego uda. Z dziwną mieszaniną rozczarowania i ulgi spostrzegła, że nie był ani trochę zakrwawiony. Ależ się skompromitowała! Po co było wygadywać głup¬stwa o "kałuży krwi"?!

- Nie ma pani przypadkiem wrażenia, że to wszystko już się kiedyś wydarzyło? - spytał Powell, otwierając skrzynkę z lodem i wyciągając

z niej dzbanek. Nie czekając na odpowiedź, nalał dwie porcje lemoniady

i jedną z nich wręczył Evelyn. - Na zdrowie! - powiedział i stuknął brzeżkiem swojej szklanki o jej szklankę.

Pociągnęła łyczek, obserwując go ukradkiem. On również się jej przy¬glądał. Na czole znów pojawiła mu się zmarszczka. W każdej chwili mógł sobie przypomnieć niemiłe okoliczności ich pierwszego spotkania - i kto wie, jak wówczas zareaguje? Mężczyźni - podpowiadało Evelynjej dość ograniczone doświadczenie - nie znoszą, gdy się im wypomina dawne grzeszki! Może Powell wyrzuci ją, nim zdąży mu wyjaśnić, po co do niego przyszła?

- Pytał pan, co mnie tu sprowadza. Chętnie to panu wyjaśnię. - Odsta¬wiła szklankę. - Otóż pięć miesięcy temu moja ciotka lady Agatha Whyte uciekła do Francji z pewnym Francuzem.

Odczekała chwilę, by informacja dotarła w pełni do jej rozmówcy. Większość znanych jej osób już by się połapała, o co chodzi.

- Wobec tego doskonale się złożyło, że wybrali się do Francji - ode¬zwał się wreszcie Justin. - Przynajmniej jej towarzysz zna kraj i zaprowadzi ciocię do porządnej restauracji. - Zamilkł na chwilę. - Choć nie zawsze tak bywa. Pewnego razu, gdy podróżowałem po Austrii, trafił mi się przewodnik o tak niewyrobionym podniebieniu, że doprawdy przykro o tym…

Evelyn odchrząknęła znacząco.

- Bardzo przepraszam… Pani coś mówiła?

- Mówiłam, że moja ciotka uciekła, by potajemnie wziąć ślub. Fakt, że jej wybranek był Francuzem, nie ma większego znaczenia. - Evelyn zawahała się. Ostatnie zdanie zabrzmiało jakoś fałszywie. Nade wszyst¬ko ceniła sobie uczciwość i nigdy nie próbowała oszukać samej siebie. - No… prawdę mówiąc… nie jest całkiem bez znaczenia. Przez tego cudzoziemca moja ciotka straciła zdrowy rozsądek i zapomniała o poczu¬ciu obowiązku.

Ujrzawszy zdezorientowaną minę i pytająco uniesione brwi Justina, wyjaśniła pospiesznie:

- Szczerze mówiąc, nie sądzę, by jakiś Anglik mógł do tego stopnia omotać damę, by zapomniała o najświętszych zasadach w porywie na¬miętności…

Evelyn urwała. Sądząc z dziwnego wyrazu twarzy Justina, popełniła jakąś gafę. Może niepotrzebnie się wyrwała z tym "porywem namiętno¬ści"? A może uraziło go przypuszczenie, iż żaden Anglik nie zdołałby dokonać takiego spustoszenia moralnego?

Prawdopodobnie tacy jak on rozpustnicy są dumni ze swoich… jak to określić? Osiągnięć? Podbojów? Kto wie, czy nie powinna go zapewnić, że on oczywiście zapędziłby tamtego Francuza w kozi róg? A co do "po¬rywu namiętności", to trudno przypuszczać, by ten niewinny zwrot uraził skromność zatwardziałego grzesznika!

Co prawda, zdarzyło się już Evelyn obrazić niechcący tego czy owego źle dobranym słówkiem, rzuconym w niestosownej chwili. Na szczęście, Justin

wydawał się tylko zbity z tropu. Taki wyraz lekkiego oszołomienia na twarzy rozmówcy nie był również, niestety, nowością dla Evelyn.

- No cóż… Francuzi są ogólnie znani ze swej umiejętności… czarowania dam - odezwała się nieco zaczepnym tonem.

- Doprawdy?

W jego głosie dźwięczała taka naiwna ciekawość, że Evelyn, zawsze chętna do udzielania informacji, zapewniła go:

- Ależ tak!

- Kto by pomyślał… Ale odbiegamy do tematu. Przekonajmy się - uniósł w górę wskazujący palec - czy dobrze zrozumiałem, jak przedsta¬wia się sytuacja. A zatem cioteczka przeżywa za granicą upojne dni i noce w towarzystwie nowo poślubionego czarującego Francuza, gdy tym¬czasem pani… - zawiesił głos, wyraźnie oczekując, że rozmówczyni podejmie temat.

- Na moje barki spadła odpowiedzialność za jej przedsiębiorstwo. Cio¬cia wybrała się w podróż poślubną, nie pozostawiając żadnych instrukcji co do działalności firmy pod nieobecność właścicielki. Wobec tego, ma się rozumieć, wzięłam sprawy w swoje ręce.

- Oto właściwa postawa. Kochająca siostrzenica spieszy na ratunek rodzinnej firmie, gdy wzywa ją głos obowiązku! Brawo! - oświadczył Powell.

Przyglądała mu się bacznie, ale ani rusz nie mogła dociec, czy mówi poważnie, czy kpi z niej w żywe oczy. Jeśli nawet kpił, czynił to tak rozb¬rajająco, że musiała się uśmiechnąć.

- Tak, brawo dla siostrzenicy za dobre chęci - przytaknęła. - Ale o me¬dalach za odniesione sukcesy nie ma co marzyć.

- Nie? A to dlaczego?

- Ponieważ… - zaczęła Evelyn i od razu utknęła.

To właśnie było najtrudniejsze. Nigdy jeszcze nie przyznała się do tego głośno, a i teraz nie chciało jej przejść przez gardło, tym bardziej że sama nie mogła w to uwierzyć. Odetchnęła głęboko.

- Ponieważ ja… - Jeszcze jeden wdech. - Ja…

- Ponieważ pani… co mianowicie? - dopytywał się Justin.

Zacisnęła powieki i wyrzuciła z siebie:

- Ja… zupełnie się do tego nie nadaję.

Stało się! Przyznała się do klęski. A ponieważ takie wyznanie było dobrą terapią dla duszy, a Evelyn nigdy nie zadowalała się półśrodkami, brnęła dalej.

- Nie tylko nie mam zdolności do tego, panie Powell, ale w pełni za¬sługuję na określenie "antytalent".

Szczera spowiedź jakoś nie działała kojąco na jej zranioną dumę. Evelyn nadal czuła się okropnie.

- No cóż… wielka szkoda - odparł z należnym współczuciem. - Ale czy mógłbym spytać, do czego konkretnie się pani nie nadaje?

- Do prowadzenia firmy Wytworne Weseliska Whyte'ów - odparła. - Chyba pan o niej słyszał?

Z twarzy Justina było widać, że nie miał zielonego pojęcia o W. W.W.

- Ciotka Agatha organizuje przyjęcia weselne. Najsłynniejsze w ca¬łym kraju. Z jej usług korzysta cała śmietanka towarzyska. Niektórzy utrzymują nawet, że wesele tylko wtedy ma należytą oprawę, jeśli zostało zorganizowane przez firmę ciotki Agathy.

A raczej - dodała w duchu z rozpaczą - utrzymywali tak do niedawna!

- Zatem, jeśli dobrze zrozumiałem, objęła pani w zastępstwie ciotki rolę organizatorki imprez weselnych, a teraz obawia się, że pod jej kie¬rownictwem poziom usług się obniży, a dobre imię firmy ucierpi. Na tym polega problem?

- Mniej więcej - odparła zgnębionym głosem.

- No, no! Proszę się nie zamartwiać! - Wyciągnął rękę i poklepał ją niezręcznie po głowie, jakby chciał pocieszyć strapionego psiaka. - Je¬stem pewien, że sprawa nie wygląda aż tak źle!

Łatwo mu tak mówić!… Nie widział lodowego łabędzia Nortonów! Był to centralny element dekoracji, opartej na motywach baletu Czaj¬kowskiego. Łabędzia dostarczono do rezydencji Nortonów kilka godzin przed wyznaczonym terminem. Dzień był wyjątkowo upalny. Pracowni¬cy firmy dostawczej ustawili lodową rzeźbę na ogromnym szklanym pół¬misku, w otoczeniu stadka łabędziąt - małych arcydziełek z ptysiowego ciasta.

Zanim przybyli goście weselni, lód stopniał. Zamiast łabędzia, sunące¬go dumnie po srebrnej toni jeziora w otoczeniu uroczego miniaturowego potomstwa, ujrzeli coś w rodzaju pozbawionej głowy kaczki, telepiącej się chwiejnie w brudnej kałuży wśród napęczniałych, rozkładających się trupków swego potomstwa…

Powell nie był też świadkiem katastrofy spowodowanej przez pięćset białych gołębi, które według zamysłu Evelyn miały wzbić się w niebo podczas bankietu weselnego Reynoldsów. Jakaż była z siebie dumna, że udało jej się nabyć karmę dla ptactwa po tak okazyjnej cenie! Powinna raczej spytać, czemu chciano się jej pozbyć za bezcen! Otóż dlatego, że karma przemokła i zaczęła fermentować.

Do wesela gołębie - pomysłowo ukryte na poddaszu ogrodowego pa¬wilonu - urżnęły się w sztok. Po otwarciu klapy zamiast wdzięcznie ule¬cieć w niebo, zwaliły się co do jednego na stoły bankietowe. Zataczały się w pijackim zamroczeniu, depcząc po nakryciach i obżerając się tor¬tem weselnym i innymi przysmakami, przeznaczonymi dla biesiadników, którzy uciekli, wrzeszcząc z przerażenia.

Zdarzyły się i inne wypadki. Znacznie mniejsze, to prawda, ale ogólnie rzecz biorąc, zabójcze dla firmy. Evelyn podniosła głowę i spojrzała w oczy Justina. Żywe wspomnienie własnej nieudolności sprawiło, że straciła całą pewność siebie.

- Och, panie Powell! - jęknęła. - Jestem zakałą rodziny!…

Wstydząc się własnej słabości, otarła spływającą po policzku łzę i po¬prawiła okulary. Przykładnie splotła ręce na podołku.

- Po pierwsze - powiedziała - chciałabym, żeby pan zrozumiał, iż moje pragnienie dorównania ciotce nie płynie z fałszywej dumy i przesadnej wiary we własne siły. A w każdym razie - dodała pospiesznie - nie jest to główna przyczyna. Gdyby chodziło tylko o zaspokojenie własnej próż¬ności, zrezygnowałabym z dalszej walki.

Justin spojrzał na nią sceptycznie.

- Jestem dorosła i potrafię pogodzić się z tym, że na niektórych spra¬wach się nie znam albo się do nich nie nadaję. Chociaż - ciągnęła dalej, uradowana rzeczowym tonem swej wypowiedzi - muszę przyznać, iż nie przyszło mi nawet do głowy, że zadanie w gruncie rzeczy proste, sprowadzające się do projektowania i realizowania tych projektów, okaże się ponad moje siły!… A panu przyszłoby to do głowy?

Nie czekając na odpowiedź Powella, mówiła dalej.

- Nie zamierzam się chwalić… ale niejednokrotnie pod nieobecność rodziców zarządzałam ich majątkiem, odbywałam samodzielnie długie podróże, a w ubiegłym roku założyłam w naszej parafii szkółkę dla dzia¬twy wędrownych robotników rolnych.

Próbowała się odprężyć, ale szczęki nadal miała zaciśnięte. Ciągnęła więc dalej przez zęby.

- Zorganizowałam również kursy dla okolicznych dziewcząt, dzięki którym mogły znaleźć pracę jako pokojówki. Poza tym od trzech lat działam w naszej radzie parafialnej. A teraz, gdy pan już się zapoznał z tymi faktami, czy nie wydaje się panu zabawne - próbowała się roześmiać na znak, że ją to ogromnie bawi, ale bez powodzenia - niemądre, irytujące i kompletnie absurdalne, że coś tak prostego jak planowanie przyjęć we¬selnych przekracza moje siły?!

Obejrzała się na Justina w nadziei, że jej przytaknie, i odkryła, że wpa¬truje się w nią z dziwną miną. Czyżby podniosła głos aż do krzyku? Zmu¬siła się do beztroskiego uśmiechu.

- Oczywiście, że jest pan tego samego zdania co ja! - odpowiedziała sobie w jego imieniu. Sięgnęła po zapomnianą szklankę z lemoniadą i znów wypiła łyczek. - Może chciałby pan zadać jakieś pytanie?

- Istotnie.

- A mianowicie…?

- Chyba coś umknęło mojej uwadze. Często mi się to zdarza, więc wcale bym się nie zdziwił! Nie bardzo rozumiem, jaki związek mają pani obecne tarapaty z moją osobą?

- Czyżbym dotąd o tym nie wspomniała? - odparła Evelyn, rada, że panuje znów nad swym głosem. - To bardzo proste, potrzebuję pańskiej pomocy, by się zrehabilitować i udowodnić niezbicie, że Wytworne We¬seliska Whyte'ów wiodą prym wśród organizatorów podobnych imprez!

- Jak miałbym pani w tym pomóc?

- Wynajmując mi North Cross Abbey na sześć miesięcy.

- Tę starą budę mego dziadka generała? - spytał ze zdumieniem. - To przecież waląca się rudera, w dodatku na odludziu. Ze wszystkich stron nic tylko łąki, a na nich owce! Nie pojmuję, czemu pani chce wynająć coś takiego!

- To nie ja, tylko moja klientka. Tłumaczyłam jej, że z pewnością nie ma tam nowoczesnych wygód. Nie zraziło jej to. Obstaje przy tym, żeby jej wesele odbyło się w North Cross Abbey.

- Taka z niej miłośniczka owiec? - spytał Justin, a Evelyn mimo woli uśmiechnęła się.

- Nic mi o tym nie wiadomo - powiedziała. - To pani Edith Vandervoort. Z tych nowojorskich Vandervoortów.

- Pierwsze słyszę - mruknął Justin. Zabrał szklankę Evelyn i zaniósł ją do zlewu.

- To bardzo, bardzo bogata amerykańska wdowa - zwróciła się do jego pleców Evelyn. - Z najwyższych kręgów tamtejszego towarzystwa. Jej zmarły mąż był czystej krwi knickerbockerem.

Ten termin, oznaczający potomka pierwszych holenderskich osadni¬ków, niewiele chyba wyjaśnił Justinowi, bo odwrócił się i spojrzał tępym wzrokiem na Evelyn.

Przypuściła więc atak z innej strony.

- Pani Vandervoort wychodzi za mąż za lorda Boniface'a Cuthberta, jednego z najsłynniejszych ekonomistów naszej epoki.

Tym razem Justin zareagował.

- Usidliła starego Króliczka?! - wykrzyknął, uśmiechając się od ucha do ucha. - No, no!

- Króliczka…?

- To jeden z moich dawnych wykładowców z Oksfordu. Pierwszorzęd¬ny chłop, tylko strachliwy jak królik i równie komunikatywny jak ślepy żółw. Z tej wesołej wdówki musi być szampańska kobietka, że zdołała go wywabić ze skorupy!

Evelyn stanęła przed oczyma zawsze opanowana, jasnowłosa Amery¬kanka. Pani Vandervoort miała w sobie więcej dumy i godności niż nie¬jedna europejska księżniczka krwi, ale jeśli chodzi o szampański

charak¬ter, to na pierwszych lepszych moczarach znalazłoby się więcej bąbelków!

- Jest z pewnością jedyna w swoim rodzaju - odparła wymijająco Evelyn.

- Czemu tak jej zależy na weselu w North Cross Abbey?

Evelyn nie była pewna, czy ma prawo podzielić się z Powellem poufną informacją otrzymaną od klientki. Z drugiej jednak strony, mogło to skło¬nić Justina do wynajęcia rezydencji.

- To sprawa osobista, ale wyjawię ją panu w najgłębszym zaufaniu. Chodzi o to, że… choć pierwszy mąż pani Vandervoort był knickerbocke¬rem, ona sama pochodzi z niższych sfer. Prawdę mówiąc, jej babka służyła W North Cross Abbey jako kucharka, zanim wyemigrowała do Ameryki.

Justin gwizdnął z cicha i oparł się o zlew.

- Nie wiem, co mnie bardziej zdumiewa. Czy to, że ten stary dusigrosz zdecydował się na taki zbytek jak zatrudnienie we dworze kuchar¬ki, czy to, że przypadł aż tak do serca babci pani Van-jak-jej-tam, że za¬chowała jego i dwór w czułej pamięci!

Bvelyn poruszyła się niespokojnie.

- Zachowała w pamięci, istotnie. Karmiła przyszłą panią Vandervoort opowieściami o North Cross Abbey i jego mieszkańcach, ale nie były to miłe historyjki. Ona… to znaczy babka - Evelyn odchrząknęła - twier¬dziła, że ją tam okropnie traktowano.

- Ach, tak? - odezwał się Justin. - A cóż takiego się jej przydarzyło? Czyżby któryś z lokajów zapomniał się…

- Nie, nie! Nic w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, babka pani Vandervoort żywiła urazę przede wszystkim do pańskiego dziadka. Twierdziła, że niecnie się wywyższał i traktował ją pogardliwie. Przypuszczam, że wcale tak nie było - zapewniła go pospiesznie. - Pewnie starowina coś sobie uroiła. Kiedy ludzie są zależni od innych, często wyobrażają sobie rozmaite okropności, które nigdy…

- Myli się pani. Dałbym głowę, że ją poniżał - przerwał jej Justin. - Z dziadka był cholerny bigot, krzykacz i krytykant. Dobrze pamiętam jego pierwsze słowa skierowane do mnie po tym, jak… Co też ja mówię! Wcale ich nie skierował do mnie, tylko do mego ojca. Uznał widocznie, że nie jestem godny takiego zaszczytu. Powiedział więc: "Dobry Boże, Marcus!" - memu ojcu

tak było na imię - "Mam nadzieję, że zanim umrę, spłodzisz jeszcze prawdziwego żołnierza, który podtrzyma rodzinną tradycję, zamiast tego… dilettante". Nie był to co prawda najgorszy z epite¬tów, jakimi obrzucał mnie kochany dziadek, ale moim zdaniem najbardziej trafny.

Evelyn zrobiła wielkie oczy.

- Jakie to musiało być dla pana straszne!

Justin uśmiechnął się złośliwie.

- Z pewnością dla niego było jeszcze straszniejsze, niebiosa nigdy nie pobłogosławiły mnie młodszym bratem. Ale sama pani rozumie, że jestem pełen współczucia dla każdego, komu ten stary tyran dał się we znaki.

- Więc mi pan wynajmie North Cross Abbey? - spytała żywo Evelyn.

Potrząsnął głową.

- Tego nie powiedziałem. Współczuję ofiarom dziadka, ale samo współ¬czucie nie skłoni mnie do wpuszczenia hordy Amerykanów do rodzinne¬go sanktuarium.

- Jest pan okropny! Założę się, że pański dziadek powiedziałby to samo, słowo w słowo! - zaperzyła się Evelyn. Justin spojrzał na nią ze zdumie¬niem i mimowolnym szacunkiem. - A poza tym sam pan mówił, że to okropna stara rudera! Nawet pan sobie nie wyobraża, jak ją przeistoczę…

- Nie życzę sobie żadnych przeistoczeń! Mam słabość do okropnych starych ruder.

- Niechże pan nie będzie uparty! Pańskiemu staremu opactwu nic nie grozi. Sprowadzę tu całe skrzynie rozmaitych ozdóbek, draperii i innych rekwizytów, a po uroczystości wyślę to wszystko w odwrotnym kierun¬ku, zostawiając pańską siedzibę wysprzątaną, odmalowaną i wyremonto¬waną. Wszystko na koszt pani Vandervoort.

Twarz Justina zmieniła się w nieodgadniona maskę. Skrzyżował ręce na piersi. Pod gładką skórą ramion grały potężne mięśnie.

- Kiedy chciałaby pani wynająć North Cross Abbey?

- W przyszłym miesiącu.

Uniósł ramiona do nieba w przesadnym geście żalu.

- Fatalnie się składa. Doprawdy, bardzo mi przykro. W każdym innym terminie może bym się zgodził, ale nie w przyszłym miesiącu.

Spoglądała na niego w osłupieniu. Była już o krok od zwycięstwa - i w ostatniej chwili wymknęło się z jej rąk.

- Dlaczego w przyszłym miesiącu to niemożliwe?

- Bo to będzie kwiecień - wyjaśnił Justin z anielską cierpliwością. - A kwiecień zawsze spędzam w North Cross Abbey.

Nie wierzyła własnym uszom.

- A nie mógłby pan wybrać się tam na przykład w czerwcu? Bardzo malowniczy miesiąc!

- Nie - odparł stanowczo. - Do czerwca migracje się skończą.

- Jakie znów migracje? Ma pan na myśli ptaki?! Chyba pan sobie kpi! - A szansa na pełną rehabilitację W. W. W. była w zasięgu ręki… - Nie może

mi pan odmówić z powodu kilku głupich ptaków!

- Przykro mi, że pani tego nie rozumie.

- Nie! To pan niczego nie rozumie! Przecież panu zapłacę! Tyle, że będzie pan mógł spędzić kwiecień w dowolnym zakątku Anglii, w mi¬łym, przytulnym domku z wszelkimi nowoczesnymi wygodami!

- Bardzo mi przykro - odparł. - Chętnie bym pani pomógł, ale nie mogę.

Musi jej pomóc. To była ostatnia szansa ocalenia firmy. Po ostatnich dwóch katastrofach nikt nie reflektował na jej usługi… nawet za darmo! Ale gdyby wykorzystała tę okazję i zrobiła wrażenie na międzynarodo¬wej śmietance towarzyskiej, która wiecznie kręciła się wokół pani Vandervoort, londyńskie wyższe sfery znów zaczęłyby się dobijać do maho¬niowych drzwi Wytwornych Weselisk Whyte'ów!

Evelyn umocniła się w swym postanowieniu. Musi to osiągnąć za wszel¬ką cenę. Wielka szkoda, że trzeba sięgnąć po takie środki! Ale nie ma innego wyjścia.

- A jednak wynajmie mi pan North Cross Abbey!

Sięgnęła do kieszeni spodenek i wyjęła pożółkłą kartkę.

- Doprawdy? - Ciemne brwi Powella znów uniosły się do góry. - Skąd ta pewność?

Podała mu kartkę.

- Bo mam tu pański skrypt dłużny, panie Powell!

# *3*

Justin wziął do ręki kartkę i odczytał kilka słów nagryzmolonych jego własną ręką.

- Że też od razu nie poznałem!... Toż to sówka!

- Słucham?...

- Sówka! - powtórzył z entuzjazmem. - Mały odmieniec Broughtonów. Smarkula o manierach księżnej wdowy! Ellie?... Ivy?...

- Evelyn.

Pstryknął palcami.

- No właśnie, Evie!

- Evelyn - poprawiła go.

To zdrobnienie zupełnie do niej nie pasowało. Osóbka imieniem Evie powinna być grzeczniutka, śliczniutka i zgrabniutka, a ona... no cóż, ona w niczym jej nie przypominała.

- Zamierza pan spłacić swój dług honorowy, panie Powell? - spytała, ignorując jego nonsensowne uwagi.

Wsparłszy się o blat kredensu, Justin odchylił się do tyłu i uśmiechnął pogodnie.

- Nie przyszło ci przypadkiem do głowy, sówko, że twoja "prośba o pomoc" pachnie szantażem?

- Owszem, w pewnym sensie... - przyznała. - Miałam nadzieję, że los oszczędzi mi tej przykrości...

- Tobie?!

Zrobiła minę skrzywdzonej niewinności.

- Nie miałam innego wyjścia... i to przez pana! Gdyby zachował się pan po rycersku, nie doszłoby do tego.

- Błagam o wybaczenie!

- Zresztą, na pańskim miejscu byłabym przygotowana na coś podobnego. To znaczy, zorientowałabym się od razu, że kobieta, która włamuje się do cudzego domu, musi być w rozpaczliwej sytuacji. - Smętnie pokiwała głową. - Niech pan tylko pomyśli, jak nisko upadłam z pańskiej winy!

Justin roześmiał się, na co Evelyn bez zastanowienia odpowiedziała szerokim uśmiechem. Zerknęła na niego znad okularów z rozbawieniem i z irytacją. Nie mógłby przynajmniej udawać, że jej wierzy?!

- Więc pańskie sumienie jeszcze się nie ocknęło?... - spytała bez większej nadziei. - Ale mimo to pomoże mi pan? Bardzo proszę!

Justin przez dłuższą chwilę zastanawiał się.

- W porządku, Evie! - odezwał się w końcu. - Umówimy się tak - pozwolę tym twoim Amerykanom urządzić weselisko w North Cross Abbey. Zgodzę się nawet na przeistoczenie mego starego domiszcza w co tylko zechcesz, jeśli dasz słowo, że wywieziesz te wszystkie bambetle, jak tylko młoda para złączy się na śmierć i życie. Ale… - dodał, odsuwając się od kredensu i wznosząc się groźnie nad Evelyn - pod jednym warunkiem.

- Zgodzę się na każdy! A więc…?

- Ja też chcę być w kwietniu w North Cross Abbey.

Mina jej zrzedła.

- Nie mogę zmuszać pani Vandervoort, by zaprosiła nieznajomego na swoje wesele!

- Głowa do góry, Evie!

Połaskotał Evelyn pod brodą, co ją zbiło całkiem z tropu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zachowywał się w ten sposób wobec młodej damy. A zwłaszcza wobec niej!

- Wcale mi nie zależy na zaproszeniu - wyjaśnił. - Przyjęcia weselne to okropne nudy. Zupełnie nie rozumiem, po co ludzie tak się na nie pchają! Nie, nie, chodzi mi tylko o pobyt w tej okolicy. Zamierzam poznać dokładnie zwyczaje niezwykłego ptaszka. - Zerknął na Evelyn. - To *Noctua Summe Formosa.* - Po sekundzie wahania dorzucił: - *Parvula.*

- Jaka znów Noctua? - spytała Evelyn.

Brzmiało to jak łacina, a jej znajomość łaciny ograniczała się do orno, mnas, ornat. Justin zrobił bardzo mądrą minę.

- Nie słyszałaś o *Noctua Summe Formosa Parvula*? No, cóż... wcale mnie to nie dziwi. To bardzo rzadki, niezwykły ptaszek. Jestem niezwykle dumny z tego odkrycia, choć był to szczęśliwy traf. Wpadł przez okno do mego pokoju.

- Jest pan ornitologiem?! - zdumiała się Evelyn.

- Jedynie zapalonym amatorem - odparł skromnie. Przyznam jed¬nak, że mam pewne doświadczenie i w niektórych kołach uchodzę za powiedzmy… eksperta.

Odwrócił dłoń i poddał swoje paznokcie drobiazgowym oględzinom. Evelyn obserwowała go podejrzliwie. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że rozpustnik może mieć inne zainteresowania poza… hm… poza rozpustą. No, no, człowiek się uczy przez całe życie!

- Teraz już chyba rozumiesz - spojrzał jej prosto w oczy - że muszę obstawać przy swoim warunku.

Evelyn zawahała się. Co jak co, ale Powell był dyskretny. Dowodził tego chociażby absolutny brak plotek na temat jego romansu z panią Un-derhill. A jego obecność na terenie posiadłości mogła okazać się poży¬teczna w razie jakichś kłopotów, powiedzmy z kanalizacją... Z drugiej jednak strony, wśród zaproszonych gości będzie mnóstwo uroczych, świa¬towych dam. Trudno

uwierzyć, by na dłuższą metę jego zainteresowania ograniczyły się wyłącznie do ptaków!

- Panie Powell, czy może mi pan obiecać, że…

Urwała, nie bardzo wiedząc, jakby to delikatnie ująć.

- Daję słowo, że nie będę plątał się pod nogami.

Poruszyła się niespokojnie.

- Nie o to chodzi. Nie powinien pan…

- Czego nie powinienem?

Wzięła głęboki oddech.

- Nawiązywać żadnych znajomości, póki North Cross Abbey będzie wynajęte.

Spojrzał na nią tępym wzrokiem. Widocznie jej aluzja była zbyt subtelna.

- Chodzi mi o to, by w okresie objętym naszą umową nie wykorzysty¬wał pan swego dworu w niecnych celach.

Wydawał się kompletnie zdezorientowany.

- Co takiego?!

O Boże, co za człowiek!

Spoglądała na niego z zakłopotaniem i coraz większym wzburzeniem.

- Mam na myśli potajemne schadzki, randki, grzeszne związki, cu¬dzołóstwo! Wszystko jedno, jak pan to określi, nie dopuszczę do takich rzeczy w trakcie mego pobytu w North Cross Abbey! - wypaliła bez ogró¬dek. - To znaczy, podczas pobytu pani Vandervoort i mojego!

Zaskoczyła go. Zrobił wielkie oczy, zesztywniał… Potem, o dziwo, za¬czerwienił się. Zauważyła jednak drapieżny uśmieszek na zmysłowych ustach i błysk niecnej wesołości w błękitnozielonych oczach.

- No, no! Chcesz mnie pozbawić wszelkich przyjemności? - spytał. Poczuła, że i ona oblewa się gorącym rumieńcem.

- Musi mi pan to obiecać!

Spojrzał na nią z udaną powagą.

- Masz moje słowo. Zresztą, jestem nawróconym grzesznikiem. Jedyną istotą płci żeńskiej, która mnie w tej chwili fascynuje, jest moja mała Noctua.

Nie wiedzieć czemu jego słowa sprawiły Evelyn przyjemność. Jeśli istotnie się nawrócił… Skoncentrowała nieposłuszne myśli na właści¬wym problemie. Jeżeli ten rozpustnik się nawrócił, to ona ma o jeden kłopot mniej.

- Więc zawarliśmy umowę?

- Tak.

W tym momencie żywiła wobec Justina Powella całkiem przyjazne uczucia. Prawdę mówiąc, więcej niż przyjazne. Aż ją to zdziwiło. Zwykle nie przepadała za takimi typkami. Ale ten obiegał od schematu czarnego charakteru. Przede wszystkim lubił się śmiać, a poza tym nie wyczuwała w nim wiecznie tlącego się gniewu ani pokładów cynizmu, ani tajemniczych mrocznych namiętności, o których tak rozpisywali się twórcy modnych powieści grozy, zapewniając, iż działają niezawodnie na płeć piękną.

Prawdę mówiąc, Justin wydawał się jej rozbrajająco szczery. Przypominał raczej Stanley’a - jakże naturalnego, pewnego siebie synka Verity - niż lorda Byrona.

Zaraz jednak pomyślała, że wyrafinowany uwodziciel nie będzie marnował swoich talentów dla byle kogo. Pewnie oszczędza wszystkie te skarby dla światowych dam. Mężatek. Piękności.

Nie wiedzieć czemu, ta konkluzja popsuła Evelyn humor. Tym bardziej zdumiała się, czując uścisk jego ręki. Z niezwykłą ostrością dostrzegła najdrobniejsze szczegóły jego wyglądu: śnieżną biel podwiniętych rękawów koszuli, kontrastującą z opalenizną rąk, ślad po brzytwie na szyi, szlachetny zarys nosa, wyraźny kontur ust, dołek w brodzie.

W dodatku był taki wielki! O tyle wyższy od niej. Gdyby miał bardziej wojowniczy charakter, taka różnica wzrostu podziałałaby na nią przytłaczająco.

- A więc łączą nas wspólne interesy - stwierdził.

Nie mogła nic wyczytać z jego twarzy. Uścisnął mocniej rękę Evelyn, poczuła lekki dreszcz podniecenia…

- Panie Justinie!… Sir!… - Szczupły, zwinny mężczyzna w średnim wieku, odziany w spodnie w prążki i czarny żakiet wypadł z impetem do kuchni. - Ktoś wybił…

Nagle stanął jak wryty. Wbił wzrok w Evelyn i syknął:

- To ty?!

Rzucił się w jej kierunku. Evelyn cofnęła się z krzesłem. Justin puścił jej rękę i odwrócił się do rozjuszonego kamerdynera.

- A, jesteś tu, Beverly - powitał go Justin tonem nie wróżącym nic dobrego. - Panna Evie twierdzi, że rozsiewasz plotki, jakoby nie było mnie w domu. Czy to prawda?

Twarz Beverly'ego przybrała szkarłatną barwę. Nawet łysina mu poczerwieniała pod starannie zaczesanym puklem włosów.

- T… t… przklt… smrk!… Ntr… uprzykrz… - wybełkotał.

- Co tam mamroczesz, stary krętaczu? - zagadnął go od niechcenia Justin. - Jeśli to miało być usprawiedliwienie, to obawiam się, że musisz popracować nad dykcją. Nie zrozumiałem ani słowa. A ty, Evie? - spoj¬rzał na nią pytająco.

Evelyn, która nie odrywała oczu od kamerdynera próbującego odzy¬skać panowanie nad sobą, potrząsnęła w milczeniu głową.

Justin wyciągnął rękę w stronę dziewczyny i spojrzał z triumfem na wiernego sługę.

- Widzisz, Beverly? Nie tylko ja nie mogę zrozumieć twego bełkotu. A teraz odpowiedz głośno i wyraźnie. Informowałeś kogoś, że nie ma mnie w domu, czy nie informowałeś?

Beverly zacisnął powieki. Wciągnął głęboko powietrze przez wąskie nozdrza. Potem wypuścił je z płuc. Otworzył oczy.

- Tak, sir. Obawiam się, że informowałem.

- Naprawdę? - ucieszył się Justin, zatarł dłonie i spojrzał na Evelyn. - Wreszcie do czegoś dochodzimy! A czemu tak postąpiłeś, Beverly?

Kamerdyner wpatrywał się uparcie w jakiś punkt nad głową Evelyn.

- Przelotny kaprys, sir - wymówił z nieskazitelną dykcją.

Kącik ust Justina zadrżał podejrzanie, zanim młodzieniec zwrócił się znów do Evelyn.

- A widzisz? Mówiłem, że z niego niepoprawny wesołek!

Raz jeszcze skoncentrował uwagę na osobie kamerdynera.

- Musisz wreszcie skończyć z tymi żartami, Beverly! Po prostu nie wypada zamykać frontowych drzwi przed nosem gości i zmuszać ich do włamywania się przez tylne okna! Spójrz, biedna Evie paskudnie się po¬kaleczyła przez twoje głupie dowcipy…

- To nic wielkiego - wtrąciła nieśmiało Evelyn. - Nawet mnie już nie

szczypie!

Justin uśmiechnął się do niej dobrotliwie, po czym spojrzał groźnie na kamerdynera. Evelyn zrobiło się trochę żal tego biedaka. Jej współczucie byłoby znacznie większe, gdyby nie mordercze spojrzenie, którym ją prze¬szył.

- Twoje szczęście, że panna Evie ma takie dobre serce - oświadczył Justin. - Tym razem ujdzie ci to na sucho. Ale od tej pory koniec z idio¬tycznymi żartami! Zrozumiano?

- W zupełności, sir.

- Doskonale! W takim razie możesz wrócić do swoich codziennych obowiązków. O, do diaska, byłbym zapomniał! Twoje zwykłe obowiązki muszą zaczekać, świat na tym wiele nie straci, co, leniwcze? Przygotuj wszystko co trzeba do drogi. Wyjeżdżamy do North Cross Abbey.

Kamerdyner spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Do North Cross Abbey, sir?

Justin westchnął.

- Właśnie. Czemu gapisz się na mnie, jakby mi wyrosły rogi i ogon? Zapomniałeś, że co roku jeździmy do North Cross Abbey?

- Istotnie, umknęło to mej pamięci, sir.

- Tym razem wyruszamy nieco wcześniej. I jeszcze jedno, Beverly, nie zapomnij o białych koszulach i wieczorowych strojach. Czekają nas obiady w towarzystwie autentycznych knickerbockerów. I panny Evie.

Kamerdyner odzyskał już całkowicie panowanie nad sobą. Odpowie¬dział z absolutną obojętnością.

- Knickerbockerów, sir? Doskonale. Czy to już wszystko, sir?

- Chyba tak. Możesz odejść.

- Dziękuję, sir.

Beverly skłonił się i wyszedł.

- Nieraz czuję się tak, jakbym miał Szekspirowskiego Puka za kamer¬dynera - zwierzył się Justin. - Nigdy nie wiem, co mu strzeli do głowy.

- Wcale nie wygląda na żartownisia. Nigdy bym go nie podejrzewała o poczucie humoru - powiedziała Evelen. - Ma minę typowego kamer¬dynera… albo dziekana, z tych, co srożą się na kazalnicy.

- Wiem. I w tym właśnie sęk! Niewyparzony język i miedziane czoło. Sama słyszałaś, jak się bezczelnie przechwalał - odparł Justin. - Słowo daję, nie wiem, czemu się z nim męczę! No cóż, pewnie ze względów uczuciowych. Beverly to w pewnym sensie rodzinny legat.

- Czyżby po dziadku, który pana nie znosił?

- Skądże znowu! - odparł zdumiony Justin. - Po babce. Bardzo mnie kochała.

- Ach, tak? - wymamrotała zmieszana Evelyn.

Justin odwrócił się do niej.

- Teraz, gdy dopięłaś swego, chcesz pewnie wrócić do domu i czym prędzej wyskoczyć z tych spodni?

Evelyn spojrzała na zniszczone ubranie. Całkiem o tym zapomniała!

- Tak, chyba tak…

- Zapewniłaś sobie jakiś środek transportu czy mam polecić, by po¬wóz zajechał?

- Nie, nie, dziękuję. Wszystko już załatwione. Wynajęty powóz czeka za rogiem.

- Jestem niemądry! Powinienem się od razu domyślić, że wszystko dokładnie zaplanowałaś. W takim razie…

Nim Evelyn zorientowała się, co Justin wyprawia, ściągnął ją z krze¬sła, wziął na ręce i zmierzał już do drzwi frontowych. Jak on mógł?! Jak on śmiał?! A łudziła się, że jest wzorem dyskrecji!

- Nie ośmieli się pan wyrzucić mnie na ulicę! I to w dodatku od frontu!

- Ani mi to w głowie postało - odparł z urazą. - Chcę cię zanieść do powozu.

- To jeszcze gorzej! - wrzasnęła.

Całkiem zbaraniał. Można by pomyśleć, że po raz pierwszy odwiedziła go dama i nie potrafi dyskretnie wyprowadzić z domu takiego gościa!

- Nie zamierzam wystawić się na pośmiewisko tłumu, panie Powell! Zwłaszcza w takim stroju. Spodnie bez jednej nogawki, a choćby nawet z dwiema, nie są odpowiednim strojem dla damy!

- Bardzo ci w nich ładnie - stwierdził Justin.

Zerknęła na niego. Ona też była zdania, że w spodniach prezentuje się nie najgorzej.

- Dziękuję! A poza tym są bardzo wygodne i…

Co ja plotę?! - pomyślała. Jesteśmy już prawie przy drzwiach fronto¬wych, a on ani myśli mnie puścić!

- Zresztą, to bez znaczenia! Nie powinnam nosić spodni i pan dobrze

o tym wie. Tak samo jak o tym, że nikt nie powinien widzieć, iż mnie pan wynosi na rękach ze swego domu. - Z wyrazu twarzy Justina poznała natychmiast, co strzeliło mu do głowy. - Nie! Absolutnie nie ma mowy o czekaniu do zapadnięcia nocy, zanim mnie pan wyniesie!

- Przecież jesteś ranna - odparł Justin i jego ramiona zacisnęły się jesz¬cze mocniej, jakby się obawiał, że ktoś mu wyrwie Evelyn. Cóż za pod¬niecająca i absolutnie nonsensowna reakcja! - W tej sytuacji to chyba wybaczalne?

Jak mu przemówić do rozumu? Wzięłaby go za naiwnego prostaczka, gdyby nie wiedziała, że jest wręcz odwrotnie!

- Nie! Nikt by nie uznał tego za wybaczalne!

Zgrzytnął zębami. Dobrze widziała, bo były mniej więcej na wysoko¬ści jej oczu.

- Co za głupota!

Serce w niej zmiękło.

- No, niech się pan tak nie obwinia. Wiem, że miał pan jak najlepsze intencje!

- Nie mówię o sobie - zaprotestował gwałtownie - tylko o idiotycz¬nych konwenansach!

Powinna się była tego domyślić! Pan Justin Powell mógł ubierać się niedbale i zachowywać zbyt swobodnie, ale dumy miał aż za wiele!

- Tak czy owak reguły są po to, żeby ich przestrzegać, jak mawia mój dziadek. Ma pan z pewnością jak najlepsze intencje, ale wyrządziłby mi

pan ogromną krzywdę, uniemożliwiając dyskretne opuszczenie pańskie¬

go domu i przejście do powozu… bez eskorty!

Zmarszczył brwi.

- Ale…

- Proszę mnie puścić! - ucięła ostro dalszą dyskusję.

Z wyraźną niechęcią postawił ją na ziemi. Spojrzała na niego. Może powinna raz jeszcze uścisnąć mu dłoń? Uznała to za właściwe i wyciąg¬nęła do niego rękę.

- Wobec tego - powiedziała krzepiącym tonem, nie bardzo wiedząc, kogo chce podnieść na duchu, jego czy siebie? - do zobaczenia w przy¬szłym miesiącu. Bardzo panu dziękuję!

Popatrzył na wyciągniętą do niego rękę i uśmiechnął się. Ujął ją, ale nią nie potrząsnął, tylko odwrócił, podniósł do ust i przycisnął wargi do wnętrza dłoni. Poczuła lekki dreszcz, który przybierał na sile, spływając wzdłuż kręgosłupa do nóg.

Justin puścił jej rękę. Zawisła między nimi w powietrzu na całe trzy sekundy, nim Evelyn opamiętała się i ukryła ją za plecami. Justin miał minę bardzo zadowolonego z siebie kota, który dobrał się do śmietanki.

- Proszę o wybaczenie! Trudno się wyzbyć starych nawyków… mimo najlepszych chęci.

Raz jeszcze wyciągnął rękę do Evelyn. Odskoczyła jak oparzona. Uśmiechnął się od ucha do ucha i jednym pchnięciem otworzył znajdujące się za nią drzwi. Odsunął się na bok.

- Do zobaczenia!

Gdy Justin wrócił do biblioteki, Beverly czołgał się na czworakach, uprzątając odłamki szkła.

- Ta smarkula powinna sama to posprzątać! - oświadczył z ponurą miną.

Jako zażarty wróg kobiet uważał za swój święty obowiązek wytykanie niezliczonych błędów i słabostek płci pięknej, a każdy z przypadków omawiał szczegółowo i bez pośpiechu. Jedyną kobietą, która zdobyła jego sympatię - choć to określenie zgoła nieadekwatne do najwyższego po¬dziwu, jaki dla niej żywił i czci, jaką otaczał jej pamięć - była babka Justina.

- To nie żadna smarkula - uśmiechnął się Justin - tylko dorosła ko¬bieta.

- Tak? No to nic dziwnego, że narobiła tyle złego w tak krótkim cza¬sie. Ma już wprawę! - Beverly zamilkł na chwilę, zbierając okruchy szkła z perskiego dywanu. - Ale czemu, jeśli wolno spytać, tak pana cieszy, że to stworzenie mąci spokój wszechświata dłużej, niż by się wydawało na pierwszy rzut oka?

Zazwyczaj niewzruszone spojrzenie Justina tym razem umknęło w bok, a obojętny wyraz jego twarzy był nieco sztuczny. Przed piętnastu laty babka Justina, która kochała go równie mocno, jak jej mąż nim pogar¬dzał, powierzyła Beverly'emu opiekę nad swym wnukiem. Nic więc dziw¬nego, że kamerdyner

dobrze znał swego pana i nietypowe zachowanie Justina wzbudziło jego ciekawość.

Przez te wszystkie lata Beverly traktował swe obowiązki bardzo po¬ważnie. Przez pewien czas służył nawet w wojsku jako ordynans Justina, a następnie zaangażował się w sprawy związane z jego obecną niezwy¬kłą profesją.

- Zechce mi pan to wyjaśnić?

Justin poruszył się niespokojnie. Ciekawość kamerdynera przerodziła się w poważny niepokój.

- No, cóż… Niech to diabli, Beverly, człowiekowi robi się jakoś głu¬pio, kiedy bierze dzieciaka na ręce i czuje, że to go podnieca! Przecież to nienormalne! Możesz sobie wyobrazić, jak mi ulżyło, kiedy odkryłem, że moje… hm… zmysły reagowały w typowy sposób na zwykły bodziec… Nie, to idiotyczne określenie! Wszystko, co wiąże się z tą dziewczyną, jest niezwykłe i nietypowe! Wobec tego, powiedzmy, że zareagowałem naturalnie na właściwy zespół bodźców.

Uśmiechnął się. Twarz kamerdynera pobladła ze strachu.

- Ależ, sir… Chyba pan nie…?

Nie miał pojęcia, jakim cudem jego pan domyślił się tego, co zostało niedopowiedziane, ale Justin zbył jego obawy wyniosłym machnięciem ręki.

- No, no, Beverly, tylko sobie nie wyobrażaj Bóg wie czego! Od pożą¬dania do zdobycia daleka droga! Nie mówiąc już o tym, że nie mam cza¬su, inklinacji ani żadnej nadziei, psiakrew, na pozyskanie wzajemności tego kolczastego stworzonka. Teraz już wiesz, jak sprawy stoją.

Uśmiechnął się.

- Przez resztę dnia nie będzie mnie w domu. I… dzięki, Beverly! Skut¬kiem naszej pogawędki rozjaśniło mi się w głowie! - podsumował i już go nie było.

Beverly spoglądał za odchodzącym. Przez piętnaście lat przyglądał się, jak rozmaite kobiety, różniące się pozycją społeczną, zamożnością i wie¬kiem, zabiegają o względy Justina. Żadnej z nich się to nie udało. Och, chłopak nie był święty, oczywiście, ale ani razu nie zaangażował się po¬ważnie, co bynajmniej nie martwiło wiernego sługi.

Ostatnio jednak Beverly zaczął się zastanawiać, czy obietnica, jaką zło¬żył swej dawnej pani, że będzie opiekował się Justinem, nie dotyczyła przypadkiem czegoś więcej niż troski o jego zdrowie i codzienne wygo¬dy? Choć Justin nigdy nie nudził się w samotności, a w towarzystwie zachowywał się nad wyraz swobodnie i miał zawsze pogodną minę, ostatnio Beverly coraz częściej uświadamiał sobie, że jego pan jest w gruncie rzeczy bardzo samotny.

Na ten rodzaj samotności istniało tylko jedno lekarstwo. Justin powinien się postarać o syna.

Niestety, dla uzyskania pożądanego efektu niezbędne były pewne działania wstępne.

Pocałunek Justina, pomijając wszelkie inne jego konsekwencje, roz¬wiał ostatecznie wątpliwości Evelyn co do tego, czy rzeczony Justin Powell jest rzeczywiście pożeraczem damskich serc. Jak we śnie dotarła, lekko utykając, do końca alejki. Wynajęty powóz już na nią czekał, zgod¬nie z planem. W bocznym oknie widniała ruda główka Meny z noskiem rozpłaszczonym o szybę.

Skoro tylko Evelyn dotarła do powozu, drzwiczki się otwarły i jakaś ręka Wciągnęła ją do środka. Gdy znalazła się wewnątrz, Merry z przerażeniem wlepiła wzrok w jej podarte spodnie i rozwichrzone włosy. Zanim Evelyn uświadomiła sobie, co się święci, Francuzka zamknęła ją w żelaznym uścisku i przytuliła do swego bujnego łona tak, że dziewczyna omal się nie udusiła.

- Mon Dieu! Moja biedna gołąbeczko! Niecnie cię wykorzystał ten podlec! Ten nikczemnik! Zabiję go! - zawodziła, kołysząc całym cia¬łem.

Trwało to dłuższą chwilę, ale w końcu Evelyn zdołała się wyplątać z jej objęć. Stanowczo, reakcje Merry były zbyt… kontynentalne.

- Dość tego, Merry! - zgromiła ją Evelyn, starając się wyprostować zgięte ucho okularów, które przypadkowo ucierpiały podczas żywioło¬wego występu Francuzki w roli znieważonej i mściwej kobiecości. - Całkiem fałszywie oceniłaś sytuację. Wszystko poszło jak po maśle!

# *4*

Późnym popołudniem słońce zaczęło blednąc, a chłodny mrok zajął miejsce krzepiącej jasności dnia. Rodziny biwakujące na brzegu Tamizy zbierały swe pledy i koszyki i rozglądały się za dorożkami, by czym prędzej wrócić do domu. Z wesołego tłumu, który korzystał z wyjątkowo pięknej jak na marzec pogody, pozostało zaledwie kilka osób.

Mgła unosząca się nad rzeką gęstniała. Pojawiało się coraz więcej świateł, zdobiąc nadbrzeżne bulwary łańcuchem migotliwych paciorków. Justin, przemierzający wielkimi krokami pustą już niemal promenadę, zatrzymał się przy moście Tower Bridge i usiadł na pobliskiej ławce. Krążące nad jego głową mewy to nikły we mgle, to się z niej wynurzały.

Justin rozsiadł się wygodnie, ułożył wyciągnięte ramię na oparciu ławki i obserwował nielicznych przechodniów. Minął go chuderlawy młodzieniec w lekkim pasiastym płaszczu, spacerujący w towarzystwie różanolicej panny, która zapomniała odczepić etykietkę z ceną od do¬piero co kupionego żakietu. W dole po rzece płynęła płaskodenna łódź. Potem zegar na wieży kościelnej wybił siódmą i w tejże chwili ukazał się czerstwy mężczyzna w średnim wieku. Miał na sobie czarny surdut i cylinder. Szedł wolnym krokiem, wymachując laską ze srebrną gałką. Zrównał się z Justinem i przystanął, nie odrywając wzroku od rzeki.

- Niektórzy twierdzą, że mgła szkodzi zdrowiu i przyprawia o melancholię, ale czym byłby nasz Londyn bez swej słynnej „grochówki"? - zagadnął.

- Znacznie suchszym miastem - odparł Justin.

Przechodzień uśmiechnął się, ale nie odwrócił głowy.

- Zawsze ten sam Justin, sentymentalny do obrzydliwości!

- Cóż, los mnie pokarał miękkim sercem - zgodził się Powell.

- Takie ono miękkie jak stal - mruknął dżentelmen w ciemnym surdu¬cie. Potrząsnął głową i odwrócił się do rozmówcy. - Ale przekonasz się, chłopie, przyjdzie kolej i na ciebie! Mam nadzieję, że dożyję tego dnia.

- Ja też! - odparł Justin z bezczelnym uśmieszkiem. - Usiądź wresz¬cie, Bernardzie! Strzyka mi już w karku od tego zadzierania głowy.

- Przynajmniej raz mogę na ciebie spojrzeć z góry. Dobrze ci to zro¬bi - odparł Bernard, ale ostatecznie usiadł obok Justina. - Jak widzisz, Jus, stawiłem się na wezwanie. A teraz gadaj, czemu tak ci zależało na tym spotkaniu?

- Mam pewien plan, który powinien rozwiązać twoje problemy w wia¬domej sprawie.

- Doprawdy?

- Prościutki… - Justin pochylił się ku rozmówcy i dokończył szep¬tem - ale bardzo, bardzo sprytny!

- Cóż za efektowny wstęp! - Bernard bezgłośnie uderzył w dłonie. - Nie mam większej nadziei, że mnie wreszcie usłuchasz… ale może byś przestał uważać naszą działalność za dziecinną zabawę w podchody?!

- Sam przyznajesz - odparł Justin - że się na to nie zanosi. Dajże spokój, Bernardzie! Nie spoglądaj na mnie tym karcącym wzrokiem! Prze¬cież to jest zabawa w podchody! A ja bywam niekiedy poważny, o ile sytuacja tego wymaga. Tym razem nie widzę takiej potrzeby. Zwykłe podanie piłki na szkolnym boisku. Cóż w tym groźnego?

W odpowiedzi Bernard zmarszczył tylko brwi. Justin kontynuował:

- Największym zagrożeniem dla każdego z nas jest zdemaskowanie. Dobrze już, dobrze… wiem, że chodzi konkretnie o mnie. Ale co z tego?

- Hm - mruknął Bernard, zdjął cylinder i ostrożnie umieścił go na ławce obok siebie.

- Z ust mi to wyjąłeś! - zapewnił go uprzejmie Justin. - Ani rusz nie mogę zrozumieć, czemu przydzieliłeś to zadanie właśnie mnie. Raczej nie przypomina tego, czym się zajmowałem w przeszłości. W gruncie rzeczy wystarczyłby do tego pierwszy lepszy łącznik. I właśnie dlatego jakoś głupio się czuję.

Bernard westchnął głęboko.

- Widzę, drogi chłopcze, że grozi ci mania prześladowcza. Zaczynasz podejrzewać wszystkich o niecne zamiary! Nawet swoich zwierzchników.

- Nie wszystkich - odparł Justin.

- To dobrze - stwierdził Bernard. - A co do twoich wątpliwości, to

przydzieliliśmy ci to zadanie z oczywistych powodów. Po pierwsze, właś¬nie dlatego, że nigdy dotąd nie zajmowałeś się czymś takim. Nikt nie będzie cię podejrzewał. Po drugie, ten wynalazek ma ogromne znacze¬nie. Zbyt wielkie, by powierzyć go komuś mniej bystremu niż ty. Trzy¬mamy cię w rękawie, mój asie!

Justin uśmiechnął się kwaśno.

- Jak to miło, kiedy człowieka doceniają!

Bernard udał, że nie dostrzega sarkazmu.

- Opowiedz mi o swoim planie!

Justin odprężył się i założył nogę na nogę.

- Poproszono mnie… Nie, raczej zmuszono mnie do wynajęcia North Cross Abbey. Ma się tam odbyć przyjęcie weselne.

- Zakładam, że nie ty będziesz szczęśliwym oblubieńcem?

- O Boże, cóż za przypuszczenie?! - obruszył się Justin. - Jaka kobie¬ta przy zdrowych zmysłach chciałaby takiego męża? Nie mam żadnego uczciwego fachu, fruwam po świecie, szkicując ptaszki i zadręczając tu¬bylców nietaktownymi pytaniami na temat lokalnego środowiska. A po¬nieważ stale jestem na garnuszku u moich zagranicznych przyjaciół, stan rodzinnego majątku Powellów jest tematem najokropniejszych plotek. I na dobitkę mój kamerdyner oświadcza niezmiennie, że nie ma mnie w domu. Bez obawy! Nie wystąpię w roli oblubieńca. Ani teraz, ani nigdy! Jestem po prostu nieszczęsnym właścicielem dworu, do którego panna młoda prag¬nie wkroczyć w triumfalnym pochodzie - podobno na życzenie zmarłych przodków, z których wyciskano niegdyś pot i łzy w North Cross Abbey.

- Jestem pewien, że w twoim monologu, Justinie, kryje się jakiś sens, ale miej wzgląd na mój podeszły wiek i wyjaśnij - poprosił Bernard - o czym ty właściwie gadasz?!

Justin nie wykazał ani odrobiny skruchy.

- Pewna amerykańska wdowa siedzi na workach złota i żywi urazę do mego dziadka. Zdaje się, że jej babcia harowała u tego starego tyrana, który był, jej zdaniem, despotyczny, zarozumiały, pogardliwy i niespra¬wiedliwy. Istotnie tak się zachowywał w stosunku do wszystkich, ale ta stara kuchta… chciałem powiedzieć: ta amerykańska babcia, wzięła to sobie wyjątkowo do serca. Wychowała swą wnusię - naszą szczęśliwą oblubienicę - w takim mniej więcej duchu jak panna Havisham Estellę[2].

Justin wzniósł palec do góry i potrząsając nim, wyrecytował z patosem:

- Wróć, o dziecię mego dziecięcia, do tego przeklętego dworzyszcza, o wiele bogatsza, wynioślejsza i potężniejsza od tego starego drania, któren za marne grosze zamęczał twoją babcię!

- Ach, ci Amerykanie! - westchnął Bernard.

- Właśnie! - Justin opuścił wzniesioną rękę i wsadził ją do kiesze¬ni. - Żeby osiągnąć zamierzony cel, amerykańska milionerka zatrudniła do pomocy pewną młodą damę, wobec której - nawiasem mówiąc - mam dług honorowy.

- Jeszcze jedna baba?! Któż to taki?

- Evelyn Cummings Whyte.

Bernard głowił się przez chwilę. Potem twarz mu się rozjaśniła.

- Boże wielki, Jus! Wnuczka Lally'ego?!

Justin rzucił mu z ukosa dziwne spojrzenie.

- Owszem. Znasz ją?

- Tylko ze słyszenia. Jej dziadek to mój stary znajomy. Tytułuje tę dziewuszkę Jej Zatrważająca Doskonałość i zaklina się, że to postrach rodziny.

- Postrach rodziny? - powtórzył Justin z niedowierzaniem. - Przecież to kruszynka, wygląda na pensjonarkę. Prawdę mówiąc, sam ją wziąłem za podlotka. Na określenie Jej Doskonałość mogę się jeszcze zgodzić, ale "Zatrważająca" albo "Postrach rodziny"?... Nigdy w życiu!

Bernard machnął niecierpliwie ręką.

---

[2] Aluzja do powieści Karola Dickensa *Wielkie nadzieje*. Zawiedziona w miłości panna Havisham popada w obsesję na temat niegodziwości mężczyzn i przygotowuje swą wychowankę Estellę do roli mścicielki, która ma pokonać te podłe stwory ich własną , skazując na wyrafinowane katusze i łamiąc im serca (przyp. tłum.).

- Niech będzie, jak chcesz!

- Zwykle nie jestem taki pewny siebie - obstawał przy swoim Justin - ale tym razem... Nie masz pojęcia, jak silna więź może połączyć włamy¬wacza z właścicielem domu!

- Na litość boską, Jus, o czym ty znów gadasz?! Czy to miał być dowcip? Miałeś zawsze chorobliwe upodobanie do absurdu. Wyrażaj się ja¬sno, chłopie! Co ma wspólnego jakieś włamanie z wnuczką Lally'ego i z amerykańską milionerką?!

- Myślałem, że wyrażam się dostatecznie jasno - odparł Justin. - Lady Evelyn włamała się do mego domu, by zażądać ode mnie rewanżu za przysługę, którą mi niegdyś wyświadczyła. Dostała się do wnętrza w spo¬sób niekonwencjonalny, gdyż Beverly udaremnił jej spotkanie ze mną na zasadach ogólnie przyjętych - postępując według moich rozkazów, starał się, jak widać, bezskutecznie, utrzymać w tajemnicy mój powrót do Lon¬dynu, toteż oznajmił jej, że nie ma mnie w domu.

- Czy to wieczne odgrywanie roztargnionego przygłupa czasem cię nie nuży? - spytał Bernard.

Justin w odpowiedzi uśmiechnął się promiennie.

- Jakoś nie, ale miło, że tak się o mnie troszczysz. Na czym to ja sta¬nąłem? A, prawda! Otóż jej ciotka, córka Lally'ego, organizuje podob¬no - zawahał się, szukając właściwego określenia - przyjęcia ślubne, ban¬kiety weselne czy coś w tym rodzaju.

- A jakże, słyszałem o tym - potwierdził Bernard.

- No więc, ta ciotka uciekła do Francji, pozostawiając całe przedsię¬biorstwo na głowie Evie… to znaczy lady Evelyn. Niestety, dziewczyna jakoś sobie nie radzi w tej branży. Jest przekonana, że oferta amerykań¬skiej wdowy to ostatnia szansa na ocalenie rodzinnej firmy od upadku, a samej Evie, jak przypuszczam, od ostatecznego poniżenia. - Justin za¬dumał się. - Mam wrażenie, że ona nigdy nie daje za wygraną.

Bernard nie tracił cierpliwości. Wiedział z długoletniego doświadcze¬nia, że nie warto popędzać Justina ani przerywać jego monologów. Prę¬dzej czy później dotrze do sedna sprawy. Jednak nie po raz pierwszy Ber¬nardowi nasunęło się podejrzenie, że popisy krasomówcze Justina mają na celu zmylenie rozmówcy i wyciągnięcie od niego znacznie obszer¬niejszych informacji, niż był skłonny udzielić. Spytał więc ostrożnie:

- Zdradzisz mi w końcu ten swój plan, nieprawdaż?

Z twarzy Justina znikła zaduma.

- Wszystko we właściwym czasie - obiecał. - Najistotniejsze jest to, Bernardzie, że one chcą przekształcić moją pokrytą pyłem wieków sie¬dzibę w imponującą dekorację do weselnego spektaklu z amerykańską wdówką w roli głównej. I w tym celu mojej małej włamywaczce będzie potrzebne mnóstwo rekwizytów. A to znaczy… - słuchasz mnie, Bernar¬dzie? Doskonale! - otóż to znaczy, że do North Cross Abbey będzie przy¬bywać paka po pace, skrzynia po skrzyni, przesyłka po przesyłce z za¬wartością wszelkiego rodzaju. Kwiaty, żywność, rozmaite ozdóbki, niezbędny sprzęt i w ogóle wszystko, co wiąże się z tą imprezą.

- Ach! - odetchnął z ulgą Bernard.

- I nagle zasłona spadła mu z oczu! - obwieścił z triumfem Justin. - No właśnie, Bernardzie! Twój tajemniczy zagraniczny agent może przysłać jeszcze bardziej tajemniczą diabelską machinę prościutko do North Cross Abbey, nie zwracając niczyjej uwagi. Czymże jest jedna skrzynka pośród kilku tuzinów skrzyń?… A gdy przesyłka się zjawi, wprowadzi¬my chyłkiem do dworu twego naukowego eksperta, żeby się przekonał, co diabeł ma w brzuchu. Po zakończeniu sekcji, że się tak wyrażę, resztki prototypu pójdą do śmieci, a ekspert po powrocie do Oksfordu wysmaży raport na użytek naszego "banku mózgów". To idealne rozwiązanie!

- A jeśli lady Evelyn otworzy naszą przesyłkę? - spytał z powątpie¬waniem Bernard. - Najgorsze jest to, że nie wiemy dokładnie, kiedy to cholerstwo do nas dotrze. Rozumiesz chyba, że nie można tego przesłać legalną drogą. Może się zjawi kilka dni po opuszczeniu portu, a może potrwa to kilka tygodni. Nie uwierzę, by jakakolwiek niewiasta zostawiła w spokoju nierozpakowaną paczkę przez cały dzień… a co dopiero ty¬dzień! Bez względu na to, do kogo przesyłka została zaadresowana.

- Ona jej nie otworzy, bo, słuchaj uważnie, Bernardzie, i podziwiaj moje mistrzostwo - ja tam będę i dopilnuję, by tego nie zrobiła! Wynają¬łem jej dwór pod warunkiem, że zgodzą się na moją obecność w North Cross Abbey podczas wszystkich prac renowacyjnych przed weselnym bankietem.

Bernard w zamyśleniu gładził brodę.

- Słuchaj no, Bernardzie! Odkąd powierzyłeś mi to zadanie, łamię so¬bie głowę nad tym, w jaki sposób twoje cudeńko ma trafić we właściwe miejsce i do właściwych rąk, nie zwracając niczyjej uwagi. Mój obecny plan spełnia

Bernard gapił się na swego podwładnego, usiłując dociec, czy Justin kpi sobie z niego, czy mówi serio. Kiedy stało się dla niego jasne, iż Powell nie żartuje, zaniósł się takim śmiechem, że Justin musiał go wal¬nąć w plecy.

- O Boże! - wysapał Bernard, ocierając oczy i pociągając nosem. - Przepraszam, Jus! Ale ty, w roli uwodziciela?!

- No, właśnie - przytaknął grzecznie Justin.

- Skąd jej to przyszło do głowy?!

- Wydedukowała to całkiem logicznie. Opierała się na fałszywych prze¬słankach, ma się rozumieć, ale rozumowała logicznie.

Bernard nadal ocierał załzawione oczy.

- Brak jej piątej klepki, co? Jej ojciec był powszechnie uważany za dziwaka.

Justin zrobił urażoną minę.

- Mój drogi Bernardzie, czyżby tylko wariatka mogła wziąć mnie za, jak to ona określiła, pożeracza serc?

- O Boże! Naprawdę zbzikowała! Powiedz no, jaka ona jest? - spytał, mimo woli zaciekawiony Bernard.

Justin wzruszył ramionami.

- Wygaduje niesamowite głupstwa, co jej ślina na język przyniesie, ale wyraża się jak dystyngowana dama i chyba sobie nie uświadamia, że jedno do drugiego pasuje jak pięść do nosa. Mam również wrażenie, że nigdy nie spogląda w lustro. Zupełnie nie dba o swój wygląd. Na nasze spotkanie przyszła w chłopięcym ubranku.

- Rany boskie! Ale co z aparycją? Jej matka Francesca to niepospolita piękność. A starsza siostra, Verity Hodges, też niczego sobie. - Bernard skinął głową z aprobatą, oglądając oczyma wyobraźni drugą z wymie¬nionych pań. - Słyszałem, że obie córki Broughtonów różnią się od sie¬bie jak dzień i noc!

- Noc? - Justin rozważał to określenie. - Owszem, coś w tym jest. Szalona, księżycowa, smagana wiatrem letnia noc.

- Robisz się poetyczny na stare lata, Jus! - zauważył wyraźnie zain¬trygowany Bernard.

- Doprawdy? Ogromnie mi przykro. To tylko chwilowa aberracja - usprawiedliwił się Justin i dorzucił garść informacji. - Pytasz, jak wy¬gląda? Drobna, śniada. Twarz ukryta za okropnymi okularami. Wielka grzywa czarnych włosów.

- I nie grzeszy rozumem, jeśli uważa cię za rozpustnika - dokończył Bernard. - Ale to nawet lepiej dla naszych celów, prawda?

- Nie lekceważyłbym inteligencji lady Evelyn.

- No to nie lekceważ! Postaraj się, żeby miała pełne ręce roboty przy tym bankiecie i nie wściubiała nosa w nie swoje sprawy.

Bernard zamilkł i przygryzł wargę. Minę miał coraz bardziej zatroskaną.

Justin ochoczo skinął głową, co bynajmniej nie uspokoiło Bernarda. Justin Powell był zawsze skłonny do ustępstw, do pewnych granic. Po¬tem nagle dochodził do wniosku, że nie może na coś przystać, a wów¬czas… rany boskie! Ale zadanie Bernarda polegało na tym, by przekonać Justina o ważności zadania, które mu powierzono, a nie na martwić się na zapas, jak Justin zareaguje, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli.

Bernard czuł sympatię do Justina. Wiedział, jak wysoką cenę zapłacił ten młody człowiek za zaszczytną pracę w wywiadzie. Żeby dołączyć do ich sekretnego zespołu, podwładny Bernarda musiał zrezygnować z ka¬riery wojskowej. Uczynił to w sposób demonstracyjny, rozgłaszając wszem i wobec, że opuszcza armię, gdyż "towarzystwo tam nieciekawe, żarcie paskudne, a wróg stanowczo zbyt sprawny".

Od tej pory dziadek Justina, generał Harden, zajadle krytykował swe¬go jedynego wnuka, co młodzieniec znosił ze stoickim spokojem. Bernard był jednak pewien, że ciągłe zniewagi i szyderstwa Hardena i jego równie tępogłowych kompanów z wojska sprawiały Justinowi przykrość.

Na myśl o tym, że niecnie wykorzystuje teraz człowieka, który tyle poświęcił dla dobra swego kraju, ocknęło się w Bernardzie od dawna uśpione sumienie. Machnął niecierpliwie ręką, jakby odpędzał uprzykrzo¬ną muchę.

- To całkiem sensowny plan - przyznał.

- Też tak uważam - odpowiedział bez pośpiechu Justin, spoglądając Bernardowi prosto w oczy. - Nic lepszego nie wymyślę. I nie życzę so¬bie, by lady Evelyn miała jakieś przykrości z mego powodu.

- Ja również sobie tego nie życzę! Do licha, przecież Lally należy do tego samego klubu co ja - oświadczył Bernard. - Jeśli się boisz, że ją skazisz przez kontakt, to trzymaj się od niej z daleka!

Na pociągłej, inteligentnej twarzy Justina pojawił się znów asymetrycz¬ny uśmiech, niezwykle uroczy i dziwnie smętny. Podniósł się z ławki z nie¬wymuszoną gracją urodzonego atlety i sięgnął po kapelusz.

- To nie powinno być trudne - powiedział, osadzając cylinder na gło¬wie. - Kto wie, może właśnie w tej chwili Evie kupuje dodatkowe rygle, żeby zabarykadować się przede mną w swojej sypialni!

Justin oddalił się przed godziną, ale Bernard nadal siedział na ławce, z dłońmi splecionymi na srebrnej gałce laski. Zapadał już mrok, gdy nie¬pozorny mężczyzna w podniszczonym płaszczu i płóciennej czapce z dasz¬kiem ocieniającym grubo ciosane rysy ukazał się na promenadzie. Męż¬czyzna utykał, a towarzyszący mu terier tańczył wokół swego pana. Kiedy zbliżyli się do Bernarda, właściciel psa spuścił go ze smyczy. Terier na¬tychmiast zniknął we mgle.

- Nie boisz się, że się zgubi? - spytał Bernard.

- Kapitan? Mowy nie ma! - odparł nowo przybyły.

Tembr jego głosu i akcent - w odróżnieniu od pospolitego wyglądu - od razu zdradzały wychowanka Eton, najsłynniejszej prywatnej szkoły w Anglii.

- Zakreśli wokół nas koło, zapozna się z terenem i da znać, gdyby ktoś się zbliżał.

Bernard skinął głową z aprobatą.

- Nawet twój pies wie, co do niego należy!

- Każdy z nas gra taką czy inną rolę, Bernardzie - odparł właściciel teriera. Nadal stał z rękoma założonymi do tyłu, kołysząc się lekko na piętach. - Dałeś sobie radę z Justinem?

- Tak - zapewnił Bernard i pokrótce streścił swą rozmowę z Powellem.

- Niczego nie podejrzewa?

Bernard prychnął.

- Tego bym nie powiedział. Zadał mi mnóstwo pytań. Dziwił się, cze¬mu przydzieliliśmy mu zadanie, które mógłby wykonać byle łącznik.

- Co mu odpowiedziałeś?

- Powiedziałem, że ten wynalazek mógłby zmienić losy świata. Że nie możemy wykorzystać zwykłych kanałów, bo nawet nie jesteśmy pewni, kiedy przesyłka zostanie przerzucona przez La Manche. Że nie przewi¬dujemy żadnych komplikacji, ale zawsze trzeba się liczyć z tym, że coś nie wypali - i wobec tego chcemy mieć pod ręką kogoś z jego wiedzą i doświadczeniem, gdy nasz ekspert naukowy zbada to urządzenie, a po¬tem je zniszczy - recytował posępnie Bernard, wpatrując się w noski swoich butów. Kiedy następnie spojrzał prosto w oczy swemu przełożo¬nemu, w jego wzroku był bezsilny gniew i smutek. - Możesz się nie oba¬wiać. Nie wyjawiłem mu prawdy.

- A jak według ciebie wygląda prawda? - spytał spokojnie mężczy¬zna o grubo ciosanej twarzy.

- Tak, że Jus posłuży nam za przynętę dla rekina. Któż lepiej się do tego nadaje od jednego z naszych najlepszych agentów? Niech to jasna cholera! - W niezwykłym u niego przystępie gniewu Bernard trzasnął pięścią we własną otwartą dłoń. - Nie podobają mi się te sztuczne prze¬cieki na temat Powella, zwłaszcza że nikt go nie ostrzegł o niebezpieczeństwie. To zbyt porządny chłop, by go rzucić na pożarcie wilkom!

- Zrobiłeś to, co było twoim obowiązkiem - odparł rozmówca o nija¬kiej twarzy. - Gdybyś ostrzegł Powella o pułapce w North Cross Abbey, nigdy by na to nie przystał. Za duże ryzyko dla osób postronnych, lady Evelyn, weselnych gości… Przez te cholerne skrupuły mamy z niego mniej pożytku, niż przewidywaliśmy. Indywidualista, psiakrew!

Miał całkowitą słuszność. Powell był znany z tego, że postępował według, własnych reguł, a w niebezpiecznej grze, którą prowadzili, nie było miejsca na partyzantkę.

Projektowanie skomplikowanej pułapki zajęło wiele miesięcy, równie długo trwało obmyślenie intrygi, mającej zwabić do niej tajnego agenta obcego wywiadu. Chodziło o to, by sam się zdemaskował, nie rozpracowawszy przedtem głównego asa konkurencji. Z tym arcymistrzem - sądząc z

przechwyconych przez Anglików informacji - ów nieprzyjacielski szpieg pozostawał w bliskim kontakcie, nie uświadamiając sobie tego… na razie.

A zatem, by zwabić nieprzyjacielskiego agenta i unieszkodliwić go, postanowiono wykorzystać w charakterze przynęty kogoś, kto odnosił niewątpliwe sukcesy w karierze wywiadowczej, ale z racji swego zbyt drażliwego sumienia przysparzał coraz więcej kłopotów swym zwierzch¬nikom.

Wymyślono bajeczkę o wynalazku mogącym zmienić bieg historii i w bardzo dyskretny sposób rozpuszczono pogłoskę, że ów wynalazek ma dotrzeć do rąk głównego asa angielskiego wywiadu. Takiej podwój¬nej pokusie z pewnością nie oprze się obcy agent!

- Przecieki na temat Powella i wynalazku nie były zanadto zawoalowane, co, Bernardzie? Nasz rekin musi być przekonany, że wystarczy pójść jak po sznurku za paczką, żeby zagarnąć cud machinę i zdemasko¬wać naszego arcyszpiega, czyli Powella!

Bernard potrząsnął markotnie głową. Stanowczo był już za stary do takiej roboty. Sentymenty zbyt często brały w nim górę nad rozsądkiem. Nie chciał, by Jusa spotkało coś złego.

- Powinny zadziałać.

- Muszą zadziałać! - powiedział cicho, ale z ogromnym naciskiem jego rozmówca. - Nie możemy sobie pozwolić na fiasko!

Bernard zawsze podejrzewał, że jego zwierzchnik nie jest tak bezna¬miętny, jak się wydawało. Mimo to zaskoczył go gwałtowny ton tej wy¬powiedzi.

- Powell bezwiednie podsunął mi pomysł, jak można by jeszcze bar¬dziej zamącić wodę. Na wypadek, gdyby nasze metody perswazji okaza¬ły się zbyt subtelne.

- A mianowicie?

- Wykorzystać lady Evelyn. Ona też pasuje jak ulał.

- Doprawdy?

Zwierzchnik Bernarda nie powiedział nic więcej. Odnosił wielkie suk¬cesy właśnie dlatego, że nigdy zbytnio nie naciskał. Po prostu czekał, aż rozmówca sam mu powie.

I Bernard powiedział.

Dziesięć minut później spotkanie dobiegło końca. Mężczyzna o po¬spolitej twarzy gwizdnął na swego psa. Kiedy terier wyłonił się z mgły, wziął go znowu na smycz i wyprostował się.

- Jesteś pewien lojalności Powella?

- Całkowicie - zapewnił go Bernard. - Gdyby nawet coś podejrze¬wał, wypełni swoje zadanie. Choć może w nieco inny sposób niż plano¬waliśmy.

- Wobec tego, Bernardzie, zrób wszystko, żeby nie nabrał podejrzeń.

Nie możemy sobie pozwolić na żadne ryzyko.

- My nie, ale Powell tak.

Bernard natychmiast pożałował tych słów.

- Istotnie. - Niepozorny mężczyzna odwrócił się. Z pieskiem przy no¬dze i wzrokiem utkwionym w rzeczny nurt wyminął Bernarda. - Zawsze był ryzykantem.

# *5*

- Mamy całkowite zaufanie do twojego zdrowego rozsądku, złotko. Ale czy nie uważasz, że przydałaby ci się przyzwoitka?

Markiza Broughton wpadła do siedziby W. W. W. w nadziei, że zdoła namówić młodszą córkę na wspólny lunch przy Pall Mall.

Evelyn siedziała w fotelu z epoki Ludwika XIV i z wyżyn tego tronu ciotki Agathy w sposób bardzo kompetentny kierowała tłumem napływa¬jących wciąż dostawców, rzemieślników i robotników. Wykręciła się od proponowanego lunchu, zapewniając matkę, że ma zbyt wiele szczegó¬łów do ustalenia przed wyjazdem do Wschodniego Sussex. W tym mo¬mencie Francesca, która nie miała dotąd pojęcia o planowanej wyprawie córki,

postanowiła dotrzymać jej towarzystwa do chwili, gdy zjawi się dama z Ameryki, na której zlecenie Evelyn zamierzała udać się do jakie¬goś tam North Cross Abbey.

Markiza usadowiła się na puszystym żółtym szezlongu, wyjęła z wo¬reczka nieodłączną robótkę i zręcznie wiążąc koronki, zadawała szereg podchwytliwych pytań, dzięki którym dowiedziała się o poczynaniach Evelyn w ciągu ostatnich kilku dni.

Jeśli nawet Francesca nie pochwalała sposobu, w jaki jej córka dostała się do wnętrza miejskiej rezydencji pana Powella, powstrzymała się od wyrażenia swej opinii. Podniosła oczy znad robótki tylko raz, kiedy Eve-lyn wspomniała o zranionej nodze. Upewniwszy się jednak, że rana goi się zadowalająco, powróciła do swych koroneczek.

- Po co mi przyzwoitka?! - obruszyła się Evelyn w odpowiedzi na deli¬katną sugestię matki. - Obie doskonale wiemy, że byłaby to czcza formal¬ność dla ugłaskania opinii publicznej. Zapewniam cię, mamo, że jest tam ledwie paru mieszkańców i nie warto zawracać sobie głowy ich opinią!

- Doprawdy? - mruknęła matka, marszcząc czoło, gdyż splątały się jej nitki.

- Wszyscy o tym wiedzą- zapewniła ją Evelyn, obliczając przypusz¬czalny koszt pięciuset cieplarnianych gardenii i ich dostawy do North Cross Abbey.

- No cóż, złotko, jeśli tak twierdzisz - powiedziała markiza - to za¬pewne masz rację. Zresztą, Justin Powell nie jest chyba wielkim zagroże¬niem dla samotnej damy.

Umysł Evelyn tak był pochłonięty obliczaniem kosztów transportu, że zareagowała na tę uwagę z całą szczerością i bez zastanowienia.

- Ależ jest, jest!... To znaczy... był!

Na szezlongu ustał wszelki ruch i zapadła martwa cisza. Evelyn uświa¬domiła sobie popełnioną gafę. Zerknęła na matkę i pochwyciła jej zdu¬mione spojrzenie. Oj, niedobrze!…

- Czyżby dotarły do ciebie jakieś plotki, kochanie? - spytała Francesca. - Chyba wiesz, że nie należy im ufać.

Boleśnie świadoma tego, że o mały włos nie złamała danego Justinowi słowa, iż nikt nie dowie się od niej o przygodzie z panią Underhill, Evelyn wpatrywała się bez słowa w matkę. Francesca złożyła swą robótkę na podołku.

- Kto by pomyślał? Justin Powell w roli uwodziciela!

Evelyn nie mogła usiedzieć spokojnie. Matka z pewnością wezwie na pomoc ojca i oboje uniemożliwiaj ej wyjazd do North Cross Abbey, o ile natychmiast nie naprawi swej pomyłki!

- Nie mówiłam tego w tym sensie... Po prostu obiło mi się o uszy, że miał przygodę z jakąś kobietą. Nie martw się, mamusiu!

- Wcale się nie martwię, złotko.

I rzeczywiście, Francesca wydawała się całkowicie spokojna, czego nie dałoby się powiedzieć o jej córce.

- A poza tym - brnęła dalej Evelyn - to stare dzieje. Pan Powell za¬pewnił mnie, że wrócił na właściwą drogę.

- Doprawdy? - powiedziała Francesca. - No cóż, to niemal przyzna¬nie się do winy. Rozumiesz, nie można wrócić na właściwą drogę, jeśli się przedtem nie zeszło na manowce.

- No, tak... To znaczy... nie.

Francesca potrząsnęła głową.

- Kto by pomyślał? Nie powiem, jest bardzo milutki, i w ogóle… Nie patrz na mnie takim wzrokiem, Evelyn! Nie zgrzybiałam aż tak, by nie zauważyć przystojnego młodzieńca. Ale on nigdy nie rwał się do takich rozrywek, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie bardzo - odparła sucho Evelyn, wyobrażając sobie wspólne roz¬rywki Justina i pani Underhill.

- Twój papa i ja od czasu do czasu stykaliśmy się z panem Powellem w Londynie. Zawsze był uprzejmy i miły, ale przeważnie... jakby to okre¬ślić? Nieobecny duchem. - Francesca uśmiechnęła się i potrząsnęła gło¬wą. - Zauważyłam to również podczas debiutu Verity. Doskonale pamię¬tam, że powiedziałam nawet twojemu papie: „Justin Powell bardzo się różni od innych młodych dżentelmenów!"

- Kiedyśmy rozmawiali, był jak najbardziej obecny duchem - stwier¬dziła Evelyn.

- Naprawdę?

- Naprawdę. On ma bardzo swobodny sposób bycia, może to wygląda na lekceważenie rozmówcy, bo ja wiem? Ale dałabym głowę, że dosko¬nale się orientuje, co się wokół niego dzieje. Po prostu nie jest taki jak wszyscy, więc niektórym to się nie podoba…

Stanął jej nagle przed oczami jak żywy. Widziała wyraźnie drobniutkie zmarszczki, które zarysowały się w kącikach oczu, kiedy się uśmiechnął, wyczuwała ruch jego mięśni pod koszulą jak wówczas, gdy wziął ją na ręce, słyszała jego śmiech tak zaraźliwy, że uśmiechnęła się na samo wspo¬mnienie.

- Prawdę mówiąc, uważam, że jest bardzo sympatyczny - oświadczy¬ła - i inteligentny. Na swój własny, niedbały sposób. Zupełnie mu nie zależy na pozorach. Ale to nie nonszalancja ani obojętność.

- Tak uważasz? - mruknęła markiza, przyglądając się jej bacznie.

- Tak.

- I jesteś pewna, że nic ci nie grozi z jego strony?

Evelyn spojrzała na matkę złym okiem.

- Jestem pewna, że będzie mnie unikał jak diabeł święconej wody! Jedzie do North Cross Abbey tylko po to, by obserwować rzadki gatunek ptaków, który sam odkrył.

- Mogłabyś zabrać ze sobą Merry - podsunęła Francesca.

Evelyn zdumiała się. Sam pomysł wykorzystania wiecznie uwikłanej w jakieś romanse Francuzki w charakterze przyzwoitki wydał jej się tak zabawny, że parsknęła śmiechem.

- Merry? Chyba żartujesz, mamo!

- Ani trochę! Zachowanie Merry nie jest co prawda bez zarzutu, ale wynika to tylko ze słabości ciała. Sama przyznaje, że los ją pokarał, czy też obdarzył artystycznym temperamentem. W teorii całkowicie uznaje wyższość cnoty nad grzechem.

Evelyn nie była wcale pewna niezłomności, choćby teoretycznej, zasad moralnych Merry, ale i tak zamierzała zaraz po dotarciu do celu posłać po modystkę. Postanowiła więc zrobić matce przyjemność i zabrać ją od razu.

- Niech będzie - zgodziła się. - Poproszę Merry, żeby pojechała ze mną do North Cross Abbey.

- Doskonale! Przyda ci się z pewnością każda para rąk do pomocy.

Evelyn skinęła głową.

- To wesele musi się udać, mamo! Przedsięwzięłam wszelkie środki ostroż¬ności. Zaangażowałam aż dwie firmy dostawcze, poleciłam dwóm różnym

producentom, by dostarczyli mi pełny zestaw niezbędnych rekwizytów, a zapasy żywności i wszelkie inne towary zamówiłam w podwójnej ilości. Poza tym osobiście dopilnuję wszystkiego. Będę na miejscu przez cały miesiąc, aż do odjazdu ostatniego weselnego gościa. Tym razem nie za¬wiodę, przysięgam! Wesele pani Vandervoort i lorda Cuthberta będzie olśniewającym sukcesem!

Po twarzy markizy przemknął cień niepokoju.

- Olśniewający sukces, Evelyn?... Czy nie mierzysz zbyt wysoko, moje złotko?

- Ani trochę - odparła stanowczo córka. - Klienci zawsze oblegali W.W.W. właśnie dlatego, że imprezy ciotki Agathy były olśniewające. Teraz też spodziewają się po mnie cudów, więc im je pokażę!

- A jeśli nie zdołasz tego dokonać? - spytała cicho matka.

To łagodne pytanie przyprawiło Evelyn o nagły skurcz żołądka. Zmarsz¬czyła brwi.

- Myślisz, że sobie nie poradzę?

Na widok jej stropionej miny matka roześmiała się.

- Och, Evelyn, kochanie moje! Nigdy nie wątpiłam w twoje nieogra¬niczone możliwości. Gdybyś oznajmiła, że zabierasz się do latania, od razu ustawiłabym się przy oknie, by podziwiać, jak szybujesz nad dacha¬mi domów! Ale mimo woli zadawałabym sobie pytanie: po co ona się pcha na te zawrotne wyżyny?

Markiza wpatrywała się w córkę z niezwykłą powagą. Evelyn do tej pory zawsze mogła liczyć na aprobatę i zachętę ze strony matki, która nigdy nie kwestionowała jej inteligencji, zdolności i pomysłowości. Skurcz żołądka jeszcze się nasilił.

- Daj spokój, mamo! Na pewno sobie poradzę. Nie martw się o mnie!

- Ależ, kochanie, jak mogę się nie martwić? Kto wie…

Przerwało jej stukanie do drzwi. Evelyn poczuła ulgę i zaraz się tego zawstydziła.

- Proszę wejść! - zawołała.

Drzwi się otwarły i wkroczyła pani Vandervoort, a tuż za nią Merry, która równocześnie z Amerykanką przybyła do siedziby W.W.W. Fran¬cuzka przywitała się z markizą i taktownie usunęła się na drugi plan.

Evelyn wstała na powitanie nowojorskiej damy.

- Dzień dobry pani! Panie się jeszcze nie znają, prawda? Mamo, to pani Edith Vandervoort. Moja matka, markiza Broughton.

Damy spoglądały na siebie z wyraźnym zainteresowaniem. Na pierw¬szy rzut oka wydawały się podobne. Obie jako klasyczne piękności o po¬sągowych kształtach dopiero w średnim wieku osiągnęły pełny rozkwit urody. Były ciemnymi blondynkami o niewiarygodnie błękitnych oczach. Ubierały się modnie i elegancko, choć suknia markizy, z kremowej serży, była przede wszystkim szykowna i dobrana do typu jej urody, podczas gdy kreacja pani Vandervoort, z ciemnoniebieskiej koronki z tak zwaną „gołębią piersią", silnie uwypuklającą biust, stanowiła ostatni krzyk mody.

Obie były z natury milczące - z tym że milczenie Franceski było odbi¬ciem jej wewnętrznego spokoju, zaś małomówność Edith Vandervoort nie miała głębszego wyrazu. Uroda markizy zachwycała i pociągała, chłod¬na piękność Amerykanki skłaniała do trzymania się na dystans.

- Bardzo miło mi poznać panią, markizo - powiedziała milionerka.

- Mnie również, pani Vandervoort. - Francesca wepchnęła robótkę do swego woreczka i wstała. - Kochana Evelyn, ogromnie się cieszę z po¬myślnego obrotu twoich spraw. - Zwróciła się do Francuzki. - Merry, chciałabym zamienić z tobą słówko. Wyjdźmy razem i pozwólmy obu paniom porozmawiać o interesach!

- Oczywiście, pani markizo - przytaknęła Merry.

- A zatem do widzenia! - Francesca przystanęła na progu i uroczo zarumieniła się. - Proszę przyjąć moje serdeczne gratulacje oraz życze¬nia szczęścia na nowej drodze życia, pani Vandervoort!

- Bardzo dziękuję, markizo.

Po wyjściu lady Broughton i Merry pani Vandervoort zwróciła się do Evelyn.

- Pani matka to niezwykle urocza dama.

- Miło mi, że pani tak uważa - odparła Evelyn, bardzo dumna ze swo¬jej matki, i wskazała gościowi krzesło. - Proszę siadać. Może herbaty?

- Dziękuję, nie.

Jednym płynnym, oszczędnym ruchem pani Vandervoort zajęła wska¬zane miejsce, kładąc na kolanach torebkę wyszywaną paciorkami.

- Mam dla pani wspaniałe nowiny - oznajmiła bez długich wstępów Evelyn, siadając znów za ciotczynym biurkiem. - Pan Powell zgodził się wynająć nam swoją siedzibę na cały kwiecień.

Pani Vandervoort dość obojętnie skinęła głową. Była przyzwyczajona do tego, że spełniano jej życzenia. Zapewne nie traciła czasu na rozważanie trudności, piętrzących się przed tymi, których zaszczyciła jakimś polece¬niem.

- Doskonale.

- Pod jednym warunkiem.

- A mianowicie?

- Że wyrazimy zgodę na jego pobyt w North Cross Abbey przez cały ten czas.

Pani Vandervoort nie dała po sobie poznać, co o tym myśli.

- Ach, tak? Czy wyjaśniła mu pani, że chodzi o moje wesele?

- Oczywiście. Ale pan Powell jest zapalonym ornitologiem.

Amerykanka uniosła brwi.

- Doprawdy? Przykro mi, ale nie widzę związku. Chyba mógłby fol¬gować tej pasji w jakimś innym regionie Wielkiej Brytanii?

- Chodzi o konkretny okaz, należący do bardzo rzadkiego gatunku. Pan Powell jest jego odkrywcą.

- Czyżby? A jak się nazywa to nowo odkryte dziwo?

Evelyn nie znała łaciny, ale miała - na szczęście - doskonałą pamięć.

- Noctua... SummeFormosa.

Pani Vandervoort zamarła w trakcie otwierania torebki i zmierzyła Evelyn zdumionym spojrzeniem.

- Słyszała już pani o tym gatunku?

- Ja? Skądże znowu.

Nie wyjaśniła przyczyny swego zdumienia, więc po chwili Evelyn mówiła dalej.

- Pan Powell obstaje przy swym zamiarze obserwowania w North Cross Abbey wiosennej migracji ptaków, ale obiecuje nie mieszać się do na¬szych spraw i nie zwracać niczyjej uwagi.

Co prawda, Justin nie obiecał jej tego, ale już ona dopilnuje, żeby nie przeszkadzał, choćby miała go trzymać pod kluczem!

- Ach, tak? - Pani Vandervoort przechyliła głowę na bok. - A co pani sądzi o jego propozycji, lady Evelyn?

- Sądzę, że to pani jedyna szansa na świętowanie wesela w North Cross Abbey.

- Uparciuch z niego, co? Tyrański, arogancki brutal? Kropka w krop¬kę jak jego dziadek.

Evelyn zaprzeczyła bez wahania.

- Wcale nie! Zrobił na mnie całkiem miłe wrażenie.

- No cóż, jeśli był wobec pani taki miły, to oczywiście…

Pani Vandervoort zrobiła znaczącą pauzę.

- Miły, ale nie potulny jak baranek - wyprowadziła ją z błędu Evelyn. - Przypuszczam, że kiedy raz podjął decyzję, za nic jej nie zmieni.

- Wobec tego zgodzimy się na jego warunki. - Pani Vandervoort otwo¬rzyła wyszywaną paciorkami torebkę, wyjęła z niej czek i podsunęła go Evelyn. - To powinno wystarczyć na pokrycie bieżących wydatków.

Evelyn wstała i sięgnęła po leżący na blacie biurka czek.

- Dziękuję. I proszę się nie martwić panem Powellem. Wszystko bę¬dzie jak należy.

Pani Vandervoort podniosła się również. Spotkanie dobiegło końca.

- Liczę na to. I polegam na pani.

- Nie zawiodę pani zaufania. Ludzie będą wspominać pani wesele przez długie lata.

- Króliczek… to znaczy mój przyszły mąż, będzie z pewnością zado¬wolony. Listę zaproszonych gości przyślę pani pod koniec tygodnia. Bę¬dzie to niewielkie, starannie dobrane grono. Jakieś pięćdziesiąt osób, wliczając w to osobistą służbę.

- Wobec tego czekam na listę.

Evelyn wyszła zza biurka.

- Kiedy pani wyruszy do North Cross Abbey?

- Jak najprędzej. Za dziesięć dni czy coś koło tego. Pan Powell dał mi do zrozumienia, że budynek wymaga generalnego sprzątania i naprawy.

- Wobec tego pozostawiam wszystko w pani doświadczonych rękach, lady Evelyn. Bardzo się cieszę, że mogłam poznać pani matkę. Markiza słynie z urody i elegancji. - Pani Vandervoort ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się z ręką na mosiężnej klamce. - Czy doprawdy jej toalety to dzieło panny Moliere?

- Tak! - potwierdziła z entuzjazmem Evelyn. - Merry to prawdziwy geniusz!

- Pani również korzysta z jej usług?

To pytanie kompletnie zaskoczyło Evelyn.

- Nie.

- Dlaczego nie, jeśli jest taka zdolna, jak na to wskazują kreacje pani matki?

Evelyn zamrugała oczyma.

- O, przy mnie nie miałaby okazji do wykazania swoich talentów. Nie chodzę na bale.

Przez sekundę Evelyn miała wrażenie, że Edith Vandervoort zaraz się uśmiechnie, ale Amerykanka odpowiedziała z całkowitą obojętnością:

- Nie tylko na balu kobieta powinna prezentować się jak najkorzystniej.

Evelyn poczuła się niepewnie, gdy rozmowa zeszła na tak intymne tematy. Poza tym zdziwiło ją zainteresowanie pani Vandervoort jej stroja¬mi. A ponieważ przywykła do wypowiadania swoich myśli, spytała pro¬sto z mostu:

- Dlaczego interesuje się pani moją garderobą?

W głosie Evelyn nie było cienia urazy. Chciała po prostu zgłębić nie¬zrozumiały problem. Pani Vandervoort odpowiedziała równie otwarcie i beznamiętnie.

- Będzie pani obecna na moim przyjęciu weselnym i poprzedzającej go ceremonii ślubnej. Nieważne, w jakim charakterze. Jedna nieodpo¬wiednio ubrana osoba może zepsuć cały efekt. Wolałabym, żeby nie zwra¬cała pani ogólnej uwagi. A jeśli ma pani wtopić się w tło, powinna wy¬glądać tak modnie i elegancko jak zaproszeni przeze mnie goście.

- Rozumiem - powiedziała Evelyn.

I rzeczywiście rozumiała. Nie miała tylko pojęcia, co począć w tej sy¬tuacji. Jej rodzina nie klepała biedy, ale z pewnością nie zaliczała się do najbogatszych. Chęć podreperowania rodzinnych finansów skłoniła ciot¬kę Agathę do stworzenia firmy Wytworne Weseliska Whyte'ów. Docho¬dy Evelyn nie pozwalały jej na kupowanie frywolnych, kosztownych i ab¬solutnie bezużytecznych fatałaszków.

- Zrobię, co w mojej mocy. Będę stała zawsze z tyłu albo z boku.

Pani Vandervoort westchnęła z irytacją.

- A jak zareagują moi goście, kiedy zobaczą, że na ich widok kryje się pani po kątach albo kuca za palmą w doniczce? Zresztą, sama by pani nie zniosła takiego poniżenia!

- Czyżby? - wycedziła Evelyn.

- Niechże pani da spokój, lady Evelyn! Nie brak mi dumy i potrafię ją uszanować także u innych.

Ta uwaga zaskoczyła Evelyn. Nie przypuszczała, że pani Vandervoort w ogóle dostrzega innych, a tymczasem okazała się bardzo spostrzegawcza!

- Wobec tego, co pani proponuje? - spytała, dobrze wiedząc, że właś¬nie wspomniana przez panią Vandervoort duma nie pozwoli jej przyznać się do tego, że po prostu nie stać jej na takie stroje.

- Proponuję, żeby panna Merry Moliere przygotowała dla pani odpowiednią garderobę. Ponieważ uczyni to na moje wyraźne życzenie, proszę wliczyć koszt tych sukien do ogólnego rachunku.

- Nie mogę przecież…

Pani Vandervoort uciszyła ją gestem ręki. Na jej twarzy pojawił się cień niecierpliwości.

- Nie robię pani prezentów, lady Evelyn! Po prostu jako pani klientka stawiam konkretne warunki i wymagania. Życzę sobie, by zostały speł¬nione, i jestem przygotowana na poniesienie wszelkich kosztów, między innymi związanych z pani nową garderobą.

Rozumowanie pani Vandervoort było tak logiczne i tak jasno przedsta¬wione, że Evelyn poczuła mimowolny podziw, choć jej duma nadal pro¬testowała.

Jaka szkoda, że nie umiała podziękować jak należy! „Mówi pani bar¬dzo rozsądnie. Przekonała mnie pani" -brzmiało jakoś niewłaściwie. „Jest pani wspaniałomyślna i bardzo logiczna" - wręcz idiotycznie! W końcu wybąkała tylko:

- Dziękuję!

Na ułamek sekundy w lodowato błękitnych oczach amerykańskiej damy pojawił się błysk współczucia.

- Doskonale. A zatem trzy zwykłe suknie, dwie spódnice, pięć bluzek

i dwie… nie, lepiej trzy toalety wieczorowe. To powinno wystarczyć - powiedziała pani Vandervoort, otwierając drzwi.

Francesca i Merry siedziały tuż obok siebie na sofie w przyległym do ga¬binetu sekretariacie i rozprawiały o czymś szeptem z minami spiskowców. Bez wątpienia obmyślały nowe kreacje dla markizy na jesienny sezon.

Francesca z gracją podniosła się z otomany.

- I będziesz mnie stale informowała, jak sprawy stoją?

- Pani markiza może na mnie liczyć! - zapewniła ją Merry.

- Doskonale! -Lady Broughton uśmiechnęła się do Francuzki i zwró¬ciła się do pani Vandervoort. - Co prawda krótko się znamy, ale może dałaby się pani namówić na wspólny lunch?

- Jak to miło z pani strony, markizo! - odpowiedziała amerykańska dama. - Będę zachwycona!

# *6*

Dawne opactwo North Cross Abbey znajdowało się w niewielkiej górskiej kotlinie, ukrytej wśród lasów na pograniczu dwóch hrabstw -Wschodniego Sussex i Surrey. Z kościoła pozostało jedynie kilka walących się łuków. Tylko budynek klasztorny stał tam nadal i - od dawna zawłaszczony przez Powellów - pełnił obowiązki ich rodowej siedziby.

Spoglądając na nią, Evelyn wróciła myślą do pierwszego właściciela dworu, spryciarza, który wyprosił u Henryka VIII tę piękną posiadłość. Co prawda upływ czasu i wysokie podatki sprawiły, że w chwili obecnej nie przedstawiała się imponująco. Budynek miał - z grubsza rzecz bio¬rąc - kształt

litery U, a główne wejście, przed którym właśnie stała, znaj¬dowało się na jego wschodniej omszałej fasadzie.

- Czy to nie cudowne? - westchnęła Merry. - No, powiedz sama! - nalegała, schodząc na ziemię, stając obok Evelyn i sycąc zachwycone

oczy widokiem opactwa. Francuzkę pociągało wszystko co romantyczne

i nie umiała przeżywać swych uniesień w samotności. Córka solidnych

paryskich mieszczuchów okazała się niezwykle podatna na wszelkie emo¬cje. I była to jej pięta Achillesa!

Niestety, Evelyn nie miała podobnych inklinacji. Mierzyła budowlę krytycznym wzrokiem. Całe jej dzieciństwo upłynęło w równie malow¬niczej scenerii, toteż dobrze wiedziała, że wnętrze domu będzie zimne i mroczne. Kto wie, może nawet pokryte pleśnią. Przyjrzała się znów po¬zieleniałej fasadzie. Pleśń, ani chybi!

Nie było jednak sensu rozwiewać iluzji Merry. Evelyn wzięła się więc pod boki i skinęła głową.

- Jestem pewna, że uda się nam zorganizować tu ucztę weselną we¬dług najlepszych tradycji firmy W.W.W.!

Nie bardzo jednak wiedziała, jak zdoła tego dokonać. Położone o zale¬dwie trzydzieści parę mil od Londynu North Cross Abbey było naprawdę głęboką prowincją. Najbliższe sąsiedztwo prezentowało się równie nie¬ciekawie. Od lat okoliczna ludność uciekała stąd do stolicy, łudząc się, że znajdzie tam pracę. Evelyn żywiła co prawda nadzieję, że Justin Powell pozostawił dwór pod opieką kompetentnej służby, ale niezamiecione scho¬dy przed wejściem i stosy gnijących ubiegłorocznych liści pod murami dawnego opactwa raczej tego nie potwierdzały.

- Gdzie mam zanieść bagaże, pszepani? - spytał Buck Newton, woź¬nica, który wyjechał po nie na kolej.

- Zobaczymy. Nie wiesz przypadkiem, czy pan Powell już przyjechał?

- A jakże!

- Ach, tak? Doskonale. Zaczekaj tu, zaraz go znajdę - powiedziała - a potem wniesiesz to wszystko do domu. Dotrzymasz towarzystwa panu Newtonowi, Merry?

Merry skinęła głową i zachichotała. Evelyn spojrzała na nią z niepoko¬jem. Od chwili gdy spotkały Newtona na stacji, Francuzka wdzięczyła się i chichotała jak szalona. Evelyn, mimo braku doświadczenia w tych sprawach, nie była naiwna. Od razu zorientowała się, że Merry jest na najlepszej drodze do zdobycia kolejnego wielbiciela. Widocznie męż¬czyźni czuli nieodparty pociąg do kobiet zachowujących się tak, jakby im brakowało piątej klepki!

Mogła tylko żywić nadzieję, że Merry nawet w obliczu nowego romansu nie zapomni o sprawach pierwszej wagi. Nie miała jednak żadnego wpły¬wu na rozwój sytuacji. Przedarła się przez zwały gnijących liści do fronto¬wych drzwi i mocno w nie zastukała. Bez skutku. Załomotała ponownie.

Po pięciu minutach, nie doczekawszy się żadnej reakcji, Evelyn ujęła klamkę, nacisnęła ją i pchnęła drzwi. Otworzyły się do wewnątrz z głoś¬nym skrzypnięciem. Widocznie miejscowe obyczaje nakazywały pozo¬stawiać drzwi otwarte. Cóż za urocza ufność!

- Jest tam kto? - zawołała Evelyn.

Jej głos rozległ się gromkim echem w mrocznym korytarzu, zakłócając martwą ciszę. Weszła do wnętrza, stukając głośno i niecierpliwie obcasa¬mi o kamienne płyty. W odległym kącie coś się poruszyło.

Evelyn poczuła, że odwaga ją opuszcza. Jak w podobnej scenerii urzą¬dzić ucztę weselną?! Chyba dla upiorów! O święty Boże!... Jakaś mrocz¬na postać nagle zmaterializowała się tuż przed nią.

- A, to nieustraszona lady Evelyn - odezwało się widmo. - Jakiż ja głupi! Powinienem był wiedzieć, że nie muszę się fatygować do drzwi, sama pani sobie świetnie radzi.

- Beverly! - jęknęła Evelyn.

Kamerdyner przyglądał się jej ze stoickim spokojem.

- Zapewne woli pani wchodzić oknem? Zostawię jedno otwarte i bę¬dę udawał, że nikogo nie widziałem, jeśli pani sobie tego życzy.

- Evelyn! - W drzwiach pojawiła się nieco zdyszana Merry, której następował na pięty Newton. - Mon Dieu! Czy nic ci się nie stało? Zda¬wało mi się, że słyszę jakieś krzyki, i…

Na widok kamerdynera urwała i obejrzała się na Evelyn.

- To Beverly. Wspominałam ci o nim - wyjaśniła chłodno Evelyn.

- Beverly? Ten okropny typ?!

- Do usług, mademoiselle - potwierdził sucho kamerdyner. - Pozwo¬lę sobie zasugerować, że wystarczy samo Beverly. Nie mam zwyczaju odpowiadać, gdy ktoś szafuje tytułami, które mi się nie należą.

- Gdzie jest pan Powell? - spytała wyniośle Evelyn, ignorując tę sar¬kastyczną uwagę

- Przypuszczam, że ogólnie przyjęta formułka „nie ma go w domu" nie zadowoli pani? - zauważył posępnie Beverly.

- Nie zadowoli.

- No, cóż... naprawdę go tu nie ma. Wyszedł.

- Dokąd?

- Do lasu. Obserwować ptaki.

Beverly rozstawał się z każdym słowem tak niechętnie jak oporny wię¬zień podczas przesłuchania.

W zwykłych okolicznościach Evelyn zaczekałaby po prostu na po¬wrót gospodarza. Ale perspektywa tkwienia w tej wilgotnej dziurze pod bazyliszkowym wzrokiem kamerdynera nie budziła w niej zachwytu.

- W którą stronę się udał?

- W tamtą.

Słowom kamerdynera towarzyszył gest ręki zakreślającej półkole.

- A konkretnie? - syknęła Evelyn przez zaciśnięte zęby.

- Jak już mówiłem, do lasu.

- Słuchaj no, Beverly! Jeśli znowu…

- Evelyn! - Merry odgrodziła własnym ciałem swą podopieczną od

kamerdynera o kamiennym obliczu. - Może poprosimy pana Newtona o wniesienie bagaży, jeśli pan Beverly powie nam, które pokoje dla nas przygotował?

Evelyn w mgnieniu oka odzyskała równowagę.

- Doskonały pomysł, Merry. Sprawdzisz razem z nim - tu spojrzała wilkiem na kamerdynera - czy w naszych pokojach jest wszystko, co

trzeba. Ale najpierw wskaże mi kierunek, w którym się oddalił pan Powell. Wyobraź sobie, Beverly - ostrzegła go - że doskonale znam lasy i z pewnością nie zabłądzę. Gdybyś jednak z rozmysłem udzielił mi błęd¬nej informacji, nie omieszkam powiadomić o tym twojego pana!

Beverly pociągnął nosem z urazą.

- Łaskawa pani obraża mnie. Ja miałbym działać na pani szkodę, i to z rozmysłem?! - Nie czekając na jej odpowiedź, wskazał palcem. - Pan Powell udał się w tym kierunku.

- Dziękuję, Beverly - odpowiedziała Evelyn i beztrosko ruszyła w prze¬ciwną stronę.

Gdy usłyszała za sobą mrukliwe "Niech ją licho!", sprawiło jej to wy¬raźną satysfakcję.

Evelyn okłamała kamerdynera. Nie miała wcale doświadczenia w wę¬drówkach po lesie. Na szczęście, w pobliżu North Cross Abbey nie było dziewiczej puszczy. Minęło jednak pół godziny, nim Evelyn zorientowa¬ła się, że pewne szczegóły krajobrazu wydają się jej dziwnie znane - po¬lanka pełna leśnych dzwonków, krzywy pień buka, który skojarzył się jej z garbusem Quasimodo, skalna półka na zboczu tuż nad ścieżką. Kręciła się w kółko.

Zamierzała już wrócić do dworu - była prawie pewna, że tam trafi - ale powstrzymała ją myśl o triumfującej minie Beverly'ego. Zamiast tego więc oceniła teren i zaczęła go powoli i metodycznie przeszukiwać.

W ten sposób dotarła w końcu na skraj lasu. Koronkowa kopuła okry¬tych pączkami gałęzi nie przesłaniała już nieba, łagodne zbocze rozcią¬gało się pod jej stopami jak zielony dywan. Evelyn zatrzymała się i osła¬niając ręką oczy, omiotła wzrokiem niewielką dolinę.

Nieco poniżej miejsca, na którym stała, na samym końcu polnej dróżki znajdował się schludny mały domek. Drzwi otworzyły się i wyszedł mocno

zbudowany mężczyzna, nakładając płócienną czapkę. Dobrze się składa! Może widział Justina i powie jej, gdzie go znaleźć, albo przynajmniej wskaże drogę do dworu?

Evelyn uniosła rękę, by przywołać nieznajomego.

- Proszę paaa…!

Czyjaś dłoń zasłoniła jej usta, mocne ramię objęło ją w pasie, a w koń¬cu została brutalnie przyciśnięta do obcego, twardego ciała. Evelyn usi¬łowała wyrwać się napastnikowi. Okulary spadły jej z nosa, gdy wciągał ją z powrotem pod osłonę drzew.

Próbowała krzyczeć, ugryźć go, ale okazał się zbyt silny. Schylił się nagle, ujął ją pod kolana, wziął na ręce i po kilku krokach cisnął na mięk¬kie leśne poszycie. Evelyn upadła na plecy. Powietrze ze świstem wydo¬było się z jej płuc, rozwichrzone włosy przesłoniły twarz. Napastnik padł na ziemię obok niej. Ponownie zasłonił ręką jej usta i zwalił się na nią całym ciężarem. Czuła na sobie jego twarde, napięte ciało.

- Cicho! Nie płosz go!

Wyrywała się jak szalona, próbując oswobodzić przynajmniej usta. Zaraz narobi krzyku i... Nagle zmarszczyła brwi. Głos napastnika wyda¬wał się znajomy. Szarpnęła głową, część włosów opadła jej z twarzy. Tuż nad sobą ujrzała oblicze Justina Powella.

Był tak blisko, że widziała wyraźnie każdy szczegół jego opalonej twa¬rzy i świeżo wygolone, jaśniejsze miejsca za uszami - widać niedawno Strzygł włosy. Wpatrywał się z natężeniem w coś za plecami Evelyn, ale ręka nadal tkwiła na jej ustach jak przymurowana.

- Prose puścić... Ale jus!... - wysepleniła władczym tonem.

Zerknął na nią i pochylił się jeszcze niżej. Jego wargi dotykały niemal jej ucha.

- Puszczę, jeśli będziesz cicho - szepnął. - Ani mru-mru, rozumiesz?

Skinęła głową i ciężka ręka opadła z jej ust.

- Dobra dziewczynka. Nie ruszaj się. Jeszcze tylko chwilkę…

Już na nią nie patrzył. Znów podniósł głowę i gapił się jak urzeczony w jakiś obiekt poza zasięgiem jej wzroku. Po omacku szukał czegoś, co leżało

widocznie obok Evelyn. Po chwili znalazł lornetkę i przyłożył ją do oczu. Sprężył się cały, a do niej nagle dotarło, w jakiej sytuacji się znajduje.

Justin Powell leżał na niej! Jedną nogę przerzucił przez jej uda, kolano drugiej uwierało ją w biodro. Łokieć jednej ręki, wbity w ziemię tuż obok jej głowy, stanowił podporę dla lornetki. Druga ręka - ta, którą zasłaniał jej usta - spoczywała teraz na jej ramieniu. Końcami palców dotykał jej obojczyka... Iw dodatku wcale jej nie dostrzegał! Jaka szkoda, że nie była równie obojętna na jego bliskość…

Ostatecznie, mówiła sobie, usiłując pozbierać rozproszone myśli, nie ma w tym nic dziwnego, że to ją zbulwersowało. W końcu nigdy dotąd nie była w tak bliskim kontakcie z męskim ciałem. Zupełnie naturalne, że tak ją podnieciło... Nie, nie, co znowu! Tak ją zaszokowało to nowe do¬znanie.

Ale w końcu każde przeżycie wzbogaca nas wewnętrznie. Jeśli więc sama opatrzność zsyła jej takie doświadczenie, to kimże ona jest, by się przed tym wzbraniać? O tak! - rozmyślała cnotliwie -najwidoczniej sam Bóg, przytłaczając ją ciężarem Justina Powella, uznał, że będzie to dla niej budujące przeżycie.

Niewątpliwie poznała dzięki temu bliżej istotę ludzką płci odmiennej. Przekonała się ze zdumieniem, że ma świeży oddech oraz czystą i gładką skórę. Koniuszki rzęs Justina połyskiwały brązem w popołudniowym słoń¬cu. Pachnące mydłem, rozgrzane ciało było żywe i męskie. Promienio¬wało wprost ciepłem. Jego żar działał na Evelyn niczym narkotyk.

- Panie Powell?…

Nie oglądając się, przycisnął wskazujący palec do jej ust.

- Ciiii…

Opuszek palca był nieco stwardniały. Evelyn poczuła nieodpartą poku¬sę, by dotknąć go końcem języka i przekonać się, czy smak męskiego ciała przypadnie jej do gustu tak samo, jak jego zapach. Przekonała się również, jak wielkie znaczenie dla poznawania świata ma dotyk. Od razu wyczuła, kiedy znikło to coś, co odwracało uwagę Justina od niej. Całe jego ciało odprężyło się. Nie straciło nic ze swej twardości, ale stało się bardziej… giętkie. Odjął od oczu lornetkę i spojrzał wreszcie na nią.

- A, to ty, Evie! - powiedział tonem przyjemnego zdziwienia.

Jego wzrok przesunął się po jej twarzy, zatrzymał na oczach i w końcu spoczął na wargach. W spojrzeniu było zainteresowanie i rozbawienie.

Wzbu¬dziło to niepokój Evelyn - zwłaszcza sposób, w jaki wpatrywał się w jej usta.

- Co to było? - spytała z pewnym trudem.

Nie odejmował palca od jej ust. Poczuła w nich dziwne mrowienie. Zdawało jej się - nie była niczego pewna, wszystko się jej dziwnie pląta¬ło - że przesunął palcem po jej dolnej wardze.

- Hm? - mruknął pytająco.

- To coś, co pan obserwował. Co to było?

- A, o to chodzi! - Spojrzał przytomniej, rzucił jej zabawny krzywy uśmiech i raz jeszcze musnąwszy jej wargi, cofnął palec. - To tylko ścierwnik pospolity, Praedator Omnivorus Vulgaris. Mandsti.

- Rzadki okaz?

- W tych stronach raczej rzadko spotykany - odparł, stoczył się na poszycie i zaraz zerwał się na równe nogi. Wyciągnął rękę do Evelyn, a gdy podała mu swoją, szarpnął nią bez ceremonii i zmusił do wstania.

Przyciągnął ją do siebie, okręcił jak baletnicę w tańcu i wylądowała ostatecznie przytulona plecami do jego klatki piersiowej. Zaskoczona obejrzała się przez ramię na Justina. Mrugnął do niej i puścił ją, po czym pochyliwszy się, zaczął - jakby nigdy nic - strzepywać listki i źdźbła tra¬wy z jej spódnicy.

Evelyn po prostu skamieniała.

Oczyściwszy dół jej sukni, obszedł ją dokoła, podziwiając swoje dzie¬ło. Potem ujął ją pod brodę i przyglądając się twarzy Evelyn to z jednej, to z drugiej strony, mamrotał:

- Coś nie tak… Czegoś tu brakuje!…

- Moje okulary! - wykrzyknęła Evelyn z nutką paniki.

Nie zabrała ze sobą zapasowych szkieł, a choć doskonale widziała bez okularów, czuła się bez nich prawie naga.

- Właśnie!

Rozejrzał się bacznie dokoła, wypatrzył błysk szkieł w kępie młodych paproci i wydobył je stamtąd.

Evelyn wyciągnęła po nie rękę, ale udał, że tego nie dostrzega, i sam założył jej okulary. Cofnął się o krok, spojrzał krytycznie i poprawił je, bo krzywo siedziały na nosie.

- Teraz już wiem, z kim mam do czynienia - oświadczył z satysfak¬cją. - Evie, nieprawdaż? Ale w co ty się ubrałaś? To ma być suknia?!

Zamrugała ze zdziwienia.

- Oczywiście!

- Powinnaś trzymać się spodni.

- Czy z moją suknią jest coś nie w porządku? - spytała, robiąc wiel¬kie oczy.

- Ależ skąd - odparł. - Pomyślałem tylko, że tamte spodenki były wyjątkowo twarzowe! I twierdzą, że to strój nie dla kobiet! Nawiasem mówiąc, jaki to kolor? Bury?

- Bo ja wiem? - odparła z wahaniem. - Wydał mi się bardzo prak¬tyczny, nie znać na nim brudu.

- Pewnie dlatego, że to brudny kolor.

- No... być może.

- Czy ci nie za gorąco w tej sukni? Tyle halek i zapięta pod szyję.

- Może trochę.

Na jego twarzy pojawiło się nieoczekiwanie współczucie.

- Czy to... Czy tobie... Czy lubisz tę suknię?

Evelyn nigdy nie przyszło do głowy, że suknię można lubić. Lubiło się znajomych, pieska albo kotka, grzeczne dzieci, jakąś książkę... Ten i ów lubił ryzyko. Ale suknię? Kto by lubił suknię?!

- Nadaje się do noszenia i tyle.

Zauważyła, że Justin dziwnie się jej przygląda.

Nagle dotarło do Evelyn, że Justinowi zupełnie się nie podoba jej suk¬nia i całkiem ją to zbiło z tropu. Z wyjątkiem pani Vandervoort i mamy, która

czasami próbowała udzielać jej dyskretnych rad w tej materii, nikt nie zwracał uwagi na to, w co Evelyn się ubiera i jak w tym wygląda. Aż tu nagle pan Powell uznał, że jej suknia jest szkaradna!

Wzbudziło to w Evelyn mieszane uczucia. Ucieszyło ją, że zwrócił uwagę na jej strój, ale zmieszała się, bo nie ocenił go pozytywnie. Kryty¬ka zaś nawet ją oburzyła. Miała wielką ochotę wyjaśnić mu odpowiednio wzgardliwym tonem, jak absurdalne byłoby strojenie się w jedną z szy¬kownych toalet, które pani Vandervoor jej sfinansowała, na podróż w brud¬nym wagonie kolejowym.

- Bez wątpienia, jest bardzo praktyczna - podsumował miłosiernie Justin.

Nastroszyła się, słysząc tę protekcjonalną uwagę. On też nie wyglądał jak z żurnala! Znów zapomniał o włożeniu surduta czy marynarki. Miał na sobie tylko pogniecioną beżową koszulę i ciemne, poplamione trawą spodnie podtrzymywane brązowymi szelkami. Włosy rozczochrane, ręka podrapana… Jakim cudem tak dobrze się prezentował w tym niedbałym stroju, podczas gdy ona wyglądała na niechlujną żebraczkę?! Co za nie¬sprawiedliwość losu!

- Projektowanie sukien to nie moja specjalność. Tym się zajmuje Merry! - wyjaśniła niechętnie.

- Ciotka Agatha powinna za to Bogu dziękować! - mruknął pod no¬sem.

Ale i tak go usłyszała.

Raptownie podniosła głowę. Jej chwilowa konsternacja ustąpiła pod naporem świętego oburzenia.

Czy to próbka pańskich oszołamiających komplementów, panie Po¬well? Jeśli tak, to bardzo się dziwię, że jakakolwiek dama dała się na nie nabrać!

Tym razem on poczuł się dotknięty.

- Nie brak mi pięknych słów... na określenie pięknych rzeczy.

Zmarszczył brwi. I nagle, jakby coś mu się przypomniało, rozjaśnił się i oświadczył cnotliwie:

- Zresztą, skończyłem już z tym. Chyba ci wspominałem? Jestem na¬wróconym grzesznikiem. Uczciwość, otwartość i szczerość - oto moja dewiza. Prawda i tylko prawda. Precz z pochlebstwem i słodkimi kłam¬stewkami!

- No, no! - ton jej głosu świadczył dobitnie, że niezbyt jej zaimpono¬wał. - Chciał pan chyba powiedzieć: tępota, brutalność i brak taktu? Z do¬datkiem złotej myśli: „Prawda bywa ciężka... wal nią każdego po gło¬wie!"

Omal się nie uśmiechnął - poznała to po jego oczach. Ale zaraz przy¬brał maskę skrzywdzonej niewinności.

- Jestem odrodzonym człowiekiem, Evie. Myślałem, że się ucieszysz. Przyjaciółkom pani Vandervoort nic nie grozi z mojej strony.

- Aż tak się nie zamartwiałam o te panie - odparła sucho. - Zaczynam podejrzewać, że zawdzięcza pan minione triumfy naiwności swoich ofiar.

Wszystkie damy z orszaku pani Vandervoort są dojrzałe, światowe i wy¬rafinowane.

Justin zrobił wielkie oczy.

- Ależ, Evie! Mam wrażenie, że rzucasz mi wyzwanie!

Ojciec Evelyn często powtarzał, że jego młodsza córka nie potrafi oprzeć się żadnemu wyzwaniu. Dobrze wiedziała, że powinna trzymać język za zębami i pozostawić bez komentarza ten żałosny przejaw męskiej pychy.

A mimo to - jakby na przekór własnym obawom - odparła zaczepnym tonem:

- Tak się panu wydaje?

Chyba poniosła ją wyobraźnia, bo dostrzegła ogniste błyski w niezwy¬kłych, błękitnozielonych oczach Justina Powella. Uśmiechnął się drapież¬nie i udał, że nadstawia ucha.

- Słyszałaś?

Nic nie słyszała, spytała więc:

- Co takiego?

Osłonił ręką ucho.

- Wyraźne plaśnięcie rzuconej mi rękawicy.

Złożył jej wytworny, staroświecki ukłon.

- No cóż... podejmuję wyzwanie.

Boże święty! Czy wszyscy mężczyźni są w głębi serca małymi pyszałkowatymi chłopcami?! - dumała Evelyn, zapominając, że sama sprowo¬kowała Justina. No, cóż... wszystko na to wskazuje!

Doszedłszy do tego wniosku, postanowiła za wszelką cenę zapobiec niebezpieczeństwu.

- Nie muszę chyba przypominać o pańskiej obietnicy?

- Ach, tak. Pamiętam. Obiecałem nie nagabywać zaproszonych na wesele dam i nie kusić ich do, jak to zręcznie ujęłaś, potajemnych scha¬dzek, randek, grzesznych związków i cudzołóstwa. Gotów jestem przy¬rzec to po raz wtóry.

Evelyn odetchnęła z ulgą.

- Doskonale! A teraz może byśmy wrócili do dworu, nim biedna Merry zaalarmuje straż obywatelską? Błąkałam się po lesie ponad godzinę!

- Oczywiście - zgodził się bez oporu. - Nie tak to znów daleko, jeśli pójdziemy na skróty. - Dał jej znak, by szła przed nim. - Damy mają pierwszeństwo!

Evelyn uśmiechnęła się, mile zaskoczona jego uprzejmością, i ruszyła przodem po ledwie dostrzegalnej ścieżce. Nie przeszła nawet dziesięciu kroków, gdy usłyszała za plecami uwagę, wypowiedzianą lekkim, niemal zdawkowym tonem:

- Zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że ściśle rzecz biorąc, jest pewna osoba, nazwijmy ją „ofiarą", a może „szczęściarą", do której, zgod¬nie z formułą wymuszonego na mnie przyrzeczenia, mam pełne prawo się umizgiwać?

Powinna była od razu zgadnąć, że jej przeciwnik nie podda się bez walki - zwłaszcza że w grę wchodził jego męski honor!

- Doprawdy? - spytała od niechcenia. - Któż to taki?

- Ty, Evie! Oczywiście, że ty!

# 7

Justin obserwował Evelyn - mknęła po ścieżce niczym wystraszona łania. Po chwili jednak poczucie godności zatriumfowało nad płochliwością i nieco zwolniła kroku. Zamiatając ziemię fałdami ciężkiej spódnicy, wszczęła nawet konwersację, udając, że nie słyszała jego prowokacyjnej uwagi.

Wcale nie miał zamiaru jej uwodzić! Ale Evie nie musiała o tym wiedzieć.

- Chyba dwór już blisko, prawda? Te muchomory wydają mi się znajome - trzepała. - Zapamiętałam je, bo mają taki niezwykły kolor i sterczące blaszki... Ale może w tej okolicy wszystkie muchomory tak wyglądają? W moich rodzinnych stronach mamy mnóstwo gatunków muchomorów, w najrozmaitszych odcieniach, od…

Justm nie przerywał jej nerwowej paplaniny. Kilka minut niepewności dobrze zrobi Evie! Uśmiechnął się w duchu. Szkoda, że nie ma tu jego sióstr - niechby zobaczyły, jakie wywarł na niej wrażenie!

Justin nie miał co do siebie złudzeń. W jego profesji każdy powinien znać swoje słabe i mocne strony. Wiedział więc, że nie odznacza się zbyt¬nim upodobaniem do płci pięknej, co stanowiło niewątpliwy plus, ale równocześnie nie ma większej wprawy w czarowaniu dam - minus.

Prawdę mówiąc, nigdy mu nie zależało na miłosnych podbojach. Mężczyzna, którzy wykorzystuje łatwowierność kobiet, był według Justina zwykłym łajdakiem. Dlaczego więc - głowił się - ta dziewczyna swoimi kpinkami sprowokowała go do tak nietypowego zachowania?! Oto jest pytanie!

- …zachodzi pewnie w głowę, gdzie się podziałam! - Evelyn nadal trajkotała jak najęta. - Mam nadzieję, że się o mnie nie martwi. Ale kto by się nie martwił, gdyby mu ktoś bliski przepadł bez wieści w leśnej głuszy? Ja z pewnością odchodziłabym od zmysłów i obawiam się, że z moją biedną Merry jest tak samo! O, niech pan spojrzy! To właśnie ona!

Evie wyfrunęła zza drzew jak spłoszona przepiórka. Ramiona trzepotały w powietrzu, halki szeleściły, w gęstwinie czarnych włosów tkwiły liście i gałązki.

- Hop, hop, moja droga! Już jestem!

Podążający za nią Justin wyszedł na otwartą przestrzeń i spojrzał w kierunku wskazanym przez Evie. Ujrzał pakowną bryczkę Bucka Newtona. Na tylnym siedzeniu rozpierała się, wymachując nogami, ruda piersista kobieta. Bynajmniej nie umierała z niepokoju. Rumieniła się i chichota¬ła, jakby na dorocznym jarmarku obwołano ją królową dójek.

Obiekt jej dziewczęcych umizgów przestępował z nogi na nogę, miętosił w ogromnych łapach miękki kapelusz i uderzał się nim po udzie.

Evelyn, nie zwracając uwagi na rozgrywającą się przed nią scenę miłosną, nie uświadamiała sobie, co ta para wyrabia. Przebiegła w zawrotnym tempie ostatnie dziesięć jardów i chwyciła rudą flirciarę za obie ręce.

- Ach, Merry! Tak mi przykro, kochanie! - wołała. - Pewnie szalałaś z niepokoju! Wybacz, że tak cię przestraszyłam! Ja…

Nagle urwała. Jej oczy za przyciemnionymi szkłami okularów wydawały się jeszcze większe. Przypominała jakiegoś osobliwego owada z tymi ogromnymi oczyskami i z gałązkami sterczącymi z głowy niczym czułki.

- O! - zaśmiała się nerwowo. - Widzi pan, panie Powell? Od razu mówiłam, że niepotrzebnie się pan zamartwia!

- Wcale się nie zamartwiałem.

Zignorowała jego uwagę.

- Nasza nieobecność nie trwała aż tak długo, jak pan sądził. Ale cóż, czas się dłuży, gdy ktoś się błąka po lesie.

- Ja się nie błąkałem.

- No więc... traci orientację - burknęła.

- Może pani ją straciła, ale ja z pewnością...

- Panie Powell! - Odwróciła się raptownie i uśmiechnęła do niego z przesadnym ożywieniem. - Chyba jeszcze nie przedstawiłam pana na¬szej niezrównanej modystce, podporze firmy Wytworne Weseliska Whyte'ów?

Mademoiselle Merry Moliere, oto pan Powell, który zechciał nam udostępnić swoją rodową siedzibę.

- Miło mi panią poznać, panno Moliere - powiedział Justin.

Ruda zeskoczyła z bryczki i dygnęła.

- Enchante, panie Powell!

- Beverly zaprowadził cię do naszych pokojów? - spytała Evie.

- Jeszcze go o to nie prosiłam - wyznała cichutkim głosem Merry.

- Doprawdy? A to dlaczego? - Evie zaniechała dalszych pytań. - No, tak. Więc może zrobisz to teraz?

- Już lecę! - przytaknęła Meny i pomknęła do dworu, pozostawiając daleko za sobą uśmiechniętą niepewnie Evelyn i Bucka Newtona.

Evie jest absolutnie nieprzewidywalna! - sarkał w duchu Justin. I tak całkowicie pozbawiona kobiecej próżności. Do tego stopnia nie dba o swój wygląd, że człowiek czuje się skrępowany, jakby była naga!

Nie korzysta z ogólnie stosowanych upiększeń, nie nosi ozdóbek ani błyskotek, którymi obwieszają się inne kobiety, nie wie, co to falbanki, koronki czy kokardki! Żadnych wabików, które przyciągnęłyby męskie oko i skłoniły do prawienia komplementów miłych damskim uszom. Mogłoby to wydać się żałosne komuś, kto by nie dostrzegł innych, znacz¬nie potężniejszych atutów Evie - jej inteligencji, wyobraźni, przedsię¬biorczości…

*Ale po jakie licho* - zżymał się w duchu Justin, widząc, jak Evie zmierza w stronę drzwi frontowych, wlokąc za sobą wielką walizę - *tracę tyle czasu na myślenie o jakiejś tam Evelyn Cummings Whyte, kiedy mam* - odebrał jej walizę bez pytania, zarzucił sobie na ramię i wniósł do głównego holu - *znacznie ważniejsze sprawy na głowie?! Choćby rozpracowanie tych dwóch podejrzanych typków, którzy się zagnieździli w domku Cookesów!*

Pierwsze popołudnie po przyjeździe do North Cross Abbey Justin spędził w pobliskim miasteczku, a konkretnie w gospodzie, gawędząc o tym i owym z okoliczną młodzieżą. Dowiedział się między innymi, że Cookesowie wynajęli swój letni domek jakimś cudzoziemcom, podobno braciom, którym się zachciało świeżego wiejskiego powietrza.

Gdy Justin wyraził zdumienie, że Cookesowie zadali sobie tyle trudu, zamieszczając ogłoszenie i szukając chętnych, natychmiast wyprowadzono go z

błędu. Obyło się bez ogłoszeń. Chętni znaleźli się sami, i to z kupą pieniędzy! Ciekawe, kto finansował tę inwestycję, pomyślał Justin i postanowił to zbadać.

Rzekomi bracia mogli być agentami obcego wywiadu, którzy mieli przejąć skrzynkę zaadresowaną do North Cross Abbey. Póki Justin wiedział, gdzie są, nie stanowili większego zagrożenia. Stare, mądre powiedzenie: „Miej zawsze przyjaciół pod ręką, a wrogów na oku" było idealnym drogowskazem dla ludzi jego profesji.

Justin codziennie wyruszał z lornetką do lasu, by przynajmniej przez godzinę obserwować ptaki... i upewnić się, że interesujące go okazy nie wyfrunęły z gniazdka Cookesów. Nieoczekiwany przyjazd Evie tego właś¬nie popołudnia omal nie spowodował katastrofy.

Kiedy skutecznie unieruchomił dziewczynę i zakneblował jej usta, był zbyt rozkojarzony, by skoncentrować się należycie na osobnikach, któ¬rych śledził i w końcu wyraźnie zobaczył. Justin nie potrafił wyjaśnić swego zachowania. Co prawda, dziewczyna była pociągająca, ale... Niech będzie, palił się do niej jak diabli!

Dawniej też niekiedy odczuwał pożądanie. Ale nigdy nie ogłupiało go do tego stopnia, by przeszkadzać w pracy! Tylko jak mógł się skupić, gdy czuł pod sobą jej smukłe ciało, ruchliwe, sprężyste, a jednocześnie wraż¬liwe i uległe? Gdy wdychał zapach jej włosów, dotykał palcem aksamit¬nych warg...

Kiedy Evie wstała, zdumiał się, że to uosobienie kobiecego wdzięku tym razem włożyło ohydną, „praktyczną" kieckę, kompletne bezguście -zamiast podniecających spodenek i chłopięcej bluzy, które miała na so¬bie, gdy włamała się do jego domu.

Któż by rozpoznał tamtego bystrookiego, nieznośnego urwisa w tej niepozornej starej pannie w ciemnych okularach? Justin nie był eksper¬tem w dziedzinie mody, ale znał się na sztuce kamuflażu. Dzięki temu odkrył, że Evelyn Cummings Whyte kryje się za swym strojem. Diabli wiedzą, po co!

Nie powinien jednak marnować czasu i uwagi na rozszyfrowanie oso¬bowości Evelyn. Miał zadanie do wykonania. Był agentem wywiadu, bez reszty oddanym swej pracy. Nie pora na flirty! Gdyby się głupio zaanga¬żował, źle by się to skończyło i dla niego, i dla niej.

Zdjął z bryki ostatni kufer i uginając się pod jego ciężarem, poczłapał do drzwi. Przy pierwszej sposobności przeprosi Evie za swoje głupie żarty.

Wysiłek fizyczny zawsze pomagał Evelyn spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy. Zanim wspólnie z Buckiem Newtonem i Justinem Powellem wyładowali z bryczki cały bagaż, odzyskała w pełni równowagę ducha.

Justin bez wątpienia tylko się z nią przekomarzał. Odkąd wrócili do dworu, prawie jej nie dostrzegał. A jeśli już spojrzał, to nie z miną groźnego drapieżcy, ale skruszonego grzesznika, co nie wiedzieć czemu, irytowało Evelyn.

Czyżby miał wyrzuty sumienia z powodu swych żartobliwych umizgów? Bo to przecież były umizgi, może nie? Niech to licho! Szkoda, że nie miała więcej doświadczenia w dziedzinie flirtu, którego uroki wy¬chwalali wszyscy powieściopisarze.

A może, zaświtała jej wyjątkowo przykra myśl, może Justin Powell ma taką minę, bo się obawia, że potraktowała zbyt serio jego zaloty? Że uwa¬ża się za jego wybrankę? Nie była przecież taka głupia!

Dobrze znała swoje braki. Wiedziała, że niczym nie przypomina ko¬biet, które przyciągały uwagę mężczyzn w rodzaju Powella. Zdawała so¬bie sprawę, że Justin tylko żartuje i nie miała nic przeciw temu, by po¬śmiać się razem z nim. Ha, ha! Czemu nie?

Ostatecznie miała już dwadzieścia pięć lat. Zdążyła nieźle poznać życie. Co prawda nie z pierwszej ręki, ale od czego są oczy i uszy? *Wystarczy poobserwować choćby taką Merry!* - pomyślała, gdy Francuzka wyszła z domu i od razu zaczęła się wdzięczyć do Bucka Newtona.

Merry była - jakby to określić - w ciągłym ruchu. I wszystko wskazywało na to, że gotowa jest do kolejnej rundy z nowym partnerem. Cały problem kochanej rudowłosej dziewczyny polegał na tym, że odziedziczyła po przodkach francuski temperament, ale ani krztyny tak charakterystycznego dla Francuzek zdrowego rozsądku. Właśnie dlatego, że zawsze szła za głosem swego lekkomyślnego serca, Merry straciła pracę w słynnej paryskiej firmie Monsieur Wortha.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności matka Evelyn wybrała się wówczas do Paryża po nowe kreacje. Dowiedziawszy się o smutnym losie Merry, pomyślała od razu, że obiecująca projektantka mody będzie nieocenionym

dodatkiem do nowo utworzonej przez jej siostrę Agathę firmy Wytworne Weseliska Whyte'ów, i zabrała Merry ze sobą do Londynu. Zdarzyło się to przed dziesięciu laty. Przez ten czas Merry zdążyła się zakochać i odkochać we właścicielu kwiaciarni, cukierniku, sukienniku, kupcu galanteryjnym i Bóg wie w kim jeszcze!

- Odnalazła pani mego kamerdynera, panno Moliere?

Głos Justina Powella wyrwał Evelyn z zadumy. Rozejrzała się dokoła i stwierdziła, że Merry zbliża się ku nim.

- Tak - odparła Francuzka, wdzięcznie wywijając spódnicą.

- No i co? - pytał dalej Justin.

- Jak to co? A, o to chodzi. No więc powiedział... - Merry zmarsz¬czyła czoło, zbierając myśli. - Powiedział, że nie przygotował dla nas żadnych pokojów, bo wiedział, że panienka i tak zacznie węszyć po ca¬łym domu i zarekwiruje te, które jej przypadną do gustu.

Evelyn poczuła, że pieką ją policzki.

- Przypuszczam, że ze względu na pamięć babki nie zechce pan zrezygnować z usług tego człowieka? - spytała Justina.

- Jak to miło, że pani tak dobrze mnie rozumie!

- No cóż... - przyznała wielkodusznie, żegnając się z nadzieją na szyb¬kie rozstanie z Beverlym. - W jego zarzutach było nieco słuszności.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Justin z dobrze udanym niedowierzaniem.

Stojąca za plecami Evelyn Merry parsknęła śmiechem. Nie warto było pytać, co ją tak rozbawiło. Francuzi mają osobliwe poczucie humoru! Evelyn zwróciła się do Justina.

- Możemy obejrzeć wszystkie pokoje gościnne?

- Jak najbardziej! - zapewnił ją Justin. - Mogę służyć za przewodni¬ka?

- Będę bardzo wdzięczna. Poszukaj pomieszczenia odpowiedniego na twoją pracownię, Merry, a ja wybiorę dla nas sypialnie. - Zwróciła się do Bucka. - Może Newton zgodzi się chwilę zaczekać i kiedy znajdziesz odpowiednie miejsce, przeniesie tam twoje rzeczy?

- A jakże, psze pani - zgodził się Buck. - Z miłą chęcią się przysłużę.

- Doskonale. Możemy już iść, panie Powell!

Wyszli na korytarz, w którym kurz gromadził się od lat. Drobinki pyłu wirowały w bladym świetle. Po drodze Evelyn mierzyła fachowym okiem wnętrze dawnego opactwa.

Po lewej minęli bibliotekę, po prawej zaś zamknięte na głucho drzwi. Gdy przechodzili obok następnego straszliwie zaniedbanego pomieszcze¬nia, Justin wyjaśnił jej, że w tej części domu znajdują się pokoje repre¬zentacyjne, a w przeciwległym skrzydle sypialne.

Przy końcu korytarza wskazał jej pasaż prowadzący do wspomnianego skrzydła. Niebawem znów skręcił i po kilku szerokich niskich stopniach sprowadził Evelyn do wysoko sklepionego, przypominającego pieczarę pokoju, który nazwał salą bankietową. Wyjaśnił, że był to niegdyś klasz¬torny refektarz. Evelyn rozejrzała się po sali, usiłując sobie wyobrazić przyjęcie weselne w tej scenerii.

Było tu widno, ale brudno. Wszędzie hulały przeciągi. Na wytartych dywanach rozstawiono całkiem bez pojęcia meble, każdy z innej parafii. Na jednej z bocznych ścian znajdowało się francuskie okno, wychodzącej na zrujnowany dziedziniec z sadzawką, zarośniętąjakimś zielskiem. Eve-lyn zadarła głowę do góry i spojrzała na sklepienie. Ciemne belki krzyżo¬wały się ze sobą, tworząc coś w rodzaju gigantycznej pajęczyny. Jakim cudem zdoła to wszystko doczyścić?!

- Znajdzie się w okolicy dość sprzątaczek? - spytała.

- Sądzę, że tak, choć nigdy nie próbowałem ich zatrudnić.

Odpowiedź: „Właśnie widzę!" cisnęła się Evelyn na usta, ale się ugryzła w język]TJł/R24 14.04 Tf1 0 0 1 66.88 141.048 Tm[(.)-1.9(.)-1.9(.)6.5(z)-6.5(i)3.4(ę)-6.5(k)3.4(u)-6.5(j)3.4(ę)-6.5(,)3.4( )-6.5(g)3.4(d)-6.5(y)3.4(b)-6.5(y)3.4( )-6.5(n)3.4(i)-6.5(e)3.4( )-6.5(w)3.4(i)-6.5(d)3.4(z)-6.5(i)3.4(a)-6.5(ł)3.4(a)-6.5( )3.4(k)-6.5(i)3.4(r)-6.5(k)3.4(a)-6.5( )3.4(m)-6.5(ę)3.4(ż)-6.5(c)3.4(z)-6.5(y)3.4(z)-6.5(n)3.4(i)-6.5( )3.4(w)-6.5(o)3.4(d)-6.5(ę)3.4( )-6.5(r)3.4(ę)-6.5(k)3.4(i)-6.5( )3.4(m)-6.5(ę)3.4(ż)-6.5(c)3.4(z)-6.5(y)3.4(z)-6.5(n)3.4( )-6.5(s)3.4(i)-6.5(ę)3.4( )-6.5(z)3.4(g)-6.5(ł)3.4(o)-6.5(s)3.4(i)-6.5(ł)3.4( )-6.5(g)3.4(d)-6.5(y)3.4( )-6.5(b)3.4(y)-6.5( )3.4(n)-6.5(i)3.4(e)-6.5( )3.4(m)-6.5(ó)3.4(g)-6.5(ł)3.4( )-6.5(s)3.4(i)-6.5(ę)3.4( )-6.5(j)3.4(u)-6.5(ż)3.4( )-6.5(n)3.4(i)-6.5(g)3.4(d)-6.5(y)3.4( )-6.5(n)3.4(i)-6.5(e)3.4( )-6.5(p)3.4(r)-6.5(ó)3.4(b)-6.5(o)3.4(w)-6.5(a)3.4(ł)-6.5(e)3.4(m)-6.5( )3.4(i)-6.5(c)3.4(h)-6.5( )3.4(z)-6.5(a)3.4(t)-6.5(r)3.4(u)-6.5(d)3.4(n)-6.5(i)3.4(ć)-6.5(.)3.4( )-6.5(O)3.4(d)-6.5(p)3.4(o)-6.5(w)3.4(i)-6.5(e)3.4(d)-6.5(z)3.4(i)-6.5( )3.4(ż)-6.5(e)3.4( )-6.5(T)3.4(a)-6.5(k)3.4( )-6.5(b)3.4(y)-6.5( )3.4(n)-6.5(i)3.4(e)-6.5( )3.4(b)-6.5(y)3.4(ł)-6.5(o)3.4( )-6.5(w)3.4( )-6.5(s)3.4(t)-6.5(y)3.4(l)-6.5( )3.4(t)-6.5(e)3.4(g)-6.5(o)3.4( )-6.5(w)3.4(n)-6.5(ę)3.4(t)-6.5(r)3.4(z)-6.5(a)3.4( )-6.5(W)3.4(c)-6.5(z)3.4(e)-6.5(s)3.4(n)-6.5(y)3.4( )-6.5(A)3.4(u)-6.5(g)3.4(i)-6.5(a)3.4(s)-6.5(z)3.4(?)-6.5( )3.4(-)-6.5( )3.4(s)-6.5(p)3.4(y)-6.5(t)3.4(a)-6.5(ł)3.4(a)-6.5(.)3.4( )-6.5(-)3.4( )-6.5(S)3.4(ą)-6.5(d)3.4(z)-6.5(ę)3.4(,)-6.5( )3.4(ż)-6.5(e)3.4( )-6.5(t)3.4(a)-6.5(k)3.4(,)-6.5( )3.4(c)-6.5(h)3.4(o)-6.5(ć

Uśmiechnął się.

- Reszta pomieszczeń nie jest taka zła. Odkąd przed kilku laty odziedziczyłem Abbey, zeszło ono do roli rzadko odwiedzanej bazy wypadowej samotnego kawalera, który nie dba o porządek. A przedtem... cóż, dziadek generał nie lubił szastać pieniędzmi.

Evelyn zrobiła pewną siebie minę.

- Biorąc wszystko pod uwagę, radziłbym umieścić lampy jak najniżej - podsunął życzliwie.

- O Boże - wymamrotała.

- To było kiedyś opactwo - powiedział nieco urażonym tonem. - Mnisi mieli tu wieść proste, skromne życie w pozbawionych wszelkich wygód celach i wielkich, pustych salach ogólnych.

- Co też strzeliło pańskim przodkom do głowy, żeby sobie wybrać akurat taki budynek na rodzinną siedzibę?!

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Bo nic ich to nie kosztowało. Mój praszczur dostał opactwo od króla Henryka w nagrodę za wierną służbę. Motto moich przodków po kądzieli brzmi: „Nigdy nie płać za coś, co możesz mieć za darmo!" Chyba je nawet umieszczono na ich tarczy herbowej.

- Czy pańska rodzina lubi się mieszać do polityki? - spytała ciekawie, gdy wszedł do pokoju.

- Tylko wówczas, gdy mamy nóż na gardle. Wtedy wrzeszczymy „Za króla i ojczyznę!" głośniej niż cała reszta. Tym sposobem dorobiliśmy się North Cross Abbey.

- No cóż, jeśli sprawy tak się mają... nie mam powodu wątpić w pańskie słowa, ale ten... obiekt nie wydaje mi się dostateczną nagrodą za dobrą i wierną służbę.

- Może służba nie była aż tak wierna, a sługa niezbyt się przykładał - zauważył pogodnie Justin. - Moja rodzina słynie z lenistwa, że nie wspo¬mnę o naszym egoizmie i dwulicowości.

W głosie Justina brzmiała nutka dumy.

- Cóż, jestem panu wdzięczna za kolejne ostrzeżenie.

- Ostrzeżenie?

Zatrzymał się tak nagle, że się zderzyli. Chwycił Evelyn za łokieć, żeby nie upadła. Ledwie jej dotknął, ale z niezwykłą ostrością przypomniała sobie chwilę, gdy palce Justina musnęły jej pierś.

- Posłuchaj, Evie...

- Evelyn - poprawiła go słabym głosem.

Stał zbyt blisko. Musiała odchylić głowę do tyłu, by spojrzeć mu w twarz, miała przy tym głupie wrażenie, że nadstawia się do pocałunku. Na samą myśl o tym poczerwieniała i spuściła głowę.

- Chodzi o to, co ci mówiłem wcześniej. - Zmarszczył brwi; w mrocz¬nym korytarzu jego rysy wydawały się kanciaste, a twarz ponura. - O tym napastowaniu cię. Przepraszam najmocniej!

- Naprawdę?

Miał takie piękne usta - duże, kształtne, z pełniejszą dolną wargą.

- Nigdy bym ci się nie narzucał!

- Nigdy? - Znaczenie jego słów z wolna docierało do mózgu Evelyn. - Oczywiście, że nie! To były zwykłe żarty. Rozumiem to doskonale.

Zaczerwieniła się po uszy. A więc Justin odgadł jej myśli i próbował wybić jej z głowy próżne nadzieje! Jakby na potwierdzenie tych podejrzeń, Justin odetchnął z ulgą.

- Rozsądna z ciebie dziewczyna, Evie!

Puścił jej łokieć. Evelyn uśmiechnęła się. Chciała go przekonać, jak bardzo jest rozsądna. Nie powinno jej to sprawić większego trudu. Prze¬cież była rozsądna. I bystra, i utalentowana w każdej dziedzinie, z wyjąt¬kiem organizowania uroczystości weselnych. Pewnie dlatego, że koja¬rzyły się z miłością. A cóż ona wiedziała o miłości?

Weź się w garść, Evelyn! Czeka cię tu mnóstwo pracy. Nie trać czasu na zabawę w kotka i myszkę z Justinem Powellem!

- Musisz mnie uważać za skończonego durnia - powiedział Justin. Oparł się ręką o ścianę na wysokości głowy Evelyn i pochylił się ku niej, odgradzając ją od reszty świata, spoglądając jej w oczy i uśmiecha¬jąc się uroczo. Koszula opinała się na jego szerokich ramionach, spod wysoko podwiniętych rękawów widać było imponujące bicepsy. Był taki jak zawsze - zbyt swobodny, źle wychowany, bez cienia przyzwoitości! A równocześnie fascynująco, bezwiednie, naturalnie męski.

- Pomyśleć tylko, że pochlebiałem sobie, iż potraktujesz mnie poważ¬nie! - mówił. - Wybaczysz mi?

Cokolwiek by o nim powiedzieć, jest prawdziwym dżentelmenem! - pomyślała Evie z odrobiną goryczy i szczerym podziwem. Kilka właści¬wie dobranych słów i od razu poczuła się lepiej.

- Co tu jest do wybaczenia? - rzuciła lekko i pospiesznie się oddaliła.

# *8*

Evelyn przyglądała się, jak Justin kreśli coś na blacie bibliotecznego stołu, pokrytym grubą warstwą kurzu. W ciągu trzech tygodni - dzięki obopólnym staraniom - nie tylko wybaczyła Justinowi jego niemądre żarty, ale nawet wymazała z pamięci niefortunny epizod. Przekonała się, że w nawróconym rozpustniku można znaleźć wspaniałego kompana. Prawdę mówiąc, lubiła mieć go pod ręką, o ile akurat był gdzieś blisko.

Przez większość dnia uganiał się za ptakami. Czasem wracał dopiero o zmroku. Oczywiście nie prowadziła rejestru jego poczynań! Ale kiedy się mieszka z kimś w jednym domu, trudno nie zauważyć jego obecności albo nieobecności. Ponieważ zaś Merry dzieliła sprawiedliwie swój wolny czas pomiędzy Bucka Newtona i drugiego miejscowego adoratora, Evelyn chwilami

nie miała do kogo ust otworzyć. Nic więc dziwnego, że cieszyły jąprzyjacielskie kontakty z Justinem. Właśnie, przyjacielskie. Żadne inne!

O innych zresztą nie mogło być mowy. Justin był zatwardziałym kawa¬lerem, który wyrzekł się grzesznych rozkoszy, a ona zasuszoną starą pan¬ną bez najmniejszych szans na to, by ich zaznać, niezależnie od tego, czy były grzeszne, czy nie.

- Popatrz no tutaj! Może wreszcie zrozumiesz, co mam na myśli - odezwał się Justin, opadając na krzesło, i gestem ręki wskazał jej ukoń¬czony wykres.

Evelyn przysunęła się bliżej ze swoim krzesłem.

- Ale gdyby tak rozstawili swoich ludzi - zaznaczyła palcem pozycje kilku graczy - i zaatakowali w ten sposób - zakreśliła dłonią niewielkie półkole - z pewnością odnieśliby zwycięstwo!

- Moja droga Evie…

Z niewiadomego powodu Justin nazywał ją „swoją drogą Evie", ile¬kroć z namaszczeniem udzielał jej pouczeń, gdy zapuściła się na teren przeznaczony, według niego, wyłącznie dla mężczyzn. A często się to idarzało.

Justin zresztą nigdy nie zwracał się do niej „Evelyn", a tym bardziej „lady Evelyn" i zaprzestała już wysiłków, by go do tego zmusić.

- Moja droga Evie, jesteś w błędzie.

Chwycił Evelyn za rękę i posługując się jej palcem tak, jakby to był rylec, nakreślił nim grubą krechę przez sam środek sporządzonego naprędce wykresu. Cały Justin! Absolutny brak taktu i poszanowania cudzej własności! Był mu potrzebny palec, wszystko jedno czyj. Fakt, że posłu¬żył się jej palcem, przyprawił o zażenowanie wyłącznie Evelyn. Justin nie widział w tym nic niestosownego.

- Oto dlaczego - wyjaśnił - obrońcy z lewego skrzydła odparli ich atak!

Z uśmiechem równocześnie zniewalającym i irytującym wyciągnął z kieszeni spodni chustkę i wytarł palec do czysta, nim zwrócił go wła¬ścicielce.

Ona jednak nie dawała za wygraną.

- Z pewnością nie daliby się odeprzeć, gdyby tamci - wskazała znacz¬ki na wykresie - ich ubezpieczali. A zmyliwszy przeciwnika, mogli za¬atakować centrum.

Potrząsnął głową.

- Mowy nie ma! Brakowało im sił, żeby przebić się przez centrum.

Evelyn odetchnęła głęboko.

- Gdyby ruszyli głową zamiast…

Rozległo się wymowne chrząknięcie. Oboje oderwali wzrok od wykre¬su. Stał nad nimi wyraźnie poirytowany Beverly.

- Być może niewłaściwie zrozumiałem pani rozkazy, lady Evelyn, ale byłem przekonany, że zależy pani na wysprzątaniu biblioteki. Całej bi¬blioteki.

Evelyn rozejrzała się dokoła i stwierdziła ze zdumieniem, że podczas ich zażartej dysputy biblioteka zapełniła się tłumem pracowników. Dwie dziewczyny szorowały podłogę, gawędząc przyjaźnie. Trzej mężczyźni wstawiali nowe szyby w rozdzielonych kolumienkami oknach. Tynkarz z zapałem odnawiał sufit. A ona była tak zaabsorbowana dyskusją z Justinem, że nawet nie zauważyła ich wejścia!

- Proszę o wybaczenie, lady Evelyn - wycedził Beverly, gdy nadal rozglądała się dokoła nieprzytomnym wzrokiem. - Widocznie przez po¬myłkę posłużyłem się przed chwilą jakimś obcym językiem. Pozwoli pani, że powtórzę moje pytanie po angielsku?

Drwiny kamerdynera poskutkowały. Odzyskała mowę.

- Istotnie, życzyłam sobie, żeby ten pokój został wysprzątany.

- Zakładam, że dotyczy to również stołu? A może malownicze pokła¬dy kurzu mają stanowić element oryginalnej dekoracji w stylu Koszmaru nocy letniej!

Co za okropne, uprzykrzone indywiduum! Evelyn zerknęła na zegarek. O Boże! Przesiedzieli tu i przegadali całą godzinę! Zerwała się z krzesła. Justin postawił swoje na tylnych nogach i kołysał się na nim, obejmując oparcie ramieniem.

- Bardzo mi przykro, że przeszkodziliśmy wam w pracy - zwróciła się do Beverly'ego Evelyn.

Usta Justina wykrzywiły się w uśmiechu. Był wyraźnie rozbawiony. Niech mu będzie! W razie potrzeby przeprosiłaby Beverly'ego nawet na piśmie, byle nie odmówił dalszej współpracy. Nie brakowało jej ludzi chętnych do

roboty, ale znalezienie kogoś obdarzonego takim zmysłem organizacyjnym i taką energią graniczyło z cudem!

Pewnego dnia spostrzegła, że Beverly chwyta się za serce w najwyż¬szym przerażeniu, gdy jeden z robotników upuścił na podłogę paskudny, stary, rudy dzbanek. Kiedy następnie kamerdyner wyjaśnił, że była to waza z epoki Ming, Evelyn poprosiła Justina, by wypożyczył jej Beverly'ego do pomocy. Justin wyraził zgodę i oficjalnie oddał kamerdynera pod jej komendę.

Beverly nie protestował. Zapewnił Justina, że nie tylko podoła nowe¬mu zadaniu, ale ma po temu wyższe kwalifikacje niż ktokolwiek z obec¬nych. Wypowiadając te słowa spoglądał prosto na Evelyn.

Trzeba przyznać, że radził sobie wspaniale. Przekształcił grupę dobranych na chybił trafił pracowników w idealnie zgrany zespół. Ten precyzyjny i dobrze naoliwiony mechanizm posuwał się zgodnie z planem z jednego końca byłego opactwa na drugi, pozostawiając za sobą coraz więcej świecących czystością pomieszczeń.

Ogólnie rzecz biorąc, wszystko szło jak po maśle. Niebawem całe North Cross Abbey zostanie odmalowane, otynkowane, odremontowane. Gromadzono systematycznie rozmaite ozdoby, dekoracje i rekwizyty niezbędne do uroczystości weselnej. Zamówione towary napływały dzień po dniu.

- Oboje z panem Powellem natychmiast zejdziemy wam z drogi. I tak mieliśmy właśnie wyjść, nieprawdaż? - Evelyn rzuciła Justinowi wymowny uśmiech.

- Ależ oczywiście! - przytaknął, wstając, i dodał: - Przypomnij mi, dokąd się teraz wybieramy?

- Ja do miasteczka po wstążki dla Meny - odparła Evelyn - a ty za¬pewne będziesz obserwował ptaki.

- Rzeczywiście! - Zdjął marynarkę z oparcia krzesła i zarzucił ją so¬bie na ramiona. - Ale nim odejdę, coś ci powiem.

- A mianowicie?

- Drużyna Marlborough i tak przegrałaby ten mecz rugby z Nationals, żeby nie wiem jak się starała! Koniec dyskusji.

Po wydaniu tego werdyktu wyszedł z biblioteki, nim Evelyn zdobyła się na odpowiedź. Już miała się roześmiać, ale opanowała się. Taka reakcja

zachęciłaby Justina do dalszych przechwałek. Spoglądała za odchodzą¬cym z mimowolnym podziwem.

Miał na sobie „ornitologiczny uniform" - pomięte ubranie z wytartego tweedu, więc istotnie wybierał się do lasu, zanim przypadkiem natknął się na nią. Dyrygowała grupą robotników mających uprzątnąć półkolisty frontowy podjazd.

Prawdę mówiąc, strój wieczorowy Justina prezentował się niewiele lepiej niż jego ubiór roboczy. Najwidoczniej nie posiadał spinek, gdyż rękawy jego koszuli były zawsze podwinięte powyżej łokci. Bardzo rzad¬ko nosił krawat i zapinał koszulę pod szyją. Zdarzało się nawet, że w ogóle nie wkładał kołnierzyka.

Jej suknie mogły być niegustowne, ale przynajmniej zawsze były uprane i wyprasowane!

- Lady Evelyn, czy mogłaby mi pani poświęcić chwilę czasu? - spytał Beverly.

- Oczywiście, Beverly - zgodziła się niezwykle chętnie. Słowne utarczki z kamerdynerem stały się jedną z jej ulubionych rozrywek. Podpuchnięte oczka Beverly'ego również iskrzyły się wówczas uciechą. - O co chodzi tym razem? Czyżbyś poczuł syreni zew zacnych trunków i chcesz wymigać się od dzisiejszych obowiązków, by wyruszyć na poszukiwanie największej butli Lafite-Rothschild, jaką zdołasz znaleźć? - spytała.

- Skądże znowu, milady - odparł gładko Beverly. - Po prostu chciał¬bym jak najprędzej poznać pani opinię na temat zmian wprowadzonych przeze mnie w głównym holu.

Evelyn podążyła za kamerdynerem do holu, stanęła i rozejrzała się dokoła z podziwem. Nad jej głową widniał w całej okazałości odkryty przez Beverly'ego świetlik. Był do tego stopnia zatkany butwiejącymi liśćmi i porostami, że całkiem zapomniano o jego istnieniu. Teraz jednak wlewały się tamtędy strumienie słonecznego światła - prosto na różno¬barwny perski kobierzec, który leżał ciasno zwinięty w jakimś kącie piw¬nicy, póki go Beverly nie odnalazł. Na dopiero co wypolerowanym kre¬densie z wielkiej srebrnej wazy wyzierały rozczochrane główki papuzich tulipanów. Świeżo pomalowane ściany ozdobiono szeregiem malowideł, które nieoceniony kamerdyner odkrył w jakiejś szafce.

- Nieźle to wygląda, Beverly.

- Pani entuzjastyczne pochwały omal nie zbiły mnie z nóg.

- Uważaj, żeby ci nie przewróciły w głowie. Zostało nam jeszcze… ileż to… sześć pokojów, które musimy doprowadzić do porządku, nim zjawią się goście weselni.

- Istotnie zostało nam sześć pokojów do wysprzątania. A potem musi¬my zadbać o to, by kuchnia była odpowiednio przygotowana, a spiżarnia zaopatrzona na przybycie naszego szefa kuchni - odparł Beverly, akcen¬tując przesadnie słowa „nam", „musimy" i „naszego".

Evelyn uśmiechnęła się zniewalająco.

- Jestem zachwycona, że do tego stopnia utożsamiasz się z naszym szczytnym przedsięwzięciem, Beverly.

Niepoprawny szelma! Z jaką przyjemnością obsypywali się nawzajem wyszukanymi złośliwościami! Nic dziwnego, że Justin nie rozstaje się z nim od lat! I nagle zwyciężyła w niej ciekawość.

- Beverly... - zaczęła.

- Słucham, lady Evelyn?

- Jesteś wrogiem wszystkich kobiet, czy tylko ja dostąpiłam tego za¬szczytu?

Uśmiechnął się dyskretnie.

- Mam równie wysokie mniemanie o wszystkich przedstawicielkach płci pięknej, milady.

- Czy panu Powellowi nie przeszkadza, że ma pod bokiem nieubłagane¬go wroga kobiet? Sam przecież jest zapalonym wielbicielem pięknych dam!

- Pan Powell miałby być bawidamkiem?! - prychnął z pogardą.

Dlaczego to określenie tak oburzyło kamerdynera? - zdumiała się Evelyn. Ale zaraz przypomniała sobie, że Justin jest nawróconym grzeszni¬kiem. Może powrócił na drogę cnoty, zanim zaangażował Beverly'ego?

- Powinnam chyba powiedzieć, że był wielbicielem pięknych dam. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Beverly zesztywniał.

- Służę u pana Justina, odkąd się zaciągnął do wojska. Czternaście lat z okładem!

Evelyn zmarszczyła czoło, dokonując w pamięci pospiesznych obli¬czeń. Coś tu się nie zgadzało! Przyłapała Justina z panią Underhill zaled¬wie dziesięć lat temu. Ale Beverly - mimo wszystkich swych wad - był niesłychanie lojalny.

- Pan Powell po mieczu i kądzieli pochodzi z rodzin o wojskowej tra¬dycji, nieprawdaż? - spytała, wiedząc doskonale, że wtyka nos w nie swoje sprawy. Nie mogła jednak pozwolić, by taka okazja dowiedzenia się cze¬goś więcej o przeszłości Justina przeszła jej koło nosa!

- W samej rzeczy. - W zazwyczaj ironicznym głosie Beverly'ego ozwała się nutka dumy. - Dziadek pana Justina walczył pod dowództwem Wolseleya w Afryce, a jego ojciec w Indiach.

Evelyn sama by wstąpiła do wojska, gdyby się urodziła chłopcem. Bar¬dzo jej odpowiadała atmosfera przygody, niebezpieczeństwa, ryzyka. W armii mogłaby również wykazać się zdolnościami organizacyjnymi i przywódczymi. Coś w sam raz dla niej!

- Dziwne, że pan Powell zrezygnował z wojskowej kariery.

Zaraz jednak uprzytomniła sobie, jaki jest Justin. Nie potrafił nawet skarcić kamerdynera, więc jak poradziłby sobie z ruganiem podkomend¬nych?! A poza tym z szopą niesfornych włosów, w krzywo zapiętej ma¬rynarce zgoła nie przypominał uwiecznionego na pudełkach cygaretek bohaterskiego wojownika.

- Prawdę mówiąc, nie takie to znów dziwne - zakonkludowała. - Ale jego dziadek i ojciec z pewnością byli zawiedzeni, gdy wyłamał się z ro¬dzinnej tradycji. Mój wuj Hugo był także wojskowym i świata nie wi¬dział poza swoim regimentem. - Evelyn uśmiechnęła się. - Największą radość sprawiłby mu syn, który poszedłby w jego ślady. Ale się go nie doczekał. Co prawda, jego córka Mary Elizabeth mogłaby z powodze¬niem grać rolę…

Evelyn urwała w pół zdania. Nieprzenikniona zazwyczaj twarz Bever-ly'ego wyraźnie się zasępiła.

- Co ci dolega? - spytała.

- Absolutnie nic, milady.

- No, Beverly, wyrzuć to z siebie! Przecież widzę, że coś ci doskwiera.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi, lady Evelyn.

Westchnęła ciężko, jakby miała do czynienia z krnąbrnym czterolat¬kiem.

- Nie zapomniałeś chyba, do czego jestem zdolna?

- Istotnie, dobrze pamiętam.

- Wiesz, że jak się przy czymś uprę, to nie ma rady. I tak wszystko z ciebie wyciągnę!

- Niestety, wiem.

- Czy nie lepiej pogodzić się z losem i mieć to już za sobą?

Po raz pierwszy się zawahał. Poznała to po ledwie dostrzegalnym mrug¬nięciu oka. Nacisnęła mocniej.

- To ma jakiś związek z dziadkiem pana Powella i z jego karierą woj¬skową, prawda? No więc, o co chodzi?

- To była niesprawiedliwość! - Słowa, które wyrwały się z zaciśnię¬tych ust Beverly'ego, pełne były takiej nienawiści, że Evelyn oniemia¬ła. - To podłość! Ten stary bydl… tyran nie miał o niczym pojęcia!

- Doprawdy? - zachęciła go delikatnie do dalszych wynurzeń.

To nie była jedna z utarczek słownych, do których oboje przywykli. Po raz pierwszy Beverly mówił z nią szczerze.

- Jedenaście lat temu, podczas świąt Bożego Narodzenia, pan Justin oznajmił całej rodzinie, że odchodzi z wojska - powiedział kamerdyner. -

Generał Harden nawet nie czekał, aż wnuk skończy. Zerwał się z miejsca

i zaczął wrzeszczeć: „Mogłeś honorowo paść w boju! Ale ty chcesz żyć, co? Śmierdzący tchórzu!" Od tej pory słowem się nie odezwał do pana Justina.

Evelyn wpatrywała się w Beverly'ego, nie wierząc własnym uszom. Dziadek nazwał Justina tchórzem w obecności całej rodziny?!

- To okropne!

Beverly spojrzał na nią.

- Nie powinienem był o tym mówić. Karygodny brak dyskrecji. Pan Powell bardzo by się gniewał. Zwierzyłem się pani, lady Evelyn, bo mam wrażenie, że pani rozumie go lepiej niż inni.

- I nigdy się nie pogodzili? To straszne! Justin z pewnością nadal się tym zadręcza - mówiła Evelyn, potrząsając smutnie głową.

- Proszę się tak nie przejmować, lady Evelyn. Pan Powell nie należy do tych, co tracą czas na rozpamiętywanie dawnych krzywd! Ma zbyt silny charakter, by przeklęty stary bigot mógł go złamać. Zresztą, to już stare dzieje.

Uśmiechnęła się smutno. Na ustach Beverly'ego pojawił się także uśmiech, co prawda tylko na sekundę. Potem kamerdyner odchrząknął znacząco.

- A teraz, lady Evelyn, jeśli to już koniec przesłuchania, może mógłbym wrócić do swoich obowiązków?

I nie czekając na jej odpowiedź, oddalił się pospiesznie. Evelyn podążyła za nim nieco wolniejszym krokiem. Zastanawiała się, czy Justin rzeczywiście miał za nic opinię swego dziadka generała. Interesujący problem!

Evelyn zawsze mogła liczyć na pełną aprobatę, podziw, a nawet szacunek ze strony całej rodziny. Gdyby pozbawiono ją tego oparcia, cóż by jej pozostało?

Na samą myśl o tym poczuła dreszcz strachu. Nie może stracić dobrej opinii! Nie może sobie pozwolić na kolejną porażkę! Nie może zawieść rodziny, ciotki Agathy, pani Vandervoort! Ale przecież wszystko idzie jak po maśle.

Pragnąc uspokoić się do reszty, Evelyn przeszła do sali bankietowej i oceniła pozytywnie zmiany, których dokonano na dziedzińcu. Chwasty zostały wyrwane, kamienne płyty wyszorowano. Porośnięte mchem wazy pozostawiono w spokoju ze względu na ich romantyczny wygląd. Nie¬wielką sadzawkę wyszlamowano i napełniono czystą wodą, w której pły¬wały karpie o złotych łuskach. Kilku ogrodników gorliwie upiększało kwitnącymi roślinami brzegi sadzawki, nad którą wznosił się misterny, łukowaty mostek, pośrodku nawet ocieniony daszkiem. Wszystko zapowiada się doskonale. Sukces murowany!

- Znowu ta szara, wełniana kiecka?! - rozległ się głos Merry.

Evelyn odwróciła się. Stojąca na tle francuskiego okna przyjaciółka machała do niej ręką.

Bogu dzięki, mimo swych słabostek Merry miała ogromne poczucie obowiązku. Nie tylko ukończyła ślubną suknię pani Vandervoort, ale prawie się już uporała z welonem. Wczoraj dostarczono - przed terminem - jedwabny plusz, niezbędny do dekoracji bankietowego stołu. Materiał był nieco zmięty. Justin przyznał się, że przez pomyłkę otworzył paczkę i nawet w niej grzebał. Tłumaczył się tym, że również oczekuje jakiejś przesyłki.

- Wybieram się do miasteczka, Merry - oznajmiła Evelyn, puszczając mimo uszu nietaktowną uwagę Francuzki. - Na rowerze. Przywieźć ci jeszcze coś ze sklepu?

- Przydałoby się z pięćset sztuk krawieckich szpilek.

- Doskonale! Za godzinę powinnam być z powrotem.

- Nie spiesz się, Evelyn! Zasłużyłaś sobie na mały odpoczynek - zawołała Merry za oddalającą się podopieczną.

Wróciła do swej pracowni i opadła na stołek. Potrząsała smętnie głową i czyniła dramatyczne gesty, dając wyraz rozpaczy.

- Żeby choć raz włożyła którąś z sukien, jakie jej uszyłam!

- Kto taki?

Buck wkroczył do pracowni, tuląc w ramionach kilka bel materiału. Pozbył się tego brzemienia i podszedł do Merry.

- Lady Evelyn. Biedna gołąbeczka! Pewnie byś nie uwierzył, ale w moich kreacjach wyglądałaby…

Francuzka nie dokończyła zdania, tylko ucałowała koniuszki palców i przymknęła oczy z wyrazem ogromnej satysfakcji. Była dumna ze swego dzieła!

- Jak cukiereczek, no nie?

- Cukiereczek! - powtórzyła z niesmakiem Merry. - Niech się schowają te twoje cukiereczki! Wyglądałaby… jak bogini miłości! - Spojrzała w zamyśleniu na Bucka. - Zauważyłeś, że sobie zawróciła głowę panem Powellem? Co ona w nim widzi?! Ani odrobiny szyku!

Prawdę mówiąc, Buck niczego nie zauważył, ale nie zamierzał przyznać się do tego pannie Merry.

- No, pewnie… biedulka!

- Ona wcale nie musi nosić tych okropnych okularów, wiesz? - szepnęła tajemniczo Merry.

- Co ty powiesz? - wykrzyknął Buck, udając wielkie zainteresowanie. - To po jakie licho je wkłada?!

- Mówi, że bez nich czuje się naga… Och! - Zakryła usta ręką i zachichotała. - Co też ja wygaduję?! To nieprzyzwoite!

- Nie szkodzi! - burknął.

Merry odłożyła atłasowy stroik, nad którym pracowała, i zerknęła na swego rozmówcę.

- Ta gąska nie ma pojęcia o postępowaniu z mężczyznami! Myśli, że pan Powell szuka w niej przyjaciela, z którym można pożartować! - Skrzywiła się z pogardą. - Ale jak jej to wybić z głowy? Co począć?!

Buck uprzejmie potakiwał, ale w gruncie rzeczy nie słuchał jej paplaniny. Za to z wyraźnym upodobaniem obserwował samą Merry. Wierci się na stołku… O, spódnica jej się zadarła… Ale nóżki!

- Każdy z was potrzebuje ładnej kobietki, którą mógłby się pochwalić przed kolegami - prawiła Merry. - I nie za mądrej, żeby nie musiał się zanadto wysilać.

Zwróciła wielkie brązowe oczy na swego towarzysza.

- Mam rację, panie Newton?

- A jakże, panno Merry!

Pochylił się i pocałował ją.

Przez następną godzinę nie było mowy o dalszej konwersacji.

# *9*

Evelyn nacisnęła energicznie na pedały swego roweru i ruszyła do pobliskiego miasteczka Henley Wells. Choć trochę liczyła na to, że już w parku ujrzy wyłaniającego się zza ozdobnych krzewów Justina, nie spotkała po drodze nikogo z wyjątkiem dwóch bardzo spokojnych krów, które na jej widok uniosły łby i gapiły się na mijającą je cyklistkę. Popołudnie idealnie nadawało się na taką przejażdżkę. Jabłonie w sadach okryły się kwieciem, którego zapach unosił się w rześkim wiosennym powietrzu.

Nad głową Evelyn flotylle białych obłoków żeglowały po niebieskim oceanie.

Evelyn przepadała za jazdą na rowerze. Ślizgała się po powierzchni ziemi, a równocześnie unosiła się nad nią dzięki sile własnych mięśni i energii nóg, rytmicznie naciskających pedały. Gdy pochylała się nad kierownicą, słyszała za sobą szelest trzepoczących na wietrze wstążek kapelusika. Ale miła przejażdżka wkrótce dobiegła końca. Evie objechała dookoła wzgórze i znalazła się w Henley Wells.

Zostawiła rower przed sklepem z pasmanterią i poprawiwszy przekrzywiony kapelusik, weszła do środka. Po kilku minutach wynurzyła się stamtąd z niewielką paczką, owiniętą w papier. Przytroczyła ją do przedniego zderzaka i już miała wyruszyć w drogę powrotną, gdy zażywny zawiadowca stacji, pan Silsby, wyłonił się ze swego biura i zawołał do niej.

- Lady Evelyn! Mogę prosić na minutkę?

Zaintrygowana Evie przeprowadziła rower na drugą stronę ulicy.

- Dzień dobry, lady Evelyn! Bardzo jestem wdzięczny, że zechciała pani do mnie zajrzeć - powitał ją pan Silsby, ocierając twarz kolorową chustką w drobny wzorek. - Cieszę się, że udało mi się panią złapać! Popołudniowy pociąg jakoś się dzisiaj spóźnił. Były w nim cztery skrzynie dla pani… tak mi się przynajmniej zdaje. Nie jestem całkiem pewny.

- Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

- No cóż… na wszystkich jest wyraźny adres: North Cross Abbey. Ale brak nazwiska nadawcy i odbiorcy.

- Może to dla pana Powella?

- Co to, to nie! - Zawiadowca wetknął chustkę do kieszeni służbowej kurtki. - Na wszystkich jego paczkach stoi jak wół: „Do rąk własnych pana Justina Powella".

- A zatem pomyłka w adresie - mówiła właśnie Evelyn, gdy drzwi się otwarły i do budynku stacyjnego wszedł sympatyczny krępy blondyn w filcowym kapeluszu.

- Adres jest wyraźny: North Cross Abbey - zaoponował pan Silsby. - A pani jest jedyną osobą w okolicy, do której ciągle przychodzą jakieś skrzynie i tak dalej.

- Ale w tej chwili nie oczekuję żadnej przesyłki. Poprzednio zamó¬wione towary już dostarczono, a moje wczorajsze zamówienie nie mogło zostać zrealizowane w ciągu jednego dnia!

Nieznajomy w filcowym kapeluszu podszedł bliżej i czekał cierpliwie na swoją kolej. Pan Silsby wzruszył ramionami.

- Nie umiem na to odpowiedzieć. Ale na skrzynkach stoi wyraźnie: North Cross Abbey, więc - po mojemu - trzeba je tam odwieźć. Może pani sama rzuci na nie okiem?

- No, dobrze - zgodziła się Evelyn.

Blondyn skoczył ku drzwiom, by otworzyć je przed damą. Zwróciło to uwagę zawiadowcy.

- A, pan Blumfield! Mam coś i dla pana. Mógłby pan chwilę zacze¬kać? Potrzebny mi pański podpis na pokwitowaniu.

- Bardzo proszę - zgodził się mężczyzna. - To się rozumie, damy mają pierwszeństwo.

Mówił z cudzoziemskim akcentem i troszkę kaleczył angielski. Evelyn uśmiechnęła się mile, gdy z uprzedzającą grzecznością zdjął kape¬lusz i nisko się skłonił. Jaka szkoda, że Justin, wyrzekając się grzechu, wyzbył się równocześnie dobrych manier! Okazuje się, że nawet uwodzi¬ciele mają pewne zalety. Ale ten młody człowiek wcale nie wyglądał na uwodziciela. Był taki nieśmiały, subtelny i bardzo sympatyczny.

Panowie przepuścili ją, więc weszła pierwsza do magazynu. Pod ścia¬ną stały cztery duże skrzynie, a za nimi jakieś dość płaskie, bardzo długie pudło.

- To dla pana, panie Blumfield - powiedział zawiadowca, wskazując ruchem głowy owo drewniane pudło. Potem zwrócił się do Eveline. - Wi¬dzi pani, lady Evelyn? Postukał palcem w wieko jednej ze skrzyń. - Czarno na białym. North Cross Abbey. Henley Wells, Wschodnie Sussex.

- To z pewnością nie dla mnie, więc musi być dla pana Powella. Po¬wiem mu, żeby kogoś przysłał po te skrzynie.

Zawiadowca wyjął zegarek z kieszeni i wymownie postukał w tarczę.

- No i mamy kłopot! Dostałem ścisłe instrukcje od pana Powella - jeśli przyjdzie jakaś przesyłka na jego nazwisko, natychmiast mam go powiadomić. Odbierze ją osobiście albo przyśle swego kamerdynera. Ale na tych skrzyniach nie ma jego nazwiska. Pani mówi, że to nie do niej. A budynek stacyjny muszę zamknąć za pół godziny.

- Wobec tego pan Powell odbierze skrzynie jutro.

- Obawiam się, że przyjdzie mu czekać do poniedziałku. Jutro wybie¬ramy się z żoną do jej mamuśki, a pojutrze jest niedziela.

- Evelyn miała nadzieję, że skrzynie nie zawierają czegoś, co byłoby Justinowi natychmiast potrzebne. Spytała z wahaniem:

- Może mógłby pan zamknąć dziś stację nieco później?

- Moja Elsie obdarłaby mnie ze skóry! Dzisiaj piątek. -Na widok zdu¬mionej twarzy Evelyn wyjaśnił: - Kolacja nie może czekać!

Gdzież bym śmiała stanąć między tym zacnym człowiekiem a piątkową kolacją? - pomyślała Evelyn, mierząc okiem okazałą talię zawiadowcy.

- Proszę wybaczyć…

Evelyn i Silsby obejrzeli się jak na komendę. Pan Blumfield po raz wtóry zdjął kapelusz i obracał go w rękach.

- Niechcący podsłuchałem. Rozumiem, że młoda dama jest w kłopo¬tach?

- Nie, nie! To tylko drobna niedogodność.

- I to ma coś wspólnego z transportem tych skrzyń?

- Tak.

- Ale ja mogę zaradzić! - Uśmiech dodał uroku jego pospolitej twa¬rzy. - Mam tu bryczkę, żeby przewieźć moją przesyłkę. Będę zaszczyco¬ny, jeśli pani pozwoli sobie pomóc.

- Bardzo pan miły, ale nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości!

- To żadne nadużycie! Może pani się waha, bo nikt nas nie przedstawił jak należy? Wobec tego ja nas przedstawię! Jestem Ernst Blumfield i z mo¬im bratem Gregorym wynajmujemy uroczy domek od państwa Cookesów. A pani jest lady Evelyn Cummings Whyte z North Cross Abbey, tak?

- Skąd pan wie? - zdziwiła się Evelyn.

Zmieszał się i wbił wzrok w podłogę. Zupełnie ją to rozbroiło.

- Bo czasem panią widzę, lady Evelyn, jak jestem na spacerze do opactwa. I ośmieliłem się popytać o panią.

Znów podniósł na nią oczy. Przypominał spaniela, który doprasza się, żeby go pogłaskać.

- Więc pani widzi, że to będzie dla mnie wielka radość okazać małą pomoc. - Spojrzał na ustawione pod ścianą skrzynie. - Tylko się oba¬wiam, że mi nie starczy bryczki na to wszystko. Może na dwie. I pani rower też się wtedy zmieści.

- Jest pan pewien, że nie sprawię zbyt wiele kłopotu?

- Żadnego kłopotu! - Twarz Ernsta Blumfielda zajaśniała radością. Włożył znów kapelusz. - Jeśli łaska, panie Siliby… Może ktoś to zała¬duje na mój wóz?

- A jakże! - Zawiadowca otworzył drzwi i wrzasnął: - Są paki do załadowania! Kto chce zarobić parę groszy? - W chwilę później do magazynu wślizgnęło się dwóch wyrostków z takimi minami, jakby spodziewali się raczej aresztowania niż łatwego zarobku.

Podczas gdy młodzieńcy przenosili skrzynie na wóz, Ernst zajął się rowerem Evelyn i umieścił go z tyłu za siedzeniem. Potem ukłonił się jej i gestem zaprosił, by zajęła miejsce.

Był taki dobrze wychowany, pełen szacunku i skromności! A jego ubranie miało doskonały krój i uszyto je z porządnego materiału, choć nie rzucało się to od razu w oczy.

Podsadził Evelyn na ławeczce i wsiadłszy zaraz po niej do bryczki, sprawdził, czy wszystkie pakunki zostały ułożone jak trzeba. Potem cmoknął na kuca i opuścili stację.

- Dziś wspaniały dzień na jazdę rowerem - odezwał się po upływie kilku minut. - Ja też jestem do tego zapalony. Prawdę mówiąc, w tym pudle z tyłu jest mój najnowszy nabytek. To rower.

- Doprawdy? - zainteresowała się Evelyn.

Przytaknął z wyraźnym entuzjazmem.

- Co za zbieg okoliczności! Ciekawam, jaki typ roweru najbardziej panu odpowiada? Ja również chciałabym kupić sobie nowy.

Pan Blumfield znowu się uśmiechnął, wyraźnie mu pochlebiło, że Evelyn pragnie zasięgnąć jego opinii.

- Jestem bardzo chętny do wszelkiej pomocy. I informacji. Wystarczy spytać.

- Ach, tak? No to zacznę od razu. Czy to rower amerykańskiej produkcji? Słyszałam, że…

Droga powrotna szybko im minęła. Ernst znał się doskonale na rowerach i zasięgnął informacji z wielu źródeł, nim zdecydował się na dursleya pedersona. Evelyn od dawna pragnęła zobaczyć to cudo. Było to nie tylko najnowsze, ale i najkosztowniejsze osiągnięcie w tej dziedzinie.

Z takim ożywieniem dyskutowali na temat zalet i wad nowoczesnej konstrukcji tego modelu, że ani się spostrzegli, jak dotarli do North Cross Abbey. Ernst ściągnął lejce, koń stanął.

- Już jesteśmy na miejscu! - oznajmił Niemiec.

- Rzeczywiście! - zdziwiła sięEvelyn.

Blumfield wyskoczył z bryczki i rozejrzał się dokoła. Nie znalazł odpowiedniego miejsca do uwiązania kuca.

- Może pani łaskawie poczeka z koniem, to poszukam kogoś do wyładowania skrzyń?

- Oczywiście - zgodziła się Evelyn.

Ujęła cugle, choć powątpiewała, czy stojący ze zwieszoną głową i machający leniwie ogonem kuc zamierza umknąć i wymaga jej opieki.

Od niechcenia trzepnęła lejcami, by odpędzić natrętną muchę. Miała ochotę spytać pana Blumfielda, czy mogłaby obejrzeć jego nowy rower, gdy zostanie już odpakowany, ale może to nie wypada?

- O czym tak dumasz? Planujesz zamach stanu?

Zaskoczona rozejrzała się dokoła. Justin wynurzył się właśnie z lasu. Marynarkę przerzucił sobie przez ramię, z szyi zwisała lornetka, koły¬sząc się na pasku.

- A, to ty, Justinie?

- Cześć, Evie! - Podszedł z boku do wozu, wyjął jej z rąk lejce i owinął je wokół hamulca. - Chcesz wysiąść?

Skinęła głową z roztargnieniem, wstała z ławki i pochyliła się, opierając dłonie na szerokich barkach Justina. Poczuła ciepło jego ciała i świeży, miły zapach okrywającego je płótna, bielonego na słońcu. Objął ją w talii i uniósłszy wysoko, rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby ją postawić.

Zawieszona między niebem a ziemią Evelyn czekała cierpliwie.

Nieraz się już zdarzało, że Justin brał ją na ręce, choć zupełnie by wystarczyło podeprzeć ją ramieniem. Znała go już dość dobrze i doszła do wniosku, że po prostu nie dostrzegał różnicy między podparciem kogoś, kto traci równowagę, a wzięciem tejże osoby w ramiona. Jedno i drugie było dla niego niewiele znaczącym przyjaznym gestem. Chwilami naprawdę wyglądał na - jak to określiła kilka tygodni temu jej matka - nieobecnego duchem.

Z początku taka poufałość nieco krępowała Evelyn. Wkrótce jednak doszła do wniosku, że to tylko jeden z przejawów nieuznającej ziemskich reguł natury Justina, podobnie jak niedbały ubiór, rozczochrane włosy i niefrasobliwe zachowanie. Protestując gwałtownie przeciw takim przy¬jacielskim gestom, wyszłaby na głupią, pruderyjną starą pannę.

Co się zaś tyczy podnoszenia jej do góry… No cóż… Justin, choć robił wrażenie niezgrabiasza, był wyjątkowo silny. Dotarł teraz z Evelyn do trawnika, postawił ją na ziemi i zajrzał jej w twarz.

- O co chodzi? - spytała, dotykając odruchowo policzka. Przemknęło jej przez myśl, że odbyła w towarzystwie pana Blumfielda podróż z Henley Wells do North Cross Abbey z brudną smugą na twarzy. - Na co się gapisz?

Przysunął się jeszcze bliżej i pochylił tak, że ich oczy znalazły się na jednej linii. Czuła na twarzy jego ciepły, świeży oddech. Chyba żuł liście mięty.

- Masz błoto na nosie… a może to tylko piegi?

- Nie mam żadnych piegów!

Zareagował śmiechem na ten wybuch oburzenia. Oczy mu się

Wydawał się niedbały i dobroduszny jak zawsze. Mimo to Evie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wbrew pozorom jest… - szukała odpowiedniego słowa - groźny. Wcale na to nie wyglądał, ale był groźny, czuła to.

Co też jej przyszło do głowy? Kompletna bzdura! Justin Powell groźny?! Ten nieszkodliwy dziwak, uganiający się za ptakami? Ten wiecznie roztargniony, niefrasobliwy obibok? Eksuwodziciel, który wyrzekł się grzesznych namiętności, by oszczędzić sobie fatygi?!

Groźny, akurat! Widać tanie powieści grozy, których pełno w bibliotece, mają na nią zły wpływ.

- Pozwól, Justinie, to nasz sąsiad, pan Ernst Blumfield - oznajmiła. - Był tak uprzejmy, że podwiózł mnie i te dwie przesyłki - tu wskazała na skrzynie - do North Cross Abbey.

- Doprawdy? - mruknął Justin.

- I wybawił mnie z wielkiego kłopotu. Pan Silsby uprzedził, że zamyka swoje biuro na kilka dni. Na stacji zostały dwie skrzynie, ale będzie można je odebrać dopiero w poniedziałek.

- Pewnie wolałabyś dorwać się do nich jeszcze dziś, Evie?

- Chyba nie są przeznaczone dla mnie - wyjaśniła i choć nic w wyrazie twarzy ani w zachowaniu Justina na to nie wskazywało, mogłaby przysiąc, że jej słowa zaskoczyły go. - Myślałam, że to coś dla ciebie.

Wzruszył ramionami.

- Bardzo wątpię. Chociaż... W jednej ze skrzyń może być zamówiony przeze mnie zestaw do preparowania i wypychania ptaków. Dziwne, że dostarczono go tak szybko! No, cóż... jestem bardzo zobowiązany, panie Blumfield.

- Chcesz tu preparować i wypychać martwe ptaszyska?! - jęknęła Evelyn. - Jeśli myślisz, że wyszorowałam tę ruderę od piwnicy po strych po to, żeby śmierdziało w niej różnymi klejami, kwasami i...

- Hamuj się, Evie - przerwał jej Justin i zerknąwszy na Ernsta, dodał: - Nie przy Kinder. Żadnych kwasów nie będzie, słowo oficerskie!

Odetchnęła z ulgą, ale zaraz potem spostrzegła minę Ernsta. Był kompletnie zdezorientowany. Czym prędzej skierowała rozmowę na bezpieczne, zrozumiałe dla wszystkich tematy.

- Pan Blumfield wynajął wraz ze swym bratem niewielki domek w pobliżu North Cross Abbey. Niestety, brat pana Blumfielda niedomaga. Zalecono mu pobyt na angielskiej wsi - duża wilgotność powietrza, rześkie wieczory i ciepłe wiosenne dni powinny przyspieszyć jego powrót do zdrowia.

- Poważnie? No to wiwat mokre nocki, wiwat dzienny żar! - skandował niemal Justin, kiwając głową do taktu. Evelyn miała ochotę go udusić.

- A to, panie Blumfield, właściciel North Cross Abbey. Pan Justin Powell - dopełniła prezentacji.

Ernst wyciągnął rękę, Justin potrząsnął nią.

- Bardzo się cieszę, że mogę wreszcie pana poznać, panie Powell. W Henley Wells wszyscy wyrażają się o panu z najwyższym uznaniem.

- I nie dziwota! - zauważył od niechcenia Justin. - Jak tylko się pokażę w tej dziurze, cała miejscowa hołota ciągnie za mną i nachalnie się doprasza o kielicha!

Ernst zaczerwienił się. Swoiste poczucie humoru Justina było mu równie obce jak angielskie idiomy, którymi sypał Powell.

- Każdy o panu mówi tylko dobrze, sir. Pańska rodzina jest wysoce czcigodna... Niezmiernie poważana.

- Musiał pan pytlować z tubylcami tuż po zamknięciu karczmy! Jak są pod dobrą datą, gotowi się bratać z byle kim - podsumował Justin.

- „Pytlować"? Pod jaką datą? Nie bardzo rozumiem - odparł Ernst

i obejrzał się na Evelyn w nadziei, że go oświeci.

- Pan Powell popisuje się, jak zwykle. Proszę nie zwracać na niego uwagi! Nie miał nic złego na myśli - wyjaśniła Evelyn. - Bywa niegrzeczny dla każdego, kto wyrazi się z szacunkiem o jego rodzinie. Wmawia sobie, że to świadczy o jego skromności. W gruncie rzeczy jest nadętym pyszałkiem i uważa się, Bóg wie czemu - obrzuciła wymownym spojrzeniem rozpiętą koszulę, podwinięte rękawy i zdarte buty Justina - za wybitną osobistość!

Podczas gdy Evelyn udzielała wyjaśnień z coraz większym zapałem, Justin stał oparty o bryczkę i uśmiechał się zachęcająco. Biedny Ernst był już całkowicie zdezorientowany. Spojrzał znów błagalnie - tym razem na Justina.

- Przejrzała mnie na wylot! - przyznał Justin z niezmąconym spokojem.

- Czy pan jest jej bratem?

- Skądże znowu?! Uchowaj Boże! - zaprzeczył gwałtownie Justin. Urażona duma Evelyn zapiszczała z bólu, ale dziewczyna nawet nie mrugnęła okiem.

- Oczywiście, że nie! - podtrzymała protest Justina.

Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.

- Ja też nie byłem tego zdania - wyjaśnił Ernst - ale pan ją traktuje tak... tak...

- …bez ceregieli, jak rodzony brat?

- Tak. Właśnie tak - odparł Blumfield.

- Nie łączą nas żadne więzy krwi - stwierdził Justin ze szczególnym naciskiem.

Evelyn poczuła, że oblewa się gorącym, zdradzieckim rumieńcem. Jak mogłaby nie zrozumieć tej aluzji?

- O, tak! Łączą nas jedynie wspólne interesy. - Dotarło do niej, że podobny układ musi wydawać się bardzo dziwny komuś o tak staroświeckich poglądach jak Ernst Blumfield. - Jestem tu, oczywiście, z przyzwoitką - zakończyła, spuszczając skromnie oczy.

- Doprawdy? - spytał Justin tak sceptycznym tonem, że Evelyn znów miała ochotę go udusić. - Kogo masz na myśli?

- Merry - syknęła przez zaciśnięte zęby.

- A, Merry. Nie miałem pojęcia, że jest twoją przyzwoitką. Sądząc z te¬go, jak się obściskują z Buckiem, powiedziałbym, że niezbyt się nadaje...

- Ha, ha! - roześmiała się sztucznie Evelyn, przerywając mu w środ¬ku zdania. - Pan Powell to wielki dowcipniś!

- Kto, ja? Skądże znowu! Za to Merry...

Z szelestem halek Evelyn odwróciła się do niego tyłem. Wsparłszy się na ramieniu pana Blumfielda, zdołała go odciągnąć od Justina, zanim wyskoczy z nową koszmarną rewelacją.

Ernst rozpromienił się.

- Lady Evelyn, może uczyni mi pani ten zaszczyt, żeby przyjść jutro

po południu do naszego domku i obejrzeć rower?

- Bez przyzwoitki?! - rozległ się tuż za nimi głos Justina. Ten łajdak następował im na pięty! - Myślisz, stary, że ci się uda taki numer? Po moim trupie!

Ernst zaczerwienił się jak burak, a Evelyn, upokorzona karygodnym zachowaniem swego rodaka wobec cudzoziemca, ruszyła natychmiast do ataku.

- Masz robaczywe myśli! - ofuknęła Justina i zwróciła się do Ernsta ze słowami: - Miałam nadzieję, że mnie pań zaprosi, panie Blumfield!

Ale Ernst nie zwracał na nią uwagi. Spoglądał na Justina z wyraźną skruchą.

- Popełniłem straszne faux pas! Nie do wybaczenia. Oczywiście, lady Evelyn nie może składać wizyt kawalerom bez przyzwoitki. Jakie to szlachetne, pan tak broni jej reputacji!

- Chcę wierzyć, że nie miał pan złych zamiarów - oświadczył wielkodusznie Justin.

*Tego było już za wiele!*

- Ciekawa jestem, w którym momencie - zwróciła się Evelyn do Ernesta lodowatym tonem i z nieskazitelną dykcją, co było, jak dobrze wiedzieli jej najbliżsi, wyraźną oznaką nadciągającej burzy - zorientował się pan, że postradałam zmysły?

Ernst zrobił wielkie oczy.

- Ależ, lady Evelyn!...

- Najwidoczniej doszedł pan do wniosku, że nie jestem w stanie podejmować samodzielnych decyzji i ktoś musi mnie w tym wyręczać!

- Ja... Ja tylko...

Nie ulegało wątpliwości, że pan Blumfield nie opanował jeszcze języka angielskiego na tyle, by dotarł do niego sens tej sarkastycznej wypowiedzi.

Zorientował się jednak, że Evelyn jest na niego zła, więc spoglądał na nią zbolałym wzrokiem.

- Może lepiej ja jutro przyjadę na rowerze do pani?

*O Boże!*

Zdławiła wzbierającą w niej irytację. Przekonała się już, że w kontaktach z dziećmi nie warto wpadać w złość. Wyglądało na to, że z mężczyznami jest kropka w kropkę tak samo.

- Doskonale, niech pan przyjedzie tutaj. Nie powinnam odrywać się na dłużej od przygotowań do weselnego bankietu.

Justin uśmiechnął się lekceważąco. Ernst odetchnął z ulgą.

- Wspaniale! Już się na to cieszę. Ogromnie. Ale teraz muszę się pożegnać, brat na mnie czeka. Miło mi było pana poznać, panie Powell.

Złożył oficjalny ukłon.

W odpowiedzi Justin przytknął dwa palce do czoła, jakby salutował. Evelyn marzyła o tym, by potrząsnąć nim z całej siły. Wyobraziła to sobie tak dokładnie, że osłupiała, gdy Ernst chwycił ją nagle za obie ręce i przycisnął je do swej piersi.

- A zatem do jutra, lady Evelyn! Pozwolę się pożegnać. Adieu!

- Co takiego? Ach, tak... - Uśmiechnęła się do niego. - Adieu!

Nie puścił jej rąk, nadal stał, patrząc jej w oczy.

- Tak się cieszę z naszego poznania!

- Ja też.

- Szkoda, że mój brat nie mógł pani poznać. Byłby oczarowany jak ja.

- Ten brat, co tak na pana czeka? - spytał dobitnie Justin.

- Tak. Gregory. Zapomniałem, że czeka. - Puścił jej ręce. - Do jutra!

Wspiął się na wóz, trzepnął lejcami i pomachał ręką.

- Do widzenia!

- Do widzenia! - powtórzyła Evelyn i też mu pomachała.

Justin odsunął się od wozu i uniósł rękę w pożegnalnym geście.

- Prusak, ani chybi! - mruknął pod nosem, spoglądając za odjeżdżającym.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Evelyn, odwracając się do niego i biorąc się pod boki.

- Prusak nigdy się nie wyniesie, zanim co najmniej sześć razy nie powtórzy „do widzenia". Widocznie cecha narodowa. - Uśmiechnął się, wyraźnie zachwycony swą nową teorią. - Jeśli spojrzeć na sprawę pod tym kątem, wyraźną niechęć pana Blumfielda do odwracania się plecami można potraktować jako rezultat wpajania pewnych zasad całym pokoleniom jego rodaków.

Teoria Justina zaciekawiła Evelyn.

- Jakich zasad?

Uśmiechnął się szeroko, bardzo z siebie zadowolony.

- Bardzo prostych. Na przykład: „Nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe". A w tym konkretnym przypadku: „Nigdy nie odwracaj się pierwszy, bo ten drugi wbije ci nóż w plecy!"

- Ten drugi to oczywiście ty? - zagadnęła słodko.

Justin wybuchnął śmiechem, Evelyn po sekundzie zawtórowała mu. Nie mogła się powstrzymać. Justin zawsze potrafił ją rozbroić.

- Jakiś ty głupi, Justinie! - powiedziała niemal czule i potrząsnęła głową.

Nie czekając na jego odpowiedź, wbiegła na schody.

- Wiem, Evie - powiedział cicho, spoglądając za odchodzącą. - Dobrze o tym wiem!

# *10*

Justin spoglądał w zadumie za odchodzącą Evelyn.

Wiedział już, że Blumfieldowie przebywali w domku Cookesów od niespełna dwóch miesięcy. Równie długo jak on w North Cross Abbey. W żaden sposób nie mogli więc być agentami obcego wywiadu, usiłującymi przechwycić diabelską machinę Bernarda. Gdy wynajmowali domek, Justin nie ustalił jeszcze miejsca, dokąd miała dotrzeć przesyłka. Logicznie rzecz biorąc, bracia Blumfield musieli więc być nieszkodliwymi cudzoziemcami, za których uchodzili. Ale agenci tego czy innego wywiadu nie zawsze kierują się zasadami logiki. A ostatnio Justin żył w coraz większym napięciu. Instynkt ostrzegał go, że coś tu jest nie tak!

Z pozoru wszystko było w najlepszym porządku. Najmniejszych oznak niebezpieczeństwa. Prawdę mówiąc, rzadko kiedy otrzymywał równie proste i bezpieczne zadanie. A jednak... jednak...

Wszystko przez to niekończące się oczekiwanie! Tak mu działało na nerwy, że gotów był rzucić się z pięściami na ulotne cienie... albo na cudzoziemskich sąsiadów.

Ale całkiem możliwe, że oczekiwanie dobiega końca i w jednej z tych skrzyń znajduje się (daj to, Boże!) diabelska machina. Najwyższy czas, by się wreszcie zjawiła! Wiedziony tą nadzieją Justin udał się na poszukiwanie Beverly'ego. Znalazł go na tyłach domu. Kamerdyner nadzorował instalowanie w kuchni nowoczesnego pieca.

Wkrótce po tym, jak Justin wstąpił do wojska, Beverly został po cichu wcielony do tego samego regimentu. Postarała się o to babka Justina, która niewysoko oceniała instynkt samozachowawczy wnuka i jego szanse przetrwania w warunkach bojowych.

Od tej pory Beverly nie odstępował Justina. Doskonale dopasowali się do siebie. A jeśli nawet Beverly'ego zaskoczyło odkrycie, że jego młody pan - z pozoru niefrasobliwy i wygodnicki - odznacza się niezłomnym charakterem i wybitną inteligencją, zachowywał się tak, jakby niczego innego się po nim nie spodziewał. Ze swej strony Justin przekonał się niebawem, że talenty Beverly'ego nie ograniczają się do wzorowego wypełniania obowiązków ordynansa czy kamerdynera.

Nie znaczy to jednak, że przeżywane wspólnie z „panem Justinem" tajemnicze, ekscytujące i ryzykowne przygody stępiły w Beverlym zwykłe poczucie obowiązku. Ani na chwilę nie zapomniał, że jest kamerdynerem. Nie zmieniły również jego osobowości. Jak zawsze był ponurakiem, wrogiem kobiet i miał osobliwe poczucie humoru.

- Beverly, idź do stajni i każ zaprzęgać do bryczki.

Kamerdyner rzucił mu męczeńskie spojrzenie.

- Do stajni, sir? Między końskie kopyta i odchody?

- Patrz pod nogi i tyle.

- Serdeczne dzięki za dobrą radę, ale biorąc pod uwagę stan pańskiej i mojej garderoby - tu zmierzył Justina wzrokiem od stóp do głów i wstrząsnął się lekko - czy nie byłoby lepiej, gdyby pan sam dopilnował wykonania swoich rozkazów?

- Nie. Ja muszę zajrzeć do skrzyń, które nam właśnie dostarczył nowy amant Evie. Od czasu do czasu zerknę przy tym przez frontowe okno, na wszelki wypadek. A nuż się okaże, że pan Blumfield musi wrócić do Henley Wells, bo czegoś tam zapomniał? Na przykład skrzyń - dodał z sarkazmem. - Nie wygląda na tajnego agenta obcego mocarstwa, ale zbyt często sam odgrywałem nieszkodliwego durnia, by ufać pozorom!

- Natura obdarzyła mnie doskonałym wzrokiem, sir, więc może bym...

- Lepiej nie wspominaj o swoim wzroku! Jesteś ślepy jak kret. Ot, choćby teraz - mrużysz oczy i zezujesz!

- To tylko nerwowy tik, sir.

- Nic dziwnego, że Evie otrząsa się na twój widok!

- Doprawdy?

- Jeszcze jak!

- Jak to uprzejmie z jej strony, że mnie w ogóle dostrzega!

- Dość tego, Beverly! Przestań sobie ostrzyć zęby na tej młodej damie. Do stajni, powiedziałem!

- Tak jest, sir - odparł Beverly i skłonił się z godnością.

Justin udał się do biblioteki, którą Evelyn wykorzystała jako skład powiększających się z dnia na dzień zapasów, tkanin i rekwizytów. Przyjrzał się uważnie obu skrzyniom. Były wielkie i solidnie wykonane. Znalazł młotek z pazurem i w pięć minut podważył oba wieka. Za każdym razem oczekiwał, że wewnątrz ujrzy mniejszą, jeszcze lepiej zabezpieczoną skrzynkę. Zamiast tego znalazł mnóstwo damskiego bagażu. Kufry i walizy ozdobione były literami E.C. Odgadł bez trudu, że to monogram pani Vandervoort, a raczej przyszłej lady Edith Cuthbert.

Niestety, w żadnej ze skrzyń nie kryło się nic, co mogłoby podnieść na duchu przyszłego odbiorcę piekielnej machiny. Co prawda, w Henley Wells czekały na odbiór jeszcze dwie skrzynie. Nie powinien zakładać z góry, że w nich również znajdzie część ślubnej wyprawy pani Vandervoort. Skończył właśnie przybijać z powrotem drugie wieko, gdy zjawił się Beverly.

- To zwierzę czeka już przed domem.

- Doskonale! - odparł Justin, zmierzając do wyjścia.

Wsiadł do bryczki i cmoknął na konia, który ruszył truchtem.

Evie zapewniała go, że budynek stacyjny został zamknięty, ale Justin wiedział lepiej, jak się sprawy mają. Szkoda, że nie mógł zobaczyć miny Silsby'ego w chwili, gdy zawiadowca pojął, iż Evie nie ma pojęcia, co oznacza jego wzmianka na temat piątkowej kolacji. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że trzeba wtedy sięgnąć do kieszeni i wręczyć mu coś za fatygę, a stacja będzie otwarta tak długo, jak trzeba.

Nie miał żadnych wątpliwości, że zdoła przekupić zawiadowcę i skłonić go do wydania skrzyń. Musiał jednak dotrzeć do stacji jak najszybciej, żeby ktoś inny, dotąd mu nieznany, a równie jak on zainteresowany przesyłką, nie zjawił się tam przed nim. Justin umiał zawsze ocenić sprawę obiektywnie, koncentrował się bez reszty na swym zadaniu, potrafił ze stosu bezwartościowych informacji wyłuskać cenne dane i zapamiętywał je bezbłędnie. Wyprzedzał zawsze o krok swych przeciwników. I właśnie dlatego wyjątkowo niebezpieczna profesja dostarczała mu tyle radości.

Ostatnio jednak zaczęły go nękać wątpliwości co do motywów własnego postępowania. Jego słynny obiektywizm stał pod znakiem zapytania, odkąd doszły w nim do głosu osobiste uprzedzenia. Co tu ukrywać, czuł niechęć do Blumfielda! Przede wszystkim dlatego, że Evie go lubiła, ale również z powodu własnych, pozornie bezpodstawnych, podejrzeń co do obu braci.

Ich nagłe pojawienie się w tej nieciekawej okolicy, łatwość, z jaką zapewnili sobie domek położony w idealnym ze względów strategicznych punkcie, zaloty Ernsta do Evie, dające mu pretekst do odwiedzin w North Cross Abbey - wszystko to składało się na pozornie niewinną, ale w gruncie rzeczy podejrzaną całość.

Ale gdyby Blumfield był rzeczywiście szpiegiem polującym na diabelską machinę Bernarda, w jakim celu dopomagałby w przewiezieniu do North Cross Abbey skrzyń zawierających być może poszukiwany skarb?! Nie, to wszystko kupy się nie trzymało!

- Za stary ze mnie wyga, by fantazjować na podstawie własnego widzimisię, bez konkretnych dowodów! - mówił sobie Justin.

Dotarł do miasteczka o zmierzchu. Powitał go brzęk taniej porcelany, piski głodnych dzieci i znacznie cichsze odpowiedzi cierpliwych rodziców. Zapach smażonego boczku i cebuli unosił się w powietrzu. Całe Henley Wells zasiadało właśnie do kolacji.

W gospodzie było jednak - jak zawsze - tłoczno i głośno. Podwójne drzwi stały otworem, okien nie zasłonięto. Światło i gwar bez przeszkód wydobywały się na zewnątrz, wnosząc nieco życia w posępne ciemności.

Justin zajechał od tyłu na nieoświetloną stację kolejową, założył hamulec i zeskoczył na ziemię. Wszedł na schodki wiodące do tylnych drzwi i zajrzał przez okno tuż obok. W mrocznym wnętrzu magazynu dostrzegł niewyraźne zarysy pak czy skrzyń. Drzwi były zamknięte, gazowe lampy pogaszone. Zastukał lekko, na wszelki wypadek. Nie doczekawszy się odpowiedzi, nacisnął klamkę. Zamknięte na klucz.

- Co tam! Zamknięte drzwi nie stanowią większej przeszkody dla zawodowego złodzieja. Ani szpiega. Choćby już był na emeryturze! - mówił sobie Justin, sięgając do kieszeni po scyzoryk. Wybrał specjalne ostrze - niezwykle cienkie i giętkie.

Bardzo ostrożnie zabrał się do otwierania zamka. Była to czynność wymagająca delikatności i precyzji. A także wyjątkowego wyczucia i słuchu, wzrok był mniej ważny. Leciutko popchnąć, odrobinkę przesunąć, podważyć, delikatnie pociągnąć, stuknąć - i voila!

Justin raz jeszcze rozejrzał się dokoła, nacisnął klamkę i wszedł, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi. Znalazłszy się wewnątrz budynku, skierował się od razu do magazynu.

Na półce tuż za drzwiami znalazł łom i podszedł z nim do skrzyni. Starając się robić jak najmniej hałasu, wetknął koniec metalowego pręta pod drewniane wieko i naparł z całej siły. Bez rezultatu. Przyjrzał się uważniej skrzyni. To cholerne wieko było zabite na amen! Tkwiło w nim Bóg wie ile gwoździ, jeden od drugiego o cztery cale. Niech to szlag! Wcisnął łom jeszcze głębiej i znowu naparł. Wieko zaczęło się poddawać, skrzypnęło... i w tej samej chwili zapłonęły lampy gazowe. Jasny gwint!

- To pan, panie Powell?! Co pan tu robi?

Justin odwrócił głowę. W drzwiach frontowych stał Sully Silsby, lekko chwiejąc się na nogach. Tuż za nim Archie Flynn i jeszcze jakieś dwa typki. Justin nie wiedział, co to za jedni.

Wiele lat temu Justin przekonał się, że w razie przyłapania na gorącym uczynku najbardziej popłaca jawna bezczelność. Westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Próbuję otworzyć to cholerstwo - odparł. - Co innego mógłbym tu robić, pańskim zdaniem?

Zadziałało bez pudła. Sully skinął głową, jakby po namyśle doszedł do wniosku, że istotnie, Justin nie może tu robić nic innego.

- Jasne... Ale jak pan tu wszedł, sir?

- Przez drzwi. - Justin wywrócił oczyma. Można by przysiąc, że udręczony głupimi pytaniami zaraz osunie się na ziemię. - Czym pańska żona przyprawiła kolację? Szalejem?!

Sully zaczerwienił się jak winowajca.

- Nie byłem jeszcze w domu. Zajrzałem do gospody i miałem właśnie wyjść, kiedy wpadł tam Archie i powiedział, że za stacją stoi jakaś bryczka.

- Więc zebrał pan tych nieustraszonych rycerzy i wrócił tu, żeby się przekonać, kto wtargnął do pańskiego sanktuarium? - spytał Justin.

- No... tak.

Jeden ze stojących z tyłu rycerzy czknął.

Justin rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Bardzo mi przykro, to tylko ja. Lady Evelyn powiedziała, że jeśli się nie pospieszę, skrzynie zostaną tu do poniedziałku. Nie mogłem na to pozwolić, więc przyjechałem galopem.

- Ale jak pan się dostał do środka, sir? - nie ustępował zawiadowca.

- Nacisnąłem klamkę i drzwi się otworzyły.

- Mógłbym przysiąc, że zamknąłem je na klucz!

- Może zamek nie zaskoczył? - podsunął Justin.

Sully dał się wreszcie przekonać i skinął głową.

- Warto by go wymienić.

- Ale jak pan zamiarował zabrać te skrzynie, to po co je pan otwierał? - spytał całkiem logicznie Archie.

*Niech go diabli!*

- Chciałem się przekonać, co to jest i dla kogo - wyjaśnił z anielską cierpliwością Justin. - Gdyby się okazało, że to dla mnie i nic ważnego, to zostawiłbym skrzynie do poniedziałku, żeby się z nimi nie mocować w pojedynkę. Ale gdyby to było coś dla lady Evelyn, to całkiem inna sprawa. Jej wszystko jest potrzebne od zaraz.

Zauważył, że zawiadowca mrugnął wymownie do najbliżej stojącego kumpla.

- Jasne, dla damy warto się postarać! - zauważył Sully z delikatnością słonia w składzie porcelany. - No to w końcu dla kogo te paki?

Justin wzruszył ramionami.

- Nie zdążyłem sprawdzić.

- No to my pana wyręczem - zaofiarował się jeden z nieznajomych, z ogorzałą cerą i króliczymi zębami. - Zdejmie się wieko raz dwa. No nie, Jim?

Jego kumpel, znacznie grubszy i mogący się już pochwalić typowo pijackim, pokrytym siecią czerwonych żyłek nosem, skinął głową.

Ale Justin nie życzył sobie widowni przy sprawdzaniu zawartości skrzyni. Wyciągnął łom zaklinowany pod wiekiem i upuścił go na ziemię.

- Dzięki za propozycję, ale mogę się wstrzymać z otwarciem pak, kiedy znalazłem porządnych chłopaków, którzy mi pomogą załadować skrzynie na bryczkę. Chyba że nie macie czasu, panowie?

- Jasne, że pomożemy - zapewnił go Silsby. Pan Powell zawsze miał szczodrą rękę dla pomocników.

- My się chyba jeszcze nie znamy? - zwrócił się Justin do nieznajomych. - Jesteście pewnie...

- Od niedawna w mieście - wyręczył ich zawiadowca. - Przyjechali z Londynu kilka dni temu. To komiwojażerzy. Pracują dla jakiejś firmy, co produkuje maszyny rolnicze. Szukają klientów na nowy typ żniwiarki. Chcą tu założyć firmę i rozpracować całą okolicę. Tak przynajmniej gadają. Ale to wygląda całkiem poważnie, prawda, sir?

- Prawda - mruknął Justin.

- Porządne chłopy - zapewnił Sully. Określał w ten sposób każdego, kto mu postawił kielicha. - Miło nam się gadało w gospodzie. Pan też powinien do niej zajrzeć, panie Powell! Zbiera się tam wesoła kompania. Choćby tych dwóch kuzynów naszego dziekana. Zjawili się u niego wczoraj wieczór, całkiem bez zapowiedzi, a już dziś wpadli na jednego!

- Brzmi to bardzo zachęcająco, panie Silsby. Ale najpierw obowiązek, a potem przyjemność, nieprawdaż? - odparł Justin.

Para komiwojażerów, chorzy Prusacy, nieproszeni krewni... lista podejrzanych ciągle się wydłużała. Justina nagle ogarnęło znużenie. Jeśli już ten cholerny szpieg musi tu przyjeżdżać, to czemu się nie zjawi - według najlepszych tradycji - w czarnej pelerynie, z ogromnymi sztucznymi wąsami?!

- W porządku! Ja i ty, Archie - Sully klepnął po ramieniu niziutkiego Flynna - bierzemy się do tej, a wy, chłopaki, łapcie się za tamtą!

W przyjacielskiej atmosferze dźwignęli obie skrzynie i wynieśli je na ulicę. Szybko się uporali z załadunkiem. Potem odsunęli się od bryczki i spojrzeli wyczekująco na Justina.

- No cóż, zapracowaliście uczciwie na jednego, albo i na dwa.

Justin sięgnął do kieszeni, wyjął kilka monet i wręczył je zawiadowcy.

- Bardzo to ładnie z pańskiej strony, ale chyba się pan do nas przyłączy, sir?

- Innym razem, Sully! Lady Evelyn...

Archie trącił Sully'ego łokciem w bok.

- Kto by pomyślał, panie Powell, że i pana ktoś w końcu ustrzeli?!

Justin zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

- Niech cię o to głowa nie boli, Archie. Te strzały nie żądlą tak mocno.

Mrugnął znacząco do całej czwórki, która ryknęła śmiechem, i wskoczył do bryczki. Jednak w drodze powrotnej mimo woli zastanawiał się nad tym, jak łatwo miejscowa ludność uwierzyła w to, że się zakochał. Może dlatego, że było w tym nieco prawdy? Z najwyższym wysiłkiem skoncentrował się na czekającym go zadaniu.

Nie będzie myślał o Evie! I tak już stracił na to mnóstwo czasu. Marzył o niej, tęsknił za nią, pragnął jej. Do cholery! Niedługo zacznie robić do niej słodkie oczy jak ten dureń Błumfield!

Pół godziny później był już z powrotem w North Cross Abbey. Obudził chłopca stajennego i zmusił biedaka, by razem z nim zataszczył skrzynie do biblioteki. Zanim chłopak wrócił do stajni, stary zegar zaczął wybijać godzinę z takim zapałem, że aż echo niosło po pustych korytarzach.

Justin ściągnął marynarkę i odkręcił kurki gazu. Młotek z pazurem leżał dokładnie tam, gdzie go zostawił. Podniósł go.

- No, to do roboty! - mruknął cicho. - Najlepiej wziąć się do tego od razu.

Coś świsnęło w powietrzu, jakby ktoś zamachnął się pałką.

Justin instynktownie schylił się. Napastnik trafił go w bok głowy, tuż za prawym uchem. Młotek wypadł Powellowi z ręki i potoczył się po podłodze, a on zwalił się na kolana.

Kątem oka dostrzegł, że coś się znów poruszyło. Przetoczył się po podłodze. Kolejny cios również chybił - zamiast trafić Justina prosto w twarz, spadł z miażdżącą siłą na jego ramię. Kiedy odwrócił głowę, by spojrzeć napastnikowi w twarz, zgasło światło.

Niech to szlag! Wróg przybył widać wcześniej i zaczaił się na niego. Justin znieruchomiał. Nadstawił ucha. Gasząc światło w bibliotece, nieprzyjaciel ograniczył pole walki. Nagła ciemność nie zwiększyła jego szans, z pewnością

był zdezorientowany jeszcze bardziej niż Justin. A więc zgasił światło tylko z obawy, że przeciwnik zobaczy jego twarz!

Deski podłogi zatrzeszczały pod czyimiś nogami. Justin z klęczek przeszedł w kucki i wstrzymał dech. Jakaś postać mignęła na tle nieco jaśniejszego prostokąta drzwi i wtopiła się w mrok na prawo od niego. Ubrał się odpowiednio do okazji, drań! - pomyślał z goryczą, świadom tego, jak bardzo jest widoczny w swej białej koszuli. Mam nauczkę za głupie nagabywanie opatrzności, by zesłała mi przeciwnika w czarnej pelerynie!

Deska znów skrzypnęła. Gdzieś blisko. Czekał w napięciu. Raczej wyczuł, niż spostrzegł, że ktoś skrada się od tyłu. Cały się sprężył. Usły¬szał, jak jego przeciwnik wstrzymuje dech, i w tejże sekundzie wykonał błyskawiczny obrót, i z całych sił walnął pięścią. Jego kłykcie zderzyły się z czymś przerażająco twardym.

Przeciwnik zawył.

- Jasna cholera! - zaklął Justin, potrząsając gwałtownie uszkodzoną dłonią, a równocześnie starając się uniknąć ciosów niewidzialnej ręki, na szczęście dość niezdarnych. - Już nigdy, ale to nigdy nie uderzę w coś, zanim się nie przekonam, co to takiego! Cholera, ale boli!...

Uskoczył przed następnym ciosem, błysnęła mu jakaś czarna, pozbawiona rysów twarz... Zgrzytnął zębami, zacisnął pięść i walnął z całej siły. Tym razem jednak przeciwnik dostrzegł zamach i zdążył się schylić, unikając ciosu. Wykorzystał moment zaskoczenia i znienacka walnął Justina głową w brzuch.

Justin stęknął, zatoczył się do tyłu i runął znów na kolana. Zgiął się, by osłonić głowę, ale napastnikowi nie zależało na dalszej walce, tylko na ucieczce. Zanim Justin podniósł się z podłogi, jego wróg zdołał dotrzeć do drzwi i zatrzasnął je za sobą. Pokój pogrążył się w jeszcze głębszej ciemności.

Justin zerwał się na równe nogi, rzucił się za nim, potknął na tym cholernym młotku, wpadł na drzwi, a gdy się otworzyły, zderzył się z Evie Cummings Whyte.

# *11*

To był bardzo długi dzień! Pod czujnym okiem Evelyn zawieszono nowy żyrandol w sali bankietowej. Potem zagoniła robotników do ustawiania głazów z papier mache. Odkryła wreszcie źródło uprzykrzonego fetoru w jednym z gościnnych pokojów i kazała natychmiast uprzątnąć zdechłego szczura. Pod koniec dnia była zupełnie wykończona, ale też zbyt niespokojna, by zasnąć.

Zamiast usiąść do kolacji, przegryzła coś na stojąco w kuchni i przez resztę wieczoru chodziła z pokoju do pokoju, sprawdzając efekty sprzątania i prac remontowych. Ostatnim pomieszczeniem, jakie odwiedziła, było to na wprost biblioteki - jeden z nielicznych pokojów, które wymagały jeszcze sprzątania. Dotarłszy tam, Evie zdecydowała się na przerwę w pracy i chwilę wypoczynku.

Poprzedni właściciel dworu, generał John Harden, gromadził w tym pomieszczeniu swe pamiątki i trofea. Ściany były obwieszone fotografiami przedstawiającymi dziadka generała na różnych etapach jego wojskowej kariery. Na stołach piętrzyły się stosy albumów z wycinkami, rejestrów i dzienników prowadzonych przez Hardenów różnych generacji. Evelyn usiadła i zaczęła je przerzucać od niechcenia. Była pewna, że zauważy, jeśli Justin tu zajrzy i będą mogli... pogawędzić. Ale nikt się nie zjawił. Justinowi ani się śniło tu zaglądać!

Wkrótce nawet prywatne zapiski generała brygady, dotyczące prowadzenia domu - zapierające dech świadectwo jego skąpstwa i tyranii - przestały interesować Evelyn. Zdrzemnęła się i od razu coś jej się przyśniło.

Powoziła końmi. Przy drodze stał pan Blumfield i bił jej brawo. Nieoczekiwanie szeroka droga zmieniła się w urwiste zbocze, z którego Evelyn zjeżdżała na rowerze. Straciła nad nim kontrolę, pędziła coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie koło uwięzło w jakiejś szczelinie, a ona przeleciała nad krawędzią urwiska.

Spadała w przepaść. Próbowała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć głosu. I nagle ujrzała Justina. Przycupnął na chropowatej gałęzi drzewa rosnącego w połowie zbocza. Strach ją opuścił. Wyciągnęła do niego ręce, a on chwycił ją w pasie. Kiedy ich ciała się zetknęły, wiatr ucichł, a w powietrzu rozpłynęła się balsamiczna woń.

Łagodnie przytulił ją do siebie.

- Co ty wyrabiasz, Evie? - szepnął.

Jego koszula gdzieś znikła i dłonie Evelyn przylgnęły do gładkiej jak marmur piersi Justina. Pocałował ją w czoło, a potem jego wargi powoli, czule i słodko powędrowały po policzku w stronę jej ust. Zaraz ją pocałuje...

Straszliwy hałas wyrwał ją brutalnie z sennych marzeń.

Zerwała się na równe nogi. W holu jakiś mężczyzna klął, ile wlezie. Nie całkiem jeszcze rozbudzona, zdezorientowana Evelyn szarpnęła za klamkę i wybiegła na nieoświetlony korytarz. Drzwi biblioteki otworzyły się z impetem i jakaś wysoka, przypominająca ducha postać w białej koszuli zderzyła się z nią. Evelyn krzyknęła, a upiór chwycił ją w ramiona, zapobiegając upadkowi.

- Evie! Nic ci się nie stało?

W głosie Justina zamiast zwykłej beztroski było napięcie. Potrząsnął nią delikatnie.

- Wszystko w porządku, Evie?

Oparła się rękoma o jego pierś i odzyskała równowagę.

- Tak, tak! Wszystko w porządku.

Przebiegł lekko dłońmi po jej twarzy i ciele. Kolejna, jeszcze bardziej oburzająca poufałość! Nim jednak zdążyła odpowiednio zareagować, Justin puścił ją i mruknął rozkazująco:

- Nie ruszaj się stąd!

Po chwili zniknął za frontowymi drzwiami.

Z zewnątrz doleciał do niej czyjś krzyk, a zaraz potem tętent kopyt. Serce waliło jej jak szalone. Czyżby to było włamanie? Co zostało skradzione? W chwilę później wysoka postać zjawiła się znów obok niej. Justin odkręcił gaz i wszystkie kinkiety w holu zapłonęły. Przyjrzał się jej uważnie. To, co zobaczył, widać go uspokoiło, bo odetchnął z ulgą.

- Na litość boską, Justinie! - szepnęła, poprawiając okulary.

Włosy opadały mu na czoło, stracił połowę guzików od koszuli - była rozpięta prawie do pasa! Evelyn bezskutecznie próbowała oderwać wzrok od nagiej męskiej piersi.

- Obrabowano nas? - spytała szeptem.

- Nie! - potrząsnął głową. - Przyłapałem drania, zanim zdążył coś ukraść.

- Nic ci się nie stało? - zaniepokoiła się.

- Skądże znowu! Mam się doskonale.

Poczuła ogromną ulgę. Ale z każdą chwilą była coraz bardziej świadoma bliskości Justina. Jego silnego i zręcznego ciała. Ciemnego puszku na jego muskularnej piersi. Był taki... masywny, taki twardy... jak potężne drzewo, nie jak kamień! Kamienia zupełnie nie przypominał.

Przysunął się bliżej, jedną ręką chwycił Evelyn za oba nadgarstki i przyciągnął jej dłonie do swego serca. Waliło jak szalone, wyczuwała palcami jego wibracje. Jej serce też się roztrzepotało. Drżała na całym ciele.

- Naprawdę nic ci nie jest? - dopytywał się troskliwie Justin. - Trzęsiesz się jak przemoczony psiak!

Nie mogła poruszyć rękoma, więc niezręcznie poklepała go końcami palców po piersi.

- Ja... spałam - wyjaśniła drżącym głosem - i zdawało mi się, że słyszę jakieś krzyki...

- A ja byłem w bibliotece, gdy nagle zgasło światło - odparł. - Dostrzegłem, że ktoś wybiega z pokoju, i popędziłem za nim... ale wpadłem na ciebie. Może ty go widziałaś?

- Nie. - Evie zmarszczyła czoło. - Myślisz, że to był włamywacz? Czy nie powinniśmy obudzić Merry i Beverly'ego i posłać po...

- Niech cię o to głowa nie boli, Evie - uspokajał ją Justin. - Za chwilę razem z Beverlym rozejrzymy się po domu, chociaż wątpię, by nasz włamywacz miał wspólnika. Widziałem, jak wskakuje na konia, widocznie uwiązał go koło domu, i odjeżdża. Drugiej szkapy nie było. Możesz sobie wyobrazić taką parę złodziejaszków - jeden konno, drugi na piechotę?

- Czy nie lepiej wezwać policję? Może trafi po śladach do jego kryjówki? - podsunęła Evelyn.

Nie mogła pogodzić się z tym, że winowajca uniknie zasłużonej kary. W oczach Justina pojawił się błysk rozbawienia.

- Po ciemku? Wywiódłby ich tylko na manowce! Obawiam się, Evie, że wymknął się nam. Na razie. Zobaczymy, co przyniesie jutro.

Wyraźnie się odprężył.

- Pewnie to jakiś pijaczyna. Jak sobie podchmielił, zamarzyły mu się cudze srebra - powiedział lekkim tonem.

Puścił ręce Evie i zaczął nawijać sobie na palec luźne pasmo jej włosów. Widocznie potargały się podczas snu. Z pewnością wygląda jak straszydło z kudłami zwisającymi na plecy!

Justin okręcał sobie pasemko wokół palca, a gdy je wreszcie puścił, przypominało sprężystą spiralę.

- Śliczne... - szepnął.

Jego bliskość podziałała na Evelyn jeszcze silniej niż przed chwilą. Wszystkie nerwy w niej się rozedrgały. Wargi pulsowały krwią, czuła mrowienie w palcach i dreszcze w najbardziej nieoczekiwanych zakątkach ciała.

Niełatwo było okiełznać rozbudzone nie w porę namiętności, choć Evelyn

Stanowczy zarys szczęki, władczy nos, niezauważalne przy dziennym świetle wgłębienia poniżej kości policzkowych...

- Czemu odszedłeś z wojska? - spytała nieoczekiwanie, wprawiając w zdumienie i jego, i siebie.

Uniósł brew.

- Plotkowaliście z Beverlym, co?

*Za żadne skarby nie zdradzi Beverly'ego!*

- Kiedy bawiłeś w naszym domu podczas debiutu Verity, moja mama dziwiła się, że zrezygnowałeś z kariery wojskowej. A teraz spojrzałam na ciebie... i pomyślałam, że... wyglądasz na wojownika.

Ta uwaga rozśmieszyła go.

- Boże, zlituj się nad Anglią, jeśli jej dzielni obrońcy są do ranie podobni!

- Bo ja wiem?... Mam wrażenie, że byłbyś całkiem dobrym oficerem.

Justin uśmiechnął się krzywo, a ona zarumieniła się.

- No więc, czemu zrezygnowałeś z wojska?

- Bo otrzymałem ciekawszą propozycję.

- Od pani Underhill?...

Zaledwie kilka miesięcy po tym, jak przeszedł do cywila, przyłapała go, jak wymykał się z jej sypialni.

- Ale...

Delikatnie ujął brodę Evelyn w dwa palce, a kciukiem zamknął jej usta.

- Dość już pytań! Przynajmniej na dziś. O tej porze nie mam głowy do wymyślania odpowiedzi.

Co za dziwne sformułowanie. I dlaczego wpatruje się w nią takim wzrokiem? Jakby czegoś żałował albo za coś przepraszał. Bez przerwy spogląda na jej usta! Nie, to raczej ona gapi się na niego. Pełna dolna warga... I ta ciemna smużka... Krew?!

- Co z twoją wargą?

Evelyn odwróciła wzrok, gardząc sobą za tą chorobliwą słabość. Justin dostrzegł jednak jej przestrach na widok krwi. I to właśnie przełamało w końcu pętający ich czar. Puścił jej ręce, cofnął się o krok i wyciągnąwszy koszulę ze spodni, otarł jej brzegiem krwawiącą wargę.

- Do licha! Przepraszam, Evie. Całkiem zapomniałem o tym skaleczeniu.

Evelyn zrobiła wielkie oczy. Wyciągając koszulę ze spodni, Justin odsłonił brzuch. Mój Boże... Nigdy dotąd nie widziała męskiego brzucha. Jaki śliczny!... Przynajmniej u Justina.

Jego pierś przypominała dwie żywe, umięśnione tarcze, przedzielone wąską szczeliną. Kiedy się pochylił ku niej, mięśnie się napięły. Ciemny puszek, który zauważyła w rozchyleniu koszuli, ku dołowi wyraźnie gęstniał, zanim znikł za paskiem spodni.

Oddech Evie stał się dziwnie płytki. Cóż za fascynujący widok! Niezmiernie prowokujący... Tajemnicze męskie piękno.

Justin wetknął z powrotem koszulę w spodnie i od niechcenia zapiął kilka guzików przy koszuli. Nie wszystkie. Na szczęście!

*Dość tego! Przestań myśleć o takich rzeczach! Jesteś inteligentną kobietą, nie idiotką. Istotą rozumną, nie samicą jakiegoś bezmózgiego gatunku!*

*Miejmy nadzieję, że to prawda.*

- Masz rozciętą wargę. - Zmusiła się do tego, by spojrzeć Justinowi w oczy. - Nie wmówisz mi, że sam się skaleczyłeś przy otwieraniu skrzyni! A w ogóle czemuś się do tego zabrał w środku nocy?!

Z zachwytem obserwowała, jak uśmiech rodzi się w głębi oczu Justina, by następnie spłynąć na jego wargi - zabawny, asymetryczny uśmiech, troszkę smutny i niesłychanie pociągający.

- Te wieka są cholernie uparte.

- Naprawdę?

- No, cóż... prawdziwemu mężczyźnie trudno się przyznać do czegoś takiego, ale po wyczerpaniu wszelkich innych środków podważyłem wieko łomem. Naparłem całym ciężarem. To draństwo wreszcie odskoczyło, ale ja poleciałem głową w dół i... tego... przygryzłem sobie wargę.

Nie przyznał się do bójki z włamywaczem. Widać nie znosił, żeby się nad nim rozczulano. Niech mu będzie! Pozostawiła ewidentne łgarstwo bez komentarza.

- Nie mógłbyś zostawić moich skrzyń w spokoju? - spytała żartobliwie.

Trochę się już odprężyła. Osobliwe doznania sprzed kilku minut były widać pozostałością jej snu. Wzbudziły w niej niepokój, ale w gruncie rzeczy nie miały większego znaczenia. Była znów sobą.

- Ilekroć nadejdzie jakaś przesyłka, pierwszy rwiesz się do otwierania. Czujesz słabość do wszystkich skrzyń, czy tylko moje budzą w tobie taki entuzjazm?

Spojrzał na nią tępym wzrokiem.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Potrząsnęła głową.

- Może ponosi mnie wyobraźnia? Lepiej się nachyl, to opatrzę twoją wargę. Omal się nie roześmiała na widok jego niepewnej miny. - Bez obawy! Nie zemdleję. Boję się widoku krwi, owszem, ale przede wszystkim własnej!

- Całkiem logiczne.

Delikatnie wzięła go za brodę. Kiedy jej dotknęła, serce zabiło jej tak gwałtownie, jakby koniecznie chciało udowodnić, że wcale nie jest taka opanowana, jak się jej wydaje. Poczuła szorstkość zarostu. Rytmicznie unosząca się i opadająca w takt oddechu klatka piersiowa fascynowała ją i pociągała. Justin przysunął się bliżej.

- Co o tym sądzisz? Wyliżę się z tego? - spytał.

Głos miał leniwy i gorący jak roztopiony wosk, ale spojrzenie wcale nie było senne. Spoglądał na nią pożądliwie, a zarazem z rezerwą i determinacją, jak ktoś, kto przybywa na bankiet do domu wroga, ściskając w ręku obnażony miecz.

- No i co?

Głos Justina wabił ją jak śpiew syren, jak podstępna pieszczota uwodziciela.

Przełknęła ślinę i cofnęła się nieznacznie. On przysunął się znacznie bardziej.

- Nikt jeszcze nie umarł od rozciętej wargi.

Kompletnie go zaskoczyła. Zgasł tlący się w jego oczach żar, znów ujrzała w nich błysk autoironii. Roześmiał się.

- Zawsze jesteś taka prawdomówna?

- Powinnaś odczuwać ulgę, a nie rozczarowanie! - ofuknęła się w myśli.

- Przeważnie.

- Czemu?

- Jeśli mówi się ludziom prawdę, zadają znacznie mniej pytań.

Znowu wybuchnął śmiechem.

- Masz silniejsze mury obronne niż którakolwiek ze znanych mi kobiet!

- Mury obronne? - powtórzyła z urazą. - Co za bzdura! Przed czym miałabym się bronić?!

- Choćby przede mną - odparł, krzyżując ręce na piersi.

- Ho, ho! Ależ z ciebie zarozumialec! - Lekceważąco pociągnęła nosem. - Pewnie sobie wyobrażasz, że każda kobieta śni o tobie po nocach!

To go wyraźnie zainteresowało. - A ty? Śniłaś o mnie?

- Nie!

Uśmiechnął się leniwie.

- Kłamczucha!

- Nadęty paw!

- Tchórz!

- Samochwał!

- Przemądrzała sowa!

- Niezdarny łoś!

Parsknął śmiechem, połaskotał Evelyn pod brodą, jakby była małą, naburmuszoną dziewczynką. W ogóle działał jej na nerwy. Trzepnęła go po ręce. Czy rzeczywiście myślała kiedyś o całowaniu się z Justinem?... Prędzej by pocałowała kuca pana Blumfielda!

- Jesteś niezrównana, Evie! Co za subtelny dowcip, precyzja słowa, mistrzowska znajomość ojczystego języka! Czym mnie jeszcze uraczysz?

- Krowim plackiem?

Ku swemu najwyższemu zdumieniu Evelyn zachichotała. Zakryła ręką usta. Czy rzeczywiście z nich wydobyły się te dźwięki? Przecież nigdy nie chichotała! Od dzieciństwa!

- Ciągle się na mnie gniewasz? - spytał niby to od niechcenia, ale wpatrywał się w nią z niepokojem.

Zrobiła zrezygnowaną minę i ostentacyjnie westchnęła.

- Mój panie! Gdybym brała sobie do serca każdy twój głupi wyskok, wiecznie chodziłabym wściekła!

Zgiął się w przesadnym ukłonie.

- Cóż za wyrozumiałość! Łaskawa pani, będę ci za nią wdzięczny aż do śmierci!

- Znowu?! Jestem pod wrażeniem! Jak zamierzasz się odwdzięczyć tym razem? Masz inne opactwa, które mogłabym wyremontować?

Uśmiechnęła się wyzywająco i zauważyła, że zaparło mu dech. Postąpił o krok i nagle jakby się opamiętał. Posłał jej tylko pocałunek.

- Niestety, nie. To jedyna budowla sakralna, jaką dysponuję. A teraz, Evie, zmykaj do łóżka! Ja tu jeszcze chwilę posiedzę. Na wszelki wypadek, choć nie sądzę, żeby nasz gość powrócił.

- Dotrzymam ci towarzystwa!

- Nie, nie! - zaoponował pospiesznie. - Musisz się wyspać. Czeka cię jeszcze mnóstwo roboty, a w dniu bankietu powinnaś być w szczytowej formie. No i jest już bardzo późno.

Evelyn zmarszczyła brwi. Wcale nie chciała się z nim rozstawać!

- Nie tak bardzo!

Zaśmiał się z lekką ironią, ujął ją za ramiona, odwrócił i lekko popchnął w kierunku drzwi.

- Mylisz się, moja droga. Nie tylko bardzo późno, ale za późno!

Na końcu korytarza - po przeciwnych stronach - stały dwie postacie w nocnych strojach i z równym zainteresowaniem obserwowały scenę, rozgrywającą się przed nimi. Równocześnie spostrzegli, że nie są jedynymi widzami i cofnęli się każde do swego kąta. Oboje czujnie nadstawili uszu i wyjrzeli z ukrycia, gdy Evelyn ich wyminęła. Jedno spojrzenie upewniło ich, że odszedł również Justin. Wówczas wyłonili się z cienia i stanęli twarzą w twarz.

Dotychczas Merry nie poświęcała Beverly'emu większej uwagi. Każde z nich zajmowało się swoimi sprawami i wyznawało inną filozofię życiową. Beverly z rozmysłem unikał Francuzki, była według niego uosobieniem najgorszych wad płci pięknej. Ale teraz okazało się, że mają wspólne zainteresowania.

- A, to pan, panie Beverly! - odezwała się Merry, krzyżując ręce na obfitym biuście. Kokieteryjny czepeczek z koronki na jej rudych lokach przypominał zwiewną zjawę kwoki, która zeszła z tego świata na posterunku, wysiadując pisklęta.

- Dobry wieczór, mademoiselle Moliere!

- Co pan powie na to? - spytała, ruchem głowy wskazując bibliotekę.

- Interesujące.

Nie udawał głupiego. Dobrze wiedział, co miała na myśli.

- Co zrobimy z tym fantem? - spytała z iście francuską obcesowością, która tak pociąga wielu mężczyzn. Nie jego, oczywiście!

- Co my z tym zrobimy? - powtórzył z niedowierzaniem.

Istotnie, zastanawiał się nad tym, co należało zrobić w tej sytuacji, ale zamierzał uczynić to w pojedynkę. Nie potrzebował sprzymierzeńca - zwłaszcza takiego!

- No właśnie, co my z tym zrobimy? Sacrebleu! Wiem, że angielska służba domowa nie grzeszy bystrością, ale żeby z tego powodu zadzierać nosa?! Też coś!

Beverly zesztywniał i przybrał pozę urażonej godności. Niestety, szlafmyca z chwaścikiem trochę psuła efekt. Ale tak czy inaczej, Merry nawet na niego nie spojrzała.

- Pan Powell, pański chlebodawca, zakochał się po uszy w mojej panience. A i panna Evelyn spogląda na niego życzliwym okiem. W dodatku lady Broughton, jej zacna matka, a moja wybawicielka, bardzo by się ucieszyła, gdyby coś z tego wyszło.

- Skąd ta pewność, że lady Evelyn „spogląda życzliwym okiem" na mego pana?

- Stąd - poinformowała go Merry - że sama jestem kobietą, więc dostrzegam najsubtelniejsze porywy niewieściego serca.

- Doprawdy? - Beverly spojrzał na nią z wyższością. - Sądząc z niesmacznych odgłosów, które dziś po południu dolatywały z różanej altanki, owe niewieście porywy wcale nie są takie subtelne.

- Lubi pan podsłuchiwać, co?

- Wręcz przeciwnie, mademoiselle. Ale choćbym zatkał sobie uszy watą i schronił się w pomieszczeniu o ścianach grubych na metr, te hałasy dotarłyby do mnie.

- Dość tego! Nie mówimy o mnie, tylko o pańskim chlebodawcy. Ale z niego debauche!

- Debauche?! - Ta zniewaga dotknęła kamerdynera do żywego. - Mój pan, panno Moliere, to jeden z najszlachetniejszych dżentelmenów w całej Anglii!

Merry zbyła ten wybuch oburzenia machnięciem ręki.

- Wcale nie przeczę! Co ma jedno do drugiego?! Każdy gentilhomme powinien być troszkę debauche! Odrobina doświadczenia, kilka pouczających przygód to cenny dar, który oblubieniec składa u stóp wybranki. Przynajmniej my, Francuzki, jesteśmy tego zdania!

Panna Moliere westchnęła. Jej oczy pokryła mgiełka rozmarzenia. Zaraz jednak skrzywiła się.

- Wy, Anglicy, jesteście tacy naiwni! Domagacie się od każdego, żeby szedł do ołtarza niewinny jak baranek! Bez żadnego doświadczenia, bez żadnej finesse! I to ma być zaleta? Kto miałby ochotę na tak żałosną fuszerkę?! Chyba ktoś całkiem bez pojęcia i w nagłej potrzebie!

Spoglądała na swego rozmówcę takim wzrokiem, jakby sądziła, że jej ostatnie słowa pasują do niego jak ulał.

Beverly przymknął oczy. Niechęć do kobiet odezwała się w nim znowu z całą siłą.

- Wolno spytać, mademoiselle, czemu ma służyć ta niesmaczna perora?

- Zaraz to wyjaśnię! Czy pan Powell naprawdę zerwał z grzesznym życiem? Nie złamie serca mojej Evelyn?

- On miałby jej złamać serce?!

- Boże wielki! Czy do żadnej kobiety nie dociera, że mężczyzna to istota wrażliwa?! Że można go unieszczęśliwić równie łatwo jak jedną z nich?!

- Moja panno! Justin Powell to najuczciwszy, najzacniejszy, najbardziej prawy człowiek na świecie. A teraz, jeśli wolno spytać: co z lady Evelyn? Czy i o niej można powiedzieć to samo?

Beverly poczuł się trochę niewyraźnie, zadając to pytanie. Nie sterczałby przecież na korytarzu, gdyby już wcześniej nie doszedł do wniosku, że lady Evelyn jest wcieleniem doskonałości - oczywiście, o ile istota płci żeńskiej może osiągnąć takie szczyty. Upewniła go w tym przekonaniu dyskrecja panny Evie - nie wspomniała panu Justinowi o poufnej rozmowie, jaką przeprowadzili na temat generała Hardy'ego. Dziewczyna jedna na tysiąc! Szczere złoto.

- Panienka Evelyn jest nie tylko najuczciwsza, najzacniejsza i tak dalej ! - Merry przedrzeźniała wyniosły ton kamerdynera. - To bezcenny skarb, który czeka na odkrywcę dość bystrego, by się na nim poznać, mimo tych okropnych okularów i paskudnych sukni. Z pewnością miałby o wiele mniej kłopotu, gdyby Evelyn choć raz ubrała się w jedną z kreacji, które dla niej uszyłam. - Dostrzegłszy wyraźne znudzenie na twarzy swego rozmówcy, zacisnęła usta. - Więc teraz ja pytam, panie Beverly. Czy pański chlebodawca jest dość bystry, by spostrzec i docenić ten skarb?

- Jak ona śmie suponować, że jej pani jest lepsza od mego pana?! - oburzył się w duchu Beverly. Z jakąż ochotą poinformowałby ją o sekretnym

życiu Justina, o jego karierze wywiadowczej! Udowodniłby, jaki jest inteligentny, jaki przedsiębiorczy!

- Proszę się nie martwić, pan Powell ma niezwykle bystry wzrok. Nic się przed nim nie ukryje.

Ku jego zdumieniu Merry uśmiechnęła się, i to tak promiennie, jakby byli przyjaciółmi od serca.

- No, tośmy się dogadali! Pasują do siebie jak ulał.

Spojrzał na nią podejrzliwie, ale w końcu przyznał:

- Istotnie, pasują.

- Doskonale! Teraz musimy przede wszystkim zadbać o to... - zaczęła.

Do mózgu Beverly'ego wkradło się straszne podejrzenie, że jego ustabilizowany świat zaczyna chwiać się w posadach. Zaraz stanie na głowie!

# 12

Po powrocie do biblioteki Justin miał ochotę walić głową o drzwi. Przez trzydzieści dwa lata był panem samego siebie, póki się nie zjawiła ta dziewczyna - Evelyn Cummings Whyte! Czy był w stanie przewidzieć, że spotka na swej drodze kogoś takiego jak ona?! Bystra, a zarazem naiwna, despotyczna i nieśmiała...

Tego nikt nie mógł się spodziewać.

Wtargnęła niespodziewanie w jego życie i pozbawiła go tego, co najbardziej cenił: spokoju umysłu i poczucia, że to, co robi, ma sens. Wystarczyło jedno jej dotknięcie, by powalić go na kolana, by zniszczyć jego samowystarczalność i niezależność emocjonalną. A w dodatku nawet tego nie spostrzegła. To oblatane w wielkim świecie niewiniątko nie miało pojęcia, co się dzieje!

Taka kruszynka... a tyle z nią kłopotu! Justin obrócił się na pięcie i podszedł do dwóch dopiero co przywiezionych skrzyń. Piekło i szatani! Tylko tego mu brakowało! Miał pełne ręce roboty, tyle spraw na głowie. Jak się z tym wszystkim upora, kiedy Evie wiecznie stała mu przed oczami i panoszyła się w jego sercu? Niech to szlag!

Huknął pięścią w najbliżej stojącą skrzynię i aż się zwinął z bólu. Uraził i tak już poszkodowaną rękę. Wykrzywił usta w gorzkim uśmiechu. To go powinno nauczyć, by romantyczne wybuchy pozostawił tym facetom, którzy lubują się w cierpieniach. Na szczęście pod wpływem bólu rozjaśniło mu się w głowie.

Miał zadanie do wykonania, a jak dotąd z każdego wywiązywał się w stu procentach. Jednym z jego największych atutów był brak wszelkich więzi emocjonalnych. Nie spowalniały jego działań, nie utrudniały logicznego rozumowania. Teraz też nie będą! Nie dopuści do tego.

W ciągu ostatniej godziny wszystko uległo zmianie. Jakimś cudem jego przeciwnik odkrył, dokąd zostanie przewieziony ów niezwykły wynalazek. Najprostsze w świecie odebranie przesyłki stało się ryzykownym przedsięwzięciem.

Justin nie miał wątpliwości, że mężczyzna, z którym stoczył walkę, jest agentem obcego wywiadu. Co prawda - na użytek Evie - wyraził przypuszczenie, że włamywaczem mógł być jakiś podpity obibok, któremu się zachciało łatwego zarobku, ale w głębi duszy wcale w to nie wierzył. Wolał być zbyt podejrzliwy niż łatwowierny, zwłaszcza że chodziło o bezpieczeństwo Evie.

I o pomyślne wykonanie zadania. Tyle że nie miało już dla niego takiego znaczenia. Teraz ważniejsza była Evie.

- Przynajmniej - mówił sobie Justin - nie muszę się już głowić, jak przemycę do North Cross Abbey tego naukowego eksperta! Jako że głównym celem akcji było przejęcie wynalazku w absolutnej tajemnicy, jego zadanie nie miało teraz większego sensu. Wielka szkoda, że było już za późno na wstrzymanie wysyłki.

Nie ma rady, musi odebrać to paskudztwo. I zaraz odeśle je z powrotem Bernardowi.

Wziął do ręki łom i podważył wieka obu skrzyń. Przekonał się, że wewnątrz nie ma żadnych diabelskich przyrządów. Tuzin pudeł na kapelusze. Zamknął znów skrzynie i cofnął się o krok. Dostrzegł coś błyszczącego na dywanie. Schylił się i podniósł kuchenny nóż do mięsa.

Obecność tego przedmiotu była w bibliotece tym bardziej niepokojąca, że nikt nie miałby z niego pożytku przy otwieraniu skrzyni czy innej paczki. Ten, kto go tu przyniósł, chciał mieć przy sobie broń. Jeżeli to był jego kolega po fachu, to sprzeniewierzył się zasadom gry.

Tajni agenci posiadali szczególną umiejętność wtapiania się w lokalne środowisko, co pozwalało im na zbieranie informacji. Niektórzy przedostawali się chyłkiem na jakiś teren i przez całe lata wrastali w otoczenie, upodobniając się do niego tak, by nie zwracać niczyjej uwagi. Inni - na przykład Justin - przybywali otwarcie pod jakimś nieszkodliwym pretekstem, wcielając się w postać, którą trudno podejrzewać o niecne intencje. Szpieg rzadko posuwał się do przemocy, gdyż to zwróciłoby na niego uwagę. Gdy ktoś ucieka przed policją, raczej wątpliwe, by mógł przy tym wykonać ważne zadanie - na przykład wykraść diabelski wynalazek.

Poza tym tajni agenci nie mordowali się nawzajem. Byli specjalistami od dostarczania informacji, nie od mokrej roboty.

Ten nóż wyjątkowo nie podobał się Justinowi.

Zacisnął usta. Bogu dzięki, że Evie nie weszła pierwsza do biblioteki! Na samą myśl, co by się mogło stać, gdyby natknęła się na tego bandziora z nożem, poczuł, że strach chwyta go za gardło.

Powinien ją czym prędzej stąd odesłać. Powiedzieć, że się rozmyślił i nie życzy sobie żadnych bankietów w starym opactwie. Ale natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Po prostu nie mógł zrobić Evie takiego świństwa!

Zmiany, których dokonała w North Cross Abbey w ciągu kilku tygodni, graniczyły z cudem. Rezultat zapierał dech w piersi. Przeistoczyła pokryte pleśnią i kurzem stare mauzoleum w - jak to określiła - „całkiem malowniczą wiejską rezydencję"! Nie miał prawa skarżyć się, że przy okazji wywróciła do góry nogami całe jego życie. A już z pewnością nie powiadomi jej o spustoszeniach, jakich dokonała w jego sercu.

Przez te wszystkie lata musiał zdobyć się na wiele wyrzeczeń dla osiągnięcia obecnej pozycji, dla zachowania dyskrecji, dla dobra ojczyzny... Nigdy dotąd nie podliczał swoich strat i nie ubolewał nad tym, co go ominęło. Nie dbał ani trochę o opinię swego dziadka, choć prawdę mówiąc, nie miałby nic przeciwko temu, gdyby jego babcia dowiedziała się, że nie jest obibokiem i leniem.

Teraz jednak wzdrygał się na myśl, że w oczach Evelyn mógłby stać się bezwartościowym śmieciem właśnie dlatego, że odnosi tyle sukcesów w wywiadzie. Bał się, że ujrzy w jej pociemniałych oczach gorzkie rozczarowanie. Ale to był wyłącznie jego problem. Ani Evie, ani ojczyzna nie mogły na tym ucierpieć. Musiał pozostawić tę dziewczynę w przekonaniu, że jest irytującym, pozbawionym ambicji pasożytem. Przysiągł, że dotrzyma tajemnicy. Dobrze wiedział, jak niezbędna była absolutna dyskrecja. Nie tylko jego życie, ale i życie innych zależało od tego, czy dochowa przysięgi, póki jego zwierzchnicy nie zwolnią go z niej.

Jednak te mądre rozważania nie pomagały Justinowi w rozstrzygnięciu bieżących problemów związanych z Evie. Co z nią teraz zrobić? - zadawał sobie w duchu pytanie i starał się znaleźć jasną, obiektywną odpowiedź.

Miał już pewność, że w pobliżu czai się wróg i musiał podjąć wszelkie środki ostrożności. Nikt nie dybie na życie Evie, powtarzał sobie. Wystarczy dopilnować, by nie zbliżała się do podejrzanych przesyłek, a będzie bezpieczna.

Poza tym człowiek, który go zaatakował, zdradził się ze swymi zamiarami. Nie zaryzykuje następnego otwartego ataku. Nie wykona następnego ruchu, póki nie będzie pewien, że to, czego szuka, znajduje się w zasięgu jego ręki.

Ale choć rozsądek i doświadczenie uspokajały Justina, serce nie wierzyło ich zapewnieniom, a strach nadal go nie opuszczał. Mógł uśmierzyć te obawy w jeden jedyny sposób - znaleźć człowieka, który miał na twarzy ślady jego pięści.

Opuścił bibliotekę, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz, i skierował się do pokojów sypialnych, odnotowując po drodze zmiany w wyglądzie starego opactwa. Z sufitów nie odpadał już tynk, brudne i zawilgocone ściany odmalowano. Wschodni kobierzec tłumił jego kroki. Z wiszącego na jednej ze ścian portretu uśmiechała się do niego jakaś osiemnastowieczna flirciara.

Wyminął ją i skręcił w pasaż wiodący do pomieszczeń sypialnych. Evelyn zajmowała pokój na końcu korytarza - narożny, z dwoma oknami, przez które bez większego trudu można się było z różnych stron dostać do wnętrza. Ale po

co jego przeciwnicy mieliby się wdzierać się do sypialni Evie? Co by im z tego przyszło?!

Justin zajrzał do pokoju na wprost jej sypialni. Wyciągnął stamtąd fotel i ustawił go pod oknem na końcu korytarza. Musiał od czegoś zacząć poszukiwanie szpiega z siniakami na gębie. Czemu nie wziąć na pierwszy ogień domku braci Blumfieldów? Jutro złoży im sąsiedzką wizytę. A gdyby przypadkiem chorego braciszka nie było na widoku, albo zdrowy braciszek Ernst gdzieś się zawieruszył, no cóż... będzie można stąd wysnuć jakieś logiczne wnioski. Na przykład, że któryś z nich woli się nie pokazywać z podbitym okiem. Z tą myślą Justin opadł na fotel, wyciągnął nogi przed siebie i złożył głowę na oparciu. Wpatrywał się w drzwi Evie, póki nie zmorzył go sen.

Choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że nikt nie dybie na życie Evelyn, a głos doświadczenia zapewniał, że nic jej nie grozi przez resztę nocy, serce Justina nie przyjmowało tych argumentów do wiadomości.

I tak oto as wywiadu, idąc za głosem serca, a nie rozumu, zasnął w niezbyt wygodnej pozycji.

# *13*

- Kto postawił ten fotel pod moimi drzwiami? - spytała Evelyn Merry, która wyłoniła się ze swego pokoju w nocnej koszuli. - Wczoraj go tu nie było!

- Nie mam pojęcia - odparła Merry bez krztyny zainteresowania i przyjrzała się uważniej Evie. - Dobrze spałaś? Wyglądasz na wykończoną!

- Naprawdę?

Ręce Evelyn uniosły się odruchowo do włosów. Wystarczyło kilka lekkich dotknięć, by przekonać się, że z takim trudem ujarzmione włosy tym razem nie zbuntowały się. Prawdę mówiąc, noc miała nie najlepszą. Znowu dręczyły ją sny, których nie pamiętała dokładnie, ale wiedziała, że Justin odgrywał w nich główną rolę.

Jego oczy... Przypomniała sobie nagle, że śniła o oczach Justina. I o je¬go pocałunkach. Tylko że we śnie pocałunki jakoś jej nie wystarczały i w końcu zapragnęła czegoś więcej, ale nie mogła sobie przypomnieć... nie była pewna, czego chce. Poruszyła się niespokojnie i obrzuciła Merry złym spojrzeniem.

- Nie pleć głupstw!

- Nie będę się z tobą sprzeczać - uśmiechnęła się szeroko Merry. - Ale czemu tak się zaczerwieniłaś? Kogo tam chowasz pod łóżkiem? No, przyznaj się!

- Ależ, Merry!

Evelyn dosłownie zaparło dech.

W oczach Francuzki błysnęły wesołe iskierki.

- Tylko się z tobą przekomarzałam, złotko! Dobrze wiem, że jesteś sama. Wielka szkoda!

- Jesteś niepoprawna!

- A to dlaczego? Bo pomyślałam, żeś wreszcie się dobrała do tego miodu, którym się raczy byle baba?

- Merry Moliere, gdyby to usłyszeli twoi rodzice!

Na ustach rudowłosej kobiety pojawił się wzgardliwy grymas.

- Lepiej, że nie słyszą. Te paryskie mieszczuchy są takie ograniczone! Ale ja mam artystyczną duszę! Moje arcydzieła rodzą się w ogniu namiętności.

- W takim razie, sądząc z urzeczonej miny Bucka Newtona, ślubna suknia pani Vandervoort będzie owocem prawdziwej gorączki!

Merry roześmiała się.

- Za bardzo starasz się być grzeczną dziewczynką, Evelyn! Znacznie lepiej byś się czuła w roli grzesznicy.

Po tym horrendalnym stwierdzeniu nie mogło być mowy o dalszej rozmowie. Evelyn była grzeczną dziewczynką i nie miała wcale ochoty przemienić się w grzesznicę. Niech się Merry upaja wolnością, jeśli jej to odpowiada. Książęca wnuczka musi przestrzegać ustalonych reguł. Choć czasem bywały diablo niewygodne...

Prawdę mówiąc, doświadczenia erotyczne Evelyn ograniczały się do kilku nieporadnych całusów, na które podczas debiutanckich balów zdołali ją namówić rówieśnicy. Nie musieli jej aż tak bardzo namawiać. Okazało się jednak, że ich pocałunki nie mają nic wspólnego z tymi, o jakich marzyła. Były to mokre, dość obrzydliwe... liźnięcia. Przypominały do złudzenia karesy ulubionego ogara Stanleya!

Z pewnością pocałunki Justina były zupełnie inne. Gdyby to on chciał ją pocałować, może zdobyłaby się na mały grzeszek? A taka ewentualność - musiała to przyznać z obawą i podnieceniem równocześnie - nie była wcale wykluczona!

Wiedziała, że Justin ją lubi. A ponieważ nie przywiązywał najmniejszej wagi do własnego wyglądu, może i od partnerki nie oczekiwał oszałamiającej urody? Może zadowoliłby się jej inteligencją, pomysłowością, zdrowym rozsądkiem?

*Nad czym ja się zastanawiam, u licha?!*

Evelyn pozbierała rozproszone myśli i zwróciła się do swej towarzyszki.

- Nie wtykaj nosa w moje sprawy osobiste, Merry! Własne romanse powinny ci wystarczyć.

- Ale ja to mówię z czystej życzliwości...

- Doceniam twoją życzliwość i daję słowo, że jeśli ktoś zacznie mi się narzucać, przybiegnę do ciebie po pomoc!

Uśmiechnęła się kwaśno, pewna, że Francuzka doceni jej dowcip. Ale Merry potrząsnęła tylko głową.

- Czasem jesteś strasznie głupia, Evelyn! - oświadczyła gniewnym tonem i ruszyła z powrotem do swego pokoju. Na progu zatrzymała się i dorzuciła: - To po prostu grzech, że moje suknie się marnują!

Wygłosiwszy tę miażdżącą krytykę, Merry zatrzasnęła drzwi przed nosem Evie, która wpatrywała się w nie w osłupieniu. Nie trwało to jednak długo.

Udała się do biblioteki, by sprawdzić zawartość skrzyń przywiezionych wczoraj przez Justina. Dotarła już prawie do celu, gdy w drzwiach frontowych ukazał się Justin z codzienną pocztą.

Przynajmniej raz starannie się uczesał i gładko ogolił. Nie zapomniał nawet przypiąć kołnierzyka, co było w jego przypadku szczytem elegancji.

- Masz jakieś ważne spotkanie? - spytała, próbując uspokoić roztrzepotane serce.

Lepiej będzie dla nich obojga, jeśli wrócą do dawnej, niezobowiązującej przyjaźni.

- Ważne spotkanie? - powtórzył i spojrzał na nią jak na głupią. - Gdzie i z kim, u diabła, miałbym się spotykać?! Jesteśmy na wsi, na głębokiej prowincji, a gdy po raz ostatni zajrzałem do Henley Wells, nie dostrzegłem tam ani gmachu opery, ani szykownych lokali!

Uśmiechnęła się pogodnie. Całkiem bez potrzeby martwiła się, że po przelotnej niewinnej poufałości, do której doszło ubiegłej nocy, Justin będzie się czuł skrępowany w jej towarzystwie!

- Czy jest coś dla mnie?

Spojrzał na trzymane w ręku listy, jakby nie mógł sobie przypomnieć, czy rzeczywiście któryś z nich został zaadresowany do niej. Potem wetknął jej do ręki niewielki stosik.

- Te są do ciebie.

- Dziękuję!

Spojrzał na nią wyczekująco.

- Nie masz zamiaru ich przeczytać? - burknął z dezaprobatą.

Przyjrzała mu się uważnie. Gdyby nie widziała na własne oczy, jak wymykał się z pokoju pani Underhill, nigdy by nie uwierzyła, że to rozpustnik i kobieciarz. Zupełnie nie pasował do tej roli. Ot, choćby teraz. Skrzyżował ramiona na piersi i gapi się na nią z irytacją. Nie wykazuje żadnej chęci przypodobania się damie!

- Słuchaj no, Justinie. Czy w ciągu ostatnich kilku lat nikt nie uderzył cię mocno w głowę?

- Co takiego? - spytał z roztargnieniem i spojrzał wymownie na listy w jej ręku. - Uważam, że powinnaś je przejrzeć. Jeden jest od jakiegoś cudzoziemca!

- To musiał być potężny cios. - Evie rozwijała swą teorię na temat urazu głowy. - Może nawet straciłeś po nim przytomność.

- Co ty pleciesz, Evie? - zdziwił się. - Nic takiego nigdy się nie wydarzyło. Skąd to pytanie?

- No cóż, słyszałam, że poważny uraz głowy może spowodować całkowitą zmianę osobowości.

- Co to ma wspólnego ze mną?! - zdumiał się Justin.

Wzruszyła ramionami.

- Nic, nic! Chociaż to by wiele wyjaśniało.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Piłaś, czy co?

- Nic podobnego! - Z ciężkim westchnieniem pożegnała się ze swą teorią o urazie mózgu, który położył kres buduarowym sukcesom Justina. - Słowo daję, że nie piłam.

- Wobec tego co się z tobą dzieje? Gadasz głupstwa, nie czytasz listów… Moje siostry rzucają się od razu na korespondencję, a ty trzymasz pęk listów w ręku jakby to były rachunki za węgiel! Nie jesteś ciekawa, co w nich jest?

- Pewnie, że tak!

Otworzyła pierwszą kopertę i wyciągnęła z niej plik kartek. Przejrzała je pospiesznie.

- Od ciotki Agathy, choć to nie jej pismo. Musiała widocznie zatrudnić kogoś do pomocy przy korespondencji - mruknęła, wracając do pierwszej strony. Tym razem czytała uważnie. - O! Wyjechali z Paryża i wyruszyli w Alpy... Planują podróż statkiem do wybrzeży Afryki... No, no! Kto by pomyślał!

- Dobrze, dobrze - wtrącił się Justin, podtykając jej następny list. - Przestudiujesz to gruntowniej w wolnej chwili. Ale teraz przyjrzyj się temu. Lepiej sprawdzić, czy to przypadkiem nie od wierzycieli.

- Pewnie masz rację. - Otworzyła drugą kopertę i z wyraźną satysfakcją zapoznała się z jej zawartością. - Jeszcze jeden czek! Pewnie znów od pani Vandervoort - mruknęła i schowała go pod epistołą ciotki, nim wzięła do rąk następny list. - Ależ ty masz oko, Justinie! Rzeczywiście, od cudzoziemca. Od pana Blumfielda, ściśle mówiąc. Pyta, czy nie wybrałabym się z nim na piknik dziś po południu i, wyobraź sobie, stokrotnie przeprasza, że „nie okazał należnego respektu mojej niezawisłości i samodzielności"!

Justin schylił się, by zobaczyć to na własne oczy. Evelyn udaremniła jego zamiar, przyciskając list do piersi.

- Daj że spokój! - zauważył Justin z lekkim sarkazmem. - „Niezawisłość i samodzielność?!" Nawet ten dureń nie mógł tego napisać!

- Właśnie że napisał! - prychnęła gniewnie Evelyn. - I jestem zachwycona jego staroświecką kurtuazją!

Justin roześmiał się szyderczo.

- Zupełnie jakbym słyszał swoją cioteczną babkę Bessie. Muzealny okaz, z zakutym łbem!... Chyba się nie wybierzesz się na ten piknik, co?

- Dlaczegóżby nie?

- Masz mnóstwo roboty.

- Nic podobnego! Wszystko idzie jak po maśle. Mam ogromną ochotę na ten piknik.

- No to jedź! - burknął i dodał złowieszczym tonem: - Byle tylko przyjęcie weselne nie ucierpiało na tym, że zaniedbujesz swoje obowiązki!

- Nie bądź głupi, Justinie! Doprawdy nie wiem, dlaczego uprzedziłeś się do pana Blumfielda! Pewnie dlatego, że jest cudzoziemcem.

- Czyżbyś mnie posądzała o ksenofobię, Evie? - spytał wyniośle.

- „Uderz w stół, a nożyce się odezwą!" - zacytowała mu ze słodkim uśmiechem. - A teraz wybacz, że cię opuszczę. Mam jeszcze to i owo do zrobienia przed wyjściem. Z pewnością nie chciałbyś, żebym zaniedbała obowiązki!

Przynajmniej raz miała ostatnie słowo.

Nie była to idealna pogoda na piknik - niebo zasnute chmurami, parne powietrze, najlżejszego powiewu. Ernst zjawił się w North Cross Abbey punktualnie o jedenastej i zgodnie z wszelkimi wymaganiami dobrego tonu wyraził swój podziw dla skromnej sukni z brązowej wełenki, którą miała na sobie Evelyn, oraz dla jej starannie zaplecionych i upiętych włosów. Oznajmił, że znalazł już miejsce na piknik - najbardziej uroczy zakątek w całym Wschodnim Sussex.

Następnie jednak jego udział w konwersacji ograniczył się do nielicznych frazesów, które mamrotał pod nosem. Evelyn zaczęła się już obawiać, że przez całe popołudnie będzie musiała podtrzymywać rozmowę. Na szczęście zagadnęła Ernsta o nowy rower i wdali się w rzeczową, ożywioną dyskusję na temat zalet i wad nowomodnych wulkanizowanych opon. Od tej pory rozmowa toczyła się wartko.

Niebawem Ernst zjechał na pobocze drogi, wyskoczył z bryczki i wyprzągł kuca. Evelyn również wysiadła i przyglądała się, jak Ernst wyładowuje swój nowy rower i dwa wielkie, nieporęczne wiklinowe kosze.

- Jeden sam zawiozę na rowerze w ten przepiękny zakątek - oznajmił. - O!... Więc nie dotarli jeszcze na miejsce? No, cóż... doskonale! Trochę wysiłku fizycznego powinno pobudzić apetyt i wzmocnić ich duchowo.

- Panie Blumfield... - zaczęła.

- Ernst, bardzo proszę.

Pokazała w uśmiechu dołeczki. Co prawda, nie były to dołeczki w pełnym tego słowa znaczeniu, ale zawsze lekkie wgłębienia w policzkach. Tak przynajmniej wydawało się Evelyn.

- A więc... Ernst. Musisz się zgodzić, żebym wzięła drugi kosz. Z pewnością dam sobie radę.

- Nie ma wątpienia - zapewnił ją solennie.

Podniosła jeden z koszyków i omal nie przewróciła się na nos. Boże święty! Co on do niego wpakował? Piec kuchenny?! Zrobiła dobrą minę do złej gry, oparła kosz o biodro i nawet się ucieszyła, że Ernst nie próbuje uwolnić jej

od tego brzemienia. Naprawdę respektował jej „niezawisłość i samodzielność!" Wielkie nieba!

Upłynęło dwadzieścia minut, nim dotarli na miejsce wybrane przez Ernsta. Przez większość drogi szli pod górę. Raz przeprawiali się przez strumień. Kiedy wlekli się przez pełną wertepów łąkę, a następnie wspinali po stromym zboczu na skraj lasu, towarzyszyły im niezliczone zastępy meszek. Pantofle Evelyn nie były przeznaczone do wypraw turystycznych, więc niebawem miała już pęcherze na piętach. Ciemna, brązowa suknia, na której nie byłoby widać plam z trawy i błota, wkrótce się prze-pociła i ciemne kręgi pod pachami nie tylko były doskonale widoczne, ale ciągle się powiększały.

Za to Ernst znajdował się w swoim żywiole. Dzielnie popychał rower z wiklinowym koszem przytroczonym do kierownicy i rozprawiał o rodzaju hamulca, jaki zastosowano w tym pojeździe. Wreszcie zatrzymał się.

- To tu! Bardzo prześliczne, nieprawdaż?

- Naprawdę uroczo - odparła Evelyn.

Jej zdaniem to miejsce niczym się nie wyróżniało spośród wszystkich, które mijali po drodze.

- Mam wrażenie, że w twoim koszu spakowałem bardzo porządny koc. Będziesz łaskawa i wyjmiesz?

- Z miłą chęcią - zapewniła z absolutną szczerością, marzyła o dłuższym wypoczynku.

Otworzyła kosz i wyciągnęła z niego ciężki wełniany koc. Wytrzepała go porządnie i rozłożyła na trawie pod wielkim dębem.

Z ulgą przysiadła na kocu. Tymczasem Ernst podprowadził rower do dębu i oparł o pień. Potem wrócił z drugim koszem. Usiadł obok Evelyn i zaproponował nieśmiało:

- Może łaskawie uczynisz honory domu?

Evelyn spojrzała na niego w osłupieniu.

- Co takiego?!

Pogroził jej żartobliwie palcem.

- Zawsze lubiłem patrzeć, jak moja matka krząta się wokół posiłku. Te jej starania dla nas, to bieganie po jedno i drugie, były takie kobiece! Teraz w moim życiu brakuje kobiecej ręki.

- O...?

Evelyn pochlebiły jego słowa, toteż zabrała się - choć niezbyt chętnie - do rozpakowywania koszyka. Wydobywała z niego i układała starannie sztućce, talerze, serwetki, szklanki oraz kilka paczuszek owiniętych w woskowany papier. Znalazłszy termos i kubki zerknęła na Ernsta, ale powiedział tylko:

- Bardzo proszę.

Nalała mu więc mrożonej kawy.

Westchnął radośnie i rozłożył się na kocu. Evelyn obruszyła się nieco i rozpakowała zapasy: bochen chleba, ćwiartkę okrągłego sera, kilka jabłek i kawał szynki. Ernst skinął tylko głową, jakby chciał powiedzieć „Wierzę w ciebie!", więc zdołała jakoś pokroić chleb i wędlinę. Wręczyła mu jedną z dwóch monstrualnych kanapek.

Obserwował właśnie z rozmarzeniem sunące po niebie obłoki, ale oprzytomniał w porę i raczył przyjąć podsuwany mu talerz.

- Jak tu spokojnie i błogo, nieprawdaż? - zauważył, opierając się na łokciu i spoglądając jej radośnie w oczy. - Prawdziwy raj!

Już miała na końcu języka, że lepiej by doceniła tę błogość, gdyby miała chwilę spokoju, ale powstrzymał ją wyraz oczu Ernsta. Po co mu psuć przyjemność? To jeszcze dzieciak!

- Rzeczywiście - przytaknęła, wgryzając się w grubą kromkę.

Ernst rozgadał się podczas jedzenia. Opowiadał o swojej matce i ojcu oraz o niewielkim zamku w Bawarii, w którym się wychował. (Boże święty! Jeszcze jeden zapleśniały relikt w rodzaju North Cross Abbey!) A także o chorobie brata. Dopytywał się o rodzinę Evelyn i ogromnie mu zaimponowało, że jest wnuczką księcia. Po czym dość nietaktownie wyraził swe zdumienie, że panna tak dobrze urodzona i tak utalentowana jak Evelyn nie znalazła jeszcze godnego siebie męża. Całkiem zrozumiałe, że Evelyn stawia wysokie wymagania ubiegającym się ojej rękę, ale czy nie trafił się nikt, kto miałby u niej jakieś szanse?

Te słowa oderwały wreszcie Evelyn od przyziemnych myśli o zbolałych, pokrytych pęcherzami stopach i przeniosły ją w krainę romansu. Nie oświadczył się jej dotąd żaden mężczyzna, ale Ernst był najwyraźniej przekonany, że ciągle jej się ktoś oświadcza i dostaje kosza! Mówił to całkiem serio!

Przełknęła ostatni kęs kanapki, odstawiła talerz, oparła brodę na ręce i spojrzała na niego z rozmarzeniem.

- Nikt.

*Z wyjątkiem Justina!*

Oczy Evelyn rozszerzyły się z przerażenia. Co to za głos? I czemu wygaduje takie kłamstwa?!

- Stało się coś? - spytał z niepokojem Ernst. - To była taka zdziwiona mina... Nieprzyjemnie zdziwiona. Coś cię ugryzło?

- Nic mnie nie ugryzło! - zachichotała nerwowo Evie. - O czym to mówiłeś?

- Mówiłem, że to dziwne, iż kobieta z takimi cnotami, taka zdolna i urocza, taka malutka i taka...

Nie poznała dalszego ciągu tej wyliczanki, bo właśnie w tej chwili Ernst pochylił się i pocałował ją.

Naprawdę ją pocałował!

Przycisnął usta do jej ust i cmoknął siarczyście. Jego wargi były ciepłe, a wąsy zabawnie łaskotały. I tyle.

Pocałunek nie był wstrętny. Ani zaśliniony. Całkiem przyjemny, można by powiedzieć, ale doprawdy nic takiego, o czym mogłaby śnić po nocach i marzyć na jawie.

- Ja... przepraszam, Evelyn - kajał się Ernst, usiłując coś wyczytać z jej twarzy. - Ja po prostu... Porwało mnie z namiętności!

*Może do smaku pocałunków trzeba się przyzwyczaić, tak jak do ostryg czy sera roquefort?... No cóż, chyba warto spróbować jeszcze raz*, pomyślała Evelyn. Z wyrazu twarzy Ernsta poznała, że doszedł do tego samego wniosku. Uśmiechnęła się zachęcająco, a on objął ją czule ramieniem. Przymknął oczy. Czy i ona powinna je zamknąć? Pochylał się niżej i niżej...

Coś głośno zaszeleściło w konarach pobliskiego dębu.

Evelyn uniosła raptownie głowę. Pocałunek Ernsta nie trafił do celu, a Justin Powell spadł z drzewa.

## *14*

- Justin?!

Evelyn gapiła się na niego, nie wierząc własnym oczom. Choć drzewo, z którego zleciał, znajdowało się w odległości kilku metrów, widziała wyraźnie, że był czerwony jak burak. Dobrze mu tak! Bezwstydny podglądacz!

Podniosła się z ostentacyjnym szelestem praktycznej brązowej sukni i skromnych bawełnianych halek i ruszyła w stronę intruza. Ernst pospieszył za nią. Zatrzymała się kilka kroków od Justina, wzięła się pod boki i tupnęła nogą. Nawet na nią nie spojrzał, póki nie otrzepał ubrania. Skąd ta nagła troskliwość o wygląd zewnętrzny?! Bardzo to podejrzane!

- Co to ma znaczyć?! - spytała groźnie.

- Rozdarłem sobie spodnie na kolanie - odparł takim tonem, jakby to była jej wina. - Moje ulubione spodnie!

- Nic panu nie jest? - spytał niespokojnie Ernst. Poczciwa dusza, martwi się nawet o takiego bezczelnego natręta! - Groźnie pan spadł!

- Wcale nie spadłem - poprawił go Justin wyniosłym tonem - tylko zeskoczyłem i straciłem równowagę. - A zeskoczyłem, bo któż by nie zeskoczył w tak bulwersującej sytuacji?!

Evelyn otwarła usta, by odparować to bezczelne łgarstwo, ale wydobyło się z nich tylko zdławione.

- Ochchch!...

Biedny Ernst zbladł jak płótno.

- Ja zapewniam pana, że mam...

- Oszczędź sobie tych zapewnień, Blumfield! To, coście tu wyrabiali z lady Evelyn, to nie moja sprawa!

- Wyrabiali? Niczego nie wyrabialiśmy!

Justin zdobył się na spojrzenie, które było równocześnie wyniosłe, znużone i powątpiewające. Niezłe osiągnięcie jak na kogoś, kto właśnie spadł z drzewa!

- Powiadasz? Niech ci będzie. Zresztą, to nie mój interes! Mnie obchodzi tylko Noctua Summe Formosa. Parvula.

Ernst zrobił wielkie oczy.

- Proszę?

- To taki ptak, panie Blumfield - wyjaśniła Evelyn, mierząc złym okiem Justina. Uniósł zuchwale brwi, jakby rzucał jej wyzwanie. Był tak pewny własnej słuszności, że święte oburzenie Evie nieco przygasło. Kto wie? Może naprawdę wszedł na to drzewo, by obserwować ptaki?

- Byłem tak blisko samiczki, że mógłbym jej dotknąć, i wtedy właśnie diabli was tu przynieśli! Starałem się nie zwracać na was uwagi. Miałem nadzieję, że przegryziecie coś niecoś i pójdziecie, skąd przyszliście! Ale sprawy przybrały tak intymny obrót, że musiałem dać wam dyskretnie do zrozumienia, że nie jesteście sami.

- Spadając z drzewa?! - spytała kąśliwie Evelyn.

Zwrócił się do niej z miną skrzywdzonego niewiniątka.

- Skacząc z drzewa. I mogę dodać, że moja biedna Noctua śmiertelnie się wystraszyła! Powinniście widzieć, jak nastroszyła piórka!

- Chcesz powiedzieć, że zagnieździłeś się na tym drzewie jeszcze przed naszym przybyciem?!

- Ależ skąd! - odparł sarkastycznie. - Przyczołgałem się na brzuchu po trawie, a potem wspiąłem się na drzewo tak, że żadne z was mnie nie dostrzegło!

Evie poczuła się trochę głupio. Była nawet nieco zmieszana. - Hm...

- Zapewniam, lady Evelyn, że to wy - Justin zerknął od niechcenia na Ernsta - zakłóciliście moją samotność, a nie odwrotnie!

- Najmocniej przepraszam, panie Powell - kajał się Ernst.

Justin wielkodusznie przyjął jego przeprosiny.

- Nie miałeś złych intencji, Blumfield.

W Evelyn wszystko się gotowało. Nieważne, kiedy Justin wlazł na to drzewo! Dżentelmen uprzedziłby ich o swojej obecności natychmiast! Nawet jeśli gwizdał sobie na konwenanse. Nawet jeśli miał w zasięgu ręki niezwykły okaz i nie chciał go spłoszyć. Natychmiast!

A w dodatku Ernst stoi tu jak obraz nędzy i rozpaczy i tylko załamuje ręce! To on powinien domagać się przeprosin! Prawda, jest cudzoziemcem, więc może nie czuje się pewnie w obcym środowisku. Należało okazać mu wyrozumiałość. Ale w tej chwili wszelkie chrześcijańskie uczucia opuściły Evelyn. Była wściekła i tyle!

Suknia kleiła się od potu. Wełna drapała. Twarz miała spieczoną od słońca, a na udzie siniaka, tam gdzie obijał się o nie ten przeklęty koszyk! A przede wszystkim pocałunek, jej pierwszy pocałunek, przedmiot tylu marzeń i rozkosznych domysłów, okazał się równie fascynujący jak... żucie kanapki. Niezbyt apetycznej. Albo obgryzanie surowej marchewki, pożal się Boże, choć to podobno zdrowe.

W swoich dniach chwały, jako niecny uwodziciel, Justin wabił zapewne swe ofiary pocałunkami równie kuszącymi i egzotycznymi jak kawior. Prawdziwy, z bieługi, a nie jakaś nędzna ikra ze złotośledzia!

Im dłużej Evelyn rozmyślała o tym wszystkim - o niekończącej się wspinaczce, przepoconej sukni, o spieczonych słońcem policzkach, szykowaniu monstrualnych kanapek dla drzemiącego lenia, a wreszcie o wymarzonym pocałunku, który nie tylko przyniósł jej rozczarowanie, ale i wstyd, bo został podpatrzony - i to przez kogo - tym większy gniew ją ogarniał.

Wreszcie z jej gardła wydobył się przenikliwy ni to jęk, ni to pomruk, coś w rodzaju: Ooo… brrr!

Obaj mężczyźni natychmiast przerwali wymianę pojednawczych gestów i spojrzeli na nią z przestrachem.

- Ooo…! - powtórzyła Evie, okręciła się na pięcie i ze stanowczym: - …brr…! - ruszyła z impetem w dół zbocza.

- Lady Evelyn…?

- Wiesz co, Blumfield? - zauważył Justin. - Coś mi się zdaje, że ona ma nas dosyć!

- Lady Evelyn!... Błagam, lady Evelyn! Niech pani wróci... Mamy tyle bagażu!

- Ooo... brrr! -wyrwało się Evie raz jeszcze, nim zdołała się powstrzymać. Zbiegła ze stoku, przebrnęła przez ten przeklęty sielski strumyk i wdrapała się na pobocze drogi, gdzie kuc spokojnie szczypał trawę.

W tym samym niemal czasie pojawił się zasapany, czerwony jak burak Ernst na rowerze obwieszonym kocami i koszykami.

- Proszę, niech pani wsiada, lady Evelyn. Zaraz zaprzęgnę. - Wrzucił cały ekwipunek na tył wozu, zaprzągł kuca i usiadł obok Evelyn. - Stokrotnie przepraszam, lady Evelyn! Tylko... co było nie tak? Proszę mnie oświecić!

- Co było nie tak?!

Powtórzyła to takim tonem, że Ernst aż się wzdrygnął. A jej od razu przeszło oburzenie. Uśmiechał się tak boleśnie, miał tak zaniepokojoną i skruszoną minę, że nie mogła się dłużej na niego gniewać. On naprawdę nie miał pojęcia, co było nie tak!

Zresztą, czy to jego wina, że ubrała się nieodpowiednio na wyprawę turystyczną? Albo że Justin wlazł na drzewo? A już z pewnością nie był temu winien, że jego pocałunek kojarzył się jej z marchewką na surowo! W gruncie rzeczy nie miała nic przeciw marchewce, tyle że spodziewała się kawioru. Prawdę mówiąc, to ona powinna go przeprosić!

- Wszystko było jak należy, tylko bardzo się zdenerwowałam, że pan Powell nas przyłapał w takim momencie. A kiedy jestem zażenowana, często zachowuję się jak dziecko. To moja wina, przepraszam!

Odetchnął z taką ulgą, że uśmiechnęła się mimo woli.

- Już się bałem, że to ja niechcący... nadepnąłem pani na nerwy.

- Niczym mnie pan nie uraził - zapewniła go. - To ja zachowałam się jak rozkapryszony dzieciak!

- Pani? Rozkapryszona? Co znowu! -zaprotestował. - Taka prawdziwa angielska dama! A pan Powell, naprawdę, trafił się nam w złej chwili!

Evelyn zerknęła w stronę drzew, licząc trochę na to, że ujrzy Justina wspinającego się na któreś z nich. Ku swemu zaskoczeniu dostrzegła go całkiem gdzie indziej. Sforsował bez trudu strumyk i wyraźnie zmierzał w ich stronę. Niemile zaskoczona odwróciła się do Ernsta.

- Powiedział, że jego ptaszek się spłoszył i on nie ma tu już co robić - wyjaśnił Blumfield. - Więc pomyślałem tak: to będzie ładnie go podwieźć, jak bliźni bliźniego.

Justin zjawił się cały w uśmiechach i wskoczył do bryczki. Usiadł na ławeczce przodem do kierunku jazdy, położył rękę na oparciu i zerknął na Evelyn.

- Porządny chłop z tego Blumfielda! Prawda, Evie?

- Istotnie.

Justin zaczął ni stąd, ni zowąd odstawiać wielkodusznego arystokratę, bratającego się z pospólstwem, choć przed chwilą był sztywny i napuszony. Evelyn zachowała pozorny spokój, ale w jej myślach panował zamęt.

Przez całą drogę do North Cross Abbey Justin mógł podziwiać wyłącznie tył głowy Evelyn siedzącej obok Ernsta. Może to i lepiej?

Miał nieodparte wrażenie, że Evie poznała się na jego sztuczkach i trochę to nim wstrząsnęło. Grał nieustannie to tę, to znów inną rolę i potrafił błyskawicznie przedzierzgnąć się z jednej w drugą. Nieraz dzięki tym zdolnościom uratował życie. Najczęściej przywdziewał maskę nieszkodliwego maniaka, pozbawionego rozumu i ikry. Ale - mimo jego usilnych starań - Evie nie chciała się na to nabrać!

Ciekawe, dlaczego? Fascynujący problem!

Udało mu się jednak wmówić jej i Blumfieldowi, że siedział na tym drzewie od Bóg wie ilu godzin, nim się zjawili. Prawda wyglądała zaś tak, że najpierw wybrał się z sąsiedzką wizytą do braci Blumfieldów. Gdy nikt nie odpowiedział na jego stukanie do drzwi, postanowił spróbować szczęścia przez okno.

Dzięki poręcznej kracie po cichutku dotarł do okna na piętrze i uchwyciwszy się parapetu, zajrzał do sypialni. Rzeczywiście, leżał tam na łóżku

młody człowiek, frontem do Justina. Oczy miał zamknięte, a trzy czwarte twarzy bez siniaków. Jednakowoż warto było obejrzeć policzek wtulony w poduszkę.

Justin sięgnął jedną ręką do kieszeni, drugą nadal trzymał się parapetu, i wydobył dwupensówkę. Wrzucił ją przez otwarte okno. Potoczyła się z brzękiem po podłodze. Odsunął się na bok i czekał, co będzie dalej. Młody człowiek uniósł się. na posłaniu i spojrzał w kierunku spadającej z nieba monety. Justin mógł bez trudu obejrzeć i drugi profil. Bez skazy.

Nieco rozczarowany zlazł na dół. A więc to nie był Gregory Blumfield! Ale pozostawał jeszcze Ernst. Ta myśl pobudziła Justina do dalszego działania. Postanowił więc nie czekać z oględzinami do chwili, gdy Blumfield odwiezie Evie z pikniku, lecz poszukać pary w plenerze.

Powziąwszy ten zamiar, ruszył na przełaj przez pole w stronę lasu, tam gdzie zauważył już wcześniej Blumfielda wyprzęgającego konia. Rozejrzawszy się dokoła, ujrzał Evie i Ernsta - wspinali się na dość odległe wzgórze, na którego szczycie rósł wielki stary dąb.

Szczerze mówiąc, nie pełzał po trawie na czworakach, najwyżej od czasu do czasu. Przeważnie wystarczyło w odpowiednim momencie przykucnąć.

Kiedy już dotarł do drzew, poszło jak z płatka. Szybko wspiął się na bardzo dogodną gałąź, przyłożył lornetkę do oczu i spojrzał wprost na buźkę Blumfieida. Niestety, młody człowiek tak się czerwienił i tak niespokojnie kręcił głową, że Justin ani rusz nie mógł się zorientować, czy ma na szczęce jakieś siniaki. A kiedy w dodatku ta pruska świnia zaczęła się kleić do Evie...

Justin opadł na tylne oparcie ławki i siłą woli powstrzymał się od zgrzytania zębami. To nie był pocałunek, ale żałosna parodia! A Evie, zamiast udawać oburzoną, powinna mu podziękować, że w tak odpowiedniej chwili spadł - to znaczy zeskoczył, rzecz jasna - z drzewa!

Owszem, szpiegował ich. I co z tego? Przecież był szpiegiem. Profesjonalnym. I dzięki temu dowiedział się tego, czego chciał. Spojrzawszy z bliska (acz przelotnie) na Blumfieida, przekonał się, że Niemiec nie ma żadnych siniaków na twarzy. Choć, prawdę mówiąc, chętnie by się przyczynił do ich powstania.

Uśmiechnął się kwaśno. Nie zamierzał skreślać jeszcze Ernsta z listy podejrzanych. Blumfield mógł wynająć jakiegoś opryszka, by włamał się do North Cross Abbey. Mógł również udawać nieśmiałego, zadurzonego kochasia.

Justin wyobrażał sobie właśnie, z dużą satysfakcją, jak osobiście wzbogaca fizjonomię Blumfieida o kilka twarzowych szram, nie wspominając już o podbitych oczach, gdy dojechali do dawnego opactwa. Evie, która przez całą drogę nie odezwała się do niego ani słówkiem, pozwoliła teraz temu szwabowi, by pomógł jej wysiąść z bryczki. Facet zrobił z tego całe przedstawienie. Był taki troskliwy, taki rozpromieniony... aż się rzygać chciało!

Justin zeskoczył na ziemię tuż obok Evelyn.

- No, Evie, dygnij ładnie i powiedz temu uprzejmemu panu: „Pięknie dziękuję, do widzenia!"

Udała, że go nie słyszy, i wyciągnęła rękę do Ernsta.

- Dziękuję, że mnie pan zaprosił na piknik, panie Blumfield. Było naprawdę uroczo!

- Jestem uradowany ponad miarę! - odparł Ernst z ukłonem i pocałował ją czule w rękę.

Justin ziewnął ostentacyjnie i napotkawszy spojrzenie Evie, rozłożył ramiona w bezradnym geście.

- Proszę wybaczyć, ale tak mnie rozleniwiło słońce... Nie zwracajcie na mnie uwagi. Coście tam mówili? No, dalej, dalej!

- Może to sobie powiesz: „No, dalej, dalej!" i poszukasz, czy nie ma cię gdzieś indziej?

- O! Czyżbym wam przeszkadzał w gruchaniu? - Justin zrobił wielkie oczy. - Przepraszam! Strasznie jestem tępy, co?... Ale chciałem uścisnąć temu panu dłoń. Równy z ciebie chłop, stary byku! Ze świecą takich szukać!

Evie przymknęła na chwilę oczy. Usta jej podejrzanie zadrżały. Kiedy znów podniosła powieki, z premedytacją omijała wzrokiem Justina. Powell uśmiechnął się z lekkim roztargnieniem do Blumfieida.

- No, dobra. W takim razie trzymaj się! Już mnie nie ma. Pa!

Policzki Evie dziwnie wklęsły. Justin gotów był założyć się o dziesięć funtów, że przygryza je od środka, żeby nie parsknąć śmiechem. Klepnął Blumfieida po ramieniu, ruszył ku drzwiom frontowym, odwrócił się, jakby raz jeszcze chciał im pomachać na pożegnanie, i stanął jak wryty. Szczęka mu opadła, wlepił wzrok w krzaki za bryczką. Z nerwowym pośpiechem podniósł do oczu lornetkę.

Blumfield odchrząknął i pochwycił znów rękę Evie.

- Lady Evelyn, jestem uszczęśliwiony, że nadarzyła się nam okazja bliskiego poznania...

- Cicho! - rzucił rozkazującym szeptem Justin, odejmując lornetkę od oczu i spoglądając złym wzrokiem na młodą parę. - To Noctua! Przyleciała aż tutaj! W tej chwili!

- Och!... - speszył się Ernst. Zerknął na krzaki, przełknął ślinę i przysunął się bliżej do Evie. - Lady Evelyn - szepnął. - Czy mógłbym znów panią odwiedzić…

- Proszę o ciszę! - syknął groźnie Justin i nie odrywając lornetki od oczu, chwycił się drugą ręką za serce. - Już się płoszy!

Sfrustrowany Blumfield skłonił się, przemknął na paluszkach koło Evie i wsiadł do bryczki. Ostrożnie wziął do rąk lejce.

- Dzięki! - rzucił Justin teatralnym szeptem.

Blumfield skinął głową, szepnął pospiesznie do Evie:

- Wpadnę na rowerze, to się pani przejedzie! - I ruszył w drogę powrotną.

Evie spoglądała za nim, póki nie zniknął za zakrętem podjazdu. Potem z morderczą precyzją skierowała wzrok na Justina. Wypluł źdźbło trawy, które wetknął sobie między zęby zaraz po odjeździe Blumfielda, i uśmiechnął się.

- Powinieneś się wstydzić! - stwierdziła, zmierzając ku niemu.

- Wstydzę się, wstydzę! - zapewnił ją. - Niemal bez przerwy! Ale dziś… - zastanowił się przez chwilę - raczej nie.

Weszła na dwa schodki. Była taka malutka, że musiała zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy. Przy takim ruchu uwydatniała się jej smukła szyja. Prześliczna!

- Powinieneś przeprosić pana Blumfielda.

- Wybij to sobie z głowy!

Nie odpowiedziała, tylko sięgnęła do klamki. Justin uprzedził ją i otworzył jej drzwi.

- Niby za co miałbym go przepraszać?

Wkroczyła do frontowego holu. On za nią.

- No, za co? - nalegał.

Nie raczyła się nawet odwrócić.

- Jeśli w tych krzakach był jakiś ptak, Noctua czy nie Noctua, to ja jestem królowa Saby!

Akurat w tym momencie Beverly wyłonił się z jakichś drzwi mniej więcej w połowie korytarza. Ujrzał Evelyn i już miał się cofnąć, ale go dostrzegła.

- Beverly! Pozwól no tu na chwilkę!

- Tylko na chwilkę, milady? Zazwyczaj pani rozmowy z domowym personelem trwają znacznie dłużej.

- Schodzę do piwniczki na wino, Beverly - oznajmiła. - Proszę o klucze!

- Piwnica na wino nie jest zamknięta, milady - odparł Beverly. - Nie ma w niej nic, co mogłoby skusić złodzieja. Najwyżej kilka beczułek starego cydru. Generał Harden nie odznaczał się wyrobionym smakiem zarówno jeśli chodzi o potrawy, jak i trunki. Mam wrażenie, że uważał curry, serwowane często przez jego hinduskiego kucharza, za najwyższe osiągnięcie sztuki kulinarnej.

Beverly zmierzył Justina takim wzrokiem, jakby podejrzewał go o równie prostackie upodobania, i prychnął z pogardą.

- Doskonale - zwróciła się Evelyn do kamerdynera, ignorując kompletnie Justina, co wcale nie przypadło mu do gustu. - Pozwolisz, że sama się o tym przekonam?

- Będę zachwycony, lady Evelyn. Gdyby pani tego nie zrobiła, poderwałoby to moją wiarę w niezmienność praw rządzących światem.

Evelyn nie zadała sobie fatygi, żeby mu się odszczeknąć. Wyminęła kamerdynera i weszła do salonu. Justin nadal deptał jej po piętach.

- Naprawdę chce ci się złazić do tego zakurzonego starego lochu, Evie?

- Owszem - odparła, zmierzając prosto do niskich drzwi ukrytych za olbrzymim kominkiem.

Rzeczywiście, nie były zamknięte na klucz i ustąpiły bez oporu. Na znajdującej się nad schodami półeczce stała niewielka mosiężna latarnia. Evelyn zręcznie ją zapaliła i ruszyła w dół po kamiennych stopniach tak starych i wydeptanych, że pośrodku były wklęśnięte. Justin pospieszył za nią.

- Nie musisz się fatygować - stwierdziła irytująco oziębłym tonem.

Justin jeszcze bardziej się zawziął, żeby nie wiem co, przekona się, co Evie ukrywa za tymi ciemnymi okularami i zaabsorbowaną miną!

- Ale chyba nie weźmiesz mi za złe, jeśli też zejdę? Mam wyraźną słabość do cydru!

Uśmiechnął się. Uroczo. Wręcz zniewalająco. Zmierzyła go znów lodowatym spojrzeniem.

- Jak sobie chcesz!

Trudno to było nazwać piwnicą na wino. Nędzne resztki i tyle. Na rachitycznych stojakach zachowało się jedynie kilka butelek nie najlepszych włoskich win, jedna czy dwie baryłki równie podłego koniaku i omszała ze starości butelka madery. No i, zgodnie z zapowiedzią Beverly'ego, może pół tuzina beczek z cydrem podpierało walącą się ścianę.

- Stary Beverly miał rację, co?

- Właśnie że nie miał - odparła Evelyn, podnosząc latarnię do góry i rozglądając się dokoła.

Złote światło podkreślało jej rysy i rozjaśniało ciemne szkła okularów. Nieposłuszny lok wymknął się z upięcia i rzucał kapryśny cień na jej policzek.

- Tam! - podbiegła do stojącej luzem beczki, z której zdjęto wieko i oparto je o ścianę.

Evie postawiła latarnię na ziemi i zajrzała do środka. Była taka malutka, że górna połowa jej ciała, aż do pasa, znikła całkiem w beczce.

- Do licha! - zabrzmiało głucho z wnętrza.

Evelyn podskoczyła, wierzgnęła nogami i - sapiąc głośno i postękując z wysiłku - zaczęła myszkować zawzięcie w czeluściach beczki.

- Już... prawie... mam!... - zagrzmiał z głębi jej głos.

Wynurzyła się z triumfem. W każdej z podniesionych do góry rąk dzierżyła butlę wina. Twarz miała pokrytą kurzem i pajęczyny w rozczochranych włosach.

- I cóż my tu mamy?

- Co mamy, panie Powell? Dwie z dziesięciu butelek Chateau Lafite-Rotschild, które pański dziadek ukrył tu przezornie w 1886 roku, przed wizytą pańskiego ojca w North Cross Abbey.

- To całkiem w stylu starego dusigrosza!... Ale skąd ty o tym wiesz?!

- Z jego dzienników. Cóż to za okaz starego wojaka! Doskonała organizacja, każda akcja dopracowana w najdrobniejszych szczegółach, zwłaszcza działania wojenne prowadzone przeciw domownikom, i udokumentowana czarno na białym, na użytek przyszłych pokoleń. Choćby nawet te pokolenia miały stracić przez to serce do dziadziusia!

Justin roześmiał się.

- Bardzo wątpię, czy przyszło mu w ogóle do głowy, że ktoś mógłby kwestionować jego rozumowanie albo ocenić negatywnie jego sprytne posunięcia.

Evelyn zawahała się, ostrożnie odstawiła swą zdobycz na ziemię. Wyraz jej twarzy był trudny do odczytania - dziwna mieszanina niepokoju, determinacji, zażenowania...

- Czy wy... ty i on...? To musiało być takie trudne... dla was obu.

- Znacznie trudniej by nam było, gdybyśmy się zamienili rolami - zaczął lekkim tonem Justin, ale urwał, spostrzegłszy wyraz jej twarzy. O Boże, ta dziewczyna naprawdę się tym przejęła! - Kochana dziewuszko - powiedział miękko - to naprawdę nie była dla nas tragedia, możesz mi wierzyć!

- Ale on się spodziewał, że będziesz całkiem inny, niż jesteś! Z pewnością nie było ci łatwo, gdy czułeś, że nie dorastasz do jego oczekiwań!

Justin zmarszczył brwi. Próbował wymyślić coś, co ją pocieszy i uspokoi. Był zdumiony, że Evie wzięła to sobie aż tak do serca. Nawet jego własna rodzina nie miała pojęcia o prawdziwej przyczynie jego pozornego zerwania z wojskową karierą. Ale choć krewni byli nieco rozczarowani, że Justin wyłamał się z rodzinnej tradycji, w tak bezceremonialny sposób porzucając armię, nigdy się go nie wyrzekli. Jedynie generał John Harden i grono jego równie

zbzikowanych starych kompanów z wojska uznali to za niewybaczalny akt zdrady.

Musi to jakoś wytłumaczyć Evie. Czuł, że w jej współczuciu kryje się coś więcej prócz zwykłej życzliwości. W jakimś sensie utożsamiała się z nim. A on pragnął ją uspokoić. Bardzo tego chciał!

- Nigdy nie dbałem o to, co o mnie myśli dziadek, Evie! - Justin pochylił się ku niej, zaciskając ręce na brzegu stojącej pomiędzy nimi beczki. Evelyn również przysunęła się bliżej, spoglądając mu bacznie w twarz.

- Jak mogłeś o to nie dbać?! Przecież to był twój dziadek!

Justin zastanowił się.

- Miałem szczęście. A przede wszystkim oparcie w ojcu. Nie pozwolił, by jego teść tyranizował mnie, despotycznie rządził moim życiem albo upokarzał, by zmusić mnie do realizowania jego żądań i zachcianek. Mój ojciec przez długie lata robił wszystko, by zyskać aprobatę dziadka, rozumiesz? Udało mu się to, ale nie przyniosło mu szczęścia. I pewnego dnia ocknął się, tak mi przynajmniej mówił, i uświadomił sobie, że chcąc za wszelką cenę dogodzić generałowi, omal nie wyrzekł się własnego ja.

- Własnego ja?...

Evie słuchała z rozchylonymi ustami, jak dziecko urzeczone zachwycającą baśnią.

- Tak. Każdy z nas nosi przecież w sercu taki obraz samego siebie, jakim mógłby się stać, gdyby mu starczyło odwagi, szczerości i siły.

Gdy mówił, przysuwała się do niego coraz bliżej, zupełnie jakby przyciągał ją niewidoczny magnes.

- I twój ojciec nauczył cię, jak dochować wierności tej wewnętrznej wizji?

Nie bardzo wiedząc, co czyni, Justin odgarnął niesforny lok z policzka Evie. Skórę miała ciepłą i gładką.

- Tak... - szepnął.

Powieki opadły jej na oczy, rzęsy rzucały cień na policzki. Już wyciągał rękę, by dotknąć jej znowu, zmienić przelotne muśnięcie w pieszczotę.

Powoli uniosła powieki. Spojrzała na niego ostro i przenikliwie.

- I to własne ja, zachowane na dnie serca, ten idealny obraz samego siebie, któremu postanowiłeś być wierny - to sympatyczny, owszem, ale całkowicie bezużyteczny obibok?!

Ręka Justina opadła. Dał się złapać... i to tak głupio!

- Jakoś nie mogę w to uwierzyć, panie Powell - stwierdziła Evelyn. - Szczerze mówiąc, nie wierzę, że jesteś tym, kogo tak usilnie udajesz!

# *15*

Zdemaskowała go! Wykorzystała jego słabość, chęć pocieszenia jej - i rozszyfrowała go, zdarła z niego maskę! Pod wpływem jej machinacji przyznał się, albo prawie to zrobił, do tego, że ma jakieś ideały, zasady i wartości, w obronie których gotów jest walczyć.

A on, jak na złość, żeby należycie wykonać swoje zadanie, musiał przekonać cały świat, że gwiżdże na wszelkie zasady i tym podobne brednie. Miał wcielić się w ekscentrycznego angielskiego dżentelmena dyletanta i niezgułę; pozbawione ikry, śmieszne, żałosne zero. A teraz, z powodu chwili nieuwagi, Evie nigdy w to nie uwierzy! Jakże by mogła, po tym jego żarliwym monologu?!

Chyba że jakimś cudem uda mu się przekonująco skłamać...

Miał co prawda wrażenie, że Evelyn wwierca się w niego przenikliwym wzrokiem od Bóg wie ilu minut, ale w rzeczywistości paraliż ogarnął go zaledwie na kilka sekund. Potem ustąpił nagle jak lód w potokach wiosennego, ciepłego deszczu. Justin oparł się niedbale o jedną z beczułek, uniósł rękę i bardzo uważnie zaczął przyglądać się swoim paznokciom.

- Znasz szczytniejsze ideały? - rzucił nonszalancko.

- Szkoda twojej fatygi. Nie dam się nabrać na te plewy!

- Na co, przepraszam? - spytał słodziutko.

- Na tę pozę głupawego nieroba. Trudno i darmo, nie możesz w jednej sekundzie sypać naukami moralnymi, a w następnej strugać niefrasobliwego kretyna!

- Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi!

Postukała go od niechcenia w klatkę piersiową, oczy jej błyszczały triumfem. Była nieopisanie czarująca. Psiakrew!

- Czyżby? No to przypomnij sobie - odparowała zręcznie. - „Zeskoczyłem, bo któż by nie zeskoczył w tak bulwersującej sytuacji?!" - zacytowała, parodiując jego przemowę.

- Boże święty! Naprawdę byłem taki pompatyczny?!

Wargi Evelyn rozciągnęły się w słodkim, zwycięskim uśmiechu.

- Jeszcze jak!

- Nie chciałbym wyjść w twoich oczach na bigota…

Rozstał się z beczką. Obszedł ją dokoła. Gdy stanął obok Evelyn, uzmysłowiła sobie, jak bardzo góruje nad nią wzrostem. W jego pozie byli teraz coś drapieżnego. Przechylił głowę nieco na bok. Miała wrażenie, że nie tylko przenika ją wzrokiem, ale koncentruje na niej wszystkie zmysły. Jego spojrzenie przesunęło się po jej twarzy, szyi, piersi... by znów powrócić do twarzy. Wargi Justina rozchyliły się, jak gdyby rozkoszował się napięciem, jakie nagle wytworzyło się między nimi.

Udało się! Evie nie była już taka pewna siebie. Jej oczy, ukryte za szkłami okularów, rozszerzyły się. Cofnęła się o pół kroku, sięgnęła ręką do gardła i zaczęła odruchowo bawić się górnym guziczkiem zapiętej pod szyję bluzki.

Triumf Justina miał posmak goryczy. Żeby lepiej się zamaskować, musiał odsłonić na chwilę swoje prawdziwe uczucia. Unaocznił więc Evie, jak bardzo pragnie jej dotknąć i pocałować, by zapomniała o jego poprzednich zwierzeniach. Udało mu się wstrząsnąć nią. I na tym powinien poprzestać. Tyle że nie mógł się na to zdobyć. Jeszcze nie teraz! Nie teraz, gdy miał doskonały pretekst do zrobienia czegoś, o czym od dawna marzył.

- Jeśli zbyt się zagalopowałem, Evie, to tylko twoja wina!

- Moja?... - szepnęła, nie odwracając od niego wielkich, zalęknionych oczu. Była przerażona. Dlaczego? Nie chciał zrobić jej żadnej krzywdy! Chodziło o drobiazg, w gruncie rzeczy...

- Tak - potwierdził, przysuwając się jeszcze bliżej. - Pozwoliłaś się pocałować Blumfieldowi. Ależ z niego oferma! Nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać!

Oczy Evelyn pociemniały. Dostrzegł w nich błysk urazy. Rzęsy trzepotały o szkła okularów jak ćmy o szybę. Zacisnęła wargi. Jaka szkoda! Powinny być zawsze miękkie i przychylne.

- Nie miałeś prawa nas podglądać! - obruszyła się. - I nie wmawiaj mi tu, że nie chciałeś spłoszyć tego twojego ptaszyska!

Zdenerwowanie i zadziorność dodały jej tylko uroku. Zaróżowiła się, oczy jej błyszczały.

- Masz rację, to było nie fair - przyznał. - Ale czegoś się spodziewała po niecnym Casanovie?

- Też mi Casanova! - prychnęła.

Ale kiedy zrobił następny krok w jej stronę, pospiesznie się cofnęła. Pojednawczy uśmiech Justina nabrał jakichś lisich cech.

- Właśnie że Casanova. Czyżbyś zapomniała? - potwierdził stanowczo i krok po kroku zmusił Evie, by przeszła tyłem przez całą długość niewielkiej piwnicy.

- Akurat! Taki sam z ciebie Casanova jak z Ernsta!

Na dźwięk tego imienia Justin poczuł ukłucie zazdrości. Był wściekły, że Evie jest z Blumfieldem na ty.

- O, poczciwy Ernst z pewnością nie jest Casanovą ani donżuanem - stwierdził. - Założę się, że cię przepraszał za tego całuska. Może nie?

Evelyn zatrzymała się, przyparta plecami do zimnej, wilgotnej ściany. Światło latarni rzucało bursztynowe błyski na jej ciemne włosy i złociło delikatny profil. Nerwowe palce uporały się z górnym guzikiem bluzki i odsłoniły delikatne wgłębienia u podstawy szyi. Evie nie miała pojęcia, jak bardzo podnieca Justina jej kruchość i bezbronność.

- Powiedział, że to był poryw namiętności - oznajmiła dumnie.

- Poryw namiętności?! - roześmiał się Justin.

Nie musiał wcale udawać rozbawienia. Ten biedny głupek nie miał zielonego pojęcia o namiętności, w porywach czy bez porywów!

Przyciągany nieodpartą siłą, napierał na Evelyn tak, że nie miała już żadnej możliwości ucieczki. Pochylił się nad nią i wdychał słodki, niewinny zapach talku. Smutne resztki zdrowego rozsądku nawoływały go wielkim głosem do odwrotu. Do licha! Evie powinna przynajmniej próbować ucieczki... A ona stała, naiwna, z miną urażonej księżniczki!

- Co cię tak rozśmieszyło? Że ktoś dałby się ponieść namiętności z mego powodu?... No, cóż... Może to i śmieszne. Ale Ernst sam mi to powiedział. I byłabym wdzięczna, gdybyś nie wyśmiewał się z niego. Ani ze mnie.

Jej cudowne, soczyste, stworzone do pocałunków usta drżały.

O Boże!... Evie nie wiedziała, nie miała pojęcia... Nie powinien tego wykorzystywać. Nie może! Ale zaledwie zdążył to pomyśleć, chwycił ją za ramiona i pochylił się ku niej, mamrocząc:

- Poryw namiętności? To miał być poryw namiętności?! O nie! Ja ci pokażę, co to poryw namiętności!

Pochylił się jeszcze bardziej i nim Evie zdążyła zaprotestować, przywarł ustami do jej ust. Było to doznanie tak silne, że poczuł ogień w żyłach. Dotyk jej warg był rozkoszą, całowanie jej ust rajską ucztą. Usłyszał cichutkie westchnienie Evelyn, pełne radosnego zdumienia i jakże kobiecego ukontentowania.

Zrobiło to na nim niesamowite wrażenie. Ciało Justina niczym czuły kamerton zareagowało wibracją na ten rozkoszny pomruk. Spił westchnienie z warg Evelyn, powtarzając sobie, że nie wolno się spieszyć, że musi być delikatny... ale szalejąca w nim namiętność dyktowała własne tempo. Ręce, które obejmowały dotąd ramiona dziewczyny, przeniosły się na jej talię.

Była taka maleńka, krucha i delikatna jak figurka z porcelany. A równocześnie sprężysta i giętka jak młoda gałązka wierzbiny. Smukła i kobieca. I stworzona do jego objęć. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Poczuł lekki opór, ale zaraz się poddała.

Głaskał ją po plecach. Poruszyła się i jej łopatki uniosły się pod jego dłonią jak skrzydełka. Druga ręka Justina zataczała kręgi wokół jej talii. Evelyn nie protestowała. Nie cofała się. Stała z odrzuconą do tyłu głową, zgadzając się na jego pocałunki. Na razie nie reagowała na nie. Przyjmowała je biernie - jak żebraczka jałmużnę albo bogini składaną jej ofiarę. Nie umiałby określić, którą z nich Evie jest w tej chwili. Ona sama chyba też nie wiedziała.

Justin rozchylił wargi i zaczął muskać nimi usta Evelyn. Leniwie, czule, bezustannie. Przywierał do nich, pieścił je, atakował... Nacierał jeszcze gwałtowniej. Krew w nim szalała, pobudzając go do coraz zuchwalszych pieszczot.

Kiedy ich usta igrały ze sobą, Justin czuł się panem sytuacji. Był pewien, że nie straci nad sobą kontroli. W każdych okolicznościach potrafił przecież zachować zimną krew. Tak, ale nigdy przedtem nie miał do czynienia z Evie. Ani z żadną kobietą, która by ją choć trochę przypominała. Kto inny miał takie słodkie i złaknione pieszczot wargi? W kim tak cudownie, powoli budziło się pożądanie?

Przesunął dłońmi wzdłuż jej boków, zatrzymując się tuż pod delikatnymi wzgórkami piersi. Evie wyprężyła się. Tylko troszeczkę. Odrobinę. Ale to wystarczyło, by poczuł pod palcami jej pierś.

Oderwał się raptownie od jej ust, cofnął ręce przed pokusą i chwycił dziewczynę za ramiona. Spojrzał we wzniesioną ku niemu twarz. Wargi miała obrzmiałe, gorąco różowe. Rozchylała je w niesłychanie prowokacyjny sposób.

- Czy tak wygląda poryw namiętności? - spytała jak w zamroczeniu.

- Nie - rzucił szorstko.

Nigdy jeszcze nie odzywał się do niej takim tonem.

Skinęła głową, przyjmując jego odpowiedź jako zasłużoną naganę. Co za głupie pytanie! Jak można przeżywać namiętne porywy z dwudziestopięcioletnią starą panną, kompletną ignorantką w... sztuce miłości? Nie wiedziała nawet, co począć z rękami podczas pocałunku! Zwisały jej po bokach jak wagi starego zegara, podczas gdy całe ciało rwało się ku nie¬mu, pragnęło zjednoczyć z nim...

Twarz Justina była twardą, nieodgadniona maską. Skrywała gniew? Chyba tak. Myśli Evie przebijały się z najwyższym trudem przez lawinę nowych doznań. Dlaczego Justin się złościł? Nigdy dotąd nie widziała go takiego. Bywał urażony, zirytowany... ale nigdy rozgniewany!

Jego piękne błękitnozielone oczy były zamknięte, usta mocno zacisnął. O, czemu była taką ignorantką?!

Rozchylił jej kołnierz... Guzik sam się widocznie odpiął. Kciuk Justina wślizgnął się pod koronkę i dotknął tętna u nasady szyi. Pozostałymi palcami objął jej kark pod gęstą grzywą rozpuszczonych włosów. Odchylił jej głowę do tyłu i opuszkiem kciuka sprawdzał rytm jej rozszalałej krwi.

Nigdy jeszcze Evelyn nie była tak świadoma swej kobiecości, a zarazem braku niewieścich powabów.

- Miałeś słuszność - powiedziała, siląc się na obiektywny ton.

Niezbyt jej się to udało. Oddychanie sprawiało jej wyraźną trudność.

Kciuk Justina nadal zataczał płomienne kręgi nad jej mostkiem. Rzęsy Evelyn obijały się rozpaczliwie o szkła okularów, niczym uwięzione ćmy.

- Pocałunek Ernsta nie miał nic wspólnego z namiętnością.

Justin wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i nagle przyciągnął ją do siebie z taką siłą, że biust Evelyn spłaszczył się w zetknięciu z jego klatką piersiową. Wczepił się palcami w jej gęste włosy. Jego usta spadły na jej wargi w miażdżącym pocałunku.

Ręce Evelyn nareszcie ożyły! Ze stłumionym okrzykiem zarzuciła je na szyję Justina. Jej wargi rozchyliły się. Bynajmniej nie lękliwie czy nieśmiało, ale szeroko, z całym zapałem, jakby pragnęły czegoś... czegoś... O tak! Właśnie tego!

Język Justina zanurzył się głęboko w jej ustach, pieścił miękką wyściółkę policzków, igrał z jej językiem. Na każdą z pieszczot reagowała całym ciałem. To był ten wymarzony kawior!

- Evie... - szepnął Justin.

Ciche, stłumione dźwięki towarzyszące pocałunkom były najcudowniejszą muzyką dla jej uszu. Ramię Justina zacisnęło się wokół jej talii. Evelyn wygięła się w łuk, pociągając go za sobą. Ich biodra zwarły się.

Justin zaklął nagle i oderwał się od ust Evie. Słyszał ostry świst własnego oddechu i wzdrygnął się na wspomnienie swego niewybaczalnego braku delikatności. Napierał na nią brutalnie całym ciałem, niesłychanie pobudzonym ciałem. I wtedy Evie sapnęła cichutko jak kotek pod pieszczącą go dłonią i prowokacyjnie jak wytrawna kokietka.

Jej dolna warga wygia si w u miechu - niewinnym i zmys owym, nie wiadomym i pe nym odwiecznej mdro ci. Pragn zatopi z by w tej aksamitnej dolnej wardze. Pragnzznacznie wicej - ujrze te delikatne, krg e piersi, których ju dotkn . Pozna ca e jej cia o, rozebraj , igra z ni . Zanurzy si w niej.

- Jeszcze!

Uniós j i podtrzyma ramieniem. Jego druga dwo lizgn a si pod bluzk Evie, a palce dotyka y jej obojczyka tak delikatnie, jakby to by obój czy flet. Ca e cia o Evelyn by o mi osnpie ni . Oddech jej rwa si w przeczuciu ca kowitego zapamitania, nogi dra y tak, e utrzymanie si w pozycji pionowej by o niemal nadludzkim wysi kiem.

Justin znów pochyli g ow i sun rozchylonymi ustami po szyi Evie, dra ni c z bami t smuk kolumn . Jeszcze jeden guzik rozpi... Nastpny... Trzeci... I wreszcie ods oni delikatn, nró owy pier . Widnia y na niej y ki jak na najcenniejszym marmurze, ale by a kkia, ciep a, pe na ycia.

Rozchyli szorstk, paskudn we n . Teraz usta i palce przesuga y si w pieszczotach. Palce przez cienki materia koszulki dra ni y sutek, a spr y si , kr g y i twardy jak per a. A wtedy Justin przytknusta do okrywaj cej ten klejnot bawe ny w gorcym, wilgotnym poca unku.

Z gard a Evelyn wyrwa si cichy okrzyk. Wygi a plecy w uk, podsuwaj c mu jeszcze bardziej pier. Kiedy pie ci j j zykiem przez cienki materia , cia o Evie spry o si , resztk tchu wyda a pomruk zdumienia. Justin przylgn j zykiem do twardego sutka i dr ze straszliwego wysi ku, jakiego wymaga o powstrzymanie sod dalszych pieszczot.

- Justinie...?

Evie zanurzy a mu palce we w osach i usi owa a pociągn do siebie jego g ow . Pragn a poczu znowu na sobie jego wargi. Tam... Wnie tam, gdzie by oby to najbardziej grzeszne... Z trudem apa a oddech. Nie by a w stanie mówi. S owa wi z y jej w gardle, pojkiwa a tylko i wzdycha a.

Nie mog a mówi?! Ca e cia o wymkno si jej spod kontroli. To on w ada nim niepodzielnie. Stawa o si na przemian bezw adne i ruchliwe, podniecone i oci a e - a on czyni z nim, co chcia , odkrywaj przed Evelyn coraz to nowe rozkoszne doznania. I nagle cer wilgotne poca unki usta y.

Otworzy a oczy i ujrza a, e Justin rozpina malkie guziczki z masy per owej przy jej koszuli. Na bia ym tle jego opalor ka wydawa a si ra co

ciemna, zbyt męska. Nie odrywał wzroku od jej ciała, które odsłaniał z takim pośpiechem.

Od jej ciała. Jej niedojrzałego, mizernego, nieforemnego ciała.

Paniczny strach przebił się przez gęstą mgłę erotycznego błogostanu. Schwyciła Justina za nadgarstek, usiłując powstrzymać go od rozbierania jej. Spojrzeli na siebie. W pełnych napięcia oczach Justina ujrzała najpierw zdziwienie, potem zrozumienie i akceptację. Skinął głową.

A więc jej lęk nie był nieuzasadniony- Justinowi wrócił rozsądek! Mężczyzna taki jak on nie zadowoliłby się byle czym. Przywykł do kobiet z większym doświadczeniem. Niepozbawionych finezji ani kobiecości. Nowe ja Evelyn, które -jakże niepewnie - rozpościerało skrzydła, skurczyło się znów i ukryło w mrocznym kokonie.

- Tak... Masz rację... Oczywiście... - mamrotał, niezdarnie poprawiając na niej bluzkę. - Zachowałem się jak ostatnie bydlę. Wybacz mi!

Pomógł Evelyn wstać, odsunął się i odwrócił od niej.

- Czy zdołasz mi wybaczyć? Będziesz się czuła znów bezpieczna w moim towarzystwie? Nie! Oczywiście, że nie! Cóż za głupie pytanie!

Krążył tam i z powrotem po nierównej kamiennej podłodze, a jego cień miotał się na brudnej, pokrytej pleśnią ścianie.

- A jeśli dam słowo, że już nigdy cię nie tknę? - odezwał się znowu. - Wyjechałbym stąd, natychmiast bym wyjechał, ale... Mój Boże, jak bardzo chciałbym ci wyjaśnić...

- Nie musisz nic wyjaśniać. Wszystko rozumiem.

Mówiła spokojnie i rzeczowo, choć w środku cała się trzęsła.

Stanął jak wryty. Spojrzał na nią.

- Naprawdę?

- Oczywiście! Przecież sam powiedziałeś mi, że jesteś nawróconym grzesznikiem.

Na twarzy Justina odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

- A co to ma do rzeczy?!

Usiłowała zapiąć suknię, ale palce odmawiały jej posłuszeństwa. Dobre i to, że panowała nad głosem.

- No cóż, mam wrażenie, że to było silniejsze od ciebie.

- O Boże! - uśmiechnął się cierpko. - Obawiałem się, że powiesz coś takiego! Przecież to niczego nie usprawiedliwia!

- Oczywiście, że nie. Ale wiele wyjaśnia. Myślę, że to rodzaj nałogu, jak palenie opium, nieprawdaż?

Justin skamieniał.

- Mówię o skłonności do rozpusty - sprecyzowała.

- Co ty wygadujesz?!

- I o twoim nawróceniu. Zerwałeś z grzesznym życiem. Wierzę ci. Co więcej, jestem przekonana, że od dłuższego czasu byłeś... wstrzemięźliwy. Wszystko na to wskazuje. Dopiero kilka minut temu poniosło cię.

Evelyn coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że aczkolwiek panuje nad głosem, słowa wymykają się jej spod kontroli. Nie była w stanie temu zaradzić.

- Chodzi mi o to, że mimo abstynencji nie straciłeś do tego skłonności, prawda? - paplała idiotycznie. - Coś tak jak z jazdą na rowerze, tego się nie zapomina! Gdy weźmiesz kobietę w ramiona, powracają dawne nawyki... Teraz już rozumiem, dlaczego odnosiłeś takie sukcesy! Naprawdę rozumiem - zapewniła z całą szczerością.

Postać Justina zamgliła się jej nagle przed oczyma. Mrugnęła parę razy, by odzyskać ostrość widzenia.

- Zwariowałaś, czy co?!

- Nie sądzę - odparła z całą powagą. - Chciałam cię tylko uspokoić. Dobrze wiem, że nie muszę się niczego obawiać z twojej strony. To był odosobniony incydent i nigdy... - *Gdzie się podziały te przeklęte okulary?!* Musiały spaść w trakcie... Czuła się bez nich taka obnażona. A, tam są! Na podłodze. Podniosła je i włożyła na nos. Od razu poczuła się lepiej. Bezpieczniej. - …nigdy się już nie powtórzy!

*Czemu Justin ma taką wściekłą minę?*

- Skąd wiesz?! - warknął.

Prawdziwa natura Evie, zadziorna i dumna, podniosła się z dna upokorzenia i podjęła wyzwanie.

- No cóż - odparła sztywno. - Pociąg zmysłowy to rodzaj nałogu, jak narkotyk. - Udała, że nie słyszy kolejnego groźnego pomruku. - A w takim przypadku u osoby niegdyś uzależnionej dawne skłonności mogą odezwać się z byle powodu i trudno się im oprzeć, zwłaszcza po dłuższej abstynencji.

- Z byle powodu? - spytał lodowatym tonem. - Mógłbym się skusić nawet na ciebie?

Evie wzdrygnęła się, ale nie ustępowała, broniąc do upadłego słuszności swego rozumowania.

- Właśnie! Nawet na mnie!

Ruszył jak do ataku. Przemogła lęk i nie cofnęła się przed nim. Miał taką minę, jakby chciał porozbijać wszystko wokół siebie. Ostatnie pół godziny obfitowało w rewelacje. Najpierw Justin się rozgniewał i to nie raz, ale dwa razy! A teraz wyglądał jak uosobienie brutalnej siły.

Stawiła mu jednak czoło. Zatrzymał się o jakiś metr od niej. Zwisające po bokach ręce to zaciskały się w pięści, to rozwierały.

- To największa głupota, jaką słyszałem!

Evelyn zaparło dech.

Chwycił ją za ramiona, uniósł do góry i przyciągnął do siebie.

- Dostałem amoku, bo pragnę cię! Rozumiesz?! Ciebie! Nie byle kogo, ale Evelyn Cummings Whyte. Chcę się z tobą kochać. Chcę czuć pod sobą twoje smukłe, delikatne ciało. Chcę ujrzeć cię nagą, dotykać cię dłońmi, ustami, całym sobą. Chcę rozkoszować się tobą, zawładnąć. Chcę cię mieć, rozumiesz?!

Uwierzyła mu. Jej zaskoczenie przerodziło się w nieoczekiwane, olśniewające poczucie własnej potęgi. Pragnął jej. Tak dalece, że „dostał amoku"!

Po raz pierwszy w życiu Evie poczuła się kobietą. Cudowne, upajające uczucie! Po raz pierwszy w życiu nie zastanawiała się nad konsekwencjami. Zrobiła to, co jej podpowiadał instynkt. Z całą świadomością położyła rozpostarte dłonie na piersi Justina. Czuła pod palcami, jak wali mu serce, jak gwałtownie wznosi się i opada klatka piersiowa. Z jej powodu!

Spojrzała mu prosto w twarz, bardzo z siebie zadowolona. Obserwowała go uważnie spod długich rzęs.

- Naprawdę?

- Co naprawdę?

- Naprawdę mnie pragniesz?

Obejmujące ją ręce znowu opadły. Cofnął się o krok, twarz mu stężała.

- Drażnisz się ze mną, Evie? - spytał podejrzliwie.

- Nie! - zaprzeczyła bez wahania. - Próbuję cię skusić. Chcę, żebyś mnie całował... i tak dalej.

- Niech cię wszyscy diabli! - wybuchnął.

Nie poruszył się, stał w rozkroku, z rękami po bokach, jak bokser oczekujący na pierwszy cios.

Spojrzenie Evie przesunęło się po nim: twarz... tors.... spodnie. Wydawały się dziwnie ciasne. I nagle uświadomiła sobie dlaczego. Był pobudzony!

Oczy Justina powędrowały w tym samym kierunku.

- Tak - odparł wreszcie na jej pytanie. - Pragnę cię. Sama widzisz, jak bardzo.

- Widzę.

Powinna czuć się strasznie zażenowana, upokorzona, bliska omdlenia... I w gruncie rzecz tak było. Gdzieś w głębi serca taiła się niepewność i wstyd. I gdyby Justin roześmiał się, zapadłaby się chyba pod ziemię!

Ale jemu wcale nie było do śmiechu. Wydawał się równie wstrząśnięty jak ona. Nawet gdy silił się na sarkazm, głos mu drżał. To odkrycie zachwyciło Evelyn.

Zrobiła krok w stronę Justina.

- No to... - zaczęła z wahaniem, nie odrywając oczu od jego twarzy - może byśmy znów spróbowali?

- Nie!

- Bardzo proszę.

- O Boże! - zmagał się ze sobą.

- Naprawdę nie?

Skapitulował.

Chwycił ją, podniósł do góry i niemal zmiażdżył w uścisku. Całował drapieżnie, wtargnął językiem do wnętrza jej ust, rozkoszował się ich smakiem. Z gardła wydarł mu się niski pomruk. Pożądanie sprawiło, że stał się całkiem głuchy na słabnący głos sumienia.

Evie okazała się nad wyraz pojętną uczennicą. Tym razem nie zadowoliła się bierną rolą. Uparła się, że pokaże mu, co potrafi! Na własną zgubę. A może na jego zgubę? Odwzajemniała żarliwe pocałunki Justina, unosiła ku niemu głowę, otwierała usta, jej język splatał się z jego językiem a potem sam rozpoczął słodkie oględziny.

- Evelyn! - wykrztusił Justin, odrywając się od niej. - Evie! Ty nie wiesz... Nie rozumiesz...

Tak! To znaczy, nie... Sama nie wiem... - Była odurzona, ale uparcie dążyła do celu. - Pokaż mi, naucz mnie. Proszę!

- Tak. Och, tak!

Pociągnęła go za przód koszuli. Kilka guzików się rozpięło, inne rozsypały się po kamiennej podłodze. Wsunęła rękę pod materiał. Justin skamieniał pod jej dotknięciem. Nie całował jej już, choć ich wargi nadal się stykały, a jego zdyszany oddech wnikał do wnętrza ust Evie. Zamknął oczy i smakował upajającą, obezwładniającą rozkosz jej pieszczoty.

- Justinie... - szepnęła z ustami na jego ustach.

Oparł się czołem o jej czoło. Jego ciało mimo woli rozluźniło się. Pokonała go. Rozbroiła. Jednym muśnięciem paluszków wyczuła rytm jego serca i zniszczyła bariery ochronne, którymi przez całe życie odgradzał się od reszty świata. Przeraził się nie na żarty.

Jeśli chodziło o Evie, był zdolny do wszystkiego. Absolutnie do wszystkiego.

Kiedy to sobie uświadomił, oderwał się od Evelyn i postawił ją znów na ziemi. Nie powinien zostać z nią ani chwili dłużej. Nie mógł nawet na nią

spojrzeć… była taka rozkosznie potargana!... Nie chciał się wdawać w żadne wyjaśnienia. Zresztą, nie przebrnąłby nawet przez pierwsze zdanie i miałby ją znów w ramionach. A gdyby zaczął ją znowu całować, nie zadziałałyby już żadne hamulce.

- Powiedz, żebym się opanował - prosił.

- Wcale nie chcę, żebyś się opanował!

Wydał zdławiony jęk i uniósł oczy ku niebu.

- Właśnie że chcesz! Na pewno tego chcesz!

Bez wahania potrząsnęła głową, szczera aż do bólu. Przewrotna, dokuczliwa, śmieszna, wzruszająca, sprytna - a przede wszystkim zatrważająco nieświadoma. Dała wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza go powstrzymywać. Wobec tego musiał stoczyć tę walkę sam.

- Niech to wszyscy diabli!

Oderwał się od niej i popędził w górę po schodach, przeskakując po dwa stopnie na raz. Dotarłszy do celu, nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Ani drgnęły.

Naparł całym ciałem. Nie ustępowały. Wyładował swą podwójną frustrację, waląc barkiem w przeklęte drzwi. Nie poddały się.

- Cholera! Jasna cholera! - zawył.

- Co się stało, Justinie?

Obejrzał się przez ramię. Evie była już w połowie schodów, trzymała w ręku latarnię. Światło padało na jej twarz, podkreślając atłasową gładkość skóry, rozniecając złote błyski w lśniących włosach, uwypuklając soczystość warg. Walnął czołem o drzwi.

- Justinie! Nic ci się nie stało?

- Tak! To znaczy, nie! Stój, gdzie stoisz. Ktoś nas tu zamknął.

- Może ci po…

- Nie!

- O Boże! Wszystko idzie na opak! - Z jej głosem działo się coś dziwnego… Chichotała! - Sam pomyśl, przecież to ja, niewinne dziewczę, powinnam uciekać w popłochu i dobijać się do drzwi!

- Zmykaj stąd!

Był już u kresu wytrzymałości. Brakło mu sił, by się dalej opierać. Gdyby raz spojrzał w te przekorne, śmiejące się oczy, byłby zgubiony. I tak ledwie zdołał się od niej oderwać. Teraz nie miał żadnych szans. Była taka irytująca i zniewalająco urocza. Zaklął pod nosem i znów zaczął walić w solidne dębowe drzwi.

- Wypuśćcie nas stąd! Wypuśćcie, do wszystkich…

Nagle drzwi się otworzyły. Jasne światło oślepiło Justina. Zmrużył oczy. Wokół wejścia do piwnicy tłoczyli się jacyś ludzie. Dwie damy w podróżnych strojach i kapeluszach. Jakiś nieznajomy w automobilowych goglach. Z tyłu za nim kilku robotników. Chcieli się pewnie dowiedzieć, co się tu stało. Beverly, jeszcze bardziej niewzruszony niż zwykle. I Merry, najbardziej ze wszystkich zainteresowana.

Usłyszał za sobą kroki wchodzącej po schodach Evelyn. I nagle z niesłychaną siłą odezwał się w nim instynkt opiekuńczy, którego istnienia dotąd nawet nie podejrzewał. Stanął jak tarcza pomiędzy Evie i gapiącym się motłochem.

- Kim jesteście, u diabła?! - zagrzmiał, wtykając gwałtownie poły koszuli w spodnie.

Arystokratyczne nozdrza stojącej najbliżej niego kobiety drgnęły lekko.

- Jestem Edith Vandervoort.

- Kto taki?! - powtórzył z irytacją.

Był brudny, wykończony, niecnie wykorzystany i w ogóle w fatalnym humorze.

- Panna młoda… z Nowego Jorku.

# *16*

Merry zauważyła, że Beverly chowa coś dyskretnie do kieszeni żakietu. Domyśliła się, że to klucz od piwnicy.

*Typowo po męsku!* - pomyślała z przekąsem. *Toporna robota, za grosz kobiecej finezji.*

Musiała jednak przyznać, że pozbawiona subtelności strategia okazała się skuteczna. Pan Powell wyłonił się z piwnicy praktycznie bez guzików, a Evelyn była rozczochrana jak nieboskie stworzenie! Kołnierzyk miała rozpięty pod szyją, oczy jej błyszczały jak gwiazdy i bardzo twarzowo się czerwieniła.

Merry uniosła oba kciuki w górę na znak wspólnego triumfu. Beverly w odpowiedzi na ten przyjacielski gest zamknął oczy i wzdrygnął się.

- Nie spodziewaliśmy się pani tak wcześnie, pani Vandervoort - powiedziała Evelyn.

- Radzę poprawić włosy - zauważyła chłodno Amerykanka, podając rękawiczki stojącej za nią kobiecie o twarzy zakrytej woalem.

Zbita z tropu Evelyn chwyciła na chybił trafił pasmo włosów i zaczęła je upinać.

- Drzwi się zacięły i nie mogliśmy wyjść z piwnicy - tłumaczyła się.

- Ach, tak…? - mruknęła pani Vandervoort i spojrzała przeciągle na Justina Powella.

Odparował to milczące oskarżenie morderczym wzrokiem. Takie zachowanie było sprzeczne z jego dotychczasową pozą dobrze wychowanego lenia. Merry zauważyła to i uznała, że warto się temu panu dokładniej przyjrzeć!

Justin pochylił nieco głowę i barki do przodu jak uliczny zabijaka. Niewątpliwie próbował osłonić Evelyn przed ciekawskimi spojrzeniami. Był wyraźnie wściekły. Merry uznała, że wygląda całkiem, całkiem...

- Pani Vandervoort... - wydukała speszona Evie. - Czy mogę przedstawić pana Justina Powella, właściciela North Cross Abbey?

Amerykańska dama skinęła głową.

- Jak się pan miewa?

- Doskonale, zważywszy okoliczności - wymamrotał Powell.

I nagle zaszła w nim prawie nieuchwytna, a jednak niezaprzeczalna zmiana. Jego twarz przybrała wyraz uprzejmej obojętności. *Doprawdy interesujące!* - powiedziała sobie w duchu Merry.

- Panie Powell - kontynuowała z heroizmem zupełnie już zbita z tropu Evelyn. - Oto nasza znamienita klientka, pani Edith Vandervoort!

- Miło mi panią poznać - zatrajkotał jak katarynka Justin. - Mam nadzieję, że wybaczy nam pani, że nie witamy jej w galowych strojach?

Uśmiechnął się czarująco, ale Merry miała wrażenie, że pod grzecznościową formułką kryje się utajona groźba.

- Zwłaszcza że - ciągnął dalej Justin - zeszliśmy do tej podłej nory w poszukiwaniu trunku godnego pani weselnej uczty! I w dodatku znaleźliśmy taki skarb! Gdzie to wino, Evie? A, tutaj!

Evelyn bez słowa wetknęła pani Vandervoort w ręce dwie pokryte kurzem butelki. Justin skinął głową z aprobatą, jak troskliwy wychowawca, gdy któryś z jego pupilków dobrze wypadnie na ustnym egzaminie.

Pani Vandervoort zerknęła na etykiety.

- Znakomity rocznik.

Justin znów się odezwał tonem głębokiego współczucia:

- Nie wyobraża sobie pani, jak mi przykro, że mój dziadek wyrządził tyle złego pani babci! Mam nadzieję, że gody weselne w North Cross Abbey sprawią ulgę tej nieszczęsnej duszyczce i spocznie w pokoju!

Merry nie miała zielonego pojęcia, o czym on mówi, ale pani Vandervoort najwyraźniej go rozumiała. Spojrzała na Evelyn. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie.

- Jak to miło z pana strony - odpowiedziała Amerykanka. - Ale mimo mego sentymentalnego pragnienia, by wziąć ślub właśnie tutaj, wyznaję zasadę, iż o przeszłości lepiej zapomnieć. Jestem pewna, że i pan jest tego zdania.

Nie czekając na potwierdzenie ze strony Justina, mówiła dalej:

- Czy mógłby pan wezwać kogoś ze służby? Musimy wprowadzić do wnętrza mego sekretarza, Quaila. Zostawiliśmy go przed domem. Kilka dni temu rozchorował się tak ciężko, że nie mógł podnieść się z łóżka. Nalegał jednak, byśmy go zabrali ze sobą, a teraz całkiem go zmogło. Nie jest w stanie przejść nawet kilku kroków bez pomocy.

Evelyn rozejrzała się dokoła i dostrzegła Beverly'ego. Próbował chyłkiem przemknąć się na tyły domu.

- Beverly, zajmij się sekretarzem pani Vandervoort!

- Już lecę, milady! - odparł kamerdyner tonem gorliwej podkuchennej. Kiwnął palcem na szofera w goglach i obaj wyszli. Pani Vandervoort podjęła znów narrację.

- Jak państwo widzą, przywiozłam ze sobą, zgodnie z zapowiedzią, swój stały personel: mego szofera Hektora, sekretarza i pokojówkę. To właśnie ona, Grace Angelina Rose.

Wskazała stojącą za nią wysoką, milczącą kobietę.

- Sądzę, że goście zaczną się zjeżdżać za dzień czy dwa, a zaraz potem zjawi się mój narzeczony. - Zrobiła małą pauzę. - Mam nadzieję, że to nie sprawi pani kłopotu, lady Evelyn?

Mówiąc to, rozglądała się po holu, oceniając świeżo otynkowane ściany, wyfroterowaną podłogę, lśniące srebra na kredensie. W jej spojrzeniu nie było ani pochwały, ani nagany. Po prostu sprawdzała wszystko i rejestrowała wyniki.

Kiedy zwróciła wzrok na Evelyn, Merry odniosła niemiłe wrażenie, że jej malutka podopieczna została również poddana lustracji. Przyklejono jej zapewne etykietę panienki, którą nietrudno przyłapać w męskich objęciach. Następnie spojrzenie Amerykanki skierowało się na Justina. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego rozpustnika.

Skrzyżował ramiona na piersi, ale nie po to, by ukryć brak większości guzików u koszuli. Jego błękitnozielone oczy były przesłonięte ciężkimi powiekami. Uśmiechał się rozbrajająco.

- A więc, czy obawia się pani jakichś kłopotów? - zwróciła się raz jeszcze do Evie pani Vandervoort, tym razem spoglądając wymownie w stronę Justina.

Nie potrzeba było wyjątkowej inteligencji, by domyślić się, że dama pyta Evelyn, czy zdoła zapanować nad sobą i nad Justinem Powellem i nie wywoła skandalu aż do wyjazdu nowożeńców z North Cross Abbey. Evie zaczerwieniła się jak wiśnia.

- Ależ skąd, nie będzie żadnych kłopotów! - wtrąciła się Merry, spostrzegając, że Evie nie może dobyć głosu. - Lady Evelyn zaharowuje się na śmierć, by pani uczta weselna wypadła jak najlepiej. Proszę tylko spojrzeć na to biedactwo, wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy!

Na szczęście w tej chwili otwarły się drzwi frontowe, co ocaliło Merry od dalszych kłopotliwych wyjaśnień. Ukazali się Beverly i Hector, szofer pani Vandervoort, podtrzymując z dwóch stron szczupłego, jasnowłosego młodzieńca.

Biedak był w okropnym stanie! Mimo pomocy dwóch mężczyzn ledwie się trzymał na nogach i oddychał z wyraźnym wysiłkiem. Jego trupioblada twarz lśniła od potu - lał się tak obficie, że kołnierzyk koszuli całkiem sflaczał.

- Wielkie nieba! - zawołała przerażona Evelyn. - Merry, zawołaj Bucka, niech natychmiast pędzi do miasteczka i telegraficznie wezwie doktora!

Merry skoczyła do drzwi, ale chory powstrzymał ją gestem ręki.

- Bardzo… dziękuję, ale… - Z wysiłkiem przełknął ślinę. - Proszę… bez lekarza.

- O dobry Boże! - szepnęła pani Vandervoort do Evelyn. - Coraz z nim gorzej! Chyba naprawdę trzeba będzie kogoś wezwać!

Ale chory obstawał przy swoim.

- Lekarz… nic nie pomoże - mówił z wysiłkiem. - To… malaria. Ja… mam leki… Muszę tylko wypocząć… Bardzo proszę…!

Twarz pani Vandervoort zastygła w grymasie niepokoju.

- Proszę, zaprowadźcie go do sypialni!

- Oczywiście! - odparła Evelyn i ruszyła pierwsza przez hol. - Merry, bądź tak dobra wskazać apartament pani Vandervoort i pokój… hm… Grace Angeliny. Tędy, Beverly!

Evelyn zaprowadziła sekretarza pani Vandervoort do jego sypialni. Chętnie pozostałaby przy chorym dłużej, by się przekonać, czy ma wszelkie wygody, ale biedak był wyraźnie speszony jej obecnością i pragnął zostać sam, więc Evie doszła do wniosku, że najlepiej wynieść się stąd czym prędzej. Przyrzekła sobie w duchu, że zajrzy do chorego później.

Wróciła spiesznie do holu, chcąc naprawić fatalne wrażenie, jakie zrobiła na pani Vandervoort zarówno ona, jak i nadgorliwa Merry. Tymczasem w holu nie było żywej duszy. Nawet Justin znikł.

Natychmiast przez głowę Evie przemknął rój niemiłych myśli, podejrzeń i obaw, z których żadna nie wiązała się z osobą amerykańskiej klientki.

Co on sobie teraz myśli? Czy pakuje manatki, rad, że cudem wykaraskał się z opałów? Szkoda, że się tak rozchichotałam, ale sytuacja była tak absurdalna! Justin dobijał się do drzwi jak opętaniec! Albo jak ktoś w śmiertelnym strachu. Czegóż miałby się aż tak bać? Mnie? Czy to możliwe, żeby był mną tak zafascynowany jak ja nim?

Ta myśl uderzyła w nią niczym piorun z jasnego nieba. Wszystko jej się w głowie poplątało.

Kilka minut później Merry tanecznym krokiem zbiegła do holu. Evelyn tkwiła tam nadal.

- Obie odpoczywają przed obiadem, a Buck przeniósł skrzynie pani Vandervoort do jej pokoju - oznajmiła Francuzka. - Była zła, że zjawiły się tu przed nią!

- A gdzie jest pan Powell? - spytała od niechcenia Evelyn.

- Zabrał się stąd, jak tylko wyszłaś. Mam go poszukać?

- Nie, nie! - zaprotestowała od razu Evie. - Tylko tak spytałam... z pustej ciekawości.

*O Boże! Co ja plotę?!*

Merry skinęła głową.

- Lepiej go poszukam! Macie sobie z pewnością wiele do powiedzenia.

- Nie! - Evelyn usiłowała znaleźć wiarygodny powód swego nagłego zainteresowania miejscem pobytu Justina. - Widzisz... Chodzi o to, że... że on nie powinien się tu kręcić. - Brawo! A w dodatku to szczera prawda,

pogratulowała sobie w duchu. - Obiecał nie plątać się nam pod nogami od chwili, gdy zjawi się pani Vandervoort. - Urwała, gdyż nasunęło się jej straszne podejrzenie. - Jak myślisz, czy on wyjechał na dobre?

Merry zbyła głupie pytanie lekceważącym prychnięciem.

- Nic mnie to w gruncie rzeczy nie obchodzi, rozumiesz - powiedziała Evelyn, zdecydowanie podniesiona na duchu reakcją Merry. - Ale gdyby wyjechał akurat teraz, mogłoby się to okazać kłopotliwe. To taki stary dom! Tyle różnych zakamarków i problemów, o których właściciel wie najlepiej, rzecz jasna! Ot, choćby te drzwi!

- Jakie drzwi?

Evelyn skinęła głową.

- Te od piwnicy. Kto by pomyślał, że to paskudztwo tak się zaklinuje?! Co się stało, Merry? Masz taką dziwną minę…

- Nic się nie stało, ma petite! Medytuję tylko nad złośliwością starych gratów… zwłaszcza kamerdynerów!

Evelyn zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek…

- O, to tylko stare francuskie powiedzonko!

- Ach, tak? - Evelyn to wyjaśnienie najzupełniej wystarczyło. - No to chyba sobie pójdę. Wracaj do swoich zajęć, Merry!

- A, wobec tego zabiorę się do Bucka!

Evie zatrzymała się tak gwałtownie, że omal nie upadła.

- Co takiego?!

- Szyję mu specjalny strój na tę uroczystość - odparła z niewinną minką Merry. - Nie może przecież w parcianych portkach powozić ślubną karetą!

Evelyn zaczerwieniła się ze wstydu. *Ależ mam robaczywe myśli!* Merry poklepała ją po policzku.

- Reveille-toi, ma belle dormeuse![3] -powiedziała czule i wybiegła z holu, zapewne w pogoni za Buckiem.

Evelyn również opuściła spiesznie frontowy hol, ale w przeciwieństwie do Merry szukała samotności. W zaciszu swego pokoju chciała uporząd¬kować splątane myśli. Zamknęła drzwi na klucz i padła na łóżko.

Nadal czuła dotyk ręki Justina, słyszała jego głos, rozkoszowała się smakiem jego pocałunków. Najlepszym dowodem jej kompletnej demoralizacji był fakt, że nie przejęła się wcale tym, iż pani Vandervoort przyłapała ich na gorącym uczynku. Liczyło się tylko to, że Justin ją całował, a jej się to bardzo podobało. Jemu zresztą też! Nie ulegało wątpliwości.

Evelyn miała się zawsze na baczności, jeśli chodzi o mężczyzn. Od chwili swego debiutu w wielkim świecie przyglądała się pilnie asystującym jej dżentelmenom. Natychmiast wychwytywała każdy fałsz, wszelką przesadę i nieszczerość. Dzięki temu zawsze udawało jej się zerwać w porę niepożądaną znajomość. Nie znaczy to oczywiście, że nikt nie zrobił na niej wrażenia - z góry jednak zakładała, że nic z tego nie będzie, oszczędzając sobie rozczarowań i upokorzeń.

O, bez wątpienia mogłaby „złapać" męża, gdyby tylko chciała. W końcu była wnuczką księcia. Ale Evelyn wcale nie miała ochoty tego robić. Co prawda oceniała bardzo krytycznie swój wygląd, ale zdawała sobie także sprawę ze swoich zalet oraz życiowych osiągnięć. Nie wyszłaby za nikogo, kto by ich nie potrafił docenić.

Nawet strach na wróble ma prawo do własnej godności. Tylko musi liczyć się z ceną, jaką za to zapłaci - perspektywą wiecznej samotności.

Evelyn gniewnie potrząsnęła głową. Nie pozwoli sobie na niesmaczne użalanie się nad sobą. Była inteligentna, zdolna, użyteczna i godna zaufania. Liczyła na nią ciotka Agatha, cała rodzina i pani Vandervoort.

A teraz okazało się, że może nawet budzić pożądanie. Justin Powell jej pożądał, nie ulegało wątpliwości.

Napięte mięśnie ramion odprężyły się. Serce Evie wezbrało nieznaną dotąd błogością. Ogarnęła ją euforia. Miała wrażenie, że nurza się w otchłani nieopisanego szczęścia - nagrzana słońcem fala przelewa się nad nią, zagarnia ją i oczyszcza; srebrne wody zaczarowanej rzeki wzmacniają jej ciało i odradzają ducha.

---

[3] "Reveille-toi… (fr.) - obudź się wreszcie, moja ty śpiąca królewno! (przyp. tłum.).

Wszystko było w najlepszym porządku. Przygotowania do uczty weselnej szły jak po maśle. Każdy z jej pomysłów został zrealizowany i wypadł efektownie. North Cross Abbey po stu latach zaniedbania odrodziło się pod jej bacznym okiem. Może nie olśniewało niezrównanym przepychem, lecz z pewnością cieszyło oczy staroświeckim wdziękiem.

Czegóż więcej można oczekiwać od życia?

Widmo dawnej Evelyn Cunningham Whyte, tej sprzed wiekopomnych wydarzeń w piwnicy, usiłowało przebić się przez błogostan Evie, zwrócić jej uwagę na różne aspekty sprawy i zmusić ją do analizy faktów. Co sprawiło, że Justin jej zapragnął? Jak długo będzie trwało jego zaurocze¬nie? Czym to się skończy? Co się z nią potem stanie?

Evie nie chciała tego słuchać. Zamknęła przed biedną zjawą swój umysł, nie zważając na jej gwałtowne protesty. Przewróciła się na wznak i przytuliła poduszkę do piersi.

Nie chce być wiecznie samotna. Musi dowiedzieć się, do czego prowadzi poryw namiętności. Ani przez chwilę nie łudziła się, że Justin Powell ożeni się z nią. To było nie do pomyślenia! Ale rzeczywiście jej pragnął.

Evie znów zmieniła pozycję. Oczy same się jej zamykały. Z uczuciem miłego rozleniwienia i zaspokojenia przeżywała znów w pamięci każdą sekundę spędzoną razem z Justinem, każde jego dotknięcie, każde spojrzenie, każdą pieszczotę. Ona też go pragnęła. I zdobędzie go. Musi zdobyć! Tylko jak się do tego zabrać? Trzeba zasięgnąć opinii eksperta!

Doszedłszy do tego wniosku, wyskoczyła z łóżka i ruszyła do pokoju znajdującego się przy końcu tego samego korytarza. Zastukała do drzwi. Otworzyły się niemal natychmiast. Skoro tylko Merry ujrzała, kto stoi na progu, jej życzliwą twarz rozjaśnił uśmiech.

Francuzka wzięła Evelyn za rękę i wciągnęła ją do swego pokoju.

- Wejdź, ma petite! Czekałam na ciebie.

# *17*

Justin przemierzał korytarz wielkimi krokami. Z wyraźną irytacją zaglądał do wnętrza każdego z mijanych pomieszczeń. W ciągu ostatnich sześciu dni - od chwili, gdy pani Vandervoort przyłapała ich w piwnicy - widział Evie tylko raz czy dwa, a i to tylko przez chwilę. Jasne, że nie zabiegał specjalnie o to, żeby się z nią spotkać, ale ponieważ wciąż oczekiwał diabelskiej machiny, polecił Beverly'emu, by uważał na Evelyn.

Sam z premedytacją trzymał się z dala od dworu. Posiłki jadał w miasteczku, starając się przy okazji zdobyć jak najwięcej informacji na temat jakichś obcych przybyszów. Nie licząc, rzecz jasna, gości pani Vandervoort, których omijał szerokim łukiem. Poszukiwania osobnika mogącego się poszczycić siniakami na twarzy nie przyniosły - jak dotąd - żadnych rezultatów. O ile mu było wiadomo, ostatnimi czasy w tej cholernej dziurze nikt nie wdawał się w bójki. A siniaki, jak to siniaki, niebawem znikną, a wraz z nimi szansa zidentyfikowania napastnika.

Poniósłszy totalną porażkę w miasteczku, Justin spędził kilka następnych dni na dokładnej obserwacji leśnych traktów w okolicy Henley Wells. Wiedział, że w razie pojawienia się diabelskiej machiny może liczyć na Beverly'ego. Tak więc Justin zajmował się tym, co należało do jego obowiązków. A jeśli w trakcie pełnienia tych obowiązków nie mógł widywać się z Evie, i co za tym idzie, nie był przez nią wodzony na pokuszenie, tym lepiej!

Jak by się tu uporać raz na zawsze z tymi wyjątkowo rozpraszającymi go emocjami? Sprawiały mu cholernie dużo kłopotu! Nigdy nie był specjalnie łasy na baby, ale teraz wystarczyło mu pomyśleć o Evie, słodkiej i uległej w jego ramionach... No właśnie! Wystarczyło w zupełności. Jedna chwilka wspomnień i już był gotów do działania.

Jak mógł w takich warunkach poświęcić się bez reszty ściśle tajnemu zadaniu?!

A poza tym diabli go brali, że w podeszłym wieku trzydziestu dwóch lat, przeżywszy tyle przygód i uszedłszy cało z tylu niebezpieczeństw, że

wystarczyłoby tych atrakcji na pół tuzina barwnych życiorysów, pozwolił, by zbiło go z nóg takie chuchro, czarnowłose półdiablę, udające skromnisię w koszmarnej wełnianej kiecce!

A teraz, na dobitkę, nie mógł nawet na nią popatrzeć. Gdzież się zaszyła, do jasnej cholery?!

Zajrzał do jednego z pokojów, który zmieniła nie do poznania z taką samą łatwością, z jaką wywróciła do góry nogami całe jego życie. Przy każdym oknie stały trzy nieznajome osoby, wszystkie z filiżankami herbaty w ręku. Psiakrew! Kolejna porcja przyjaciół pani Vandervoort. Cała grupa spojrzała na Justina z zainteresowaniem. Ale jego interesowało wyłącznie to, gdzie się podziewa Evie!

- Pan Powell, nieprawdaż? - spytał jeden z panów.

- Tak - odparł lakonicznie Justin i rozejrzawszy się po kątach, czy gdzieś nie czai się przypadkiem Evie, opuścił pokój.

Biedna Evie! Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że dziewczyna zapewne ukrywa się przed nim. Jeśli ich ostatnie spotkanie przyprawiło go o wstrząs, dla niej musiał to być prawdziwy kataklizm! Wymyka się pewnie bocznymi drzwiami na widok męskiej postaci i trzęsie się ze strachu na dźwięk męskiego głosu.

Doszedł ni stąd, ni zowąd do wniosku, że powinien bezzwłocznie odnaleźć Evie i uspokoić ją. I jeśli nawet podświadomie uzmysławiał sobie absurdalność tej nagłej decyzji, po tym, jak unikał Evie od szeregu dni, no cóż... ostatnio całe jego zachowanie w pełni zasługiwało na epitet „absurdalny". Kiedy to sobie uświadomił, nie zrobiło mu się wcale lżej na duchu.

Usłyszał stukanie do drzwi frontowych i ruszył w tamtym kierunku, nadal dręcząc się myślą o nieszczęsnej Evie, kryjącej się przed nim po kątach. Otworzył drzwi. Na progu stał Ernst Blumfieid w wieczorowym stroju, z cylindrem w ręku. Niech to szlag!

- Zostałem zaproszony na obiad z lady Evelyn - oznajmił tonem lekkiej przechwałki. - I z uroczą pani Vandervoort. Będzie pan uprzejmy...

- Pierwsze słyszę.

Justin puścił drzwi. Zatrzasnęły się przed nosem niepożądanego gościa. Wyjątkowo udany efekt wizualny i akustyczny. Ciekawe, od kiedy Blumfieid był na tak poufałej stopie z Evie, że miał czelność wprosić się na obiad?! I jakim sposobem udało mu się zawrzeć znajomość z „uroczą panią Vandervoort"? Jak

widać, wszystko poplątało się jak jasny gwint, kiedy on zaharowywał się na śmierć, tropiąc wrogów Jej Królewskiej Mości! Cholerny świat!

Mniej więcej w połowie korytarza otworzyły się drzwi. Ukazało się w nich coś bardzo osobliwego - u dołu para zwykłych męskich nóg w spodniach, a powyżej coś w rodzaju monstrualnej bezy, a może pieczarki, z białych koronek. Dziwaczne monstrum wylazło na korytarz i poczłapało przed siebie, oddalając się od Justina.

- Beverly! - wrzasnął, usiłując dogonić białe widmo.

Koronkowa góra, kojarząca się z czymś jadalnym, zatrzymała się i odwróciła.

- Do usług.

- Coś ty z siebie zrobił?!

Chwila milczenia.

- Chyba galaretę migdałową.

- Czy to ona tak cię wyszykowała?!

- W samej rzeczy, jeśli tym zaimkiem określa pan "Tę, Która Nigdy Się Nie Ugnie", "Władczynię O Tysiącu Żądań", "Jej Najstraszliwszą Wysokość"[4].

- A któż ci pozwolił zaniedbywać obowiązki wobec mnie i nasze inne... - Justin zawahał się, szukając możliwie dyskretnego określenia - powinności?!

- Pan, we własnej osobie, sir - odszczeknęła się galareta migdałowa. - Polecił mi pan trzymać się jak najbliżej niej.

- Niech cię wszyscy diabli, Beverly! Gdzie ona jest?

- Gdy po raz ostatni obsypywała mnie deszczem swych łaskawych poleceń, znajdowała się na wschodnim dziedzińcu. Wymachiwała młotem kowalskim.

- Kiedy to było?

---

[4] Wypowiedź Beverly'ego stanowi aluzję do twórczości sir Henry'ego Ridera Haggarda, niezwykle popularnego na przełomie XIX/XX wieku autora powieści fantastyczno-przygo-dowych, których akcja rozgrywa się na niezbadanych jeszcze wówczas obszarach Afryki Południowej. Jednąz postaci występujących w szeregu książek tego pisarza jest tajemnicza, nieśmiertelna królowa, którą zwano „Ona" lub „Tą Której Trzeba Słuchać" (przyp. tłum.).

- Dziś po południu, sir.

- Domyślasz się, gdzie może być w tej chwili?

- Pani Vandervoort przeważnie nalega, by lady Evelyn przyłączyła się do jej gości podczas obiadu.

- Nalega?! - Justin poczuł nagły przypływ oburzenia. - Cóż za despotka!

- Mam wrażenie, że lady Evelyn całkiem to odpowiada. Nie znam jej aż tak dobrze, by czytać w jej myślach, ale prawdę mówiąc, nie potrafi ukryć swoich uczuć.

- Oj, nie potrafi, nie potrafi! - potwierdził z czułym pobłażaniem Justin. A więc wszystko w porządku.

Góra białych koronek przestąpiła z nogi na nogę.

- Czy to już wszystko, sir? Lady Evelyn zażyczyła sobie, żebym przekazał… to coś pannie Moliere, a potem muszę jeszcze sprawdzić, jak się miewa Quail…

- Kto taki?!

- Quail. Sekretarz pani Vandervoort. Ten chory na malarię.

- A, prawda! - mruknął Justn i zrobiło mu się wstyd, że zapomniał ze szczętem o chorym, który przebywał, nie da się ukryć, pod jego dachem. - Miał chłop pecha! Jak on się teraz czuje, biedaczysko?

- Mniemam, że coraz lepiej, sir. Rzadziej miewa ataki febry. Ale nie opuszcza pokoju w obawie, że znów zasłabnie i narobi kłopotu. Ambitny chłopak, nie lubi robić z siebie pośmiewiska, jak inni, których nie będę wymieniał.

Justin uśmiechnął się zdawkowo, w gruncie rzeczy nie słuchał wyjaśnień kamerdynera.

- Doskonale. Wobec tego i ja zejdę na obiad. Evie powinna się ucieszyć, że ujrzy znajomą twarz w tłumie tych wszystkich zagranicznych gości!

Kopa białych koronek zaszeleściła. Niewidoczna dłoń przewierciła coś w rodzaju tunelu w lawinie jedwabiu i wstążeczek, z głębi którego na Justina zerknęło groźnie samotne oko.

- W tym stroju, sir?!

Justin skrzywił się niemiłosiernie.

- O co ci chodzi?

- Przecież to obiad.

- No i co z tego?

Koronki i wstążeczki wokół tunelu zafalowały, wprawione w ruch ciężkim westchnieniem.

- Pani Vandervoort i jej goście z zasady przebierają się do obiadu.

- Sobie to powiedz, galareto! Ja jestem ubrany! - obruszył się Justin.

- Miałem na myśli stosowne ubranie, sir.

- Też coś!

- Jeśli pan zechce zajrzeć do swego pokoju, sir, znajdzie pan tam bardzo porządnie odprasowany czarny żakiet. Świeże kołnierzyki są w szufladzie. A gdyby potrzebował pan pomocy…

- Obejdzie się! - warknął Justin.

- Jak pan sobie życzy, sir - odparł z powątpiewaniem Beverly, przyglądając się bacznie jedynym okiem fryzurze Justina. - Ale może urządzilibyśmy małe strzyżenie, co?

- Mowy nie ma! Moje włosy wyglądają dokładnie tak, jak powinny!

Z tymi słowy opuścił kamerdynera i pospieszył do swego pokoju.

Po dziesięciu minutach wyłonił się stamtąd, poprawiając na sobie żakiet i mocując się z opornym kołnierzykiem. Udał się prosto do frontowego holu. Sala bankietowa wydała mu się najodpowiedniejszym miejscem na uraczenie obiadem większej liczby gości. Gdy wszedł do niej, z trudem rozpoznał to zaniedbane niegdyś pomieszczenie. Po kilku sekundach zorientował się, jak dalece Evie zdołała je przeistoczyć.

Opuszczony westybul, po którym hulały przeciągi, dzięki niej przemienił się w wielką paradną salę romantycznego zamczyska – Avalonu czy Camelotu. Niemal się widziało legendarnych rycerzy i ich damy, stąpających po tej krainie

nieprzemijającej wiosny. Girlandy sztucznych kwiatów z białego jedwabiu zwieszały się wdzięcznie z wysokiego sklepienia. Evelyn kazała umieścić na znajdujących się tuż pod sufitem belkach setki białych świec różnej wysokości i grubości. Niektóre z nich, wypalone do połowy, niekiedy nawet w trzech czwartych, tkwiły w kałużach roztopionego wosku, który - połyskliwy i przezroczysty - spływając z belek, tworzył gdzieniegdzie perłowe stalaktyty.

Na świeżym tynku wznoszącego się ponad belkowaniem sufitu umieszczono liczne lustra w kształcie rombów. Kiedy wychodzące na dziedziniec francuskie okno było otwarte, prąd ciepłego powietrza sprawiał, że girlandy kołysały się, płomienie świec tańczyły, a znajdujące się nad nimi lustra zwielokrotniały ich blask. Widok ten zapierał po prostu dech w piersi.

Justin dotarł na sam środek sali i zauważył, jak kryształowo czyste i lśniące są szyby francuskiego okna, za którym widniał do niedawna zaniedbany i cuchnący wilgocią i stęchlizną dziedziniec. Aż gwizdnął z podziwu. Być może pani Vandervoort utopiła w tym remoncie sporo pieniędzy, ale rezultat wart był każdej sumy.

Dziedziniec również zmienił się nie do poznania. Evelyn znalazła gdzieś fachowców, którzy wyszlamowali i pogłębili muliste bajoro, zmieniając je z powrotem w sadzawkę, godne mieszkanie dla złotołuskich ryb. Ogromne białe lilie wodne wznosiły swe pachnące główki o woskowych płatkach nad gładką i połyskliwą powierzchnię wody. Przerzucony nad sadzawką uroczy biały mostek spinał ze sobą oba brzegi - wznosiły się one nieregularnymi tarasami różnej wysokości, rozmiarów i kształtów. Tworzyło to iluzję jakiejś baśniowej łąki położonej w kotlinie wśród skalnych zrębów. Każdy z tarasów w harmonijny sposób łączył się z sąsiednimi dzięki starannie opracowanej kompozycji kwiatów i porozstawianym w najodpowiedniejszych miejscach głazom z paper mache.

Justin nie pojmował, jak Evelyn zdołała tego wszystkiego dokonać. Dla wykonania tak skomplikowanej konstrukcji, niezbędna była doskonała znajomość budownictwa i stolarki. Postanowił wyrazić swój podziw przy pierwszej sposobności. Już podczas ich pierwszego spotkania przed laty, gdy Evie siedziała na kuchennym stole, wymachując patykowatymi nóżkami, zorientował się, jak bardzo ta dziewuszka łaknie aprobaty i pochwały. Nogi Evelyn nie przypominały już ani trochę patyków, ale żądza komplementów i chęć udowodnienia sobie i innym, że jest coś warta, były w niej równie silne jak dawniej.

Justin opuścił salę bankietową i udał się do pokoju na tyłach domu, w którym za rządów jego dziadka podawano wszystkie posiłki. Stłumiony śmiech i

gwar wielu głosów, męskich i kobiecych dolatywał zza solidnych dębowych drzwi. Justin otworzył je bez ceremonii.

W jadalni wokół dużego owalnego stołu siedziało dwadzieścia osób. Było to bardzo eleganckie towarzystwo. Starannie uczesane włosy panów błyszczały od pomady, żakiety mieli smoliście czarne, a wykrochmalone kołnierzyki koszul wpijały siew gładko ogolone policzki. Justin mimo woli przesunął kciukiem po szczęce. Chyba jednak powinien był się ogolić.

Mężczyźni przypominali mu idealnie utrzymane konie pełnej krwi, ale damy były jeszcze bardziej wypielęgnowane i wystrojone. Brylanty błyszczały w ich uszach i lśniły na dekoltach. Ich postacie wydawały się sztucznie wydłużone, może dzięki obcisłym stanikom aksamitnych wieczorowych sukien, które więziły w swym wnętrzu biusty i talie. Smukłe ręce dam od koniuszków palców aż po łokcie okryte były nieskazitelnie białymi rękawiczkami.

Siedzący przy stole nie zauważyli dotąd Justina. Z zakłopotaniem, które rzadko odczuwał, odgarnął włosy ze skroni i rozejrzał się dokoła, wypatrując Evie w jakiejś szaroburej kiecce. Nie od razu zorientował się, że nie było w pobliżu ani szarych, ani burych kiecek. Ani ulizanych ciemnych główek z włosami splecionymi tak ciasno, że nikt by się nie domyślił obfitości włosów. I ani jednej sukni zapiętej pod samą szyję! Mówiąc konkretnie, ze swego punktu obserwacyjnego przy drzwiach Justin widział twarze ośmiu dam. Żadna z nich nie była Evelyn. Dostrzegł również plecy pięciu siedzących do niego tyłem pań. Wszystkie prawie gołe.

Najwyraźniej Beverly się pomylił. Wśród siedzących za stołem gości pani Vandervoort nie było Evie. Albo nie została zaproszona, albo wymówiła się bólem głowy.

Podczas gdy Justin bezskutecznie rozglądał się za Evelyn, biesiadnicy uświadamiali sobie z wolna jego obecność. Rozmowy ucichły. Dżentelmeni i damy zwróceni twarzą do drzwi, w których stał, spoglądali na niego nieufnie, ci zaś, którzy siedzieli do niego tyłem, oglądali się, by sprawdzić, cóż to za intruz wtargnął do ich grona.

Tylko jedna smukła postać kobieca nie poruszyła się. Justin mógł bez przeszkód podziwiać alabastrowe ramiona i plecy damy, odzianej w ciemnoczerwoną aksamitną suknię, i niesforne ciemne kędziorki, wymykające się z upiętego na karku luźnego węzła.

Na koniec i ona odwróciła się w stronę Justina. Przez sekundę oboje mierzyli się wzrokiem. Potem kąciki jej ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- A, to ty, Justinie? - rzuciła od niechcenia Evie.

# *18*

- A to pan Powell! - Pani Vandervoort ruchem ręki wskazała Justinowi miejsce z dala od Evie, na drugim końcu stołu. - Zechce się pan do nas przyłączyć?

Justin nie odpowiedział. Stał nadal w drzwiach, w całym blasku wieczorowego stroju, włącznie z kołnierzykiem i mankietami. Wszystkie te wspaniałości jakoś dziwnie na nim leżały. *Pewnie ubierał się bez pomocy Beverly'ego* - domyśliła się Evelyn.

Serce jej waliło w szaleńczym rytmie. Bezskutecznie usiłowała je poskromić. Otrzymała przecież wyraźne wskazówki - powinna być przyjacielska, pogodna i kokieteryjna. I, broń Boże, nie okazywać po sobie, że jej choć troszkę na nim zależy! Evelyn przybrała więc maskę uprzejmej obojętności, zdając sobie sprawę, że Justinowi wystarczy jedno uważne spojrzenie i będzie wiedział, jak bardzo się za nim stęskniła.

Nie wolno jej do tego dopuścić! Tylko że zapomniała ze szczętem, dlaczego nie wolno. A, prawda! To polecenie Merry, eksperta w sprawach męsko-damskich. Czyż nie przepowiedziała, że Justin ni stąd, ni zowąd wyłoni się ze swej skorupy. I że oniemieje na jej widok?

Evelyn mogła sobie pogratulować, w ciągu kilku ostatnich dni nauczyła się tego i owego. Cztery dni temu czułaby się wyjątkowo głupio w tak wydekoltowanej toalecie i w takim uczesaniu. Potem jednak, dostrzegłszy chłodne uznanie pani Vandervoort i niekłamany podziw dżentelmenów, doszła do wniosku, że chyba nie wygląda groteskowo.

*Nie jestem wcale naga, tylko ubrana równie przyzwoicie jak reszta dam siedzących przy tym stole. W tym rubinowym aksamicie całkiem nieźle się prezentuję. Moje ramiona są smukłe, a nie kościste. Cerę mam bez skazy,* powtarzała sobie w duchu zapewnienia Merry niczym czarodziejskie zaklęcia. I ani rusz nie mogła w nie uwierzyć!

Może gdyby miała więcej odwagi i przyjrzała się sobie dokładnie w lustrze... Ale nie zdobyła się na to. Zerknęła tylko bojaźliwie raz i drugi w zwierciadełko, które jej ustawicznie podtykała pod nos Merry. Trudno pozbyć się zakorzenionych nawyków, a ona od dziesięciu lat unikała luster jak diabeł święconej wody!

„Bądź dla niego milutka, Evelyn!" Tylko jak mogła być milutka, gdy Justin tak się dziwnie gapił, a ją zbijało to całkiem z tropu? Stał w drzwiach od Bóg wie ilu minut. Nie uśmiechał się, a ta „jawna adoracja", którą przepowiadała Merry, podejrzanie przypominała superkrytyczne oględziny.

- Justinie - zagadnęła go z pozornym spokojem - czy masz zamiar przyłączyć się do nas od razu, czy wolisz poczekać z tym do deseru?

Siedzący obok niej tęgi Holender, herr Dekker, uśmiechnął się dyskretnie. Justin zaś podszedł do wolnego miejsca, pierwotnie przeznaczonego dla Ernsta, który - nie wiedzieć czemu - nie zjawił się. Usiadł, strzepnął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. Spojrzał Evie w oczy.

- Gdzie twoje okulary?

Evelyn poczuła, że pieką ją policzki. Opanowała się jednak po mistrzowsku i nie sięgnęła do nosa, by poprawić nieistniejące okulary. Nadal odczuwała ich brak, choć w ciągu ostatnich kilku dni przekonała się, że doskonale może się bez nich obejść.

- Gdzieś mi się zawieruszyły.

Policzki zapiekły ją jeszcze mocniej. Było to bezczelne kłamstwo. Ale jak mogła wyznać, że są i pewnie zawsze były całkiem zbędne? Wyszłaby przecież na idiotkę!

- Hm - wymamrotał Justin, marszcząc czoło.

Evelyn spoglądała na niego ze zdumieniem. Kolejna przepowiednia Merry sprawdziła się!

Siedzenie przy jednym stole z Justinem było dla Evie czymś dobrze znanym i nieznanym równocześnie. Jej Justin, ten, z którym spędziła cztery minione tygodnie, gawędził z nią wówczas o wszystkim, co tylko mu przyszło do głowy, nie przestrzegał obowiązujących w eleganckim towarzystwie form i nie miał ani źdźbła szacunku dla tytułów czy wysokiej pozycji.

Ten nowy Justin również sobie na to gwizdał. Ale - w przeciwieństwie do tamtego dawnego - nie był kojący ani serdeczny. Ten Justin wydawał się jej twardy i zimny jak stal.

- Ma pan uroczą posiadłość, signor Powell - zagaił rozmowę smukły włoski arystokrata, signor Coladarci.

- Dziękuję - burknął Justin i zdławił konwersację w zarodku. Potem ni stąd, ni zowąd wskazał łyżką na twarz interlokutora i stwierdził: - Nabił pan sobie porządnego siniaka! Bardzo bolało?

Signor Coladarci poczerwieniał.

- To nie siniak, tylko znamię. Mam je od urodzenia.

- Ach, tak? - mruknął Justin z wyraźnym rozczarowaniem i zaatakował łyżką zupę.

- Lady Evelyn zdradziła nam, że jest pan zapalonym ornitologiem, panie Powell - odezwała się dama siedząca po prawej ręce Justina.

- Owszem - odparł i wrócił do zupy. Holender odchrząknął i włączył się do rozmowy.

- Podzielam pańskie upodobania, herr Powell.

- Czyżby? - spytał Justin bez większego entuzjazmu.

- Jak najbardziej. Ale nie wzniosłem się na takie wyżyny jak pan.

- Nie? - mruknął Justin, usiłując wyłowić z zupy kawałek cebuli. - A jakie konkretnie wyżyny ma pan na myśli?

- Ależ, mein herr - zaprotestował Holender - jest pan doprawdy zbyt skromny! Odkrył pan podobno nowy gatunek… i wcale pan nie robi koło tego szumu, jak to wy mówicie!

- A, o to chodzi. No, tak. - Justin odchylił się na oparcie krzesła z bardzo zadowoloną miną. - Prawdę mówiąc, to raczej ona… ta ptaszyna, odkryła mnie. Wleciała do mego pokoju przez okno.

- Niemożliwe!

Justin uciszył rozmówcę jednym gestem.

- Ale prawdziwe. Wleciała prościutko do mnie. Oczywiście od razu zauważyłem, jaki to niezwykły ptaszek. Wystarczyło raz spojrzeć i usłyszeć ten jedyny w swoim rodzaju, natarczywy świergot. Zauroczyła mnie kompletnie!

- Fascynujące! - stwierdził Holender. - Lady Evelyn nie mogła sobie przypomnieć nazwy pańskiego odkrycia. Co to za ptak?

Przez sekundę Justin siedział bez ruchu. Potem zmarszczył brwi, sięgnął po stojącą obok jego nakrycia szklankę wody. Wypił duży łyk i nieoczekiwanie uśmiechnął się.

- Co to jest? Noctua Summe Formosa, oczywiście. - Zerknął na Evelyn. - Parvula.

- Aaa… Spokrewniona z Noctua Aihene[5], co? Doprawdy zdumiewające, że wpadła przez okno… i to we dnie? Byłem przekonany, że wszystkie sowy to nocne ptaki.

- O, nasze pierwsze spotkanie miało miejsce w nocy - odparł Justin, któremu Holender wyraźnie przypadł do gustu.

- Proszę mi wybaczyć, łacina prawie całkiem wywietrzała mi z głowy - wtrąciła z wyraźnym cudzoziemskim akcentem żona włoskiego arystokraty - ale czy formosa nie znaczy "piękna"?

- Istotnie - przytaknął Holender.

- A summe to...?

- Przepraszam najmocniej! Strasznie państwa zanudzamy - odezwał się Justin.

Ujął rękę signory Coladarci i złożył na niej pocałunek. Włoska dama zachichotała, a w Evelyn zbudziły się zgoła niechrześcijańskie uczucia.

[5] Noctua Aihene (łac.) - sowa pójdźka (przyp. tłum.).

- Jest pani zbyt wyrozumiała - ciągnął dalej Justin - dla słabostek dwóch takich zatwardziałych grzeszników jak herr... - Tu spojrzał pytająco na Holendra.

- Dekker - podpowiedział mu tamten, najwidoczniej uradowany, iż, być może po raz pierwszy w życiu, został zaliczony do zatwardziałych grzeszników.

- jak herr Dekker i ja.

- Jest pan niezwykle uprzejmy - odezwała się pani Vandervoort. - I taki skromny!

Evelyn wcale nie uważała skromności za dominujący rys charakteru Justina, ale wstrzymała się od komentarzy i tylko bacznie go obserwowała. Powrócił do dawnej roli, był teraz towarzyski i miły.

Przez chwilę Evie nie uświadamiała sobie, jak znacząca była ta obserwacja. I nagle olśniło ją. Justin rzeczywiście grał jak zawodowy aktor! Dosłownie na jej oczach przeobraził się w złotego młodzieńca. Uśmiechał się czarująco, flirtował bez opamiętania i cedził słowa w irytujący sposób, charakterystyczny dla wychowanka Eton - najbardziej ekskluzywnej z angielskich szkół prywatnych.

- …to zasługa lady Evelyn.

Na dźwięk swego imienia Evelyn ocknęła się z zadumy. Pani Vandervoort spoglądała na nią z uśmiechem.

- Ona to wszystko zaprojektowała i dopilnowała wykonania. Muszę przyznać, że dokonała niemal cudów!

Evelyn spuściła oczy z fałszywą skromnością. Zdecydowanie fałszywą. Ona też uważała, że jej osiągnięcia graniczą z cudem. Terrorem, brutalną przemocą, groźbą, prośbą i kornym błaganiem zdobywała wszystko, co było niezbędne. Wyczarowywała z nicości każdy sztuczny kwiatek, każdy element dekoracji, każdą skałkę z papier mache.

- Dziękuję za uznanie.

- Umieram z ciekawości! Kiedy to wszystko ujrzymy? - emocjonowała się signora Coladarci.

- Musicie państwo zaczekać do wesela - odparła pani Vandervoort. - To tylko dwa dni.

Zwróciła się do Evelyn.

- Nie mogłam wprost uwierzyć, że zdołała pani tego dokonać, z pomocą tej niezwykle utalentowanej mademoiselle Moliere! Wszystko już gotowe, nieprawdaż? Czekamy tylko na ślubny baldachim od mojej przyszłej teściowej?

Evelyn uśmiechnęła się, rada, że ma w zanadrzu jeszcze jedną dobrą nowinę.

- Zdaje się, że baldachim już dotarł.

Pani Vandervoort, która właśnie zamierzała wypić łyk wina, pospiesz¬nie odstawiła kieliszek.

- Doprawdy?

- Tak. Skrzynię dostarczono tuż przed obiadem.

Justin nieoczekiwanie zainteresował się tematem.

- Silsby przywiózł ją ze stacji?

Evie potrząsnęła głową.

- Nie. Dostarczono ją z Londynu prywatnym furgonem. Zatrzymał się tuż przed tylnym wejściem. Byłam akurat w ogrodzie.

- Sama ją odebrałaś?

Cóż za głupie pytanie! I czemu Justin ma taką idiotyczną minę?

- Nie, Beverly. Wyrósł jak spod ziemi i pokwitował odbiór.

- Ach, tak?

Z twarzy Justina znikł dziwaczny grymas.

- I muszę się panu poskarżyć - dodała Evelyn oficjalnym, nieugiętym tonem. - Zachowanie pańskiego kamerdynera graniczyło z impertynencją, kiedy poleciłam zanieść skrzynię do mego pokoju.

Prawdę mówiąc, Beverly zachowywał się w sposób jawnie bezczelny. Próbował nawet wyrwać skrzynię z rąk przewoźnika. Mamrotał, że z całą pewnością jest to aparatura do wypychania okazów ornitologicznych. Sądząc z

rozmiarów i wagi skrzyni, Justin musiałby preparować pterodaktyla albo mamuta.

- A więc skrzynię zaniesiono do pani pokoju? - upewniła się pani Vandervoort.

Justin znów się zmarszczył.

- Tak! - Evelyn pokazała w uśmiechu dołeczki. - Ponieważ pani zależało na tym, żeby to była niespodzianka dla sir Cuthberta, pomyślałam, że tak będzie najlepiej. Poza tym, Merry może zająć się baldachimem w moim pokoju, gdyby się okazało, że atłas wystrzępił się albo popękał.

- Wobec tego wpadnę do pani i zobaczymy - odparła gładko pani Vandervoort. - Bardzo słusznie, że schowała pani przesyłkę przed Króliczkiem. Jest strasznie ciekawski!

- Doprawdy, podziwiam cię, Edith - odezwał się leciwy dżentelmen. - Jesteś taka spokojna i pogodna, choć ślub zbliża się wielkimi krokami, twój sekretarz powalony niemocą, a pokojówka też się podobno skarży na jakieś przypadłości?

*Grace Angelina Rose miałaby być chora?! Ta wysoka, grubokoścista kobieta jeszcze wczoraj wydawała się okazem zdrowia. Co prawda, pacykowała się tak, że pod grubą warstwą makijażu trudno byłoby dostrzec nawet śmiertelną bladość*, dumała Evelyn.

- Może mogłabym jakoś jej pomóc? - spytała.

- Ogromnie pani troskliwa, lady Evelyn, jak zawsze - odpowiedziała pani Vandervoort. - Ale Grace Angelinie często dokucza migrena. Musi wtedy położyć się do łóżka i wypocząć, a nazajutrz czuje się znów całkiem dobrze. Ale w przypadku Quaila to zupełnie inna sprawa. Przyznam, że niepokoję się o niego.

- Zdaje się, że trochę mu się polepszyło - powiedziała ostrożnie Evelyn. - Za dzień czy dwa zatęskni pewnie za pracą.

Ponieważ Merry miała pełne ręce roboty z dopopasowywaniem na ostatnią chwilę wszystkich szczegółów dekoracji i strojów, Beverly zaś czyścił srebrna z chorobliwym wprost zapałem, poranna wizyta u Quaila spadła na barki Evie. Okazało się, że pacjent wyszedł - zapewne wybrał się na krótki spacer, by wypróbować siły. Evelyn wystarczyło jednak spojrzeć na kleisty zaciek na

poduszce, by upewnić się, że chory nadal bardzo się poci i nie tak prędko będzie mógł wrócić do swych obowiązków.

- Nie powinien się przemęczać - orzekła pani Vandervoort i uznawszy widać, że zbyt wiele czasu poświęciła tak przyziemnej sprawie jak zdrowie służby, wszczęła rozmowę z innymi gośćmi na inne tematy.

Signor Coladarci zaczął opowiadać Evelyn o urokach rzymskich palaz-zo. Choć temat był zajmujący, a spojrzenia narratora pełne podziwu dla uroków rozmówczyni, Evelyn mimo woli spoglądała ukradkiem w stronę Justina. Siedział leniwie rozparty na drugim końcu stołu i nie próbował nawet bawić rozmową swych sąsiadek. Po upływie pięciu minut pochylił się, spojrzał wprost na nią i mimo dzielącej ich odległości syknął nagląco:

- Evie! Słuchaj no, Evie!

Evelyn zignorowała go, ale jej rozmówca, niestety, okazał Justinowi więcej wyrozumiałości.

- Zdaje się, że signor Powell ma do pani jakąś sprawę - zauważył półgłosem.

Evie westchnęła ze zniecierpliwieniem, podniosła głowę znad talerza z rybą i rzuciła Justinowi przez stół mordercze spojrzenie.

- O co chodzi?

- No, ocknęłaś się! A już myślałem, żeś w tej skąpej sukienczynie zamarzła na amen!

Nim zdołała coś wykrztusić, ciągnął beztrosko dalej:

- Właśnie mi się przypomniało, że poczciwy Blumfield skrobał do drzwi, żeby go nakarmić. Powiedziałem mu, że pierwsze słyszę, by ktoś go tu zapraszał na obiad.

- Wielkie nieba, Justinie! - wykrzyknęła z przerażeniem Evelyn. - Jak mogłeś mu powiedzieć coś równie głupiego?!

- Bo to szczera prawda - odparł z niewinną miną Justin. - Zresztą, nie minęły jeszcze wieki i kto wie? Może wierny piesek gdzieś się kręci w pobliżu i czeka, aż go wpuścisz do domu?

Całe towarzystwo przy stole słuchało z zapartym tchem. Evelyn była okropnie zażenowana. Chwyciła dzwonek i potrząsnęła nim energicznie. W następnej sekundzie w drzwiach pojawił się Beverly.

- Pani mnie wzywała?

- Bądź tak dobry i odszukaj pana Blumfielda. Powinien być w pobliżu... Dostrzegła osobliwy uśmieszek kamerdynera i urwała. Była zirytowa¬na, zawstydzona i oburzona.

- Nie, nie! Możesz się nie fatygować. Sama go znajdę!

Już i tak się ośmieszyła, a raczej Justin wystawił ją na pośmiewisko. Ale z nim porachuje się później. I z Merry także, za jej dobre rady!

Co prawda, Merry z pewnością miała jak najlepsze intencje, ale nie powinna była mącić jej w głowie bzdurnymi uwagami na temat jej kobiecego uroku i wyraźnego zainteresowania Justina. Po co ją okłamywała, że Justin przyleci na pierwsze skinienie i padnie na kolana?! Głupi by w to uwierzył!

- Państwo wybaczą…

Wstała, obeszła z godnością stół i opuściła pokój z głośnym szelestem taftowych halek.

Kilka minut później Justin Powell przytknął rękę do czoła, wymówił się nagłym bólem głowy - co nie przeszkodziło mu bezczelnie mrugnąć do włoskiej signory, która westchnęła rozkosznie, przeczuwając, że nowy romans wisi w powietrzu - podniósł się z miejsca i słabym krokiem wyszedł z jadalni.

- Och, Ernst, jak mi przykro! Czy może mi pan wybaczyć? Jestem pewna, że pan Powell nie chciał…

- Dobrze wiem, czego pan Powell chciał i czego nie chciał. Takie sprawy się nie liczą z granicami - odparł Ernst z łagodnym uśmiechem i ujął w obie dłonie rękę Evelyn. - Na jego miejscu tak samo bym zrobił.

Evie wybiegła z drzwi frontowych w chwili, gdy Blumfield żegnał się właśnie z jednym z ogrodników. Kochany Ernst! Miał zawsze czas, by zamienić

kilka życzliwych słów z inną ludzką istotą. Zdołała go namówić, by wrócił wraz z nią do frontowego holu. Nie chciał jednak wchodzić do jadalni i przeszkadzać w obiedzie. Wolał porozmawiać z Evelyn w cztery oczy. Miał jej coś ważnego do powiedzenia.

Jak przekonać tego przemiłego, acz niemądrego młodzieńca, że jego podejrzenia w stosunku do Justina są kompletnie nieuzasadnione? Jej samej dopiero teraz rozjaśniło się w głowie. Przez kilka ostatnich dni żyła jak we śnie, łudząc się, że jej marzenia się spełnią i wszystko będzie jak w bajce!

- Myli się pan, Ernście. Niemądry wybryk pana Powella nie ma żadnego związku z moją osobą. Nie jest też wyrazem jego wrogości do pana!

Ernst cmoknął językiem i potrząsnął głową. Najwyraźniej obstawał przy swoim.

- Pani jest taka... uczciwa do głębi, więc myśli, że wszyscy tacy. Niestety, wcale nie są. I pan Powell nie taki obojętny, jak udaje.

Evelyn przestała się z nim sprzeczać, choć z pewnością - mając Justina pod bokiem od miesiąca - znała go lepiej niż ten prostoduszny cudzoziemiec. Justin miałby ukrywać swe uczucia?! Co za absurd! Czytała w nim przecież jak w otwartej księdze. Wielkiej, niekiedy nudnawej księdze. Czuł coś do niej?! Ależ on nawet nie zauważył, jak się zmieniła!

Prawdę mówiąc, Ernst również nie dostrzegł wielkiej przemiany, albo uznał, że nie ma o czym mówić. Może pomyślał, że się wygłupiła? Pewnie Justin też był tego zdania!

- To ta suknia, prawda? - spytała z niepokojem.

Zdezorientowany Ernst zamrugał oczami.

- Suknia? Jaka suknia?

- Wcale do mnie nie pasuje, co? Wyglądam w niej groteskowo? Jak zwykła kwoka udająca rajskiego ptaka?

Spoglądał na nią bezradnym wzrokiem.

- Kwoka? Rajski ptak? Nie bardzo rozumiem. A pani toaleta jest całkiem...

Nie dokończył zdania, ale nie ulegało wątpliwości, że nie jest nią zachwycony.

- Nieodpowiednia? - podsunęła Evelyn.

- Chyba bym powiedział... niespodziewana. - Uśmiechnął się ciepło, jakby chciał podnieść ją na duchu. - Wolę szarą sukienkę. Lepiej pasuje. Wtedy jest pani prawdziwa.

- Wtedy jestem prawdziwa?

- Tak! - Energicznie skinął głową. - Prosta. Skromna. Uczciwa. Pracowita.

Evelyn z pewnym trudem odwzajemniła jego uśmiech. Widać niezbyt się to jej udało, gdyż Ernst zrobił znów nieszczęśliwą minę.

- Znowu coś powiedziałem nie tak! Upraszam o wybaczenie! - kajał się. - Ja chciałem tylko powiedzieć, że moja droga, droga lady Evelyn jest zawsze taka naturalna do każdego, taka... bez żadnych sztuczek i niepotrzebności...

- Bardzo lubię „niepotrzebności", drogi Ernście, jeśli ma pan na myśli rozmaite świecidełka i ozdoby. Tylko uważam, że pasowałyby do mnie jak, nie przymierzając, kwiatek do kożucha.

- Co za kwiatek? I po co przymierzać do... do kożucha?

Wyraźnie sfrustrowany Ernst borykał się z niepojętymi zawiłościami obcego języka. Evelyn uświadomiła sobie, że znów postawiła go w kłopotliwej sytuacji. Uśmiechnęła się do niego.

- Nieważne! Po prostu moja suknia niezbyt się panu spodobała, prawda?

- Prawda! - odparł z wyraźną ulgą Ernst. - A pani nie powinna martwić się swoim wyglądem. Wygląda pani zawsze... - szukał odpowiedniego określenia i zakończył z triumfalnym uśmiechem - ... jak trzeba.

Jak trzeba. Evelyn wzdrygnęła się w duchu. No cóż... to z dwojga złego lepsze niż „znośnie". Może „jak trzeba" to najwyższa pochwała jej wyglądu, na jaką może liczyć? I skąd u niej ta nagła potrzeba komplementów, męskich zachwytów? Nie, nie „męskich". Komplementów i zachwytów Justina.

- Ja nawet nie śmiałem marzyć, ale pani zaufanie dodaje mi odwagi do powiedzenia rzeczy, jakie mówi się młodej damie po długiej znajomości.. W każdym razie u nas, bo w waszym kraju wszystko idzie szybciej. Więc czuję, że jak nie pochwycę okazji, to mnie ominie, i wielka szkoda!

Poczuła na sobie jego głębokie, smętne spojrzenie.

Ocknęła się nagle z rozmyślań o Justinie i skoncentrowała uwagę na osobie Ernsta. Nietrudno się było domyślić, co ją zaraz czeka!

Przez chwilę jakiś niespokojny głosik w jej mózgu alarmował, żeby brała, co samo jej wpada w ręce. Propozycja Ernsta jest dowodem wyraźnego upodobania, głębokiego szacunku i szczerego podziwu. Czyż nie twierdziła zawsze, że pragnie mieć męża, który potrafi ją docenić?

Pół roku temu Evelyn posłuchałaby od razu tego głosu. Trzy miesiące temu wmówiłaby sobie, że powinna z najwyższą radością przyjąć oświadczyny, z którymi Ernst zaraz wystąpi. Przed miesiącem, nawet przed trzema tygodniami zgodziłaby się poślubić go i starałaby się być jak najlepszą żoną.

Ale nie dziś.

Uświadomiła sobie z melancholią, jak bardzo się zmieniła po przyjeździe do North Cross Abbey. I właśnie dlatego, że zdała sobie sprawę z własnej miłości do Justina i z niewielkich szans na jego wzajemność, ogarnęło ją szczere współczucie dla Ernsta.

Serdecznie uścisnęła ręce, które obejmowały jej dłonie.

- Mój drogi przyjacielu - powiedziała. - Kiedy przybyłam do North Cross

- Bardzo bym chciała - odparła Evelyn i dorzuciła z uśmiechem, usiłując rozładować napięcie. - Obawiam się, że zupa i ryba ominęły pana, ale powinniśmy zdążyć na danie główne.

- Nie, nie... Bardzo dziękuję, ale właśnie mi się przypomniało coś ważnego i muszę wracać - oznajmił stanowczo Ernst. Dżentelmen czy nie dżentelmen, nie był w tej chwili zdolny do pustej salonowej konwersacji z dziewczyną, przed którą pragnął otworzyć swe serce. - Może to… odłożymy na potem? Tak się u was mówi?

- Dokładnie tak!

- Znakomicie. Coraz lepiej znam angielski, prawda? - spytał, siląc się na lekki ton, kontrastujący z gorączkowymi wypiekami.

- Zna go pan już wspaniale - zapewniła go całkiem szczerze Evelyn.

Stał przez chwilę, wpatrując się w nią, po czym ruszył do wyjścia.

W drzwiach odwrócił się jeszcze.

- No to do zobaczenia, lady Evelyn!

- Po prostu Evelyn, Ernście!

- Ach, tak... - odparł. - Ale on mówi do pani „Evie"!

I rzuciwszy tę enigmatyczną uwagę, wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Przez dłuższą chwilę Evelyn stała bez ruchu. Potem bez większego entuzjazmu skierowała się znów w stronę jadalni. W połowie drogi uświadomiła sobie, że nie ma najmniejszej ochoty robić dobrej miny do złej gry. A tym bardziej wystawiać się na szydercze spojrzenia Justina.

Wobec tego zawróciła do swego pokoju.

- Spraw, dobry Boże, żeby to był ten cholerny baldachim, a nie diabelska machina Bernarda! - modlił się w duchu Justin, pędząc do sypialni Evie. - Co za cholerny pech!

A w dodatku Evie!

Dopadł jej drzwi i jednym płynnym ruchem nadgarstka otworzył scyzoryk, wetknął długie, cienkie ostrze w zamek i energicznie obrócił.

Musiała, oczywiście, zagarnąć skrzynkę w ogrodzie, gdzie zza każdego krzaka mogły ją śledzić ciekawskie oczy! O Boże, gdyby ten zbir, który go zaatakował w bibliotece, doszedł do wniosku, że Evie należy do ich organizacji...

Niech to wszyscy diabli! Musi usunąć czym prędzej to cholerstwo z jej pokoju... o ile, rzecz jasna, jest to przesyłka zapowiedziana przez Bernarda. A jeśli to tylko staroświecki baldachim? Wówczas trzeba będzia to rozgłosić wszem i wobec, żeby nikt w North Cross Abbey, a zwłaszcza jakiś nadgorliwy szpicel, nie wyciągnął mylnego wniosku, że Evie mai coś wspólnego z tą inną, ważną przesyłką. Prościej mówiąc, że jest rówm nież szpiegiem. Justin gotów był na wszystko, byle nie dopuścić do takifffl tragicznej pomyłki. Dosłownie na wszystko!

Drzwi ustąpiły i Justin wślizgnął się do wnętrza. Evie pozostawiła skrzył nię na samym środku pokoju. Miała metr dwadzieścia wysokości oraz długości. Pospieszne oględziny sypialni wykazały, że nikt nie próbował dostać się przez okno i nikt nie otwierał dotąd skrzyni.

Znalazł na podręcznym stole ciężkie krawieckie nożyce i wetknąwszy ich ostrza pod wieko, naparł na nie z całej siły. Ustąpiło z ledwie dosłyszalnym trzaskiem. Zajrzał do ciemnego wnętrza. Znajdowała się w nim druga, mniejsza, złowróżbnie niepozorna skrzynka, opatrzona napisami ostrzegawczymi w kilku językach. A więc to ona! Diabelska machina we własnej osobie.

Justin stał bez ruchu, rozważając następne posunięcie. Osobnik czyhający na tę przesyłkę, bez względu na to, kim był, wiedział już z pewnością, gdzie się ona znajduje, znał w przybliżeniu jej wymiary i wagę oraz - co najważniejsze - orientował się, kto się po nią zgłosił. W zwykłych warunkach, jeśli w jego profesji w ogóle można było mówić o czymś takim, Justinowi nawet by do głowy nie przyszło zaglądać do wnętrza skrzynki. Bóg wie jakich szkód mógłby doznać delikatny mechanizm podczas takiego odpakowywania!

Ale na tę skrzynię ktoś polował i trzeba mu było w tym przeszkodzić! Rozważywszy wszelkie „za" i „przeciw", Justin doszedł do wniosku, że

najrozsądniej będzie przenieść machinę - z zachowaniem wszelkich środków ostrożności - do innego pojemnika, o odmiennych wymiarach i kształcie.

Potem musi zadbać o to, by przesyłka trafiła do rąk wybranego przez Bernarda eksperta. Wobec tego przepakuje to cholerstwo, zataszczy je w bezpieczniejsze miejsce i zadepeszuje do Bernarda, by czym prędzej przysłał po nie swoich chłoptasiów. Skutkiem tego będzie miał to świństwo na głowie najwyżej przez kilka dni. Ale musi je przepakować, nim Evie po obiedzie wróci do pokoju.

Ponownie zaatakował nożycami wieko skrzynki, tym razem mniejszej. Jak tylko upora się z tym zadaniem, wychodzi z gry. Na dobre. I przy odrobinie szczęścia Evie nigdy się nie dowie o jego obecnej profesji. Będzie mogła żyć w błogim przeświadczeniu, że świecąc dobrym przykładem, zagrzała do czynu bezideowego i bezwartościowego nieroba, skierowała go na właściwą drogę i przemieniła w społecznie użytecznego osobnika.

Ależ Evie będzie miała frajdę, nawracając go! Na samą myśl o tym Justin uśmiechnął się. Wieko mniejszej skrzynki zaczęło trzeszczeć... i właśnie wtedy usłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Pospiesznie upuścił nożyce i odwrócił się.

Na progu stała Evelyn. Jej czarne włosy opadały kaskadą lśniących loków na obnażone ramiona, jaśniejące bielą jak alabaster.

- Wolno spytać - odezwała się lodowatym tonem - co robisz w moim pokoju?

## *19*

- Ja… ja chciałem cię przeprosić.

Evie spojrzała na niego z wyraźnym niedowierzaniem. Widocznie już wyrobiła sobie o nim niezbyt pochlebne zdanie i uważała, że ta nagła skrucha wcale nie pasuje do Justina.

Usiłował na poczekaniu wymyślić jakiś inny, bardziej przekonujący powód swej obecności w pokoju Evie, a równocześnie zbliżał się do niej tak, by nie zwróciła uwagi na skrzynię. Był prawie pewien, że Evie nie domyśla się, co go tu sprowadziło. Powiedziałby jej prawdę, gdyby mógł ale to nie był jego sekret. W końcu doszedł do wniosku, że najlepszą obroną będzie atak.

- No i co? Nie dogoniłaś tego szwaba? - rąbnął prosto z mostu.

Evelyn zesztywniała. Cała jej gładka skóra zaróżowiła się prześlicznie. Głęboko powycinana tu i ówdzie suknia ułatwiała mu obserwację.

- Nie musiałam za nim ganiać - odparła z godnością - bo nie opuścił North Cross Abbey.

- Co takiego?! - parsknął szyderczym śmiechem Justin. - Ten biedny ciołek nadal się tu pętał?!

Przepiękne ciemne oczy Evie zwęziły się w nieżyczliwe szparki. Jak ta dziewczyna może przez głupią próżność rezygnować z niezbędnych okularów?! Jeszcze sobie pogorszy wzrok! A poza tym, czy wszyscy pod słońcem muszą koniecznie wiedzieć - oprócz niego, oczywiście, on naprawdę musiał - że jej oczy mają barwę ciemnego, przejrzystego bursztynu? Albo oprawnego w złoty filigran onyksu? Albo klejnotu zwanego „tygrysim okiem"?

I nagle uświadomił sobie, że te cudowne tygrysie oczka toną we łzach.

Instynktownie wyciągnął do niej ręce. Diabelska machina, Bernard, zadanie bojowe, honor, rola, którą musiał odgrywać - wszystko to nie miało żadnego znaczenia w obliczu przerażającego odkrycia, że to on właśnie on, zmusił Evelyn do płaczu!

- Evie... - wyjąkał. - Wybacz mi! Proszę, nie płacz już... Evie!

- Wcale nie płaczę! - Zamrugała gniewnie oczyma. - Czemuż bym miała płakać?! Przecież szyderstwa profesjonalnego uwodziciela…

- Dobry Boże! Dajże już temu spokój!

- Profesjonalnego uwodziciela - powtórzyła z naciskiem - który uważa czyjeś szczere upodobanie do mnie... to znaczy, do pewnej nieatrakcyjnej damy, za żałosny brak gustu, to jeszcze nie powód do płaczu!

- Źle mnie zrozumiałaś... - zaczął. I nagle dotarły do niego w pełni słowa Evelyn: „czyjeś szczere upodobanie". - Jakie znów upodobanie?! O czym ty gadasz?!

- Wyobraź sobie, Justinie - Evelyn wzięła się pod boki i jej rączki znikły w aksamitnych fałdach szerokiej spódnicy - że nie wszyscy mężczyźni kierują się najniższymi instynktami!

Brnęła dalej, chcąc za wszelką cenę udowodnić Justinowi, jaki jest płytki i ograniczony. Niech i on się pomartwi tak jak ona, gdy poczuła się wzgardzona i odrażająca… z jego winy!

- Niektórych pociąga błyskotliwy, chłonny umysł. - Do licha z tym głosem! Musi tak drżeć?! - A przedsiębiorczość i ambicja robi na nich większe wrażenie niż... - zerknęła na swój mizerny biust, który Merry niemiłosiernie ścisnęła i wywindowała, stwarzając iluzję obfitości - niż bujne łono!

- Evie...

- Niektórzy nie uważają, że tylko cukierkowe piękności warte są pocałunków. ..

Chwycił ją za ramię, przyciągnął do siebie i spytał:

- Ten szwab cię pocałował?! Znowu?

Potrząsnęła buntowniczo głową.

- Uważasz, że to niemożliwe, co? Kto by się chciał fatygować? A sam miałeś przelotną chętkę!

Rzuciła mu te słowa jak najgorszą zniewagę. Jakby chciała go upokorzyć tym przypomnieniem niegodnej zachcianki. Jak gdyby…

I nagle wszystko zrozumiał. Wreszcie go olśniło.

Niewiarygodne! Jak mogła nie wyczuć… Jak mogła nie dostrzec?

Z najwyższym zdumieniem chwycił ją za nadgarstek i rozejrzał się w pośpiechu za… No! Musi przecież gdzieś być! O, tu! Małe i tak zakryte, że prawie go nie widać!

Zaciągnął ją do kąta, gdzie wisiało lustro. Zerwał przesłaniające je szmaty. Zmusił Evie, by stanęła tuż przy nim.

- Co ty wypra…

- Cicho! - ofuknął ją.

Chwycił dziewczynę za ramiona i odwrócił twarzą do lustra. Zerknęła w nie i zaraz odwróciła wzrok, jakby to był jakiś odrażający, a zarazem groźny przedmiot.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?! - spytała gniewnie.

Ale nie pozwolił jej odwrócić się. Przycisnął ją mocno plecami do siebie, tak że łopatki Evie wpijały mu się w pierś.

- Spójrz!

- Nie mam ochoty na twoje głupie zabawy! - burknęła z irytacją.

Justin dostrzegł jednak, że jej spojrzenie pobiegło ukradkiem do lustra.

- Spójrz! - nalegał.

Zmierzyła go wrogim spojrzeniem. Nie zlękła się prowokacyjnych błysków jego błękitnozielonych oczu. I w końcu - ponieważ była odważna, ponieważ nie musiała się niczego wstydzić, ponieważ dowiodła swej wyższości w wielu dziedzinach i nie potrzebowała lalkowatej urody, by udowodnić, że nie jest kompletnym zerem - spojrzała w lustro, jakby rzucała mu wyzwanie.

Justin stał za jej plecami i lekko pochylony obserwował Evie, wpatrującą się w swoje odbicie w lustrze. Była czujna i spięta niczym żołnierz stojący na baczność. Wszystkie mięśnie naprężone, każdy nerw rozedrgany w straszliwym wysiłku samokontroli. I nic poza tym. Żadnego zrozumienia. Ani śladu olśnienia. Nic.

- Może już dość? - wykrztusiła wreszcie, unosząc ku niemu swe ciemne oczy. - Zadowolony?

Była znów bliska płaczu. Poznał to po głosie. Tym razem jednak nie zbudziły się w nim wyrzuty sumienia. Był oszołomiony, owszem, ale z całkiem innych powodów.

- Co tam widzisz? - spytał miękko.

Jakaż ona maleńka! Często o tym zapominał, gdyż wszystko - prócz wzrostu - było w niej na wielką miarę. Pochylił się do uszka Evie i rozkoszując się skrycie zapachem jej ciała, szepn

- No, Evie, powiedz mi! Co widzisz?

Przebiegł ją dreszcz. Justin wyczuł to i przez chwilę obawiał się, że kategorycznie odmówi odpowiedzi. Wkrótce jednak rzuciła wyzywającym tonem:

- Dorosłą kobietę, którą każdy bierze za smarkulę!

- Pełną młodości i dziecięcego wdzięku - poprawił. - Co jeszcze o niej powiesz?

- To prawie karlica!

- Figurka z chińskiej porcelany…

Ten epitet zaskoczył ją. Uniosła brwi z wyrazem dezaprobaty. Nie był pewien, czy dotyczy to jego osoby, czy określenia, którym się posłużył, czy też jawnej bezczelności, z jaką się jej przeciwstawiał. Evie obstawała przy swoim i biada temu, kto miał inne zdanie!

- Chuda jak szczapa - powiedziała z naciskiem.

- Zwiewna jak puch… - szepnął, muskając wargami płatek jej ucha.

Westchnienie było cichutkie, ale je usłyszał. Nachylił się jeszcze bardziej. Jego usta prześlizgnęły się po karku Evie, chwytał zębami pasemka delikatnych włosów.

- Koścista i żylasta.

Oddech Evie rwał się, jej głos stawał się coraz mniej pewny. Justin był odurzony jej bliskością.

- Gibka i smukła…

Evelyn zadrżała. Spoczywająca dotąd na jej ramieniu ręka Justina podkradła się do jej fryzury. Przebierał palcami w gęstwinie jedwabistych pukli. Szpilki sypały się na wszystkie strony. Rozpuszczone włosy opadły na plecy kaskadą długich, sprężystych, ciemnych loków.

- Z kudłami jak u Murzyna!

- Są cudowne - szepnął. - Najwspanialsze w świecie hebanowe kędziory...

- Hebanowe? - spytała tak cichutko, że musiał dobrze wytężyć słuch.

- Tak. Nawet królowa nocy nie ma równie pięknych.

Zaparło jej dech. Zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy. Pomiędzy brwiami pojawiła się cieniutka zmarszczka bólu. Justin roześmiał się, dotykając ustami jej kremowej skóry. Poczuł, że Evie znów sztywnieje.

Biedactwo! Taka zdezorientowana, wciąż taka niepewna, podczas gdy on z najwyższym wysiłkiem trzymał się w ryzach. Z każdą sekundą pa¬nowanie nad sobą stawało się coraz trudniejsze. Evie była taka wrażliwa, taka pojętna, taka ufna i taka cholernie pociągająca w swojej rozterce!

Jak łatwo byłoby odgrywać przy niej rolę rycerza w lśni

przylgnęły do miejsca u nasady szyi,'gdzie bił puls. Miała wrażenie, że wyczuwa każde drgnienie jej serca.

- Pragnę cię - szepnął, dotykając wargami jej ciała. - Dobrze wiesz, jak bardzo cię pragnę.

Evelyn oddychała z trudem. Chciała, by ta pieszczota trwała bez końca, a równocześnie, by zakończyła się zaraz, już... by mogła zaznać wszystkich niezwykłych rozkoszy, o których jej opowiadała Merry - grzesznych, niepokojących i podniecających.

Powinna go odepchnąć i żywić nadzieję, że nawet tego nieuznającego konwenansów mężczyznę zdoła skłonić do oświadczyn, nie pozwalając przedtem na żadne fizyczne zbliżenia. Jednak zawsze czuła obrzydzenie na myśl o zmuszaniu kogoś - wszystko jedno w jaki sposób - do małżeństwa. Była na to zbyt dumna. Nie zamierzała jednak zrezygnować z nadarzającej się niezwykłej okazji, dowie się, czym jest miłość, stanie się kobietą. Nie będzie przez resztę życia zastanawiać się, co by było, gdyby… i żałować zmarnowanej szansy. Nie będzie!

Miała dwadzieścia pięć lat. I chciała zakosztować miłości z Justinem, Z nikim innym!

Tak się pogrążyła w myślach, że nie zauważyła, iż Justin oderwał usta od jej szyi i podniósł głowę, póki nie ujrzała w lustrze jego twarzy i wpa¬trzonych w nią oczu.

- Widzisz wreszcie?

- Co takiego?

- Jaka jesteś piękna? Urzekająco piękna?

Na dźwięk głosu swojego pana Beverly zastygł z ręką tuż przy drzwiach, do których miał właśnie zastukać. Zjawił się tu w przekonaniu, że zastanie pusty pokój i będzie miał swobodny dostęp do skrzyni. Przyczaił się w korytarzu, póki lady Evelyn nie zeszła na obiad, i miał właśnie wejść do jej pokoju i uwolnić ją od nieporęcznej skrzyni, gdy jeden z gości pani Vandervoort zauważył go i przywołał. Nie było rady. Musiał podejść i dowiedzieć się, czego ów dżentelmen sobie życzy.

Miał nadzieję, że przez ten czas skrzyni nic się nie przydarzyło. Jego nieobecność nie trwała przecież zbyt długo…

Dobiegający z pokoju głos Justina zbił go całkiem z tropu. Wkrótce zorientował się, że jest tam również ona. Kamerdyner zamarł pod drzwiami, raczej ze zdumienia niż z chęci podsłuchiwania.

Nigdy dotąd nie słyszał, by pan Justin przemawiał takim głosem - pełnym zachwytu, czci i czegoś jeszcze... Czegoś znacznie bardziej żywiołowego, niemal pierwotnego. Kamerdyner mimo woli zaczerwienił się i nim zdążył ochłonąć, dobrze mu znany i bynajmniej nieupragniony głosik przemówił doń z wyraźnym francuskim akcentem:

- Podsłuchujemy pod drzwiami? A fe, panie Beverly!

Kamerdyner odwrócił się w nadziei, że jednym wymownym spojrzeniem poskromi ją, a może nawet kompletnie uciszy. Panna Moliere stała na końcu korytarza, z przechyloną na bok głową. Jej ruda koafiura nieco oklapła i przypominała turban. Francuzka nie robiła wcale wrażenia poskromionej. Miała bezczelną minę.

Kołysząc biodrami, podeszła do niego i najpierw postukała go w pierś grubym paluchem, a potem pomachała nim przed samym nosem kamerdynera.

- Cóż my tu robimy? - szepnęła z wyraźnym rozbawieniem. - Stoimy pod drzwiami panienki Evelyn, z buźką czerwoną jak burak i… Och!

Wesoły szept przeszedł w zdławiony jęk, gdy za drzwiami dał się słyszeć głos Justina.

Beverly chwycił Francuzkę za pulchne ramię i pociągnął w drugi koniec korytarza. Puścił ją dopiero wówczas, gdy był pewny, że nikt ich nie usłyszy.

- On... Ona... To znaczy... oni!... -bełkotała Merry.

- Na litość boską! - przerwał jej zdegustowany kamerdyner. - Robi pani, co może, by każdy osobnik rodzaju męskiego w okolicy wiedział, jaka z pani doświadczona niewiasta... a teraz, ni stąd, ni zowąd, traci pani głowę jak pierwsza lepsza piętnastoletnia gęś.

- Z prowincji! Jak pan śmie kwestionować moje życiowe doświadczenie?!

Merry wyprostowała się dumnie niczym posąg znieważonej kobiecości. Kamerdyner uśmiechnął się mimo woli. Jakaż inna kobieta broniłaby z takim zapałem swej zaszarganej opinii?!

- Więc niech się pani nie zachowuje jak bezmózgie niewiniątko! Pan Powell jest ostatni z rodu... A ja, od trzech pokoleń związany z rodziną jego

matki, z ręką na sercu mogę oświadczyć, że ów ród w najwyższym stopniu zasługuje na przedłużenie...

Merry uniosła oczy do sufitu.

- Oui, oui, rody są po to, żeby je przedłużać. I co z tego?!

- Mój pan wybrał sobie lady Evelyn. A ja całkowicie aprobuję jego wybór. Pasują do siebie.

Oczy Merry zwęziły się, a usta zacisnęły.

- No i teraz właśnie sprawdzają, czy dobrze się dopasowali? Pański spisek się udał?!

- Nie było żadnego spisku sensu stricto - obruszył się kamerdyner. - Chodziło tylko o usunięcie drobnych przeszkód i stworzenie sprzyjającej atmosfery.

- Wspaniale! - zachichotała. - Popieram w całej pełni! A jej Maman… Och! Mon Dieu! - Mina jej zrzedła. Przygryzła wargę. - Matka lady Evelyn może okazać się mniej... nowoczesna w swoich poglądach niż my. Poleciła mi co prawda zachęcać córkę do podtrzymania tej znajomości, ale nie do romansowania z panem Powellem!

- Obawiam się, że sprawy zaszły zbyt daleko, by nawet pani interwencja mogła tu coś pomóc.

W nagłym przypływie iście kontynentalnego fatalizmu Meny wzruszyła ramionami.

- Mais oui! Ma pan całkowitą rację! Wobec tego - ujęła go poufale pod ramię - jak, pańskim zdaniem, można jeszcze pomóc naszym gołąbeczkom?

Z lekkim grymasem niesmaku Beverly oswobodził się z jej uścisku. Przez moment miał jakieś dziwne uczucie, zupełnie jakby przeleciała między nimi iskra elektryczna. Nie zamierzał, oczywiście, przyznawać się do tego. Ta… kobieta z pewnością wyobraziłaby sobie Bóg wie co! Powiedział więc tylko:

- Najlepiej im nie przeszkadzać.

Po czym skorzystał z własnej rady i oddalił się z godnością.

Pogrążona w zadumie Merry spoglądała za oddalającą się marszowym krokiem niepokaźną postacią. Całkiem nie w jej typie. Staruch, sztywniak, a na

dobitkę wróg kobiet! Odwróciła się na pięcie i pospieszyła w przeciwnym kierunku, czyli do kuchni, zapominając na razie o problemach Evelyn i Justina Powella.

Buck Newton[6]? No tak, świetnie im było razem, ale uwiedzenie Bucka nie wymagało zachodu i nie przynosiło większej chluby. Podejrzewała, że właśnie z tej racji nadano mu to przezwisko.

Wystarczyłaby mu każda jako tako wyglądająca baba... Nie, bądźmy szczerzy, pierwsza z brzegu, która by mu wskoczyła do łóżka.

Ale zbałamucić Beverly'ego... to by dopiero był triumf!

## *20*

Przez długą chwilę Evelyn w milczeniu wpatrywała się w lustro.

- Tak... - szepnęła wreszcie. - Teraz widzę.

I rzeczywiście dostrzegła prawdę. Ale nie we własa r38(o)3.99406(ś)-2.21196(c)-0.0

- Takaj-4.55778(i)4.34168(e)siz na

Justin oniemiał, język odmówił mu posłuszeństwa. Skończyły się komplementy i miłe słówka. Do głosu doszła namiętność i pożądanie tak gwałtowne, że powaliło go niemal na kolana. Objął dłońmi twarz Evie. Jej jedwabiste włosy spłynęły mu na ręce. Pochylił się i musnął lekko wargami jej usta. Była rozgorączkowana, woń jej ciała stała się bardziej intensywna - ulotny, słodki, kobiecy, podniecający zapach.

Justin czuł ból w lędźwiach, ramiona mu drżały. Wytężał wszystkie siły, by zachować kontrolę nad własnym ciałem.

Pragnienie i chęć posiadania to żadne usprawiedliwienie! - myślał. Evie zachowuje się tak impulsywnie, bo czuje do niego pociąg i jest mu wdzięczna za to, że uświadomił jej, jak bardzo jest piękna.

Ale powtarzając sobie w duchu te wszystkie argumenty, trzymał ją już w objęciach. Zmierzali w stronę łóżka. Był o krok od zguby. O krok od raju. Zawahał się na krawędzi przepaści. Zaraz popełni niewybaczalną podłość - uwiedzie niedoświadczoną, niewinną dziewczynę. I wtedy właśnie Evie stanęła na paluszkach i przyciągnęła jego głowę do swojej. Dotykając wargami ucha Justina, szepnęła rwącym się głosem:

- Ja też cię pragnę!

Na te słowa wszelkie jego skrupuły rozpadły się w proch, uleciały z wiatrem. Namiętność ogarnęła go jak pożar, pulsowała mu we krwi żywym ogniem. Uwodziciel? Uwiedziony? Różnica była niedostrzegalna, nieistotna. Justin osunął się na kolana, jego ramiona zacisnęły się na biodrach Evelyn, a usta przylgnęły do delikatnej wypukłości piersi, okrytej aksamitem, na którym jego język pozostawiał wilgotne ślady. Usłyszał, jak Evie chwyta gwałtownie powietrze i sumienie odezwało się w nim po raz ostatni.

- Każ mi przestać! - wykrztusił. - Mogę przestać. Przestanę. Ale musisz mi to nakazać! Jestem silny, Evie, ale nie wobec ciebie. Wstydzę się swojej słabości i moich pragnień. Dałbym wszystko, by poczuć cię pod sobą, zanurzyć się w tobie!

Miał nadzieję, że brutalność słów i wizji, która zapierała mu dech w piersi i rozpłomieniała krew, odstraszy Evie. A może ją podnieci? Objął jeszcze mocniej jej biodra i przyciągnął ją do siebie tak raptownie, że straciła równowagę i musiała uchwycić się jego ramion, żeby nie upaść.

- To twoja ostatnia szansa, Evie. Każ mi odejść!

Zamknął pełne bólu oczy.

- Nie! - odparła natychmiast, drżącym, ale stanowczym głosem.

Podniósł powieki i spojrzał w pociemniałe oczy Evie. Objął jej plecy obiema rękami. Jego niezwykle zręczne palce - palce włamywacza - w kilka minut uporały się z tuzinami perłowych guziczków. Z tasiemkami gorsetu poszło jeszcze łatwiej. I wreszcie, jednym płynnym ruchem wstał z klęczek i ściągnął jej suknię z ramion. Opadła do stóp Evie purpurową falą. Justin tymczasem uwalniał Evie od haftowanego gorsetu, który również bez ceremonii odrzucił.

Jego własne ciało, rozpalone i spięte, wydało mu się dziwnie obce. Zbyt twarde, zbyt groźne. Nie chciał przestraszyć Evie, więc zważał na każdy ruch. Delikatnie, końcami palców sunął po jej policzku, włosach, szyi i ramionach. Musnął delikatną pieszczotą jej klatkę piersiową, dotarł do wdzięcznego przewężenia w pasie i łagodnej krzywizny bioder. Wreszcie koniuszki palców wyczuły sprężystość pośladków ukrytych pod ele gancką taftową halką i natychmiast odnalazły przytrzymującą ją wstążeczkę. Jedno energiczne pociągnięcie - i halka powędrowała w ślad za suknią. Na podłodze spiętrzyła się góra fatałaszków, sięgająca Evelyn do połowy łydek.

Pozostała w koszulce, która niewiele zakrywała, w koronkowych pantalonach ściągniętych w łydce jedwabną wstążką, pończochach i… o mój Boże! Nadal miała na nogach buciki! Evie podążyła za wzrokiem Justina i - uświadomiwszy sobie widać, że nie pasują do reszty skąpego stroju - pozbyła się pantofli z miękkiej kozłowej skórki, a przy okazji dwóch cali wzrostu.

Justin poczuł się od razu zwalistym, groźnym olbrzymem. Mógł skrzywdzić to maleństwo! Zwłaszcza że Evie była dziewicą, a on prezentował się okazale pod każdym względem. Kiedy tak stał, bijąc się z myślami, Evie schwyciła go za koszulę.

- Kolej na ciebie!

Zaczęła się mocować z jego guzikami.

Zaskoczony i zachwycony Justin pozbył się żakietu i jednym szarpnięciem rozwiązał problem guzików od koszuli. Obie części garderoby wylądowały na podłodze, on zaś stał bez ruchu, niepewny reakcji Evie. Wiedział, że jest fizycznie sprawny, ale nigdy się nad tym nie zastanawiał, podobnie jak nad swoim wyglądem. Teraz jednak zaniepokoił się. Co ujrzy w szeroko otwartych oczach Evie - podziw czy lęk? Może wyda się jej niezdarnym wielkoludem?

Kiedy wpatrywała się w niego bez słowa, miał wrażenie, że czeka na jej werdykt przez całą wieczność. Błagał w myśli Evie, by go dotknęła. Jakby w odpowiedzi na jego niewypowiedzianą prośbę, wyciągnęła rękę. Jej palce dotykały niemal jego ciała. *To czekanie mnie zabije!* - pomyślał.

- Ostrożnie! - rzucił szorstko.

- Nie chcę być ostrożna!

- Czy musisz się o wszystko wykłó... O Boże...

Evelyn dotknę

Porwał ją w ramiona i rzucił na łóżko. Położył się obok niej i całował zaborczo, wdzierając się językiem do gorącego, wilgotnego wnętrza jej ust. W odpowiedzi na jego zgłodniały, natarczywy pomruk Evie otwarła usta szerzej, niemal rozpustnie. Była równie spragniona jak on i zapomniała kompletnie o niedawnych oporach.

Nagle oderwał się od jej ust i dźwignął się na rękach. Spojrzała ku niemu, gdy tak górował nad nią, wparty na drżących ramionach. Światło gazowych lamp lśniło na wspaniale umięśnionej piersi, a zdyszany oddech Justina przypominał sapanie pędzącej lokomotywy.

Zmienił pozycję. Rozchylił kolanem uda Evie i wcisnął się pomiędzy nie biodrami. Zrobił to z całym rozmysłem, śledząc bacznie reakcję dziewczyny. Gdy ciała ich przylgnęły do siebie, zaczął kołysać się rytmicznie, zachęcając ją i wabiąc. Rytm stawał się coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej natarczywe zaczepki trafiały na podatny grunt. Justin był tego świadom, jego czujne oczy zabłysły triumfem. Znowu zaatakował wzgórek Wenery. Rozkoszne doznania stawały się coraz silniejsze. Myśli Evelyn rozpierzchły się, ale jej zmysły niebywale się wyostrzyły.

Uchwyciła się

Evelyn wiedziała, co ją czeka - z opowieści Merry i potajemnych szeptów innych dziewcząt - ale nie była przygotowana na to... rozpychanie się w niej! Justin wtargnął do jej wnętrza, nie mógł się tam pomieścić, sprawiał jej ból!

Zapomniała o poprzednich rozkosznych doznaniach. Instynktownie próbowała się uwolnić od niego, odepchnąć z całej siły rękoma od jego brzucha, zaprzeć kolanami w materac, wyprostować się - i w swej nieświadomości sprawiła, że wniknął w nią jeszcze głębiej.

- Boże miłosierny! - wyrwało się Justinowi.

Zacisnął powieki, jakby zmagał się z ciężarem ponad siły. Żyły na jego szyi rozdęły się. Schwycił Evelyn za ramiona, pociągnął w dół i przycisnął do siebie.

- Zaczekaj! Nie ruszaj się! Evie, na miłość boską, leż spokojnie! Jeszcze tylko chwilka... Błagam cię!

Całe jego ciało trzęsło się jak w febrze, ale myślał przede wszystkim o Evie. Wodził delikatnie ustami po jej skroni, potem łagodnie zaczął masować jej plecy.

- Zaufaj mi, proszę...

Zaufała mu i powolutku zaczęła się odprężać. Ból niebawem ustą

się taka rozkoszna! Radowała się, widząc swą pierś w jego dłoni, cieszyło ją, gdy brał sutek do ust, a kiedy ssał... To było wprost nie do opisania!

Justin pochylił się nad drugą piersią, a Evie uniosła się znowu, zawierzając mu powtórnie całe swe ciało.

Tym razem nie czuła bólu, lecz dziwną, graniczącą z bólem rozkosz.

Justin wiedział, że rośnie w niej podniecenie. Aksamitne, wilgotne ciało zacisnęło się wokół niego, plecy Evie wygięły się w łuk. Objął mocno jej biodra i przetoczył się wraz z nią tak, że Evie znalazła się pod nim. Zanurzył się głęboko, podejmując rytm znany od początku świata. Zamknął oczy i zatracił się w rosnącej wciąż namiętności. Każdy jego ruch zwiększał rozkosz do niewiarygodnych granic. Każdy ruch był próbą wytrzymałości i opanowania.

Evie przywarła do niego, rozgorączkowana i wilgotna od jego pocałunków. Na jedwabistej skórze lśniły drobniutkie kropelki potu. Gdy ciało Justina wyrwało się spod kontroli i zadygotało innym, bardziej gwałtownym rytmem, powitała radosnym krzykiem te drapieżne zaloty.

Czarne jak atrament włosy rozsypane na białej pościeli, pierś różowa od szorstkich pieszczot i natarczywych pocałunków. Oczy zamknięte, głowa odrzucona do tyłu w miłosnym zapamiętaniu... Justin nigdy nie widział czegoś równie pięknego i równie podniecającego.

Otworzyła się przed nim. Dla niego. Wtargnął w nią z dziką namiętnością, nie odrywając się ani na chwilę od jej ust, miażdżąc je pocałunkami. Nagle całe jej ciało sprężyło się, zacisnęło wokół niego, wstrząsnął nim dreszcz. Rozkosz graniczyła z bólem. Osiągając szczyt, Evelyn wydała tylko jeden, przeciągły krzyk. Była to triumfalna pieśń spełnienia.

I tym pokonała go ostatecznie. Nieodwołalnie. Raz na zawsze. Zjednoczył się z nią, pogrążył się w niej - czuł, że porywa go wir płynnego ognia. I nagle cały świat eksplodował.

Justin włożył spodnie, wstał, zapiął je i rozejrzał się za koszulą. Oddalił się od łóżka i znalazł zgubę tam, gdzie ją przedtem rzucił. Podniósł koszulę z podłogi, włożył - i dopiero wówczas pozwolił sobie spojrzeć na Evie. Leżała rozciągnięta na łóżku, wyczerpana i zaspokojona.

Odwrócił się, ale jego myśli nadal krążyły wokół niej. Jaka byłaby reakcja Evie, gdyby się zorientowała, że całe jego życie opiera się na kłamstwie? Nigdy nie przypuszczał, że miłość może stać się dla niego racją bytu, a bliskość ukochanej rękojmią szczęścia. Uważał niepohamowane porywy serca za

niegodne Anglika. Ba, w ogóle powątpiewał w szczerość podobnych deklaracji! A teraz?...

Teraz nie mógł sobie wyobrazić życia bez miłości. Bez Evie. Choćby już jutro odeszła od niego, przez resztę swych dni wytężałby słuch, łudząc się, że usłyszy jej lekkie kroki, jej chłodne, rzeczowe wypowiedzi, jej spontaniczny, zaraźliwy śmiech. Czym byłoby życie bez Evie? Jak w ogóle mógłby bez niej żyć?!

Wolał się nad tym nie zastanawiać.

Poczuł w piersi nieznany dotąd skurcz trwogi. Zamarł w bezruchu. Dopiero pogodne dźwięki wybijającego właśnie godzinę zegara na kominku wyrwały Justina z letargu. Z pomrukiem zniecierpliwienia zapiął resztę guzików przy koszuli i wepchnął ją w spodnie. Nim zacznie myśleć o przyszłości, trzeba skończyć z przeszłością. Musi wykonać powierzone mu zadanie według obowiązujących reguł - dyskretnie, anonimowo, jak przystało na rasowego szpiega! I dopiero potem złoży na ręce Bernarda swoją rezygnację. Po wielu latach niezawodnej służby.

Tam do licha! - pomyślał w przypływie czarnego humoru. Kto wie, może obdarzą mnie na pożegnanie tytułem szlacheckim?! Ciekawe, co by na to powiedziała Evie?... Po namyśle doszedł do wniosku, że niewiele by ją to obeszło. Żałował jednak, że nie ma jej do zaofiarowania nic oprócz notatnika z pseudonaukowymi obserwacjami na temat ptaków i garstki talentów nieprzydatnych w zwykłym, uczciwym życiu. Trochę żal, że się zmarnują, ale... Nie mógł przecież skazywać Evie na wieczne czekanie, na ciągłą niepewność, gdzie jest, co robi i kiedy wróci!

*Chcę się ożenić z Evie!* - powiedział sobie w duchu. Czekał, czy nie odezwie się w nim niepokój, by zamącić jego szczęście. Ale umocnił się tylko w swym postanowieniu. Nie mógł się wprost doczekać, kiedy klamka zapadnie.

Zaprzątnięty takimi myślami podszedł do skrzyni. Zamierzał usunąć stąd diabelską machinę, nim zjawią się inni zainteresowani. Gazowe kinkiety nadal płonęły na ścianach pokoju, zza okna dobiegł pierwszy trel rannego ptaszka, który wyprzedził jutrzenkę. Justin ostrzem scyzoryka podważył drewniane wieko mniejszej skrzynki. Zdążył je już wcześniej obluzować, wystarczy jedno pchnięcie i... Dostrzegł metaliczny błysk. Coś się zaklinowało między ściankami zewnętrznej i wewnętrznej skrzyni. Wyciągnął rękę i poczuł pod palcami gładką powierzchnię metalu. Tajemniczy obiekt nie poddał się od razu, ale zdołał go wydobyć. Był to niewielki metalowy łom do otwierania skrzyń.

Justin wpatrywał się w znalezisko. Ktoś go uprzedził! Otworzył pierwszą skrzynię i wiedział już, co zawiera. Coś go jednak powstrzymało od otwarcia drugiej skrzynki - być może ta sama obawa, którą i on żywił - lęk przed uszkodzeniem cennej zawartości. Na myśl o konsekwencjach poczuł suchość w gardle. Naparł na wieko, szarpnął... i zostało mu w ręku.

Utkwił wzrok w mrocznym wnętrzu skrzynki.

Wpatrywał się w nie nadal, gdy dotarł do niego szelest pościeli. Evie się obudziła.

Evelyn przewróciła się na drugi bok. Mięśnie, których nigdy nie używała, o których istnieniu w ogóle nie wiedziała, gwałtownie zaprotestowały. Evie skrzywiła się - jaka szkoda, że coś tak cudownego jak miłość powoduje takie niemiłe skutki! Ale, oczywiście, gdzie grzech, tam i kara.

O nie! Nie będzie myśleć o tym w ten sposób! Nie żałuje tego, co zrobiła. Ani trochę! To było cudowne, po prostu cudowne! I takie naturalne! No, może troszkę grzeszne, ale równocześnie urocze. Coś jak pląsy rozbrykanych aniołków!

Wyciągnęła rękę i namacała jeszcze ciepłe zagłębienie w pościeli - niedawno leżał tu Justin. Ogarnął ją nagły niepokój. Gdzież on się podział?! Wyślizgnął się ukradkiem z jej pokoju, jak niegdyś z sypialni pani Underhill?

Otworzyła szeroko oczy i od razu go zobaczyła. Był już ubrany. Pochylał się nad skrzynią, którą dostarczono z Londynu. Evie odprężyła się, a równocześnie serce zabiło jej mocniej na widok jego niesfornych, opadających na kark włosów, szerokich ramion, rozsadzających niemal koszulę, opalonych rąk, niesamowicie ciemnych w zestawieniu z białymi rękawami, podwiniętymi, oczywiście, do łokci.

Justin - zupełnie jakby wyczuł jej spojrzenie - wyprostował się i odwrócił do niej. Szarawe, zimne światło wczesnego poranka oświetlało jego twarz. Wyglądał tak, że uśmiech, którym Evie chciała powitać kochanka, zadrżał na jej ustach. Oczy Justina były mroczne, usta mocno zaciśnięte.

- Evelyn...

Nie „Evie"?

- Evelyn - powtórzył - musisz już wstać. Pora na poważną rozmowę.

Zabrzmiało to tak posępnie, że marzenia Evelyn rozpadły się w proch.

Zawstydziła się nagle swej nagości i aż po szyję owinęła się prześcieradłem z cienkiej bawełny.

Zbliżył się do niej ze spuszczoną głową, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. W niczym nie przypominał dawnego Justina, którego tak dobrze znała, a może tylko się łudziła, że zna? W tej chwili najbardziej przerażała ją myśl, że dzieliła te zdumiewające, niepowtarzalne doznania, które odmieniły ją i całe jej życie, z kimś zupełnie obcym.

Evie nie była dzieckiem. Zawsze starała się być szczera, nie miała skłonności do okłamywania samej siebie. Dzięki temu kontakt z realiami życia nie był dla niej takim szokiem jak dla innych. Uniknęła też wielu zasadzek. A jakie były owe realia życia? Bardzo proste - w lustrze każdy może zobaczyć, jaki jest; przyszłość człowieka zależnajest od jego przeszłości; uwodziciel zawsze będzie bałamucił kobiety, bo to leży w jego naturze,

Justin spojrzał wreszcie na nią.

- Musisz mnie wysłuchać, Evelyn - powiedział z przejęciem. - Musisz mnie zrozumieć!

Skinęła głową w obawie, że głos odmówi jej posłuszeństwa.

- Chodzi o tę przesyłkę. - Nie odrywając oczu od Evelyn, ruchem głowy wskazał drewnianą skrzynię. - Czekałem na nią od dłuższego czasu.

Evie spodziewała się różnych rzeczy, ale z pewnością nie tego! Odwróciła się nerwowo i spojrzała w osłupieniu na drewnianą skrzynię za plecami Justina. Ktoś ją otworzył i oparł zdjęte wieko o boczną ściankę.

- Nie rozumiem...

- To ja miałem ją odebrać. Ale ty dopadłaś jej przede mną.

- O czym ty mówisz?!

- O skrzyni!

W jego głosie było tyle złości, że Evie aż się cofnęła. Justin zauważył to i zacisnął zęby.

- Jestem szpiegiem, Evelyn - powiedział. Zastygła w osłupieniu. - Na usługach brytyjskiego rządu - dodał cierpkim tonem. - Powierzono mi opiekę nad pewnym przedmiotem. Bardzo ważnym wynalazkiem, który jeden z

naszych agentów odebrał naszym przeciwnikom i miał przesłać do Anglii. A konkretnie tutaj.

- Co takiego?!

Błyskawicznie przyciągnął ją do siebie.

- Cicho!

Serce tłukło mu się w piersi. Evelyn zorientowała się, że mimo pozornego chłodu Justin zmaga się z gwałtownymi uczuciami.

- Powiedziano mi, że nie tylko nasz rząd jest zainteresowany tą przesyłką. Co więcej, zostałem poinformowany, że agenci państwa, w którym... zarekwirowaliśmy ten wynalazek, przeszukują wszystkie porty, by go za wszelką cenę odzyskać. Moi zwierzchnicy polecili mi opracować plan pozwalający utrzymać sprawę w tajemnicy i utrudnić wrogom odnalezienie punktu odbioru. Tak czy inaczej, przesyłka powinna trafić na wieś, w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie nasz ekspert mógłby zbadać jej zawartość, nie budząc niczyich podejrzeń. Miejsce, o którym „prawowici posiadacze" wynalazku nie mieliby pojęcia.

- A potem?

- A potem miałem zniszczyć prototyp.

Dreszcz strachu przebiegł po plecach Evelyn. Pozornie błahe wydarzenia i scenki, strzępki rozmów, pochwycone przypadkiem spojrzenie czy grymas, do których nie przywiązywała dotąd żadnej wagi, wracały jej na pamięć, nabierając nowego, groźnego znaczenia. Wyrwała się z objęć Justina.

- Beverly ci pomaga?

- Tak.

- Mnie też w to wplątaliście, prawda? - spojrzała mu prosto w oczy.

Nie mógł temu zaprzeczyć. Nie mógł tego usprawiedliwić. Wykorzystał jej przygotowania do weselnego prz(e)-0.6952.85658(ł)-4.21119(y)125orego Tdł[(t)4.34168

- Moi zwierzchnicy zażądali, bym obmyślił sposób na odebranie przesyłki, tak by nie zwróciło to niczyjej uwagi, i w miejscu, które nikomu nie kojarzyłoby się z podobną akcją. I wówczas zjawiłaś się ty z ambitnymi planami reinebaro1 Tf 146(o)-4.557719(a)7.85442(b)-4.5577816 kóa15y

górujemy moralnie nad resztą świata i nigdy nie zniżylibyśmy się do takich metod.

- Ach, tak?... Więc mieliście przemycić skradziony łup cichaczem do Anglii? - powiedziała bez ogródek.

- Tak - odparł. - Tylko że nastąpił przeciek. Ktoś się wygadał o tajnej przesyłce.

Twarz mu pociemniała. Nie był to nagły poryw gniewu, lecz przykry rezultat logicznego wnioskowania.

- Pamiętasz ten wieczór, gdy zasnęłaś w saloniku naprzeciw biblioteki, a ja goniłem włamywacza? - spytał. - To na nim tak zależało moim szefom, że zrobili ze mnie przynętę.

- Co takiego?!

- Niestety, nie złapałem drania - mówił dalej, jakby nie słyszał jej zdumionego okrzyku. - Wymknął się i nawet nie zobaczyłem jego buźki! Ale zdążyłem mu przyłożyć, więc po całych dniach szukałem faceta z posiniaczoną twarzą. Żadna przyjemność, możesz mi wierzyć. A siniaki, jak to siniaki - do tej pory zdążyły zblednąć.

- Ale powiedziałeś, że zrobili z ciebie przynętę? Co to miało znaczyć? - nie dawała za wygraną Evelyn.

- Spójrz!

Wskazał jej otwartą skrzynkę.

Posłuchała go, aczkolwiek niechętnie, i zajrzała do środka. Wewnątrz pierwszej skrzyni znajdowała się druga, mniejsza. Również otwarta… i kompletnie pusta.

Justin niemal widział kółka i trybiki poruszające się gładko i z zawrotną szybkością za zmarszczonym czołem Evelyn. Z pewnością o wiele sprawniej niż on oceniała wszelkie implikacje i konsekwencje najnowszego odkrycia. Ta dziewczyna zdumiewała go! Każda inna na jej miejscu, całkiem słusznie, zrobiłaby mu piekielną awanturę. Od samego początku wykorzystywał ją, z zimną krwią i bez skrupułów. I w końcu, gdy była całkowicie bezbronna, pozbawił ją dziewictwa. A Evie, zamiast się pieklić, słucha go i rozważa jego słowa!

Ten nagły przypływ skruchy nie przyniósł Justinowi ulgi, lecz napełnił go obrzydzeniem do samego siebie. Czemu, u diabła, nie doznał tego olśnienia pięć godzin wcześniej?! Ano, dlatego że przed pięcioma godzinami trzymał w ramionach Evie i upajał się rozkoszą.

- A więc stałeś się przynętą... - Chłodny, rzeczowy ton jej głosu przywrócił Justina do rzeczywistości. - Przez swoich zwierzchników?

*Bystra, sprytna sówka!*

- Też tak sądzę.

- Ale dlaczego? I czemu cię nie uprzedzili? Nie ostrzegli, żebyś miał się na baczności?

Uśmiechnął się niewesoło.

- Nikt nie uprzedza przynęty, że czeka ją trudne zadanie. Wystarczy, że nią jest. A zwierz, na którego moi zwierzchnicy polują, zwietrzy ją od razu. I o to właśnie im chodziło. Dopiero gdy przyjmiemy to założenie, wszystko staje się jasne. Ta pusta skrzynka i ja to wabik na wrogiego agenta. Właśnie dlatego Bernard mnie nie uprzedził. A poza tym - uśmiech Justina przerodził się w lodowaty grymas - dobrze wiedział, że nigdy bym cię nie naraził na takie niebezpieczeństwo!

- Tylko na inne? - odcięła się Evie i oblała gorącym rumieńcem.

- W pierwotnym układzie nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo - odparł posępnie. Nerw w policzku zaczął mu drgać. - Po co ktoś miałby na ciebie nastawać, u licha?! Nawet gdyby jakiś obcy agent dowiedział się o przesyłce i zjawił się tutaj, to miał przecież kraść, a nie mordować…

Urwał nagle. Przymknął oczy. Zacisnął zęby i wziął głęboki oddech.

- Myślisz, że nie wiem, ile biedy napytałem, obmyślając ten genialny plan?! Na jakie niebezpieczeństwo cię naraziłem? Że popełniłem niewybaczalny błąd? Ja to wiem, rozumiesz? Ja to wiem!

Uniosła dumnie głowę.

- Cóż za ironia losu! Twoi zwierzchnicy wykorzystali ciebie tak samo jak ty mnie. Dla ciebie to przynajmniej nowe przeżycie - znalazłeś się nagle po przeciwnej stronie równania!

Justin nie czuł się już zobowiązany do zachowania milczenia. Żeby Evie mogła wyjść cało z tej opresji - a musi wyjść cało - powinna dowiedzieć się o wszystkim. Nic poza tym nie miało już dla niego znaczenia.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale zawsze postępowałem honorowo, Evie! Przynajmniej na tyle, na ile pozwalały okoliczności.

- Cóż za ogromna pociecha dla tych, których wykorzystałeś! Od razu poczułam się lepiej. A pan Underhill musiał odczuwać prawdziwą dumę - mówiła zimnym, ostrym głosem - na myśl, że przyprawił mu rogi ktoś hołdujący tak szczytnym ideałom... o ile mu na to pozwalają okoliczności.

Justin gwałtownie poczerwieniał. Ponieważ nie był skłonny do kajania się za winy, pełne potępienia słowa Evelyn wzbudziły w nim gniew. Zwłaszcza że nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

- Co to ma znaczyć? Jaki znów pan Under...?!

Oczy Evie najpierw rozszerzyły się ze zdumienia, potem rozbłysły oburzeniem.

- Tak wiele miałeś przygód, że już nawet nie pamiętasz nazwisk mężczyzn, z których żonami... - Nie skończyła zdania. - Wyjaśnij mi, jak w takich okolicznościach demonstrujesz swą honorową postawę? Dziarsko salutujesz i szepczesz „Za Boga i ojczyznę!", nim wskoczysz do kolejnego łóżka?!

Zaczęła gwałtownie mrugać oczami, a potem zasłoniła je ręką.

Justin spoglądał na nią w osłupieniu. Był przecież szpiegiem, nie jakimś przeklętym rozpustnikiem. Powinna już to wiedzieć, do wszystkich diabłów!

- A pan Underhill - dodała, pociągając głośno noskiem - jeśli cię to interesuje, jest mężem damy, z której sypialni wymykałeś się dziesięć lat temu, kiedy cię przyłapałam na gorącym uczynku!

Miał już tego dość! Od dawna przestało go bawić nieporozumienie, skutkiem którego Evie uznała go za „pożeracza serc".

- Nigdy mnie nic nie łączyło z panią Underhill - oświadczył. - Ułożyłaś sobie bajeczkę na podstawie pewnego wydarzenia z dzieciństwa, które sobie całkiem opacznie wytłumaczyłaś. I przypięłaś mi etykietkę, na którą sobie niczym nie zasłużyłem. Pani Underhill odgrywała rolę kuriera, przewożąc szczególnie ważne informacje. Udałem się do jej pokoju, żeby je odebrać. Ot, i cała prawda! - podsumował.

Ciemne oczy Evelyn zwęziły się.

- Biorąc pod uwagę, jak często mijasz się z prawdą, chyba nie sądzisz, że uwierzę ci na słowo?

Niech to szlag! Miała słuszność. Całe jego życie było jednym wielkim kłamstwem. Stał z rękoma zwieszonymi po bokach, zaciskając i rozwierając pięści. Wiedział, że wszystko, co powie, zostanie wykorzystane przeciw niemu. Nie powiedział więc nic.

Z wyniosłą miną Evie przerzuciła sobie przez ramię róg prześcieradła. Zdumiewające, że ktoś może wyglądać idiotycznie, a zarazem niesłychanie pociągająco!...

- Lepiej, żebyś sobie poszedł.

- Nie!

Otworzyła usta ze zdumienia, ale natychmiast je zamknęła.

- Słucham?!

- Nie mogę jeszcze stąd wyjść. Trzeba najpierw coś z tym zrobić. Nadal niczego nie rozumiesz, Evie! Powiem ci coś więcej. Zanim tu wszedłem, ktoś otworzył większą skrzynię. Z pewnością zrobił to człowiek, na którego polują moi zwierzchnicy. Jest więc w tym domu, może w charakterze gościa, może w roli służącego. I wie, że skrzynia znajduje się u ciebie.

Coś w tonie głosu Justina uświadomiło jej powagę sytuacji. Zdławiła w sobie gniew i ból. Słuchała uważnie, gdyż nagle ogarnął ją strach, a instynkt

- Zależy mu i na skrzynce, i na zdemaskowaniu szpiega... A podejrzewa, że możesz nim być ty.

Justin spojrzał na nią niemal z litością.

- Nie gap się na mnie w taki sposób! - zaprotestowała gwałtownie. - Z pewnością zachowałabym zimną krew, gdybym była szpiegiem jak ty. Ale nie jestem!

Zesztywniał nagle.

- Możesz być pewna, że nie zamierzam stać z założonymi rękami! Jesteś najbardziej inteligentna i przedsiębiorcza ze wszystkich kobiet, jakie znam. Więc może, zamiast obwiniać mnie o wszystko, zrobisz użytek ze swoich talentów i pomożesz mi? Wspólnie rozwikłamy tę zagadkę i wydobędziemy się z matni.

Uświadomiła sobie, że Justin jest równie zagrożony jak ona. Ta świadomość pomogła jej zwalczyć ogarniający ją strach. Justin docenił jej doświadczenie, pomysłowość i konsekwencję. Zwrócił się do niej o pomoc. Nie mogła mu odmówić!

Odetchnęła głęboko.

- W porządku! Nie możemy po prostu przybić wieka do mniejszej skrzynki i zostawić wszystkiego na łasce boskiej. Musimy założyć, że nasz przeciwnik wie, że jesteśmy tu, razem z przesyłką. Jeżeli uzyska dostęp do niej, otworzy wewnętrzną skrzynkę i zobaczy, że jest pusta, z pewnością uzna, że zostawiliśmy ją umyślnie, żeby go zmylić, a jej zawartość znajduje się już w naszych rękach.

Krążyła niespokojnie po pokoju. Myśli kłębiły się jej w głowie.

- Musimy odkryć, kim on jest!... Ale jak?...

- Powinniśmy oprzeć się na logicznych założeniach - odparł Justin. - Po pierwsze: wiedział, gdzie ustawiono skrzynie przywiezione ze stacji przez Blumfielda. Orientował się, że inne dotychczasowe przesyłki zawierają wyłącznie przedmioty czy produkty niezbędne do przygotowania bankietu weselnego i zapewnienia wygód gościom. A zatem nasz szpieg albo sam przebywa w North Cross Abbey lub ma tu wolny wstęp, albo też ktoś ze służby czy robotników donosi mu o wszystkim.

Evelyn opadła na łóżko i zapatrzyła się w przestrzeń.

- Ktoś z domowników? Ze służby?

- Kimkolwiek jest, bez wątpienia bacznie obserwuje wszystko, co dzieje się w tym domu - mówił dalej Justin. - Jutro mamy uroczystości weselne. Nasz szpieg liczy na to, że spróbujesz wywieźć skrzynkę, korzystając z ogólnego zamieszania. To rzeczywiście byłby odpowiedni moment.

- Masz już jakiś plan? - domyśliła się.

- Tak. Nie sprawimy mu zawodu! Jutro wymknę się podczas ceremonii ślubnej. Miejmy nadzieję, że mając przede wszystkim ciebie na oku, nie od razu się zorientuje, iż zniknąłem mu z pola widzenia. Potem straci trochę czasu, nim mnie dogoni... A kiedy mu się to uda, przekona się, że wiozę skrzynię... pełną cegieł.

- Ale czy on... - zaczęła Evie i nagle twarz się jej rozjaśniła. - Rozumiem! Pomyśli, że to manewr mylący i że ktoś inny zwiał z zawartością skrzyni! Może ja?

- Nie! - zagrzmiał Justin. *Boże święty, ta kobieta robi co może, żeby porządnie oberwać!* - Beverly pojedzie w przeciwnym kierunku.

Przez chwilę obawiał się, że Evie zacznie się wykłócać o swoje prawa, ale ostatecznie westchnęła z rezygnacją.

- Prawda, mam ważniejsze sprawy na głowie. Zobowiązania wobec pani Vandervoort, rozumiesz...

Tłumaczyła się przed Justinem, jakby jej zarzucał, że nie docenia proponowanej jej roli przynęty. Sam już nie wiedział, czego bardziej pragnie - potrząsnąć nią tak, żeby wszystkie zęby jej zadzwoniły, czy zacałować na śmierć?...

- To znakomity plan! - przyznała.

Zorientował się, że spadł jej kamień z serca. Oczywiście nie poinformował jej, że według wszelkiego prawdopodobieństwa ścigający go mężczyzna przy okazji postara się go zabić.

Jeśli agencja wywiadowcza zadała sobie tyle trudu, by unieszkodliwić tego szpiega, musiał to być ktoś wyjątkowo ważny i zajmujący wysoką pozycję. Ktoś taki nie cofnie się przed niczym, by uniknąć zdemaskowania. Co mu tam jedno morderstwo?

- Oczywiście - powiedział - możemy również liczyć na pomoc z innej strony.

- Jak to? O! To takie proste, że też sama na to nie wpadłam! - zapiała z zachwytu Evie. - Jeśli ty wraz ze skrzynką stanowisz przynętę, to musi być ktoś, kto go schwyta w pułapkę!

- Właśnie - odparł Justin. - Nie przygotowaliby wszystkiego z góry, gdyby nie liczyli na kogoś, kto zabierze się do tego agenta, jak tylko zdradzi swą obecność. Nie mam pojęcia, kto to taki. Ale z pewnością as! Może nawet lepszy ode mnie.

- Naprawdę nie wiesz, kto to jest? - spytała.

Wyraźnie odprężyła się i usiadła po turecku.

- Naprawdę - potwierdził.

Atmosfera między nami wyraźnie się ociepliła. Zamiast lodowatej wrogości letnie podmuchy odprężenia, pomyślał cierpko. Przynajmniej jeśli chodzi o Evie. Temperatury jego uczuć nikt nie uznałby za letnią. Miotały nim na przemian to wyrzuty sumienia, to namiętność. Krew w nim kipiała na widok gładkiej skóry Evelyn, skąpanej w jasnym świetle poranka, ale na myśl o niebezpieczeństwie, na jakie ją naraził, ścinała mu się lodem w żyłach.

- Hm - zastanawiała się Evie, stukając palcem o dolną wargę. - Jakby się tego dowiedzieć?

- Przypuszczam, że moi zwierzchnicy nie życzą sobie, bym to odkrył. Inaczej już by mnie poinformowali. Ale jeśli nasz nieznany rodak rozszyfruje wrogiego agenta, należy się spodziewać, że podejmie odpowiednie działania.

Bardzo mu było trudno skupić się na temacie. Evelyn przechyliła głowę na bok, oparła się na łokciu i zatonęła w myślach.

- Pora wynieść się stąd - stwierdził.

Zerknęła na niego.

- A co ze skrzynią?

- Najlepiej postawić ją gdzieś na widoku. Przybiję oczywiście oba wieka, a potem zadzwonimy na Beverly'ego, żeby ją zniósł...

- …do oranżerii! - wpadła mu w słowo Evie. - Tam przechowujemy wszystkie prezenty ślubne, które tu napływają. Możemy nawet postawić tam dwóch wartowników pod pretekstem, że na te skarby mógłby się połaszczyć ktoś ze służby lub robotników.

- Doskonale! - Justin spojrzał na nią z aprobatą. - Nasz nieznany napastnik z pewnością chce zachować incognito. Nie będzie się narażał na takie ryzyko.

- Naprawdę?

Evie była wyraźnie rozczarowana. To go zaniepokoiło. Masz ci los, zakochał się w poszukiwaczce silnych wrażeń! Dreszcz mu przeleciał po plecach. Przybił wieko mniejszej skrzynki, używając przycisku do papieru w charakterze młotka. Potem szybko zamknął w analogiczny sposób zewnętrzną skrzynię. Trzeba czym prędzej wynieść się stąd, nim Evie w jakiś inny sposób wplącze się w tę kabałę!

Chwycił żakiet i skierował się ku drzwiom.

- Jesteś pewien, że na nic się już nie przydam?

- Na nic!

Otworzył z rozmachem drzwi. I stanął oko w oko z matką Evie.

- Lady Broughton! - wykrzyknął Justin.

Evie, która miała właśnie wstać, znieruchomiała.

- Co za niespodzianka! Kiedy droga pani do nas zawitała? Pani córka nic mi nie wspomniała, że należy pani do zaproszonych gości! Jakże się cieszę! - paplał Justin tonem radosnego zdumienia.

Evelyn uderzyła łatwość, z jaką przeistoczył się ze skupionego na swym zadaniu szpiega w sympatycznego roztrzepańca.

Wkrótce prócz niechętnego podziwu poczuła szczerą wdzięczność. Justin stał w uchylonych drzwiach, z ręką na klamce, blokując wejście do jej pokoju. Dzięki niemu miała trochę czasu, by się ogarnąć!

Wygramoliła się z łóżka, poprawiła pościel, zgarnęła z podłogi porozrzucane części garderoby i znikła za parawanem. Odłożyła suknię i chwyciwszy koszulkę wciągnęła ją przez głowę. Przez cały czas nadstawiała uszu, by usłyszeć, o czym mówią tamci.

- Evelyn nie wiedziała, że zostałam zaproszona - doleciał z korytarza głos matki. - Pani Vandervoort przekonała mnie, że będzie to dla niej przemiła niespodzianka. Gdzie jest moja córka?

- Evie? - usłyszała odpowiedź Justina; wkładała właśnie halkę. - W swoim pokoju, oczywiście!

Sięgając po kaftanik, Evelyn zerknęła znad parawanu w stronę drzwi. Justin niedbale opierał się o nie ramieniem, nadal zasłaniając przed markizą wnętrze pokoju. Najwyraźniej szykował się do długiej, miłej pogawędki na korytarzu.

No, no! Jak on to świetnie robi! Każdy by pomyślał, że to skończone niewiniątko... albo najbezczelniejszy oszust pod słońcem. Ale tylko ona wiedziała, że drugi domysł był znacznie bliższy prawdy.

- Biedactwo! - Justin zniżył nieco głos. - Chyba się zdrzemnęła. Grzech byłby ją budzić, przez całą noc dopinała wszystko na ostatni guzik przed zbliżającym się wielkimi krokami weselem! Będzie pani z niej dumna, markizo, gdy zobaczy pani, jakich cudów dokonała!

- Jestem zawsze dumna z mojej córki - odparła lady Broughton tak chłodno i sztywno, że Evie wprost jej nie poznawała.

W szaleńczym pośpiechu rozglądała się za spódnicą z ciemnoniebieskiej serży... A, jest!... Rzuciła się na nią, rozpięła i wciągnęła przez biodra.

- Wcale mnie to nie dziwi, lady Broughton - powiedział Justin z całą powagą. - To niezwykła dziewczyna!

Evelyn odgarnęła włosy z twarzy, zwinęła je w ciasny kok i przytrzymała grzebykiem.

- Panie Powell - powiedziała z namysłem Francesca. - Mogę zrozumieć, czemu Evelyn nie spała całą noc, ale przyznam, że jestem zaskoczona pańską obecnością tu i o tej porze.

Łatwo było domyślić się ukrytej treści jej wypowiedzi. Evelyn wstrzymała dech.

- Ja?... No, cóż... Obserwowałem nocne ptaki. Noc była jak wymarzona, księżycowa i bezwietrzna.

- Zapomniałam, że jest pan ekspertem w dziedzinie ornitologii - przyznała po namyśle matka Evelyn.

Justin wzruszył ramionami z niedbałym wdziękiem.

- Daleko mi do eksperta!

- Czyż nie odkrył pan nowego gatunku? Evie coś mi o tym wspomniała.

- Ach, tak! Noctua Summe Formosa. - Justin jak zawsze zrobił w tym miejscu pauzę, po czym dodał: - Parvula.

Francesca milczała przez dłuższą chwilę.

- Minęło już wiele lat od mego pobytu na klasztornej pensji, gdzie uczono mnie łaciny, ale zawsze miałam zdolności do języków. Proszę mnie poprawić, gdybym się myliła, chyba można by to przetłumaczyć jako: „najpiękniejsza sowa"? - Zrobiła pauzę, tak samo jak Justin, i dorzuciła: - „Bardzo mała"?

- Mniej więcej.

Sądząc po głosie, Justin był wyraźnie zbity z tropu.

- A może - mruknęła z pewnym rozbawieniem Francesca - lepiej by to przestawić jako: „najpiękniejsza mała sowa"? Albo, dajmy na to: „prześliczna sówka"?

*Sówka?* Przecież Justin zawsze ją tak nazywał! Evelyn skamieniała w trakcie zapinania spódnicy.

A więc nigdy nie odkrył żadnego ptaka! Zawsze mówił o niej. Czy nie powiedział herr Dekkerowi, że samiczka wpadła mu do pokoju przez okno? Stroił sobie z niej żarty, wstrętny zarozumialec! Pewnie myślał, że jest taki mądry! No, już ona mu…

- O, przepraszam! Rozgadałam się i nie dopuszczam pana do słowa. Miał mi pan właśnie wyjaśnić, co pan robi w pokoju mojej córki podczas jej snu?

Wszelkie pretensje do Justina zostały zapomniane. Evelyn z bijącym sercem czekała na jego odpowiedź.

- A, o to chodzi! - W jego głosie była znów pogodna niefrasobliwość. - Zajrzałem tu o wschodzie słońca. Wracałem właśnie z lasu i dostrzegłem, że u Evie się świeci. Widać było nawet, jak chodzi po pokoju. Więc pomyślałem sobie, że zajrzę i powiem jej „Dzień dobry!" Bardzośmy się zaprzyjaźnili, markizo, pani córka i ja!

- Doprawdy? Jak bardzo?

Evelyn zaparło dech, gdy usłyszała oskarżycielski ton matki. Ale Justin był ulepiony z twardszej gliny. Dałaby głowę, że wyglądał jak uosobienie niewinności.

- Och, na śmierć i życie! - entuzjazmował się Justin. - Wspaniały z niej przyjaciel!

*Nigdy mu już nie uwierzę, fałszywcowi!* - przysięgła sobie Evie.

Wpięła we włosy ostatnią szpilkę. Gotowe! Nic lepszego nie wymyśli. Miała nadzieję, że okaże się choć w połowie tak dobrą aktorką jak Justin. Umościła się na szezlongu, podwijając bose nogi pod siebie, oparła głowę na ramieniu i zawołała zaspanym głosem: *Kogo tak wychwalasz?*

Zauważyła, że mięśnie szerokich ramion i pleców Justina nieco się rozluźniły. Otworzył drzwi na oścież i odsunął się na bok, pozwalając wreszcie jej matce wejść do sypialni. Na koniec odwrócił się do Evelyn i obdarzył ją promiennym uśmiechem.

Siadła prosto.

- Mama? Mamusiu! Skąd się tu wzięłaś?! - zawołała.

Zerwała się na równe nogi i popędziła ku drzwiom. Spotkały się z matką na środku pokoju. Markiza objęła ją czule. Dopiero teraz, w ramionach matki, Evelyn uświadomiła sobie, jak bardzo za nią tęskniła, jak brakowało jej matczynych wskazówek i rad.

Zdumiewające! Od debiutu Verity cała rodzina zwracała się przecież do niej, gdy trzeba było coś zorganizować, załatwić, znaleźć jakieś rozwiązanie... A tu nagle ona sama pragnie matczynej pomocy!

Evelyn poczuła w oczach piekące łzy i przytuliła się mocniej do markizy.

- Co z tobą, kochanie? - zaniepokoiła się matka. - Źle się czujesz?

*Co za głupota!* Evelyn oderwała się od matki i uśmiechnęła promiennie.

- Ależ skąd! - odparła. - Wszystko w porządku! Po prostu nie spodziewałam się ciebie, a kiedy cię zobaczyłam, zrozumiałam, jak bardzo mi ciebie brakowało!

- Brakowało ci mnie? - Francesca zrobiła wielkie oczy. - No cóż, ja też się za tobą stęskniłam - odparła nieco drżącym głosem.

Czyżby nigdy dotąd nie powiedziała mamie, że za nią tęskniła? Niewiarygodne! Wzięła matkę za rękę i podprowadziła do stojącego za biurkiem fotela.

- Siadaj, mamo, i powiedz mi, skąd się tu wzięłaś o tak wczesnej porze? I gdzie jest ojciec?

Francesca roześmiała się.

- W domu i w łóżku, jak sądzę! Nie mógł mi towarzyszyć. Przyjechałam przed chwilą i nie mogłam oprzeć się pokusie. Musiałam zobaczyć cię od razu! Na szczęście, już nie spałaś, a raczej tylko się zdrzemnęłaś, jak mi łaskawie wyjaśnił pan Powell. Strzegł twego wypoczynku jak Cerber Hadesu!

Francesca zerknęła przez ramię na Justina. Stał we drzwiach, uśmiechając się dobrodusznie. *Idiota!* Skoncentrowała znów całą uwagę na Evelyn.

- Pamiętasz, że poznałyśmy się z panią Vandervoort w królestwie ciotki Agathy? Kilka dni później znów doszło do przypadkowego spotkania. I tak się między nami zawiązała przyjaźń. Kiedy zaprosiła nas na swój ślub do North Cross Abbey, przyjęłam zaproszenie z prawdziwą radością.

Evelyn uścisnęła rękę matki.

- Jakże się cieszę!

- Byłabym tu już wczoraj wieczór, ale pociąg się wykoleił. Nie rób takiej przestraszonej minki! Nie nasz, towarowy. Nic się nikomu nie stało, tylko węgiel się rozsypał. Musieliśmy zaczekać, aż tory będą przejezdne.

- Cóż to musiała być za udręka! - wykrzyknęła Evelyn.

- Nic podobnego. Okazało się, że tym samym pociągiem jedzie kilkoro innych gości weselnych. Lord i lady Dalton, państwo Gould-Hedges i lord Stow. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Noc nam szybko minęła na pogawędce i grze w zgadywanki - zakończyła relację markiza.

Evelyn dostrzegła kątem oka, że z twarzy Justina znika niemądry uśmiech. Widocznie coś, co powiedziała jej matka, zaskoczyło go. Cieszę się, że nie przelękłaś się, mamo, ani nie zmęczyłaś.

- Ani trochę! - Francesca pochyliła się, by pocałować córkę w policzek, i niechcący zrzuciła leżący na brzegu biurka stos korespondencji.

Listy i koperty sfrunęły na podłogę.

- Do licha! Ależ ze mnie niezgraba! - wykrzyknęła lady Broughton, schylając się, by podnieść rozsypane listy. Wzięła do ręki jeden, potem drugi… Przy trzecim zmarszczyła czoło. Cmokając językiem, przejrzała je raz jeszcze. - To zdumiewające! - powiedziała.

- Co tak panią zdziwiło, markizo?

Evelyn podniosła oczy i ujrzała stojącego obok nich Justina. Podszedł tak blisko, a ona nawet tego nie zauważyła! Znów miał dobroduszną minę.

- Te listy od Agathy - odparła Francesca. - Ona nie mogła ich napisać!

I znów Justin odezwał się pierwszy:

- Dlaczego pani tak sądzi?

- Bo to niemożliwe - upierała się lady Broughton, potrząsając głową. - Któreś muszą być sfałszowane - albo te, albo tamte, które pisała do mnie!

- Czemu tak sądzisz? - spytała Evelyn.

- Bo te pochodzą z różnych miast, z różnych krajów... a wszystkie do nas zostały wysłane z jednej miejscowości we Francji.

Evelyn wyczuła napięcie Justina.

- Zupełnie tego nie rozumiem! Czemu ktoś miałby bawić się z tobą w korespondencję i w imieniu Agathy przysyłać ci listy z różnych krajów?! - mamrotała w oszołomieniu matka. Podniosła wzrok i roześmiała się. Cóż za absurdalny pomysł! - Musimy chyba zaczekać do powrotu Agathy. Wtedy spytamy ją o to i wszystko się wyjaśni.

Absurdalne przypuszczenia matki nie ubawiły Evie, a sądząc z niebezpiecznych błysków w oczach Justina, jemu również nie wydały się zabawne. Nagle w głowie Evelyn zrodziło się straszne podejrzenie. Jej myśli raptownie poszybowały wstecz. Wszystkie te listy z obcych krajów, pisane nieznaną ręką, które otrzymywała w ciągu ostatnich kilku miesięcy, a potem tajemniczo zaadresowane przesyłki… Jej podejrzenia zmieniły się w pewność.

*Nie tylko Justin został podstawiony na wabia!*

Napotkała jego wzrok i wyczytała w nim ostrzeżenie. Ich myśli biegły jednym torem. Ale dlaczego ona została w to wmieszana?! Na czym miałaby polegać jej rola?

Dodatkowa przynęta…? Jeszcze jeden fałszywy trop…?

Drzwi sypialni otwarły się raptownie i na progu stanęła Merry - zasapana, z ręką przyciśniętą do piersi.

- Vite! Vite! Przyjechała twoja matka! Musisz się pozbyć…

Urwała na widok lady Broughton. Francesca odwróciła się w stronę drzwi w momencie dramatycznego pojawienia się Francuzki i mierzyła teraz zasapaną dziewczynę niezbyt przyjaznym wzrokiem.

- Witaj, Merry! - powiedziała słodko. - Miło mi cię widzieć. Mam nadzieję, że nic ci nie dolega?

Merry rzucała głową we wszystkie strony, oczy jej wychodziły z orbit, jakby miała przed sobą groźnego potwora zamiast łagodnej markizy.

- To dobrze - powiedziała Francesca, jakby otrzymała sensowną odpowiedź. - Ale chyba ci przerwałam? Bardzo jestem ciekawa, czegóż to moja córka powinna się pozbyć?

- O… całego tego bałaganu, oczywiście! - Merry wyszczerzyła zęby w rażąco sztucznym uśmiechu. - Tak! Cest un scandale! - Cmoknęła z niesmakiem.

- O, chyba już zbiera się grupa robocza - odezwał się Justin, starając się zwrócić uwagę Evelyn. - Muszę was pożegnać, drogie panie!

- Naprawdę musisz? - W głosie Evelyn zabrzmiała nutka strachu, który usiłowała zamaskować promiennym uśmiechem.

Markiza zaskoczona tą bezceremonialną uwagą spojrzała na córkę z wyrzutem. Ale Evelyn było już wszystko jedno. Musiała dowiedzieć się, co Justin o tym myśli, poradzić się go, jak ma się zachować. Nie zajmowała się przecież szpiegostwem, tylko organizacją uroczystości ślubnych. To było jego pole działania, nie jej!

- Naprawdę - zapewnił ją Justin. - Pewien jestem, że chcecie sobie porozmawiać w cztery oczy. .2(y)12.5459( )-203.247(o)-03( )-203.240 Tdł( )Tjł/R8 14.04 T

Skoro tylko drzwi sypialni zamknęły się za Justinem, wyraz jego twarzy uległ całkowitej zmianie. Gdy mijał jedną z pokojówek, wystarczyło jedno spojrzenie, by uskoczyła mu z drogi, przyciskając do piersi komplet bielizny pościelowej.

Na końcu długiego korytarza pojawił się zdyszany Beverly.

- Stow! - zawołał. - Stow tu jest, sir!

- Wiem - odparł lakonicznie Justin, nie zwalniając tempa.

Skąd, u diabła, Beverly wiedział, gdzie go szukać? I ta Merry... głowę by dał, że zjawiła się tylko po to, by ostrzec Evie. To jego miała się pozbyć przed przybyciem lady Broughton! Całkiem obiecujący trop. Ruszyłby za nim, gdyby nie miał ważniejszych spraw na głowie!

- W którym pokoju ulokowano Stowa?

- Trzecie drzwi od pana, sir. Ale teraz jest w jadalni. Przygotowano śniadanie dla gości, którzy dopiero co przyjechali. - Kiedy Justin go wyminął, kamerdyner obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i pobiegł za nim. - Dokąd panu tak spieszno, sir?

- Ucałować Bernarda - odparł Justin ponuro. - Zaraz potem muszę pomówić z tobą. Spotkamy się w moim pokoju za trzy kwadranse.

- Tak jest, sir. Ale...

- Za trzy kwadranse - powtórzył Justin i zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, wkroczył do jadalni.

- A, tutaj państwo jesteście! - zatrzymał się na progu i rozejrzał dokoła z nieszczerym entuzjazmem. - Kolejna grupka weselników, nieprawdaż? Znakomicie! Nie, nie, łaskawa pani, proszę sobie nie przeszkadzać! Nie jestem żadną znakomitością, tylko właścicielem tej rudery.

Uśmiechnął się ujmująco do zażywnej brunetki, która siedziała przy stole w towarzystwie dwóch mężczyzn. Na widok wchodzącego Justina znieruchomiała z widelcem w połowie drogi do ust.

Obaj panowie wstali.

- Bardzo mi przyjemnie, panie...

Wy szy z dentelmenów urwa , wyra nie za enowany tym, e nie zna nazwiska cz owieka, pod którego dachem go go

- Powell. Justin Powell. I mnie równie, panie...? - zawiesi g os wyczekuj co.

- Sir Bernard Stow. A to moi przyjaciele, Tom i Ida Gould-Hedges.

- Czuj si zaszczycony. - Justin sk oni si pani Idzie i jej m owi, po czym znowu zwróci si do Bernarda. - Co za szcz liwy traf! W a nie pana szuka em, sir Bernardzie!

- Mnie?

Bernard nie by równie dobrym aktorem jak Justin ego J spojrzenie mówi o wyra nie: „Uwa aj, Jus!"

- Tak, w a nie pana. Zrobi o si jakie zamieszanie i nikt nie umie powiedzie , które baga e nale do pana. Zrzucili wszystko na kup w holu na ty ach domu i pokojówka rozp ywa si we zach, bo nie wie, co zaniedo pa skiego pokoju. Obawia si pope ni omy k , biedactwo, zw aszcza e nigdy dot d nie mia a do czynienia z tak dostojnymi go mi. Jestem pewien, e pa stwo oka wyrozumia o .

- Ale oczywi cie! - popar a go brunetka o agodnej, puco owatej twarzy.

- Móg by pan zej na dó do holu i wyja ni spraw ? Nie zajmie to panu wiele czasu.

- No, wobec tego....Chyba tak...

Bernard zmi serwetk z niezwyk energi i rzuci j na stó obok talerza. Wymamrota co do s siadów i wsta . Bez s owa wyszed na korytarz. Justin umiechn si jeszcze do pa stwa Gould-Hedges i tak e opu ci jadalni , zdecydowanym ruchem zamyka aj za sob drzwi.

Nie patrzy na Bernarda. Nie ufa samemu sobie zreszt nie teraz. Wymin go bez s owa i us ysza , e jego zwierzchnik rusza za nim i przyspiesza kroku, by siz nim zrówna. Nie obejrza si ani nie zwolni . Dopiero gdy znale li si obaj w niewielkiej wnce na ty ach frontowego salonu, odwróci si do Bernarda.

Lodowate spojrzenie Justina zbiło Stowa z tropu. Do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak niebezpiecznym człowiekiem jest podlegający mu współpracownik. To znaczy… były współpracownik. Za ten oburzający wybryk zdegraduje Justina, jak tylko bieżący problem zostanie rozwiązany.

Zanim to jednak nastąpi, Justin będzie mu potrzebny. Bernard zawsze kierował się zdrowym rozsądkiem. Przewyższał pod tym względem nawet Justina! Tylko że Justin nie był wcale taki rozsądny, jak się wydawało… Albo

Bernard zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

Pochwała nie zrobiła większego wrażenia na Justinie. Jego myśli biegły już w innym kierunku.

- Temu miały służyć te wszystkie bajeczki i podwójna gra wobec lojalnych współpracowników! Kazaliście mi pilnować pustego pudełka, bo wiedzieliście, że raczej zginę, niż pozwolę, by mu wpadło w łapy! A gdyby ten wasz wytęskniony as spostrzegł, że wystrychnęliście go na dudka, zaszyłby się w jakiejś kryjówce i szukaj wiatru w polu! Byłem wam potrzebny, żeby bronić jak lew pustej skrzynki i dać wam czas na rozpracowanie tamtego drania. Cóż za rozczulająca wiara we mnie!

Bernard rozsądnie wstrzymał się od komentarzy.

- Masz pojęcie, że ten bydlak bierze Evie za mnie?! Znalazł w jej pokoju skrzynię i zdążył ją nawet otworzyć. Ale go spłoszyłem, zanim dobrał się do tej drugiej.

Bernardowi zaparło dech. Tylko na ułamek sekundy, ale Justin zauważył to i uśmiechnął się wyjątkowo paskudnie.

- Jakim prawem podstawiliście mu Evie na wabia?! Nie zaprzeczaj! Wiem o wszystkim! O tych cholernych listach, którymi ją zasypywaliście! Wszystkie zagraniczne, może nie? I każdy z innego kłębowiska żmij! Komu by nie zaimponowała taka kolekcja znaczków? Ja sam byłem pod wrażeniem! Tylko jak wam się udało... - Przerwał i uśmiechnął się półgębkiem. - Po prostu przejmowaliście prawdziwe listy od tej cholernej ciotki, co? Nie będę pytał, jak wam to uszło na sucho! Dla takich jak ty konszachty z pocztą to kaszka z mleczkiem. Ale po co tyle fatygi, Bernardzie? I dlaczego akurat Evie? Musieliście narażać właśnie ją?!

Bernard ostrożnie strzepnął popiół z papierosa i zwilżył wargi.

- To całkiem proste. Szpieg, którego ścigamy, jest o krok od rozszyfrowania naszego superagenta. Chyba sam jeszcze o tym nie wie. A my wiemy tylko dlatego, że przekazywane przez niego informacje, które udało się nam przechwycić, pokrywają się niemal z tymi, które otrzymujemy od asa naszego wywiadu.

- Co to wszystko ma wspólnego z lady Evelyn?!

- Lady Evelyn obraca się w tych samych kręgach towarzyskich co nasz superagent. Ma dostęp do tych samych domów czy osób. Baczne oko

wyśledziłoby wiele znaczących różnic, ale na krótką metę może być niezwykle użyteczna dla zmylenia przeciwnika. Poza tym, im więcej podłożymy przynęty, tym większe szanse, że zwierzyna wpadnie w sidła.

Rosnące napięcie i czujność Justina wcale się Bernardowi nie podobały.

- Sam mi poddałeś ten pomysł.

- Doprawdy? - spytał słodko Justin.

- A jakże. Kiedy spotkaliśmy się nad Tamizą, wspomniałeś, że ciotka lady Evelyn wyjechała w podróż poślubną za granicę. Wiedziałem, że jej rodzina ma znajomości w kręgach dyplomatycznych i od razu przyszło mi do głowy, jak można by wykorzystać fakt odbierania przez Evelyn Cummings Whyte listów z zagranicy.

- Wykorzystać w celu zmylenia obcego agenta, co? - zauważył Justin. - Mogłeś przynajmniej uprzedzić dziewczynę o grożącym jej niebezpieczeństwie!

- Wykluczone! A nuż by się sprzeciwiła? Takiej szansy nie można było zaprzepaścić! Nie, nie! Tym razem pozostawiliśmy lady Evelyn w błogiej nieświadomości. Następnym razem, oczywiście, wszystko odbędzie się formalnie. Zostanie dokładnie poinformowana o wszelkich aspektach swego zadania.

- Następnym razem?! Po moim trupie!

Zanim Bernard zdążył zareagować, Justin znów omal go nie znokautował. Powstrzymawszy się w ostatniej sekundzie od zadania ciosu, cofnął ramię i wetknął drżącą rękę do kieszeni. Można było poznać po jego twarzy, ile go ta powściągliwość kosztowała.

- Mógłbyś wciągnąć młodą niewinną dziewczynę w to bagno, Bernardzie?! - warknął.

Zbity z tropu Stów zaczął bawić się papierośnicą, chcąc ukryć zdenerwowanie.

- Czemu nie? Nadaje się idealnie do rozsiewania błędnych informacji - stwierdził. - Wygląda na odważną dziewuszkę. Może by jej przypadła do gustu taka patriotyczna przygoda? - Zmierzyli się wzrokiem z Justinem. - Tobie się to spodobało!

- Do jasnej cholery! Nie próbuj skusić Evie tym podłym matactwem!

Bernard zamrugał oczyma, zdumiony i urażony.

- Zawsze przecież może odmówić! Ale właściwie dlaczego? Pasuje nam jak ulał! Ma dojście do właściwych ludzi. Jest wnuczką Lally'ego, zna niejednego ministra, pełno jej w każdym domu, gdzie mają jakąś pannicę na wydaniu…

- Nie będzie się narażać na takie ryzyko - stwierdził Justin spokojnie, ale stanowczo.

- Jakie znów ryzyko?! Nie będzie miała właściwie nic do roboty. Zajrzy tu i tam, zwróci na siebie uwagę, żeby ludzie nie zajmowali się niepotrzebnie czym innym. Od czasu do czasu odbierze jakiś liścik. I tyle.

- Póki będzie w kraju. Ale gdyby wybrała się za granicę i komuś przyszłoby do głowy, aby wykorzystać ją jako zakładniczkę?

Bernard zaciągnął się papierosem i wydmuchnął strużkę dymu.

- Nie dramatyzuj! Dobrze wiesz, że takie przypadki można policzyć na palcach. - Prychnął pogardliwie. - Ile razy sam byłeś zakładnikiem?

- Nigdy. Ale zatrzymywano mnie niejeden raz. Zresztą, nie o to chodzi!

- A o co? - spytał Bernard zły, że rozmowa zeszła na niewłaściwe tory.

- O to, Bernardzie - odparł Justin, wyjmując mu delikatnie papierosa z ręki i rzucając na kamienną podłogę - że ja nie pozwolę narażać jej na takie ryzyko!

Powoli i dokładnie zmiażdżył obcasem tlący się papieros.

Bernard czuł wrogość bijącą od Justina niczym zimno od lodowca. Instynktownie wzdrygnął się, ale zaraz wziął się w garść. Nie wolno zdradzić się przed podwładnym, że w jakiś sposób nad nami góruje. Nie ma nic groźniejszego niż nieobliczalny agent. Justin dobrze o tym wiedział. Wiedział również, że szpiega, który wymknął się spod kontroli, trzeba zgładzić, niczym narowiste zwierzę. Musi być bardzo silnie zaangażowany, jeśli ze względu na lady Evelyn posunął się aż do gróźb.

- Uważaj, Jus! - ostrzegł go.

- Lepiej ty uważaj! - odparował Justin i spojrzał mu prosto w oczy.

Stali tak, mierząc się wzrokiem przez dłuższą chwilę. W końcu Bernard westchnął, jak podstarzały belfer rozczarowany głupotą faworyzowanego dotąd ucznia.

- Zrobimy to, co uznamy za najlepsze. Dobrze o tym wiesz.

- My? - Justin od razu zwrócił uwagę na liczbę mnogą.

- Cóż… nadużyłem królewskiego przywileju. Miałem na myśli po pro¬tu siebie.

Znów sięgnął do kieszeni po papierośnicę, ale się rozmyślił.

- A więc przybywasz tu, by zdemaskować szpiega?

Bernard rozłożył ręce w bezradnym geście i spuścił skromnie oczy.

- A któż by inny? Zjawiłbym się tu jeszcze wczoraj i sam przyłapałbym tego drania włamującego się do pokoju lady Evelyn, ale pociąg się wykoleił. I tym sposobem ta cholerna skrzynia dotarła tu przede mną.

- Jak ci się udało zdobyć zaproszenie?

Bernard czuł się jak na przesłuchaniu i wcale mu to nie odpowiadało.

- Króliczek Cuthbert i ja zasiadamy razem w niejednym komitecie. Nietrudno było wprosić się na wesele. Biedaczysko jest sam jak palec, rozumiesz. Ma tylko tego idiotycznego kundla. Prawdę mówiąc, był wprost uszczęśliwiony, że i on może kogoś dopisać do listy gości!

- No, tak.

Raz jeszcze Bernard odetchnął z ulgą.

- Coś ci powiem, Jus. Spisz się dobrze, nie nawal, a potem zastanowimy się, co dalej. To zbyt ważna sprawa, by ją spaprać tylko dlatego, żeś poczuł miętę do tego bezczelnego chucherka!

Justin nie odpowiedział.

- To najlepsza propozycja, jaką mogę ci zaoferować.

Z nieodgadnionym wyrazem twarzy Justin wstał.

- Wobec tego muszę ją przyjąć najlepiej, jak potrafię. - Zamilkł na chwilę i dodał z gorzkim uśmiechem: - Przypuszczam, że nigdy nie było żadnej diabelskiej machiny?

- Co masz na myśli? Silnik spalinowy? - Bernard parsknął niewesołym śmiechem. - Nie bądź głupi!

Odprowadziwszy matkę do drzwi sypialni, Evelyn uśmiechnęła się i pocałowała ją w policzek.

Za jej plecami Meny krzątała się po pokoju, mamrocząc coś po francusku i konsekwentnie unikając wzroku lady Broughton.

- Naprawdę nic ci nie dolega? - spytała markiza, marszcząc czoło.

- Absolutnie nic! Jestem tylko trochę zmęczona. Ale mam jeszcze tyle do zrobienia, a został już tylko jeden dzień. Za to jak po weselu położę się do łóżka, to prześpię chyba cały miesiąc!

- Musisz być bardzo zmęczona, jeśli zdrzemnęłaś się podczas wizyty pana Powella.

Evelyn modliła się w duchu, by w słabym świetle poranka matka nie dostrzegła jej zdradzieckich rumieńców.

- Rzeczywiście...

Francesca zwróciła się do Merry.

- Moja droga, bądź tak dobra i zajrzyj potem do mego pokoju. Mam wrażenie, że suknia, w której chciałabym wystąpić podczas ceremonii ślubnej, wymaga pewnych poprawek.

- Oczywiście, milady! Jeśli tylko czas pozwoli - zapewniła ją gorliwie Meny. - Ale pani markiza sama widzi, jak sprawy stoją!

Szerokim gestem wskazała zagracony pokój.

W drzwiach pojawiła się pokojówka z naręczem bielizny pościelowej.

- Mam przyjść później, proszę panienki?

- Nie, nie! - zaprzeczyła pospiesznie Evelyn, chcąc jak najprędzej, ale grzecznie, wyprosić matkę z pokoju.

Dziewczyna dygnęła i podeszła do łóżka.

Francesca, której udaremniono wszelkie próby porozmawiania w cztery oczy z córką i z jej przyzwoitką, poddała się w końcu, pocałowała Evelyn w czoło i wyszła, szepnąwszy na odchodnym:

- Wobec tego do zobaczenia, kochanie!

Skoro tylko markiza opuściła pokój, Evelyn przymknęła oczy i przycisnęła palce do skroni. W głowie jej huczało, myśli jej się rwały i targały nią sprzeczne uczucia.

W ciągu dwunastu godzin zdobyła kochanka i odkryła, że ją oszukał. Przekonała się, że tkwi w samym środku międzynarodowej intrygi z winy człowieka, którego uważała za uwodziciela, choć wcale nim nie był.

Gardziła nim. Kochała go. Nie wierzyła mu. Miała do niego bezgraniczne zaufanie. O Boże!...

Była zupełnie skołowana. W tym chaosie sprzecznych emocji, obaw i niepewności powracała jak refren tylko jedna względnie sensowna myśl: *Nie mam teraz na to czasu!*

Zawarła formalną umowę z panią Vandervoort. Przyrzekła zorganizować wspaniałe przyjęcie weselne. Od jej sukcesu zależała dalsza egzystencja ciotki Agathy. Zależało od niego - w pewnym sensie - szczęście małżeńskie pani Vandervoort, która obdarzyła ją zaufaniem. A przede wszystkim sukces ten był niezbędny samej Evelyn. Bardziej niż kiedykolwiek pragnęła dowieść własnej wartości, uwierzyć we własne siły.

Niech sobie Justin sam radzi ze szpiegami. On ma swoje zajęcie, ona swoje!

- No to do roboty, Merry! - powiedziała, utwierdziwszy się w swym postanowieniu. - Zaczniemy od spraw najważniejszych. Dekoracja głównego stołu, włącznie z baldachimem, przygotowana?

- Tak - odparła Merry.

- Suknia ślubna pani Vandervoort?

- Mais oui. Od dawna!

- Sztuczne kwiaty do przybrania reszty stołów?

- Uporałam się z tym zeszłej nocy.

- Doskonale! Zaraz po śniadaniu sprawdzę, czy robotnicy wszystko już ukończyli. Potem zawiesimy baldachim. Kucharz przysięga, że tort weselny będzie gotowy dziś po południu. - Wytężała umysł, sprawdzając, czy jakaś pozycja z tasiemcowej listy spraw do załatwienia nie została pominięta. - Czy obsługa jest należycie wyszkolona?

- O, tak! Zjawili się w komplecie, to doświadczeni kelnerzy.

- Znakomicie.

Evelyn nieco się odprężyła, ale nerwowe napięcie wkrótce powróciło. Przypomniały się jej poprzednie imprezy, kiedy również łudziła się, że ma wszystko pod kontrolą.

- Czy wszyscy dobrze się czują? Nikt z personelu nie złapał odry albo czegoś w tym rodzaju? - spytała podejrzliwie.

Merry roześmiała się.

- Nie, nie, Evelyn! Choruje tylko pan Quail, a malaria nie jest zaraźliwa.

- Biedny pan Quail - westchnęła Evelyn. - Jaka szkoda, że taki słaby! Nie będzie nawet na ślubie swojej pracodawczyni.

Pokojówka, która zmieniała właśnie prześcieradło, bąknęła coś ironicznym tonem. Merry zrobiła groźną minę.

- Masz nam coś do zakomunikowania? - odezwała się wyniośle, łudząc się, że w ten sposób skłoni dziewczynę do pokornego milczenia.

Pokojówka była jednak nieodrodną córą miejscowej rolniczej społeczności. Wszyscy tu byli sobie równi. Żadna francuska przybłęda nie będzie zadzierać nosa, szwaczka czy nie szwaczka!

- Tylko tyle, że pan Quail nie taki znów chory - odparła z zimną krwią, starannie utykając końce prześcieradła pod materac.

- Doprawdy? - spytała urągliwie Merry. - Skąd wiesz? Czyżbyśmy mieli we dworze medyka w przebraniu?

Pokojówka zignorowała ją, zwracając się bezpośrednio do Evelyn.

- Nie trza medyka, żeby się poznać na takich sztuczkach. Jak chłop sprowadza se baby do pokoju, to nie taki znów chory. Zwykły krętacz i tyle! Nie podobał mi się od samego początku!

- Co takiego?! - wybuchnęła Merry. - Skąd wiesz? Widziałaś te jego… baby?

Dziewczyna wyprostowała się, wyraźnie zadowolona, że jest ośrodkiem zainteresowania.

- Nie musiałam ich oglądać! Jak mu prześcielam łóżko, to dzień w dzień muszę przewlekać powłoczki. Wszystkie popaprane od mazidła. Nie tak trudno się domyślić, co w trawie piszczy. Prawda, panienko?

Evelyn zrobiła wielkie oczy. Zabrakło jej tchu.

- Prawda… - szepnęła. - Wcale nie trudno się domyślić…

Justin krążył po pokoju, wichrząc sobie włosy. Musi coś wymyślić! Musi upewnić się, że Evelyn nic nie grozi - ani teraz, ani w przyszłości. Musi wyciągnąć ją z tego bagna, w które sam ją niechcący wpakował!

Miotał się nadal, gdy rozległo się lekkie stukanie. Znowu Bernard? A może Beverly? Czyżby zdobył jakieś informacje? Jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Na korytarzu stała Evelyn. Jej oczy wydawały się nieprawdopodobnie wielkie w drobnej szczupłej twarzyczce.

- Co się stało? - spytał niecierpliwie.

- Rozpracowałam twojego szpiega!

# *23*

Evelyn maszerowała przed frontem kelnerów, sprawdzając po raz ostatni stan ich gotowości, zanim panna młoda, pan młody oraz ich goście przybędą na ucztę weselną. Każdy z nich prężył się jak struna, patrzył prosto przed siebie, a ręce w białych rękawiczkach splótł za plecami.

- W porządku - powiedziała na zakończenie do Beverly'ego.

Kamerdyner, dumny ze swych podopiecznych jak kwoka z pierwszego wylęgu kurcząt, skrzywił się na tę nie dość entuzjastyczną poch14.04 Tfł2rytą

ustokrotniały ich migotliwe światło. Dziedziniec również był nastrojowo oświetlony - na powierzchni sadzawki unosiły się płonące lampki w kształcie kwiatów lotosu, przepływając beztrosko pod ozdobnym mostkiem.

Na przeciwległym brzegu sadzawki, na wprost mostka, wzniesiono płytką grotę ze sztucznych skał. W niszy stał wysoki na trzy stopy blok różowego kwarcu. Tryskał z niego - jak w czarodziejskiej baśni - zdrój szampana, doprowadzonego tam za pomocą szklanej rurki, przechodzącej przez środek przewierconego na wskroś bloku. Koszt transportu i instalacji tego urządzenia był ogromny, ale efekt jeszcze większy.

Evie jednakże, nie zadowoliwszy się jednym arcydziełem dla uświetnienia godów weselnych lorda Cuthberta i pani Vandervoort, postarała się o drugie. Na osobnym stole, przykrytym jedwabną draperią, stał wielki kosz starannie ułożonych kwiatów. Dopiero podszedłszy zupełnie blisko, można się było zorientować, że był to tort weselny - arcydzieło sztuki cukierniczej z kwiatami z marcepanu, których płatki, powleczone różnobarwnym lukrem, skrzyły się wszystkimi barwami tęczy.

Istny cud!

*Nikt, nawet ciotka Agatha, nie spisałby się lepiej*, myślała Evelyn. *Teraz trzeba już tylko złapać szpiega.*

Plan był ryzykowny, ale gdy Justin wyjaśnił jej, co muszą zrobić, Evie zrozumiała, że nie mają po prostu innego wyjścia. Ich jedyny atut stanowiło to, że rozszyfrowali Quaila, a on nie miał o tym zielonego pojęcia.

Wobec tego pierwszy ruch należał do nich. A poza tym mieli dokładnie opracowany plan. Evelyn zdążyła się już zorientować, że jeśli akcja szpiegowska ma się zakończyć sukcesem, nie wolno niczego pozostawić losowi. Prawdę mówiąc, doszła do wniosku, że dojść do czegoś w tej profesji mogą jedynie osoby wyjątkowo kompetentne, zdolne i logicznie myślące. Mimo woli nabrała znów większego respektu dla Justina.

Niestety, jej przypadła rola niewielka, choć znacząca. Najważniejsze jednak było to, iż - jak zapewniał ją Justin - ich plan w żaden sposób nie zakłóci uroczystości weselnej. Nikt z biesiadników nie będzie miał pojęcia, że dosłownie kilka metrów od sali bankietowej udaremniono konflikt na skalę międzynarodową.

Evelyn wyciągnęła z kieszeni spódnicy złoty zegarek i sprawdziła godzinę. Członkowie wynajętej na tę uroczystość orkiestry zajęli już przeznaczone dla nich miejsca na sali bankietowej i stroili właśnie instrumenty.

Evie śmiało podeszła do dyrygenta.

- Ma pani dla nas jakieś wskazówki, lady Evelyn?

Skinęła głową.

- Wie pan zapewne, że na wejście młodej pary powinniście zagrać, i to porywająco, Gwiaździsty sztandar, nieprawdaż?

- Tak, łaskawa pani.

- Z wyjątkowym entuzjazmem, rozumie pan? Chcemy, by nowa lady Cuthbert zorientowała się, jak serdecznie witamy ją w naszym kraju.

- Oczywiście - potakiwał z zapałem niewysoki dyrygent. - Zagramy to z uczuciem i z temperamentem.

- Doskonale.

Gwar głosów dobiegających z frontowego holu sprawił, że Evie odwróciła się w tamtą stronę. Beverly witał pierwszych gości z taką czołobitnością, że było to niemal groteskowe. Stojąca obok niego Merry dygała raz po raz, rozpromieniona i zachwycona.

Skąd się tu wzięła Merry?! Kto ją zaprosił? Wielki Boże, tylko tego brakowało, by Merry łaziła za nią jak cień! Evelyn podeszła do kamerdynera, pozdrawiając nowo przybyłych wdzięcznym skinieniem głowy i miłym słówkiem.

- Dziękuję za uznanie... tak, to moje dzieło. Pani jest ogromnie łaskawa - odparła skromnie na pytanie jakiejś damy, która chciała się dowiedzieć, czy tę olśniewającą dekorację wnętrz przygotowała lady Evelyn. Dla lepszego efektu Evie spuściła oczy, a gdy uprzejma dama odpłynęła, schwyciła Beverly'ego za ramię.

- Nie spuszczaj Meny z oka i trzymaj ją przy sobie! - syknęła rozkazująco.

- Czy to rozkaz? - spytał kamerdyner z męczeńskim wyrazem twarzy.

Evelyn nie miała teraz czasu na zwalczanie jego antypatii do kobiet.

- Oczywiście! - odparła i zwróciła się do trzech osób, z którymi żywo dyskutowała kilka dni temu podczas obiadu: - Podoba się państwu? Jakże się cieszę!

Poszli sobie.

- Jak mam tego dokonać? - spytał Beverly.

- Jak chcesz. Byle nie snuła się sama po domu! - odburknęła i z olśniewającym uśmiechem oddaliła się, zmierzając do głównego holu.

Przed frontowym wejściem powstała już spora kolejka. Zgodnie z ich przewidywaniami i życzeniami, gdyż najbliższe drzwi wewnętrzne prowadziły

Zza uchylonych drzwi na końcu korytarza dotarły do niej pierwsze tony orkiestry. Już czas! Z determinacją skręciła w pasaż wiodący do przeciwległego skrzydła, w którym znajdowały się pokoje sypialne. Kiedy dotarła do drzwi Quaila, poczuła, że odwaga znowu ją opuszcza. Zaciśnięta na klamce ręka była śliska od potu.

Potem jednak przypomniała sobie, że Justin znajduje się kilka kroków od niej. Czeka ukryty za sąsiednimi drzwiami. Czuła na sobie jego spojrzenie, więc drzwi z pewnością były uchylone. Miała wielką ochotę obejrzeć się na niego przez ramię, ale się powstrzymała. Nie dlatego, żeby obawiała się podglądaczy i plotek. Po prostu nie chciała zdradzić się przed nim ze swoim strachem. Justin gotów byłby odwołać całą akcję i znaleźliby się znów w opłakanej sytuacji, może nawet gorszej niż poprzednio.

Zastukała lekko do drzwi. Miała wrażenie, że słyszy spieszne kroki i skrzypienie łóżka.

- Panie Quail!

Nie odpowiedział. A powinien!

Zastukała głośniej.

- Panie Quail, czy wszystko w porządku? Pokojówka powiada, że słyszała jakiś stuk, jakby coś się przewróciło u pana w pokoju!

Chwila ciszy, a potem męski głos, słaby i chrapliwy - widać nie tylko Justin ma zdolności aktorskie - odrzekł:

- Lady Evelyn?... Leżę w łóżku... Wszystko w porządku, tylko... bardzo mi słabo. Proszę, nie...

Ale Evie już otwierała drzwi. Przekręciła klucz, pchnęła i otwarły się na oścież. Pokój był - tak samo jak podczas jej poprzedniej wizyty - pogrążony w mroku. Kotary zaciągnięto, jedyny promyk światła padał na przeciwległą ścianę. Quail dygotał pod stertą kołder i pledów. Rzucał niespokojnie głową, szarpał pościel. Oczy miał przymknięte, ale Evelyn mogłaby przysiąc, że śledzi każdy jej ruch.

- Zbyt pani dla mnie łaskawa, lady Evelyn... Ale... czy to nie orkiestra?

Evie odwróciła się w stronę drzwi, które umyślnie pozostawiła uchylone.

- Tak.

- Więc musi pani wracać!... Natychmiast! Pani Vandervoort czeka... A ja... zaraz zasnę...

- No, tak...

Do diabła! Powinna była sobie przygotować z góry dialog. Sensowny! Mózg jej się wyraźnie zacinał. Nagle z dali dotarły do niej grzmiące akordy Gwiaździstego sztandaru, łatwe do rozpoznania nawet z tej odległości.

Czas się zatrzymał.

*On może mnie zabić!*

Nogi same poniosły ją w stronę łóżka. Dostrzegła zdumione spojrzenie Quaila. Usłyszała swój własny głos mamroczący coś niewyraźnie i poczuła, że wargi rozciągają się jej w uśmiechu przypominającym raczej śmiertelny grymas. Pochyliła się nad chorym i dotknęła ręką jego policzka, jak troskliwa pielęgniarka sprawdzająca temperaturę.

Ani śladu gorączki. Lepka szminka... dwa, trzy, cztery. Już!

Czas znów zaczął płynąć. Evelyn wyprostowała się błyskawicznie, skierowała ku drzwiom, wrzasnęła, przekrzykując dźwięki orkiestry:

- Powell! To Quail! To Quail!

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Quail na sekundę skamieniał. Nie w pełni uświadamiał sobie, co się dzieje. Ta kobieta w mgnieniu oka nie tylko zorientowała się, że ma pod palcami teatralną szminkę, ale odgadła, kim był naprawdę Quail, i w dodatku oznajmiła to na cały głos swemu partnerowi!

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, jakim cudem zdołała tego dokonać w tak zawrotnym tempie. Trzeba się było ratować! Odrętwienie znikło. Wyskoczył z łóżka i pomknął za Evelyn przez korytarz. Musi ją dogonić i uciszyć! Ale na korytarzu był już Justin Powell, pędził prosto na niego. Poły niezapiętego smokingu trzepotały za nim jak skrzydła.

Nie mógł tracić czasu! Ani na szukanie tajemniczej machiny, ani na ubranie się, ani nawet na zabranie notatnika i portfela. Zdążył tylko chwycić za ramiona tę małą czarnulę i pchnąć ją z całej siły na Powella. Nie zatrzymał się, by ocenić efekty swego działania. Skręcił w drugi korytarz i pognał przed siebie. I wówczas dotarło do niego głośne przekleństwo i stuk zderzających się ze sobą ciał. Dobra nasza!

Dławił go gniew i poczucie bezsilności, gdy wpadł do centralnej części domu i zmierzał do drzwi frontowych. Słyszał za sobą kroki ścigającego go Powella. Został rozpracowany. Zdemaskowany! Tyle lat pilnej - i opłacalnej - pracy poszło na marne. Przez jedno dotknięcie kobiecej ręki, psiakrew!

Ale choć sam został wykryty, miał gorzką satysfakcję, że odwdzięczy się swym prześladowcom pięknym za nadobne. Od dawna podejrzewali Powella, ale nikt nie miał pojęcia o tej Whyte! Owszem, chodziły słuchy, że jest jeszcze jeden tajny agent, wywodzący się z angielskiej arystokracji. Świadczyły o tym liczne, acz dyskretne ślady. No i fakt, że ktoś im udaremniał realizację najlepiej opracowanych planów. Trudno, nie dostarczy swoim szefom cudownej machiny, ale za to zdemaskował tę czarownicę!

Będzie musiał się teraz wycofać z gry. Ale przedtem postara się o to, by lady Evelyn Whyte stała się równie bezużyteczna dla konkurencji. Jeśli, oczywiście, ujdzie z życiem i zdoła złożyć raport na jej temat.

Quail skręcił w główny korytarz i widział już przed sobą frontowe drzwi. Rzucił się ku nim, zdzierając z siebie w biegu nocną koszulę. Miał pod nią, na szczęście, ubranie. Niestety, bez butów. Nogi w skarpetkach ślizgały się po posadzce.

Jeszcze tylko parę kroków. Przed domem z pewnością znajdzie jakiś powóz albo konia. Sięgnął do klamki, lecz nim zdołał ją nacisnąć, drzwi same się otworzyły i wpadł przez nie zbity tłum rozgadanych, roześmia¬nych gości, którzy spóźnili się na przyjęcie.

Co za pech! Niewiarygodny pech! Quail poślizgnął się, wyhamował i zawrócił z przekleństwem na ustach. Popędził znów korytarzem i minął pasaż prowadzący do jego sypialni akurat w chwili, gdy wyłonił się z niego Powell, a za nim ta wiedźma!

W tej chwili miał tylko jedną drogę wyjścia, jeśli chciał uniknąć pościgu.

Quail bez wahania ruszył w stronę sali bankietowej.

- Gdzie on biegnie?! - wrzasnęła Evelyn, podkasała spódnicę i ruszyła za Quailem. Przemknęła obok Justina, który pobiegł jej śladem, by dodać pościgowi więcej cech prawdopodobieństwa. Jego plan nie polegał na tym, by pojmać Quaila, tylko napędzić mu stracha i utrzymać w przekonaniu, że jest ścigany. Kiedy już w to święcie uwierzy, umożliwi mu ucieczkę. Niech przekaże swym mocodawcom, że zdemaskował superszpiega - Evelyn Cummings Whyte. Dzięki temu prawdziwy as angielskiego wywiadu, kimkolwiek jest, pozostanie w bezpiecznym ukryciu.

Ponieważ wszyscy nawzajem się zdemaskowali, ich przydatność w wywiadzie spadła do zera i będą mieli święty spokój. Jako zidentyfikowany przez wrogów szpieg Evie odejdzie na zasłużoną emeryturę, Justin także wycofa się z branży. Quail bez wątpienia również. Wszystko dobre, co się dobrze kończy!

Justin nagle uświadomił sobie, że od kilku chwil, które on stracił na rozmyślania, jego sówka ściga uciekającego szpiega niczym demon z piekła rodem.

Słyszał, jak jej ponure pohukiwanie: „Mój bankiet!... Mój bankiet!..." odbija się echem od ścian korytarza. Jeśli nadal będzie go ścigać w takim tempie, a odległość między nią a ekssekretarzem wyraźnie malała, i on, Justin, jej nie powstrzyma, naprawdę go dopadnie!... A to by była katastrofa.

Justin puścił się pędem i wpadł do sali biesiadnej w chwili, gdy Quail zmierzał do francuskiego okna wychodzącego na dziedziniec. Jak szalony, pokonywał przeszkody w postaci zastawionych stołów i krzeseł. Wywrócił po drodze kilka z nich, porcelana, kryształy i srebro waliły się z trzaskiem na ziemię. Biesiadnicy zrywali się na równe nogi i cofali przed szaleńcem w takiej trwodze, że rozdziawiali tylko bezgłośnie usta.

Tuż za Quailem gnała Evelyn. Na sekundę zatrzymała się przy wejściu do sali. Włosy opadały na białe ramiona czarną chmurą, jak u wiedźmy, oczy stawały się coraz większe na widok szerzącego się wokół niej zniszczenia: strzaskane kryształy, powywracane stoły, stratowane jadło, kałuże trunków, przerażeni goście... Potem wbijając w Quaila oczy jak sztylety, zawyła:

- Moje wesele, bydlaku! Nie daruję!!!

Zadzierając jeszcze wyżej spódnicę jedną ręką, chwyciła w drugąpierwszą lepszą broń, która się nawinęła - srebrny nożyk do masła - i popędziła znów za Quailem, przeszywając jego plecy morderczym spojrzeniem. Biegła za nim po prostej, przeskakując przez donice kwitnących roślin i paproci, zdobywając barykady wywróconych krzeseł, aż wreszcie wpadła za nim na dziedziniec, wyposażony w sadzawkę, mostek i sztuczną kotli¬nę górską.

- Trzymać go! Trzymać!

Kilku panów w rycerskim odruchu próbowało zatrzymać Quaila, ale ich po prostu staranował, przez co utrudnił Evie pościg. Jej wściekłość jeszcze wzrosła. Justin mógłby przysiąc, że słyszy dobywające się z jej gardła złowieszcze warczenie. Nagle dotarło do niego, że powinien przynajmniej udawać, że spieszy jej z pomocą. Inaczej Quail uzna cały pościg za zwykłą

farsę... którą w gruncie rzeczy był, a raczej byłby, gdyby jedna z czołowych aktorek nie wczuła się zbytnio w swoją rolę.

*Niech to szlag!*

Przeskoczył przez stół i popędził wzdłuż bocznej ściany, zmierzając w stronę nieogrodzonej części dziedzińca. Miał nadzieję, że Quail go dostrzeże i zda sobie sprawę, że należy biec tam, gdzie tylko jedna osoba stoi między nim a wolnością.

Quail dostrzegł go, a jakże! Ale przeciwnik jawił mu się jako olbrzymi, silny, atletycznie zbudowany mężczyzna o wyjątkowo groźnym wyrazie twarzy. Skąd mógł podejrzewać, że ta straszna mina wyraża wściekłość, którą zbudził w Justinie nie on, lecz goniąca go kobieta?! I wobec tego zamiast ruszyć prosto na Powella, Quail zmienił nagle kierunek i zaczął się wdrapywać na sztuczne skały.

Był bliski paniki. Rzucał dokoła niespokojnym wzrokiem, szukając jakiegoś wyjścia, ale nie widział żadnego. Ci cholerni goście nie zbili się w tłum, zagradzając jej drogę, jak przewidywał. Usuwali się na boki. Tylko ta przeklęta baba, jego ekscłilebodawczyni, stała z dala od innych. Przy stoliku z tortem, na drugim końcu tej idiotycznej sadzawki. I gapiła się na niego, jakby mu nagle wyrosły rogi i ogon! A jej nowy mężuś zawieruszył się kompletnie.

Quail rozejrzał się raz jeszcze. Powell blokował jedyne wyjście z tej pułapki, w pobliżu sadzawki zaczął się gromadzić tłum, a czarnowłosa harpia pędziła ku niemu niczym demon z piekła rodem. W dodatku wywijała jakimś nożem! I to ma być wnuczka księcia?!

Nie miał jednak czasu na dalsze refleksje nad moralnym upadkiem współczesnej arystokracji. Wspiął się po skałkach z papier mache na szczyt urwiska i skoczył. Wylądował na samym środku dekoracyjnego mostka. Niestety, ta krucha struktura nie nadawała się zupełnie na lądowisko.

Ze straszliwym trzaskiem mostek zawalił się pod Quailem. Jedynie dzięki swej sprawności fizycznej zdołał bez szwanku zeskoczyć z rozpadającej się konstrukcji. Wylądował ostatecznie na drugim brzegu sadzawki.

Śmiertelną ciszę przerwało przeciągłe, niesamowite wycie. Instynktownie odwrócił się w tamtą stronę. Jego prześladowczym, blada jak upiór, stała vis-a-vis niego, za wodą. Quail uśmiechnął się.

I to był błąd! Upiorzyca wciągnęła raptownie powietrze, przymrużyła oczy i ruszyła prosto na niego. Najkrótszą drogą. Przez sadzawkę.

- O Jezu!

Rozejrzał się w popłochu za jakąś bronią i dostrzegł blok kwarcu, z którego tryskał szampan. Chwycił go oburącz, szarpnął, uniósł i rzucił nim w nieczystą siłę. Pocisk wylądował w sadzawce, całkiem blisko celu. Bryzgi wody przemoczyły wiedźmę do suchej nitki. Nawet tego nie zauważyła.

Od tej chwili Quail nie bał się już zdemaskowania czy uwięzienia. Drżał o własne życie. Nigdy jeszcze nie widział na kobiecej twarzy takiej żądzy mordu.

Znów powiódł wzrokiem dokoła i zobaczył pannę młodą. Poczuł taką ulgę, że omal nie ucałował lady Cuthbert. Miał zakładniczkę! Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie.

- Nie zbliżać się! - rzucił władczym tonem.

No, wreszcie coś powstrzyma tę nacierającą na niego czarownicę! Znajdujący się po przeciwnej stronie Justin Powell zaczął dyskretnie posuwać się wzdłuż muru.

- Ani kroku, Powell! Stać, bo zrobię jej coś złego!

- Nie ośmielisz się! - syknęła Evelyn i ruszyła znów przez wodę.

- Tak ci się zdaje?

Wykręcił ramię lady Cuthbert. Skrzywiła się z bólu.

Evelyn zatrzymała się z pochyloną głową, z utkwionymi w przeciwnika oczyma, z których kipiała nienawiść, z błyszczącym nożem w ręku. Quailowi przyszło do głowy, że i jemu przydałoby się coś takiego. Pochwycił nóż do krajania tortu i przytknął ostrze do szyi swej zakładniczki.

- Odchodzę. Zabieram ją ze sobą. Jeśli ktoś spróbuje nas zatrzymać, poderżnę jej gardło.

- Nie!

Od wejścia dobiegł zdławiony krzyk. Lord Boniface Cuthbert stał w drzwiach, drżąc na całym ciele. Jedną ręką czepiał się framugi, drugą przyciskał do serca. U jego nóg mały piesek jeżył łaciaty grzbiet.

- Błagam, nie rób jej krzywdy…!

- To dopilnuj, żeby nikt się nie ruszył!

*No, wreszcie wszystko wygląda tak, jak powinno!* - gratulował sobie w myśli Quail. Wiedźmę sparaliżowało. Powell ma nietęgą minę. Cuthbert, ta żałosna ropucha, tuli do piersi swego kretyńskiego kundla. A lady Cuthbert spogląda na niego z niekłamanym przerażeniem.

*W takich warunkach można pracować!*

Ciągnąc za sobą zakładniczkę, ruszył z powrotem przez idiotyczną górską kotlinę z papier machć, a potem przez francuskie okno do sali bankietowej. Znajdujący się w niej goście cofali się przed nim z przerażeniem w oczach. Nie zważał na nich, maszerował szybko, zmuszając lady Cuthbert niemal do biegu. Nie odzywała się ani słowem.

Dotarli już do miejsca, gdzie od głównego korytarza odchodzi pasaż wiodący do sypialnej części domu, kiedy Quail usłyszał za sobą dziwne szuranie. Zmarszczył brwi i obejrzał się przez ramię. Zdążył dostrzec kudłatego demona w białe i brązowe łatki, który przypuścił szturm do jego nogi. Z zajadłością odziedziczoną po setkach pokoleń zapamiętałych szczurołapów terier wgryzł się w łydkę Quaila.

Szpieg wrzasnął, puścił rękę lady Cuthbert i zaczął na oślep wywijać nożem. Ale trafił na twardego przeciwnika, zaprawionego w ulicznych bójkach. Pies robił błyskawiczne uniki, ani na chwilę nie puszczając nogi Quaila. Jednakże - choć sprytny i zwinny - nie mógł wiecznie wywijać się spod noża.

Na szczęście nie musiał. Gdy tylko porywacz pochylił się nad psem, jego zakładniczka zaczęła skowyczeć - potem Quail zapewniał swych mocodawców, że w całej sprawie to właśnie najbardziej go zdumiało; jego zrównoważona, zawsze opanowana pracodawczyni płakała ze strachu o życie podłego kundla -i walić go pięściami po głowie i ramionach. Na domiar złego, w chwili gdy Quail uniósł ręce, próbując się osłonić przed jej ciosami, Evelyn Cummings Whyte wypadła zza węgła jak rozjuszona, mściwa Medea.

I nadal trzymała w garści ten cholerny nóż!

Quail uznał, że pora brać nogi za pas. Zdobył się na ostatni wysiłek - wierzgnął nogą z takim impetem, że terier wyleciał w powietrze, a równocześnie trzasnął lady Cuthbert w twarz, powalając ją na ziemię. I pognał korytarzem z taką szybkością, jakiej nigdy nie rozwinął ani przedtem, ani potem.

Znikał właśnie za frontowymi drzwiami, gdy Evelyn, nadal rwąca się do pościgu, przebiegała obok lady Cuthbert. Usłyszawszy jednak za plecami cichy jęk bólu, zatrzymała się i zawróciła. Przyklękła obok leżącej, gdy wpadł jak bomba Justin.

- Ty bezmózga idiotko! - ryknął na widok ukochanej i nagle przeszedł z szaleńczego galopu w niemrawego stępa. - Aleś mnie wystraszyła! Co ty wyprawiasz, do cholery?!

- Udzielam pierwszej pomocy lady Cuthbert.

Evelyn cofnęła się nieco, by mógł zobaczyć osłoniętą fałdami jej sukni lady Cuthbert. Mały piesek skakał wokół nich w najwyższym podnieceniu.

Na końcu korytarza pojawiła się kolejna grupa mężczyzn, w których narastał gniew w miarę jak uświadamiali sobie, jaka zniewaga spotkała ich oraz ich przyjaciół. Maszerowali niemal żołnierskim krokiem, niektórzy wołali o konie, inni zamierzali bezzwłocznie ruszyć w pościg na piechotę.

Evelyn miała ogromną chęć dołączyć do nich i zatłuc tego podleca jak wściekłego psa! Na nic lepszego nie zasługiwał, nieprawdaż? Zniweczył wszystkie jej wysiłki, obrócił w perzynę arcydzieło, które miało zrekompensować wszelkie dotychczasowe niedociągnięcia i stanowić dowód jej nieograniczonych możliwości!

- W którą stronę uciekł? - spytał jeden z mężczyzn lady Cuthbert.

Z pomocą Justina podniosła się z podłogi i stała teraz na niezbyt pewnych nogach, ale z wyrazem szlachetnego męstwa na twarzy. Uniosła rękę i wskazała kierunek.

- Tam... tak... Tak mi się zdaje... Panie Powell!... proszę... muszę dojść...

Rozległ się okrzyk radosnej ulgi. Lord Cuthbert wynurzył się z głębi korytarza i na widok swej żywej i całej oblubienicy pokuśtykał ku niej spiesznie i utulił czule w ramionach.

## *24*

Quail uciekł. Grupa oburzonych jego postępowaniem gości ruszyła w pościg, zanim jednak konie zostały osiodłane, po sekretarzu nie było ani śladu. Niebawem więc wrócili do North Cross Abbey, gdzie zarówno damy, jak i panowie, którzy pozostali przy nich dla ochrony, niecierpliwie oczekiwali najświeższych wieści. Potem zaś omawiano całe wydarzenie bez końca.

Lord Stów szybko rozproszył atmosferę rozczarowania, wykazując zebranym, że nawet jeśli nie pochwycili złoczyńcy, udaremnili mu przestępstwo, z całą pewnością od dawna planowane, a mianowicie kradzież nieprawdopodobnej wprost ilości klejnotów. Wszyscy ochoczo przyjęli jego argumenty i uwierzyli, że tak było w istocie.

Cóż za bezczelny łotr! Zaatakować nowożeńców w najszczęśliwszym dniu ich życia, gdy nie spodziewali się niczego złego! Bogu dzięki, że te podłe machinacje zostały udaremnione!

Państwo młodzi również nie mieli nic przeciwko temu, by w gruncie rzeczy niesmaczną awanturę przyoblec w glorię heroizmu. Na koniec zaś lady Broughton wpadła na uroczy pomysł, by przekształcić bankiet weselny w radosną uroczystość dla miejscowej ludności - coś w rodzaju dorocznego balu myśliwskiego. Czy to nie będzie zabawne i oryginalne, jeśli zakończą zabawę w lokalnej karczmie? Może nawet zabiorą ze sobą orkiestrę? Przecież według najlepszych angielskich tradycji dworskie wesela zawsze kończyły się pląsami na gminnych błoniach!

I tak oto całe towarzystwo zostało podniesione na duchu. Wszyscy nabrali przekonania, że stawili dzielnie czoła siłom zła, a jeśli nawet nie wyszli z tego boju całkiem zwycięsko, to bynajmniej nie ponieśli klęski.

Tymczasem Quail, po panicznej ucieczce przez Wschodnie Sussex, dotarł do Dover. Załapał się na statek zmierzający do Niderlandów, stamtąd zaś udał się w nieznanym kierunku. Kiedy wreszcie stanął przed obliczem swych mocodawców, zasmucił ich wieścią o tym, że został zdemaskowany przez konkurencję. Mógł jednak osłodzić ich głębokie rozczarowanie bezcennymi informacjami, których im nie skąpił.

Oświadczył zatem, że ustalił bez najmniejszych wątpliwości, iż Justin Powell jest istotnie szpiegiem, a Evelyn Cummings Whyte owym tajemniczym, sprawiającym im nieustanne kłopoty agentem, o którego istnieniu i powiązaniach z arystokracją od dawna wiedzieli, choć nie potrafili go zidentyfikować. Ujrzawszy sceptyczne miny swoich szefów, Quail wyliczył wszystkie dowody potwierdzające jego oświadczenie. Zakończył zaś relację

dramatycznym opisem ostatnich kilku godzin swego pobytu w North Cross Abbey, podkreślając straszliwą wściekłość tajnej agentki w momencie, gdy została zdemaskowana, oraz morderczą konsekwencję, z jaką go ścigała, licząc zapewne na to, że po jego śmierci informacje na jej temat nie dotrą do uszu wroga. Z dużą siłą wyrazu opisał też jej oczy, pałające szaleństwem w chwili, gdy widział japo raz ostatni.

O nie! Quail nie miał żadnych wątpliwości, że rozpracował i unieszkodliwił najgroźniejszą, najbardziej diaboliczną agentkę, jaką wydała Anglia. A jeśli nawet sam przy tym został zdemaskowany, to gra była warta świeczki.

Ale to wszystko wydarzyło się znacznie później. Wróćmy zatem do North Cross Abbey i do dnia zaślubin. Otóż, gdy Quail przemierzał jeszcze pędem Wschodnie Sussex, Justin odbył krótką lecz bardzo istotną rozmowę z Bernardem.

- Zawsze byłeś nieobliczalny, Powell - oświadczył Bernard tonem głębokiego niezadowolenia. Spoglądał na Justina zza biurka, przy którym sporządzał zaszyfrowany raport na temat ostatnich wydarzeń. - Nadal się dziwisz, że nie wtajemniczyliśmy cię w nasze plany? Kiedy tylko zorientowałbyś się, o co chodzi, zacząłbyś je przerabiać po swojemu! Nawiasem mówiąc, ty również nie raczyłeś mnie poinformować o tym, co szykujecie we dwójkę z tą dzierlatką!

- Nie, sir - odparł Justin z pozornym spokojem.

Stał w postawie pełnej uszanowania, z rękoma założonymi do tyłu i ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Nadal był zbyt wściekły na swego zwierzchnika za niebezpieczeństwo, na jakie naraził Evie, by spojrzeć mu prosto w oczy bez pokusy strzelenia go w pysk.

- Miłym gestem z waszej strony byłoby poinformowanie nas, że to właśnie Quail jest obcym agentem, którego od dawna poszukiwaliśmy, zanim dostał amoku w trakcie weselnej uczty. Kto wie, może nawet zdołalibyśmy wówczas ocalić coś z przygotowywanej od roku operacji… na przykład weselny tort? - warknął sarkastycznie Bernard.

- Tak jest, sir.

Justin mógł bez trudu wymyślić szereg ciekawszych odpowiedzi, ale nie miał ochoty odbywać kary za poważną niesubordynację.

Gniew zaczął ustępować z surowej twarzy Bernarda. Zmagała się w nim wrodzona ciekawość ze słusznym oburzeniem… i wyszła z tego boju zwycięsko, jak zwykle bywa u ludzi tego pokroju. Dlatego właśnie są tacy dobrzy w swoim fachu!

- Jak odkryłeś, że to był Quail?

Niezwykle sztywny do tej pory Justin również się nieco odprężył.

- Lady Evelyn go rozszyfrowała, sir.

- Doprawdy? W jaki sposób?

- Quail przybył do North Cross Abbey w bardzo ciężkim stanie. Tak się akurat zdarzyło, że kilka dni wcześniej miał atak malarii. Trzeba go było niemal zanieść do pokoju i od tej pory nie opuszczał łóżka… a przynajmniej tak sądziliśmy. Wczoraj jednak pokojówka poinformowała lady Evelyn, że każdego ranka, kiedy prześciela mu łóżko, znajduje na poduszkach ślady szminki. Sądziła, że chory sprowadza sobie… kobiety. Wspomniałem niedawno lady Evelyn, że szukam mężczyzny z posiniaczoną twarzą. Tego, który włamał się w zeszłym tygodniu do North Cross Abbey i z którym walczyłem po ciemku. Wiedziałem, że oberwał ode mnie po pysku… ale nie miałem pojęcia, kto to taki.

Justin uśmiechnął się.

- Lady Evelyn dodała jedno do drugiego i wyciągnęła kilka samodzielnych wniosków. Przede wszystkim ten, że Quail, gdy dotarła do niego w Londynie wieść o przybyciu do North Cross Abbey tajemniczej skrzyni, dostał jak na zawołanie ataku malarii i musiał położyć się do łóżka. Niezły chwyt. Aż dziw, że sam na to nie wpadłem! Człowiek ma alibi jak złoto i nikt go nie podejrzewa o brudne sprawki. Zaszył się więc w swoim pokoju, skąd mógł wymknąć się bez trudu i przebyć w ciągu jednej nocy trzydzieści pięć mil w tę i z powrotem. Czy ten pomysł wysyłania paczek z niekompletnym adresem to twoja robota? Już widzę, jak osobiście usuwasz nalepki!

- Oszczędź mi tej ironii, Powell! Wyobraź sobie, że nie miałem z tym nic wspólnego. Czysty zbieg okoliczności. Jak wiesz, były to rzeczy pani… to znaczy lady Cuthbert. Po co miałbym sobie zawracać nimi głowę? Zresztą, nie było mnie w North Cross Abbey, kiedy tam dotarły, prawda? A tę przesyłkę z przynętą miałem nadzieję sam odebrać, jak wiesz.

Justin zmrużył oczy i zamyślił się.

- Prawda! Wobec tego Quail musiał mieć kogoś we dworze albo w miasteczku, kto powiadamiał go telegraficznie o przesyłkach. Chyba Silsby, skończony dureń, pazerny na forsę. Nawet mu do głowy nie przyszło, że dopuszcza się zdrady. Ot, wpadło trochę łatwego grosza za przekazanie niewinnej informacji.

- W porządku. - Bernard zakarbował sobie w pamięci nazwisko tego idioty. Justin miał zapewne rację, ale Silsby'ego warto przenicować. - Ju

widziałem i mam nadzieję, że już nigdy nie zobaczę, równie zaciekłej nienawiści jak ta, którą ujrzałem na twarzy Evelyn, gdy Quail zdemolował i cisnął do sadzawki jej sikającą szampanem fontannę!

Potrząsnął głową, jakby chciał uwolnić się od tego wspomnienia. Gdy ponownie spojrzał na swego zwierzchnika, jego wzrok był znów lodowaty.

- Powinieneś być mi wdzięczny, Bernardzie. To prawda, straciłeś w mojej osobie użytecznego agenta, ale i tak byś go stracił, bo odkryłem twe machinacje. To prawda, że nie możesz zrobić z Quaila powolnej ci marionetki, ale za to lady Evelyn jest bezpieczna! Przecież ludzkie życie musi mieć znaczenie nawet dla kogoś takiego jak ty! No i nie zapominaj, że dzięki nam ten twój agent zachował anonimowość.

Bernard zacisnął usta i przyjrzał się bacznie Justinowi. W jego mózgu zaczął się formować nowy pomysł. Może głupi, ale niekoniecznie. Prawdę mówiąc, Justin i jego dziewczyna doskonale się spisali, choć ostateczny wynik nie był dokładnie taki, jakiego Bernard się spodziewał. Unieszkodliwili jednak Quaila, nim się zorientował, że miał angielskiego asa w zasięgu ręki. I Bogu dzięki. To byłaby przecież katastrofa!

Justin uniósł jedną brew z wyraźnym zaciekawieniem.

- Nie masz przypadkiem ochoty wyjawić mi nazwiska tego asa nad asami?

Prawdę mówiąc, nie oczekiwał, że Bernard odpowie na to bezczelne pytanie.

Ale pod wpływem pomysłu, który mu nagle zaświtał, Bernard mu odpowiedział.

Dwadzieścia minut później Justin opuścił gabinet swego zwierzchnika i udał się na poszukiwanie Evie.

Nie znalazł jej, ale natknął się na lady Broughton. Spojrzenie, jakim go obdarzyła ta urocza dama, sprawiło, że kołnierzyk zaczął go dusić.

- Panie Powell?

- Słucham, lady Broughton?

- Chciałabym zamienić z panem kilka słów. Chodzi o moją córkę.

- Wszystko, co dotyczy pani córki, markizo, bardzo mnie interesuje. Ale obawiam się, że musimy odłożyć naszą rozmowę na później. Pani pociecha gdzieś się zaszyła; właśnie jej szukam.

Chciał ją wyminąć, ale Francesca położyła dłoń na jego rękawie.

- Wolno spytać dlaczego?

"Wolno spytać dlaczego?"… Do diabła! Próbuje go skłonić, by wyjawił swe intencje. Nic z tego! Miał absolutną pewność, że Evie, gdyby się kiedykolwiek dowiedziała, że jej matka próbowała skłonić go - słowem, spojrzeniem czy gestem - do oświadczyn, odmówi mu bez namysłu!

Strasznie podejrzliwa z niej sówka! Nigdy mu nie uwierzy, że sam wpadł na taki pomysł i że miał w nosie wszelkie interwencje. A z powodu swej dumy jego ukochana Evie nigdy nie wyjdzie za człowieka, którego miłości nie będzie absolutnie pewna.

Jak przekonać sówkę, że kocha ją całym sercem?

W tym sęk!

Ale lady Broughton czekała na odpowiedź. Trzeba odpowiedzieć coś takiego, że odejdzie jej ochota do swatania.

- Bo jest mi winna pieniądze - odparł bez ogródek. - I chcę się upewnić, czy rozumie, że kolejna katastrofa podczas ślubnego przyjęcia nie zwalnia jej od spłacenia zaciągniętych długów!

Markizę po prostu zatkało. Cóż za prostacka pazerność! Pospiesznie cofnęła dłoń spoczywającą na rękawie Justina.

- Moja córka nigdy nie uchylała się od zobowiązań!

- Tym lepiej - odparł jowialnie.

Miał już pewność, że lady Broughton nie będzie nalegać, by naprawił krzywdę wyrządzoną jej córce.

- Ale wolę nie zakładać niczego z góry. Pani wybaczy, że ją opuszczę?

- Ja...

Była całkowicie zbita z tropu, a jej szeroko otwarte, piękne oczy - choć nie tak piękne jak oczy Evie - spoglądały na niego niepewnie.

- Dziękuję i do zobaczenia!

Nie czekał na odpowiedź. Skłonił się i ulotnił.

Miał pewne podejrzenia, gdzie się ukrywa Evie. I rzeczywiście, skoro tylko znalazł się w pobojowisku, które było do niedawna salą biesiadną i dziedzińcem, dostrzegł swoją sówkę. Siedziała na brzegu sadzawki z nogami w wodzie i bez najmniejszej satysfakcji ochlapywała mewy brodzące wśród odpadków i pożerające to kawałek tortu, to znów złotą rybkę. Połowa koafiury Evie rozpadła się, a włosy w oleistych strąkach opadały jej na twarz i szyję. Z drugiej strony wysoko upięte włosy jakoś się jeszcze trzymały. Połyskiwały w nich nawet ozdobne szpilki.

Jej suknia wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy. Przesiąknięty wodą aksamit oblepiał biodra, a stanik całkiem stracił fason i nie stanowił właściwie żadnej osłony dla drobnych piersi Evie. Co gorsza, materiał zaczął farbować i dwa urocze wzgórki miały teraz barwę zielonego groszku.

Na dobitkę Evie płakała i czarne mazidło, którym kobiety, diabli wiedzą po co, podkreślają sobie oczy, spływało ze łzami, pozostawiając ciemne smugi na policzkach. Dolna warga jej drżała, a smukłe ramiona i wdzięczne, proste plecy kuliły się i garbiły jak u staruszki.

A mimo to nadal była dla niego najcudowniejszą, najsłodszą, najbardziej godną pożądania kruszynką. Widać oszalał albo się zakochał. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Podszedł bliżej i stanął tuż za nią.

- Witaj, Evie!

Obejrzała się przez ramię. Rozpoznawszy intruza, rzuciła mu uśmiech - blady i beznadziejnie smutny. Justinowi omal serce nie pękło. Cały jej gniew wypalił się, pozostało już tylko zmęczenie. To go wzruszyło najbardziej.

- A, to ty, Justinie - powiedziała obojętnie. - Udało się nam ocalić świat od zguby?

- Jak najbardziej - odparł, siadając obok niej. Spoglądał w odwrotną stronę i nie wsadził nóg do wody. - Światu nic już nie grozi. Czarny charakter zwiał, sekret tajemniczej skrzyni nie został ujawniony, a mój zwierzchnik jest w różowym humorze.

Skinęła głową, nie patrząc na niego. Róża z marcepanu przepłynęła obok niej i zaraz potem wpadła w paszczę ogromnego karpia, który widocznie przepadał za słodyczami.

- Rozmawiałem z nim przed chwilą.

- Tak?

- Okazuje się, że nasze domysły były bardzo bliskie prawdy.

- Wiem - odparła bezbarwnym głosem. - Lady Cuthbert jest tym angielskim agentem.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Skąd wiesz? - spytał. - Quail do końca nie miał o tym pojęcia, a był przecież jej sekretarzem! Ale w każdej chwili mógł się połapać. Nic dziwnego, że Bernard był cały w nerwach i koniecznie próbował odwrócić jego uwagę w innym kierunku. - Spojrzał na odwróconą do niego profilem szczuplutką dziewczynę. Miał wrażenie, że wcale go nie słucha. - Upatrzył sobie ciebie na dublerkę.

- Tak…?

- Ale jak ty na to wpadłaś? - dopytywał się.

Spojrzała w końcu na niego.

- Sama niczego bym nie odgadła. Ale mam bystry wzrok i dobrą pamięć. I kiedyś pomyślałam: jaki to dziwny traf, że pani Vandervoort uparła się przy weselu w North Cross Abbey, które należy do ciebie… A potem przypomniało mi się, jak Beverly wspomniał, że hinduski kucharz twojego dziadka bez przerwy mu przyrządzał curry… A babcia pani Vandervoort z pewnością nie była Hinduską! No i to jej ostatnie zachowanie… Jakie?

- Kiedy wszyscy się zbiegli i zaczęli ją wypytywać, w którą stronę Quail uciekł…

- I co z tego?

- Ona wskazała odwrotny kierunek. I próbowała odciągnąć psa od Quaila. Mogło jej zależeć na ucieczce tego drania tylko z jednego powodu - chciała, by przekazał błędne informacje. Gdyby wszyscy uznali, że to ja byłam superagentem, ona miałaby spokój i wolną rękę. Tak przynajmniej wynikało z mego rozumowania.

Justin uśmiechnął się od ucha do ucha, rad, że udało się im - częściowo samodzielnie, częściowo wspólnymi siłami - wydobyć na jaw znaczną część prawdy. Całkiem udane zakończenie akcji!

Ale Evie nigdy nie dowie się wszystkiego… chyba że kiedyś sam się przed nią wygada. Niech się lepiej cieszy myślą, że zdołała na własną rękę dokonać tego, na czym połamali sobie zęby doświadczeni wywiadowcy.

- Mamy wielu użytecznych agentów, którzy wykonują zadania związane z częścią takiego czy innego planu, nie znając prawdziwego obrazu całości.

- Dlaczego? - spytała raczej z uprzejmości niż ze szczerego zainteresowania.

Jej buzia przedstawiała się doprawdy żałośnie! Justin sięgnął do kieszeni po chusteczkę i zmoczył jej róg. Delikatnie wziął Evelyn za brodę i zaczął zmywać czarne smugi z jej policzków.

- W naszym środowisku, mówię rzecz jasna o służbie wywiadowczej, panuje przekonanie, że im mniej dany agent wie na temat całej akcji, tym mniej może jej zaszkodzić. Po ostatnich doświadczeniach uważasz pewnie większo

Choć policzki Evelyn były już czyste, nadal głaskał ją po buzi. Nie zwracała na to zresztą uwagi.

- Później pewnie będę się z tego cieszyć, ale teraz… - Ciężko westchnęła i odwróciła głowę. - Widziałeś kiedyś takie pobojowisko?

Justin popatrzył na powywracane stoły, rozdeptany tort, potłuczoną porcelanę i roztrzaskane kryształy, wreszcie na sadzawkę zamienioną w muliste bajoro.

- Prawdę mówiąc, nie.

Uśmiechnęła się, słysząc tę szczerą odpowiedź, Przynajmniej to potrafi docenić! - pomyślał.

- Nikt już mnie nie poprosi o zorganizowanie przyjęcia weselnego! Absolutnie nikt!

- Też tak sądzę.

Na te słowa łzy napłynęły znów do oczu Evie. Zadarła główkę do góry i przygryzła dolną wargę, ale się nie odezwała.

- Czemu cię to aż tak martwi? - spytał. - Nie marzyłaś chyba od kolebki o takiej karierze?

- Pewnie, że nie! - Pociągnęła noskiem. - Tylko że… tak się starałam... Tak bardzo się starałam, Justinie!…

Odwróciła się do niego i nagle znalazła się w jego ramionach, z twarzą wtuloną w białą koszulę Justina. On zaś przycisnął żarliwie usta do czubka głowy Evie - był to jedyny fragment jej postaci, który pozostał jedwabiście miękki, czysty i pachnący.

- I widzisz, Justinie... to wcale nie była moja wina! Zorganizowałam wszystko jak najlepiej! To mogło być idealne przyjęcie weselne! I byłoby takie urzekająco piękne, takie doskonałe... gdyby nie ten przeklęty Quail!

Wymówiła jego nazwisko tak, jakby to było najgorsze przekleństwo. Justin odetchnął głęboko i wzniósł do niebios milczącą, lecz żarliwą prośbę, by pomogły mu znaleźć właściwe słowa.

- Idealne? Doskonałe? Czy to nie za wielkie słowa?

Poczuł, że Evie skamieniała.

- Co takiego? - spytała po chwili zdławionym głosem.

- Wszystko było całkiem ładne i w ogóle, Evie, ale po co zaraz gadać o doskonałości?

Raptownie odsunęła się od niego.

- Co konkretnie w moim projekcie nie przypadło ci do gustu? - spytała oficjalnym tonem.

- No, cóż... wszystkie te skałki i głazy z papier mache... Czy nie było tego trochę za dużo?

Evie uniosła jedną brew w subtelnym grymasie niedowierzania. W tym momencie przypominała do złudzenia swoją matkę.

- Albo ten tort. Tyle kwiatków i ta pstrokacizna kolorów…

- To miało wyglądać świątecznie!

- I zapewne tak by wyglądało, we właściwej scenerii.

*Na przykład na cyrkowej arenie*, dodał w duchu.

- Co jeszcze miałbyś ochotę skrytykować? - nastawała.

- Ależ nic! - zapewnił ją z pośpiechem. - Te świece na belkowaniu i lustra na suficie były wspaniałe! Te pływające po sadzawce światełka również. Może tylko ta ociekająca szampanem bryła kwarcu…

Nie dokończył, bo Evie wybuchnęła płaczem. Chciał ją przytulić, ale się opierała. Wyrwała mu się, padła na sztuczny brzeg sadzawki i szlochała, jakby jej serce miało zaraz pęknąć.

Do tego przecież nie mógł dopuścić! Stanowczo - choć delikatnie -objął ją, podniósł z ziemi i posadził sobie na kolanach. Trochę się opierała, ale bez większego przekonania. W końcu zarzuciła mu ręce na szyję i zalała łzami cały gors koszuli. Pozwolił jej się wypłakać. Był pewien, że Evie nie straci na to zbyt wiele czasu.

- Zrozum, kochanie. Po prostu nie jesteś stworzona do tej roli. Za każdym razem wszystko, licho wie czemu, sprzysięga się przeciwko tobie. Ale to przecież nie koniec świata! - Zauważył, że przestała płakać, więc postanowił pójść za ciosem. - Czy naprawdę musisz być mistrzynią i w tej dziedzinie? Nie wystarczy ci cała reszta?

- Muszę! Ciotka Agatha okazała mi zaufanie, a ja sprawiłam jej zawód!

- I co z tego? - spytał rozsądnie.

Uniosła ku niemu mokrą od łez, zrozpaczoną twarz i spojrzała mu w oczy, po czym znów wtuliła głowę w jego koszulę.

- Łatwo ci mówić, z twoim wyglądem!

- Cóż to znowu miało znaczyć?!

- Ale dla kogoś takiego jak ja to bardzo ważne - ciągnęła dalej zdławionym głosem. - Jak sprawię komuś zawód, przestanie się ze mną zadawać. Na co komu bezużyteczna stara panna? To wybrakowany towar, mają go w nadmiarze.

A więc o to jej chodziło! Justin domyślał się tego, ale teraz miał już pewność. Wiedział również, że przez najbliższych kilka minut musi zachować wyjątkową ostrożność - jakby miał do czynienia z materiałem wybuchowym lub bezcennym starym dokumentem. Albo jakby chodziło o czyjeś życie. Ależ tak! Chodziło o jego własne życie. Evie była jego życiem. A kilka następnych minut zadecyduje o jego przyszłości.

- Evie, moja słodka Evie! Przecież ciotka Agatha wcale cię nie prosiła o zastępstwo. Sama mówiłaś, że uciekła i nie zostawiła żadnych instrukcji co do firmy - przekonywał ją. - Nie w głowie jej były interesy ani zyski. Nie myślała o całej rodzinie, nie myślała o tobie. Nie będzie cię winić za to, że nie odniosłaś sukcesu w jej imieniu, bo wcale jej to nie obchodzi. Nic jej nie obchodzi. Oprócz miłości.

- Skąd wiesz? - spytała zaczepnie, odpychając się rękami od jego piersi.

- Bo jestem w tobie zakochany. Wiem z własnego doświadczenia, że jak się człowiek zakocha, wszelkie inne sprawy tracą znaczenie.

Zdumiewające oczy Evie zrobiły się całkiem okrągłe. Wargi też uformowały się w kółko, ale zaraz je zacisnęła.

- Mówisz mi takie rzeczy, bo po ostatniej nocy uważasz to za swój obowiązek!

Miał ochotę porządnie przetrzepać jej skórę, ale musiałby do tej operacji zsadzić Evie z kolan, a w każdym razie nie mógłby jej wówczas tulić do siebie... Przez całe życie marzył o takiej właśnie bliskości. Nie zrezygnuje z niej po to, by okrężną drogą wbić Evie trochę rozumu do głowy.

- No cóż... Nie przeczę. Spaliśmy ze sobą - przypomniał jej łagodnie - i jasne, że czuję się wobec ciebie zobowiązany. To całkiem naturalne.

- Sam się przyznajesz! - wykrzyknęła niby to triumfalnie, ale była w tym nutka rozpaczy.

- Do czego? - spytał całkiem zdezorientowany.

- Że mi się oświadczasz, bo honor ci to dyktuje!

Nadal niczego nie pojmował. Spoglądała na niego z takim obrzydzeniem, jakby był padalcem albo ropuchą. Dlaczego honor i poczucie obowiązku tak się jej nie podobają…?

- Co ci szkodzi, u diabła, że mam trochę honoru? Jakbym był dziewczyną, to wolałbym wyjść za kogoś, kto postępuje honorowo.

Tym razem ją ogarnęła frustracja. Pewnie, że chciała, by Justin zachował się wobec niej honorowo. Zresztą, już to zrobił. Bardzo to sobie ceniła, ale chciała, żeby się oświadczył nie z poczucia obowiązku, tylko z miłości!

Co prawda, Justin powiedział, że ją kocha, a wcale nie musiał tego mówić! No tak, ale jeśli sądził, że tylko w ten sposób skłoni ją do tego, co uznał za jedyne honorowe rozwiązanie... Psiakość! Myśli kręciły jej się w kółko!

- Ja tylko... Ja nie myślę o honorze, kiedy jestem z tobą! - wypaliła, czując, że robi z siebie skończoną idiotkę. I powinna chyba zejść mu wreszcie z kolan. Czuła się jednak w objęciach Justina tak swobodnie i naturalnie podczas tej dziwnej, ale cudownej rozmowy, że nie mogła się zdobyć na takie wyrzeczenie.

- Naprawdę? - W głosie Justina był cień uśmiechu. - A o czym wtedy myślisz?

Evelyn nie zamierzała pierwsza wyznawać mu miłości. A prawda, on już jej to wyznał. Tylko dlaczego? Z prawdziwej miłości... a może miał jakiś ukryty motyw?

- Nie o honorze, i tyle! - burknęła w końcu.

Odchylił jej leciutko głowę do tyłu.

- Moja najmilsza, cudowna, podejrzliwa, dumna Evie! Nie jestem kompletnym żółtodziobem, choć moje doświadczenia erotyczne były znacznie uboższe, niż przypuszczałaś.

Evelyn zaczerwieniła się ogniście i ze zdumieniem dostrzegła, że opalona twarz Justina powleka się równie mocnym rumieńcem.

- Nie należę do mężczyzn, dla których liczą się w życiu tylko zmysłowe rozkosze. I choć pragnąłem cię, nadal pragnę i zawsze będę cię pragnął, mogłem wówczas - choć ze zbolałym ciałem i złamanym sercem - opuścić

- Bo jestem piękna? - rzuciła wyzywająco.

- Czy to dla ciebie takie ważne?

- Być może.

- Wobec tego... tak - powiedział z prostotą. - Jesteś piękna. Twój urok zniewala mnie i podnieca. - Evie chciała odwrócić głowę, ale wziął ją za brodę stanowczo, choć delikatnie, i zmusił, by spojrzała mu w płonące namiętnością oczy. - Ciągle widzę cię przed sobą: twoją postać na tle drzwi, zarys twego policzka, ulotny gest ręki... i pragnę cię całować. Wystarczy, bym dotknął twojej skóry, a już budzi się we mnie pożądanie. Jedno muśnięcie warg i czuję wściekły głód.

Evelyn czuła na twarzy gorący rumieniec. Spuściła oczy pod jego palą¬cym spojrzeniem. Justin znów ujął ją pod brodę.

- Ale gdy twoje rysy zgrubieją, Evie - mówił stanowczym tonem - skóra pokryje się zmarszczkami, a smukła postać pochyli się z wiekiem, nadal będę cię kochał. Jesteś radością mego serca. Nie tylko weszłaś mi w krew, ale stałaś się cząstką mojej duszy. Chcę rozkoszować się tobą, lecz chcę także dać ci szczęście. Serce posługuje się inną miarą niż zmysły, ma własne kanony doskonałości.

Evelyn z trudem przełknęła ślinę. Twarz Justina złagodniała, spojrzenie było otwarte i szczere. Dotykał jej niemal z czcią, ale ona i tak drżała.

- Tak, Evie, kocham cię. Doskonale wiesz, że cię kocham.

Teraz już wiedziała. Była tego pewna. Justin nie wspomniał ani słowem ojej dowcipie, inteligencji, zdolnościach, o żadnej z zalet, które doskonaliła przez całe życie, by dzięki nim nawiązywać kontakty z innymi ludźmi - wszelkie kontakty: koleżeńskie, towarzyskie, przyjacielskie... Może nawet miłosne?

A jednak Justin pominął wszystkie te wspaniałe zalety i mówił tylko o jej pięknie - czymś bardzo nietrwałym, a w jej mniemaniu mocno wątpliwym. Co więcej, przyznał sam, że piękno to przeminie. A jednak nigdy jeszcze nie była tak pewna szczerości swego rozmówcy jak w chwili, gdy Justin powiedział jej „kocham cię".

- Tak więc pozostaje tylko jedna kwestia - powiedział na zakończenie pewnym, spokojnym głosem. - Czy ty mnie kochasz, Evie?

Nie mogła zaprzeczyć. Nie chciała. A jednak nadal dręczył ją lęk. Przez całe życie starała się ochronić przed potencjalnym bólem - a teraz pojawił się znów jako nieodłączny towarzysz miłości, o jakiej nawet nie śniła. Widocznie prawdziwa miłość zawsze wiąże się z cierpieniem - uświadomiła sobie nagle.

- Tak! O tak! Kocham cię! Chyba zakochałam się w tobie, kiedy miałam piętnaście lat...

Justin nie był widać taki pewny siebie, jak się jej wydawało, bo zacisnął nagle powieki i mięsień w policzku zaczął mu drgać. A potem już tylko ją całował - obsypywał pocałunkami jej twarz - policzki, oczy, usta... Evie oddawała mu pocałunki i cały świat przestał dla nich istnieć.

Dopiero po długim, bardzo długim czasie, kiedy ich pocałunki stały się nieco mniej szalone, oni zaś uwierzyli wreszcie w swoje szczęście, Evie odsunęła się troszkę od ukochanego, obdarzyła go długim, pełnym miłości spojrzeniem i spytała:

- Czy naprawdę jesteśmy zdemaskowani?... Tak bym sobie jeszcze poszpiegowała…!

- No, panie Beverly! - szepnęła Merry ze swego punktu obserwacyjnego przy francuskim oknie wychodzącym na dziedziniec. - Po mojemu, nieźle nam się udało!

Kamerdyner przewrócił oczyma i coś wymamrotał. Zapewne skarżył się niebiosom na wścibstwo kobiet. Merry zachichotała i zwróciła się do niewielkiego grona romantycznie nastrojonych widzów, którzy „przypadkiem" znaleźli się w pobliżu, gdy Justin zamknął Evelyn w namiętnym uścisku.

- No i o co było się tak zamartwiać, milady? Już ja się znam na sprawach sercowych! Od pierwszej chwili wiedziałam, czym się to skończy. Od razu widać, że są dla siebie stworzeni: oboje tacy…

- Oryginalni? - podsunęła lady Broughton.

- Właśnie! - przytaknęła z entuzjazmem Merry. - I nieżyciowi…! Pytanie tylko, jak sobie poradzi parka słodkich niewiniątek na tym podłym, grzesznym

świecie!... Pomyśleć tylko, włamywacz na przyjęciu weselnym! Naprawdę się lękam o nasze gołąbeczki, jakiś łotr z pewnością ich wykorzysta!

- Nie martwiłbym się zbytnio o tych dwoje - mruknął enigmatycznie lord Stow. Raz jeszcze zmierzył młodą parę taksującym wzrokiem i wyszedł.